

JACK REACHER

**NOWOŚĆ
2023**

**LEE
CHILD**

ANDREW CHILD

BEZ PLANU B



ALBATROS

**LEE
CHILD**

ANDREW CHILD

BEZ PLANU B

Z angielskiego przełożył
Łukasz Praski

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

JAK NAJLEPIEJ ŚCIAĞNAĆ REACHERA DO JAKIEGOŚ MIEJSCA? ZABRONIĆ MU TAM JECHAĆ!

Spokojne miasteczko w Kolorado, idealne dla Jacka Reachera na krótki przystanek w wędrówce po Ameryce. Tyle tylko, że kiedy tam się pojawia, przestaje być spokojne... Coś, co wszystkim wydaje się wypadkiem – śmierć kobiety pod kołami autobusu – dla niego jest zabójstwem. Widział, jak ofiara została celowo pchnięta, i nie był to przypadkowy akt przemocy, lecz część większego planu. A ci, co pociągają za sznurki, znajdują się w Winson w stanie Missisipi.

Skoro Reacher i tak miał ruszyć w drogę, to dlaczego nie wybrać się właśnie tam? Może dlatego, że pewni ludzie nie chcą go w Winson i są gotowi na wszystko, by przeszkodzić mu w przyjeździe, nawet na wprowadzenie Planu B.

Nie tylko on zmierza do tego miejsca w Missisipi. W drodze jest również piętnastoletni chłopak, którego życie nauczyło, jak przetrwać, a także żądny zemsty biznesmen, który uwielbia ogień. Aż strach pomyśleć, co będzie, jeśli wszyscy trzej się spotkają.

LEE CHILD

Brytyjski pisarz, od 1998 r. mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 r. wybrany na prezesa stowarzyszenia Mystery Writers of America, a w 2020 r. zasiadał w kapitule Nagrody Bookera. W Wielkiej Brytanii studiował prawo, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach w wyniku restrukturyzacji, zainwestował w karierę literacką. W 1997 r. ukazała się jego pierwsza powieść – **Poziom śmierci**. Zdobyła Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, która stała się najpopularniejszą serią sensacyjną na świecie. Dwie jego książki zostały sfilmowane, a na podstawie jednej z nich, **Poziomu śmierci**, nakręcono pierwszy sezon serialu *Reacher*, dostępny na platformie Amazon Prime Video. Scenariusz drugiego sezonu jest oparty na **Elicie zabójców**.

ANDREW CHILD

Brytyjski pisarz, brat Lee Childa, również mieszkający w USA, w rezerwacie dzikiej przyrody w Wyoming. Ma za sobą karierę aktorską, którą porzucił dla pisania. Sławę przyniosły mu powieści sensacyjne, przede wszystkim seria o działającym pod przykrywką agencie Paulu McGracie. Andrew Child naprawdę nazywa się Andrew Grant.

jackreacher.com

Tego autora

Jack Reacher

POZIOM ŚMIERCI
UPROWADZONY
WRÓG BEZ TWARZY
PODEJRZANY
ECHO W PŁOMIENIACH
W TAJNEJ SŁUŻBIE
SIŁA PERSWAZJI
NIEPRZYJACIEL
JEDNYM STRZAŁEM
BEZ LITOŚCI
ELITA ZABÓJCÓW
NIC DO STRACENIA
JUTRO MOŻESZ ZNIKNAĆ
61 GODZIN
CZASAMI WARTO UMRZEĆ
OSTATNIA SPRAWA
POSZUKIWANY
NIGDY NIE WRACAJ
SPRAWA OSOBISTA
ZMUŚ MNIE
STO MILIONÓW DOLARÓW
ADRES NIEZNANY
NOCNA RUNDA
CZAS PRZESZŁY

ZGODNIE Z PLANEM
STRAŻNIK
LEPIEJ JUŻ UMRZEĆ
BEZ PLANU B

Tytuł oryginału:

NO PLAN B

Copyright © Lee Child and Andrew Child 2022

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Stephen Mulcahey

Zdjęcia na okładce © Stephen Mulcahey (*postać*)

© Agencja BE&W (*więzienie*)

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

ISBN 978-83-6775-752-2

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Aneta Vidal-Pudzisz

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odznaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

Dla wszystkich, których straciliśmy za wcześnie

1

Spotkanie odbywało się w sali bez okien.

Miała kształt prostokąta, a powodem braku okien był brak zewnętrznych ścian. Pomieszczenie znajdowało się wewnątrz większego, kwadratowego. A to kwadratowe mieściło się w jeszcze większym pomieszczeniu o kształcie ośmiokąta. Ta złożona struktura sal tworzyła centrum kierowania oddziału S2 w zakładzie karnym prowadzonym przez firmę Usługi Penitencjarne Minerva w Winson w stanie Missisipi. Wraz z siostrzanym oddziałem izolacyjnym, S1, centrum było najlepiej zabezpieczonym miejscem w całym kompleksie. Układ ścian przypominał średniowieczny zamek z koncentrycznie ułożonymi kręgami. Centrum kierowania zaprojektowano tak, by było nie do zdobycia. Z zewnątrz, nawet w przypadku ataku skrajnie zdeterminowanych wybawców. A także od środka, nawet podczas najbardziej gwałtownego buntu więźniów.

Kwestia bezpieczeństwa nie była bez znaczenia, ale centrum wybrano przede wszystkim ze względu na odizolowanie od reszty kompleksu, by zachować spotkanie w całkowitej tajemnicy. Dlatego że reszta oddziału S2 była pusta. Ani strażników. Ani personelu administracyjnego. Dzięki metodom zarządzania więzieniem przez obecne kierownictwo nie byli potrzebni. I żadna ze stu dwudziestu izolatek nie była zajęta. Progresywne podejście stanowiło powód do wielkiej dumy. I wielki atut dla PR-u.

Sześciu mężczyzn obecnych w sali uczestniczyło w potajemnym spotkaniu, trzecim w ciągu tego tygodnia. Siedzieli przy długim, wąskim stole, a pod białą

ścianą bez żadnych ozdób stały dwa zapasowe krzesła. Meble zrobiono z jasnoniebieskiego poliwęglanu. Każdy został odlany w jednej formie, więc nie miały złączy i spoin. Kształt i materiał utrudniały ich zniszczenie. Kolor utrudniałby ukrycie w nich jakichś przedmiotów. Meble były praktyczne. Ale niezbyt wygodne. Zostały po poprzedniej administracji.

Połowa mężczyzn w pomieszczeniu była w garniturach: Bruno Hix, dyrektor generalny i współzałożyciel Minervy, który zajmował miejsce u szczytu stołu; Damon Brockman, dyrektor operacyjny i drugi współzałożyciel firmy, siedzący po prawej ręce Hixa; i Curtis Riverdale, naczelnik więzienia, obok Brockmana. Mężczyzna obok Riverdale'a, ostatni z siedzących po tej stronie stołu, był w mundurze. Nazywał się Rod Moseley i pełnił funkcję komendanta policji w Winson. Naprzeciw nich, po lewej stronie Hixa, siedzieli dwaj faceci pod trzydziestkę. Obaj w czarnych T-shirtach i dżinsach. Jeden miał złamany nos, podbite oczy i całe czoło we wściekle fioletowych siniakach. Drugi nosił lewą rękę na temblaku. Obaj starali się unikać wzroku czterech pozostałych mężczyzn.

– Czyli jest problem czy go nie ma? – Brockman wzruszył ramionami. – Czy ktoś może stwierdzić z całą pewnością, że jest? Nie. Dlatego powinniśmy działać zgodnie z planem. Zbyt wiele możemy stracić, żeby się bać własnego cienia.

– Nie. – Riverdale pokręcił głową. – Ja widzę to tak: jeżeli nie można wykluczyć problemu, to znaczy, że jest problem. Bezpieczeństwo na pierwszym miejscu. Powinniśmy...

– Powinniśmy się upewnić – przerwał mu Moseley. – I podjąć decyzję na podstawie faktów. Najważniejsza rzecz to ustalić, czy facet zaglądał do koperty. Musimy to wiedzieć.

Nikt się nie odezwał.

– No? – Moseley wyprostował nogę pod stołem i kopnął tego z temblakiem. – Pobudka. Odpowiedz na pytanie.

– Dajcie mi spokój. – Facet z temblakiem stłumił ziewnięcie. – Musieliśmy jechać całą noc, żeby się dostać do Kolorado. A potem znowu całą noc jechaliśmy

tutaj.

– Tylko nam się tu nad sobą nie użalaj. – Moseley znowu trącił go stopą. – Po prostu nam powiedz. Zaglądał?

Ten z temblakiem wbił wzrok w ścianę.

– Nie wiemy – rzucił.

– Zaglądanie do koperty jeszcze o niczym nie przesądza – zauważył Riverdale. – Jeżeli zajrzał, musimy wiedzieć, czy zrozumiał, co zobaczył. I co zamierza z tym zrobić.

– Nie ma znaczenia, czy zaglądał – powiedział Brockman. – Gdyby nawet, to co z tego? Nie znajdzie tam zupełnie nic, co naprowadziłoby go na trop.

Riverdale pokręcił głową.

– Wymienia się tam dziesiątą rano w piątek. Bardzo wyraźnie. Jest godzina, data i miejsce.

– I co z tego? – Brockman uniósł ręce. – Piątek to okazja do świętowania i radości. Nie ma w tym absolutnie nic podejrzanego.

– Ale w środku była fotografia. – Riverdale akcentował każdą sylabę ruchem palca w powietrzu. – Osiem na dziesięć. Nie da się jej nie zauważyć.

– To też jeszcze nic nie oznacza. – Brockman odchylił się na oparcie krzesła. – Przynajmniej dopóki facet tu nie przyjedzie. Jeżeli w ogóle pojawi się w piątek. Ale nawet wtedy nic nam nie grozi. Wybraliśmy bardzo starannie.

– Wcale nie. Przecież to niemożliwe. Mogliśmy wybierać tylko z dziewięciu.

Przez twarz Moseleya przemknął uśmiech.

– Paradoks, nie? Że wybraliśmy naprawdę niewinnego człowieka.

– Nie nazwałbym tego paradoksem. – Riverdale zmarszczył czoło. – I wcale nie mieliśmy dziewiątki. Była tylko piątka. Reszta miała rodziny. To było kryterium wykluczające.

– Dziewiątka? – powtórzył Brockman. – Piątka? Co za różnica? Cyfra nie ma znaczenia. Liczy się tylko wynik. A wynik jest całkiem dobry. Nawet jeśli ten facet

się pojawi, to jak blisko może podejść? Będzie w odległości co najmniej dwudziestu pięciu metrów.

– Nie musi się wcale pojawiać. Może zobaczyć to w telewizji. W internecie. Przeczytać o tym w gazetach.

– Naczelnik ma rację – wtrącił się Moseley. – Byłoby chyba lepiej tym razem nie budzić aż takiego zainteresowania. I cofnąć zgodę na obecność mediów. Można wstawić jakiś kit o poszanowaniu prawa osadzonych do prywatności albo coś w tym rodzaju.

– Nie ma potrzeby. – Brockman pokręcił głową. – Przypuszczacie, że ten facet ma telewizor? Komputer? Prenumeruje „New York Timesa”? Przecież to nędzarz, na litość boską. Przestańcie szukać kłopotów, bo ich nie ma.

Hix zabębnił palcami o blat.

– Obecność w mediach jest dobra dla marki. Nigdy niczego nie zatajamy. Od zawsze. Jeżeli teraz to zmienimy, wzbudzimy tylko większe zainteresowanie. Ludzie pomyślą, że coś jest nie tak. Wydaje mi się jednak, że musimy wiedzieć, czy zajrzał do środka. – Hix odwrócił się do mężczyzn w T-shirtach. – Gdybyście mieli zgadywać... Nie ma złych odpowiedzi. Stało się, co się stało. Rozumiemy. Powiedzcie nam tylko, co wydaje się wam najbardziej prawdopodobne.

Ten ze złamanym nosem nabrał haust powietrza przez usta.

– Chyba zajrzał.

– Chyba? – powtórzył Hix. – Czyli nie jesteście pewieni.

– Nie na sto procent.

– Okej. Gdzie była koperta?

– W torebce.

– A torebka?

– Na ziemi.

– Ty ją tam postawiłeś?

– Chciałem mieć wolne ręce.

– Gdzie była, kiedy przyjechał samochód? – spytał Hix.

– Na ziemi – odpowiedział ten z temblakiem.

– W tym samym miejscu?

– Skąd mamy wiedzieć? Nie było mnie tam, kiedy Robert ją postawił. A gdy ją wziąłem, Robert był nieprzytomny.

Hix milczał przez chwilę.

– No dobrze – rzucił w końcu. – Jak długo ten facet był sam z torebką?

– Nie wiemy. Chyba niedługo. Najwyżej parę minut.

– Czyli nie można wykluczyć, że zaglądał – zauważył Hix. – W każdym razie miał czas, żeby przynajmniej zerknąć.

– Zgadza się – przyznał ten ze złamanym nosem. – No i trzeba pamiętać, że torebka była rozerwana. Jak to się stało? I dlaczego? Myśmy tego nie zrobili.

Brockman pochylił się nad stołem.

– Z tego, co mówiliście, było straszne zamieszanie. Wszędzie szczątki. Totalny chaos. Torebka pewnie została rozdarta przypadkiem. Nie wydaje mi się, żeby to był istotny trop. Dwaj pozostali nie informowali nas, że zaglądał do koperty.

– W ogóle się nie odezwali – oznajmił ten z temblakiem. – Nie wiemy, gdzie są.

– Pewnie jeszcze w drodze – powiedział Brockman. – Prawdopodobnie mają kłopoty z telefonem. Ale gdyby było się czym martwić, znaleźliby sposób, żeby się z nami skontaktować.

– A facet ani słowem nie wspomniał o tym policji – dodał Moseley. – Kilka razy rozmawiałem z porucznikiem. To musi coś oznaczać.

– Mimo to wydaje mi się, że zaglądał – upierał się ten ze złamanym nosem.

– Powinniśmy to wstrzymać – wyraził swoje zdanie Riverdale.

– W życiu nie słyszałem głupszej propozycji – odparł Brockman. – To nie my ustaliliśmy datę, nie my wybraliśmy godzinę. Zrobił to sędzia, kiedy podpisał nakaz zwolnienia. Przecież wiecie. Jeżeli zaczniemy kretyńsko grać na zwłokę, zaraz będziemy mieli na karku stado inspektorów. Wiecie, czym to się dla nas skończy. Równie dobrze możemy tu i teraz strzelić sobie w łeb.

Riverdale spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi.

– Nie chodzi mi o zwłokę. Mówię o tym, żebyśmy wrócili do pierwotnego planu. Ta zamiana od początku była błędem.

– Rozwiązałyby się problem piątku. Jeżeli w ogóle jest z tym jakiś problem. Nadal jednak pozostałby problem Carpentera.

– Od początku uważałem, że rozwiązanie jest proste. Kulka w tył głowy. Sam to zrobię, jeżeli jesteście zbyt wrażliwi.

– Wiesz, jaka byłaby cena? Ile straciłby na tym biznes?

– Jeżeli ten facet skojarzy fakty, stracimy znacznie więcej niż pieniądze.

– Jak mógłby to powiązać?

– Przyjeżdżając tu. Sam to powiedziałeś. Mógłby powęszyć. Był żandarmem wojskowym. Ma to we krwi.

– Skończył służbę w żandarmerii lata temu – zauważył Moseley. – Tak mi mówił porucznik.

Hix zabębnił w blat.

– Co jeszcze wiemy?

– Niewiele. Nie ma prawa jazdy. Według urzędu skarbowego nie ma historii zatrudnienia. W każdym razie odkąd odszedł do cywila. Nieobecny w serwisach społecznościowych. Nie istnieją żadne ostatnie zdjęcia. Jest teraz włóczęgą. Smutne, ale do tego się to sprowadza. Chyba nie ma się czym przejmować.

– Włóczęga czy milioner, wszystko jedno – rzucił Brockman. – Ale chyba tylko wariat jechałby przez pół kraju dlatego, że przeczytał parę dokumentów i zobaczył jakieś niewinne zdjęcie?

– Możecie sobie teoretyzować, ale mnie to martwi – oświadczył Riverdale. – Na każdym spotkaniu uznawaliśmy, że problem jest opanowany. I za każdym razem nie mieliśmy racji. A jeżeli tym razem znowu się mylimy?

– Nie myliliśmy się. – Brockman trzasnął otwartą dłonią w stół. – Radziliśmy sobie z każdą trudną sytuacją, gdy tylko zaistniała. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków.

– W dziewięćdziesięciu dziewięciu. Nie stu.

– Życie nie jest idealne. Czasem trzeba pozamiatać rozbite szkło. I zrobiliśmy to. Dowiedzieliśmy się o przecieku. Zlikwidowaliśmy go metodą, którą uzgodniliśmy. Dowiedzieliśmy się o zaginionej kopercie. Odzyskaliśmy ją metodą, którą uzgodniliśmy.

– A teraz ten dziwny facet do niej zajrzał.

– Być może. Tego nie wiemy. Ale musicie przyznać, że to mało prawdopodobne. Nie powiedział o niej glinom. To wiemy. Nie pisnął też słowa FBI ani Departamentowi Więziennictwa. Wiedzielibyśmy. Powiedzmy, że domyślił się wszystkiego po tym, jak na parę sekund został sam na sam z kopertą. Dlaczego miałby zachować tę wiedzę dla siebie? Co by z nią zrobił? Szantażował nas? Sądzicie, że będzie się tłuc dwa tysiące kilometrów, żeby zdążyć na piątek? Bądźmy poważni.

– Panowie! – Hix znowu zabębnił w blat. – Wystarczy. No dobrze. Oto moja decyzja. Nie wiadomo, czy facet zaglądał do koperty. Wydaje się to mało prawdopodobne, więc nie powinniśmy wpadać w panikę. Zwłaszcza jeżeli pomyślimy o konsekwencjach. Z drugiej strony, warto zachować ostrożność. Łatwo go rozpoznać, tak?

Ten ze złamanym nosem skinął głową.

– Na pewno. Trudno go nie zauważyć. Sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Sto dziesięć kilo. Niechlujny.

– No i nie zapominajmy, że jest mocno poobijany – dorzucił ten z ręką na temblaku. – Już o to zadbałem.

– Powinieneś go zabić – wytknął mu Brockman.

– Myślałem, że to zrobiłem.

– Powinieneś się upewnić.

– Jak? „To ma wyglądać na wypadek”. Takie polecenie wydaliśmy tamtym dwóm. Wydawało mi się, że zastosowali je do tego faceta. Trudno byłoby sprzedać taką wersję, gdybym wpakował mu kulkę w łeb.

– Dość! – Hix czekał, aż zapadnie cisza. – Plan jest taki. Zorganizujemy obserwację. Całodobową. Od teraz aż do soboty. Jeżeli postawi stopę w naszym mieście, będziemy na niego czekać. A tu już nie musimy się przejmować, jak co będzie wyglądać.

2

Jack Reacher przyjechał do Gerrardsville w stanie Kolorado w poniedziałek przed południem, dwa dni przed trzecim tajnym spotkaniem ludzi z Minery. Dotarł na miejsce autostopem, ciężarówką, która wiozła bele lucerny na farmę na południe od miasta, więc ostatni półtorakilometrowy odcinek drogi pokonał pieszo. Spacer sprawił mu przyjemność. Było ciepło, ale nie gorąco. Rozległym błękitnym niebem płynęły strzępki chmur. Powietrze było rzadkie i przejrzyste. Jak okiem sięgnąć, wszędzie płaski, zielony i żyzny krajobraz. Na niekończących się połaciach pól widać było z oddali deszczownie, między którymi do słońca wyciągały się łodygi i liście w przeróżnych kolorach i kształtach. Po lewej horyzont zamykał łańcuch gór. Wyrastały z ziemi nagle, niezapowiedziane żadnym wzniesieniem terenu ani łagodnym pogórzem, a ich zaśnieżone szczyty wrzynały się w niebo jak zęby piły.

Reacher szedł, dopóki nie dotarł do głównej drogi miasteczka. Ciągnęła się przez prawie kilometr i po jej obu stronach biegły nieprzerwane szeregi sklepów i biur, a dalej domy mieszkalne. Budynki handlowe były jednakowej wielkości. Podobnie zaprojektowane, wszystkie miały po dwie kondygnacje i były w podobnym wieku – według dat wyrzeźbionych w niektórych nadprożach drzwi pochodziły z końca dziewiętnastego wieku – więc miasteczko sprawiało wrażenie czegoś w rodzaju kapsuły czasu. Z epoki, gdy jeszcze ceniło się kunszt rzemieślniczy. Nie było wątpliwości. Fasady wykonano z kamienia, marmuru albo granitu. Stolarkę drzwiową i okienną zdobiły misternie rzeźbione motywy, bogato udekorowane płatkami złota. Budynki były doskonale utrzymane ze wszystkich

stron. Reacher potrafił docenić to, co widział, ale nie przyjechał do tego miasta, by podziwiać architekturę. Przyjechał zwiedzić tutejsze muzeum.

Poprzedniego dnia w gazecie zostawionej przez kogoś w restauracji znalazł artykuł o wykrywaczu metali i pewnym dentyście, który odchodził na emeryturę i z tej okazji dostał ten gadżet w prezencie od kolegów. To miał być żart związany z historiami, które opowiadali o nim inni stomatolodzy: u nowych pacjentów znajdował plomby założone przez innych dentystów i upierał się, że należy je wymienić. W każdym razie, szukając sposobu wypełnienia wolnego czasu, którego nagle miał aż nadto, bohater artykułu został archeologiem amatorem. Od dawna żywo interesował się wojną secesyjną, więc postanowił odwiedzić całą serię miejsc bitew. Dużych i małych. Słynnych i mało znanych. Pod Pea Ridge w stanie Arkansas znalazł masę odłamków artyleryjskich i innych artefaktów. Z jego znalezisk stworzono objazdową wystawę na temat ewolucji taktyki wojsk Unii i wzbudziło to zainteresowanie Reachera. Jednym z miejsc, w których pokazywano ekspozycję, było Gerrardsville. A że akurat znalazł się kilka kilometrów od miasteczka i wystawa wciąż tu była, postanowił ją obejrzeć.

Wypił kawę w kawiarence, którą mijał po drodze, i dotarł do muzeum przed południem. Został tam aż do zamknięcia. Dopóki nie wygoniła go jedna z kustoszek. Miała na imię Alexandra. Reacher zagadnął ją na temat wystawy. Potem rozmowa zesłała na restaurację w miasteczku i skończyło się na tym, że poszli razem na hamburgera. Alexandra wybrała obskurną knajpkę. Przy stołach z chropowatymi drewnianymi blatami stały długie ławy. Podłogi skrzypiały. Wszystkie ściany były udekorowane okładkami starych płyt. Ale na jedzenie nie trzeba było długo czekać. Porcje były kopiaiste. Ceny niskie. Wszystko to bardzo przypadło Reacherowi do gustu.

Podczas jedzenia zaczęli rozmawiać o muzyce i skończyło się na tym, że trafili do baru. Niewielkiego. Kameralnego. Ciemnego. Grał zespół bluesowy. Przed wszystkim covery Magic Slima plus parę piosenek Howlin' Wolfa. Reacher był zadowolony. Alexandra zamówiła dwa piwa i kiedy je pili, znowu zmienił się temat

rozmowy. Tym razem zaprowadził ich w zupełnie inną stronę. A potem aż do Alexandry.

Miała mieszkanie nad sklepem niedaleko głównego skrzyżowania w miasteczku. Niewielkie. Urządzone w minimalistycznym stylu. Niewiele mebli i innych sprzętów. Ale była lodówka, więc wypili jeszcze po piwie. I odtwarzacz CD, więc posłuchali jeszcze muzyki. No i była w nim sypialnia. A gdy do niej trafili, właściwie nie potrzebowali już niczego więcej.

3

Muzeum otwierano na drugi dzień o dziesiątej rano, więc Reacher i Alexandra zostali w łóżku do ostatniej chwili.

Zostali w łóżku, ale nie poświęcili tego czasu wyłącznie na sen. Alexandra wiedziała, że może nie zdążyć, mimo to wzięła krótki prysznic. Uznała, że po wzmożonej aktywności, jakiej się oddawali, tak będzie rozsądniej. Reacher zaparzył kawę. Potem pocałowała go na pożegnanie i popędziła do swojego wybranego kawałka przeszłości. Reacher wziął dłuższy prysznic, po czym wyszedł na ulicę. Myślał o swojej najbliższej przyszłości. Na moment przystanął, by przyjrzeć się górcom. Potem zobaczył idącą w ich stronę kobietę. Była po drugiej stronie ulicy, prawie na skrzyżowaniu, i kierowała się na zachód. Na przejściu paliło się czerwone światło. Na przeciwległym rogu stał mężczyzna czekający na zielone. Na północ zmierzał autobus, który miał przejechać między nimi.

• • •

Kobieta za kierownicą autobusu dostrzegła tylko ruch.

Nic więcej prócz niewyraźnej plamy. Nisko, po swojej prawej stronie. Jakiś kulisty przedmiot. Zakreślił ćwierć równiutkiego okręgu. Jak zawieszony na sznurku melon, powiedziała następnego dnia psychologowi, z którym rozmowa była obowiązkowa. Tyle że to nie był melon, ale głowa. Ludzka głowa. Kobiety. Zaledwie parę centymetrów od przedniej szyby. Jasna i blada w blasku słońca,

jakby już należała do ducha. A potem zniknęła. Ale nie dlatego, że kobieta za kierownicą to sobie wyobraziła. Nie dlatego, że to było złudzenie, choć bardzo tego pragnęła. Lecz dlatego, że głowa dalej zakreślała łuk. Do samej ziemi. Przed autobus.

A potem pod jego koła.

Skręciła ostro w lewo. Całym ciężarem ciała wcisnęła hamulec. Bez wahania. Bez paniki. Zadziałało dobre wyszkolenie. Miała wieloletnie doświadczenie. Było jednak za późno. Usłyszała pisk opon. Wrzask pasażerów. I poczuła uderzenie. Na kierownicy. Wytlumione lekkie drgnienie obręczy z twardego plastiku. Łagodniejsze od wstrząsu przy najechaniu koła na głęboki wybój. Albo przy uderzeniu w kłodę drewna. Ale asfalt nie ma przecież kości, które można zmiażdżyć i roztrzaskać. Drewno nie ma organów wewnętrznych, które pękają i krwawią.

Kobieta za kierownicą autobusu zamknęła oczy i siłą woli opanowała falę mdłości. Wiedziała, jaki widok czeka ją na ulicy. Już kiedyś mimo woli stała się współniczką samobójstwa nieznaej osoby. To było ryzyko wpisane w jej zawód.

• • •

Człowiek stojący na przeciwległym rogu skrzyżowania widział znacznie więcej.

Widział jadący na północ autobus. Widział, jak kobieta pojawiła się na południowo-wschodnim rogu skrzyżowania. Nic nie przesłaniało mu widoku. Stał na tyle blisko, że jego relację można było uznać za wiarygodną. Zeznał, że ofiara wyglądała na zdenerwowaną. Rozedrganą. Widział, jak patrzy na zegarek. Z początku przypuszczał, że kobieta się spieszy. Przypuszczał, że chce zdążyć przebiec przez ulicę, zanim nadjedzie autobus. Ale nie przebiegła. Zatrzymała się.

Stała i niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, dopóki autobus nie znalazł się prawie tuż przy niej. Gdy nie miał już szansy zwolnić ani skręcić.

Wtedy rzuciła się pod koła.

Kobieta rzuciła się pod autobus. Świadek był tego pewien. Nie potknęła się. Nie upadła. To był zamierzony krok. Wskazywał na to wybrany moment. Prędkość, z jaką ruszyła przed siebie. Łuk zakreślony przez jej ciało. Precyzyjnie wybrany cel. To z pewnością nie mógł być wypadek. Ona zrobiła to celowo. Świadek sądził, że nie ma innego wyjaśnienia.

• • •

Tylko Reacher widział całą scenę.

Stał około piętnastu metrów od skrzyżowania. Jemu też nic nie zasłaniało widoku, ale miał szersze pole widzenia. Znaleźli się w nim kobieta i facet czekający na zielone światło, by przejść na drugą stronę. Reacher zauważył też trzecią osobę. Mężczyznę. Jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów. Muskularny. W szarej bluzie z kapturem i džinsach. Po tej samej stronie ulicy co kobieta. Dwa i pół metra od niej. Ćwierć metra od krawężnika. Stał zupełnie nieruchomo.

Bardzo starannie wybrał miejsce. To było jasne. Znajdował się w pobliżu przejścia dla pieszych, więc nie budził takiego zainteresowania jak ktoś wałęsający się bez celu po ulicy. Był na tyle daleko od kobiety, by nie nasunęło się podejrzenie, że cokolwiek go z nią łączy. Ale na tyle blisko, że gdy nadjechał autobus, wystarczyły mu dwa kroki, by znalazł się tuż obok niej. Wykonał ten ruch zręcznie. Płynnie. Bardziej przypominał cień niż człowieka z krwi i kości. Ofiara nie zauważyła, kiedy znalazł się obok niej. Nie zauważyła, jak jego stopa niepostrzeżenie zakleszczyła jej kostki.

Położył dłoń między łopatkami kobiety i pchnął ją. To był nieznaczny ruch. Ekonomiczny. Zupełnie pozbawiony dramatyzmu. Nie na tyle widoczny, by zwróciła na niego uwagę większość obserwatorów. Ale wystarczający do

osiągnięcia celu. Bezsprzecznie. Nie było ryzyka, że kobieta zatoczy się do przodu i odbije od maski autobusu. Nie było ryzyka, że upadek skończy się dla niej złamaniem kości i wstrząśnieniem mózgu. Sprawę rozwiązała jego stopa, która unieruchomiła kobietę. Zablokował jej nogi, więc obróciła się wokół własnej osi, wymachując rękami. W rezultacie musiała runąć poziomo na ziemię.

Uderzenie wycisnęło powietrze z jej płuc. To był jej ostatni oddech. Bo pół sekundy później przednie koło autobusu rozpłaszczyło jej brzuch jak złożoną gazetę.

4

Autobus zatrzymał się ukosem do krawężnika, jakby został skradziony przez pijanego dowcipnisia, a potem porzucony, gdy kawał przestał go bawić. Przód pojazdu częściowo blokował skrzyżowanie. Reacher zobaczył, że numer trasy wyświetlany na elektronicznej tablicy nad drzwiami wejściowymi zastąpił komunikat alarmowy WEZWAĆ POLICJĘ. Zobaczył też nogi martwej kobiety. Wystawały spod autobusu, mniej więcej w połowie odległości między przednimi a tylnymi kołami. Z jednej stopy spadł sportowy but. Mężczyzna, który ją popchnął, z tylnej kieszeni dżinsów wyjął worek na śmieci. Potrząsnął nim, by go otworzyć. Kucnął obok gołej stopy. Sięgnął wyprostowaną ręką pod autobus. Złapał coś i wyciągnął. Reacher zorientował się, że to torebka kobiety. Tamten wrzucił ją do worka na śmieci. Wyprostował się. Poprawił kaptur. I odszedł wolnym krokiem, kierując się na południe, a po chwili zniknął.

Reacher przeciął na skos ulicę, biegnąc w stronę autobusu. Na chodniku gromadzili się już ciekawscy. Wychodzili ze sklepów, kafejek i biur i gapili się na zwłoki. Jakiś mężczyzna w garniturze zatrzymał samochód i wysiadł, żeby się lepiej przyjrzeć. Nikt jednak nie zwracał uwagi na faceta w bluzie z kapturem, który wtapiał się w tłum, żeby rozpuścić się na jego obrzeżach. Reacher przebijał się przez ciżbę, odpychając na bok ludzi; kogoś uderzył w tyłek. Ten w kapturze przedarł się przez ostatni rząd gapiów. Przyspieszył kroku. Reacher przeciskał się coraz mocniej. Roztrącił dwoje ostatnich ludzi i puścił się biegiem. Tamten był już dwadzieścia metrów od niego. Reacher zmniejszył tę odległość do piętnastu metrów. Dwunastu. Wtedy ścigany usłyszał za sobą tupot nóg. Obejrzał się przez

ramię. Zobaczył deptającego mu po piętach Reachera i ruszył biegiem, wciąż ściskając w ręce worek na śmieci z torebką ofiary. Drugą rękę wsunął do kaptura. Dźgnął palcem urządzenie, które tkwiło w jego prawym uchu. Rzucił ostrym tonem parę zdań, a potem skręcił w lewo w boczną uliczkę.

Reacher biegł dalej, dopóki nie znalazł się metr od wylotu uliczki. Wtedy przystanął. Zaczął nasłuchiwać. Nie złowił żadnego dźwięku, więc ukląkł, podkraśl się bliżej rogu i ostrożnie zza niego wyjrzał. Zakładał, że jeżeli ten w kapturze ma broń, będzie mierzył na wysokości głowy. Gdyby miał nóż, szykowałby się do ciosu w brzuch. Ale Reacher nie natrafił na żadne zagrożenie. Nie spotkał się z jakąkolwiek reakcją. Wyprostował się i zrobił krok naprzód.

Nigdy nie był w tak czystym zaułku. Mury budynków po prawej i lewej stronie były z jasnej cegły. Schludne i gładkie. Bez śladu graffiti. Żadne okno na parterze nie było wybite. Zewnętrzne schody pożarowe wyglądały na niedawno odmalowane. Po obu stronach stały w szeregu pojemniki na śmieci, rozstawione w równych odstępach. Niektóre zielone. Inne niebieskie. Wszystkie miały pokrywy. Żaden nie wyglądał na przepełniony, na ziemi nie walały się śmieci.

Mężczyzna w kapturze stał dziesięć metrów dalej. Zwrócony plecami do muru po lewej stronie. Stał w zupełnym bezruchu, a worek na śmieci leżał u jego stóp. Reacher ruszył w jego stronę. Zmniejszył dystans do sześciu metrów. I w tym momencie tamten uniósł brzeg bluzy. Za paskiem tkwił czarny kanciasty pistolet.

– Stać – powiedział. – Ani kroku dalej.

Ale Reacher szedł dalej. Zmniejszył dystans do trzech metrów.

Facet trzymał dłoń tuż nad rękojeścią pistoletu.

– Stop – rzucił. – Ręce na widoku. Nikomu nie musi się stać krzywda. Możemy po prostu pogadać.

Reacher zmniejszył dystans do półtora metra.

– Nikomu więcej – uściślił.

– Co?

– Komuś już się stała krzywda. Kobiecie, którą popchnąłeś pod autobus. To się musiało stać?

Ten w kapturze otworzył usta i zamknął, ale nie padło z nich ani jedno słowo.

– Na ziemię – rozkazał Reacher. – Ręce splecione za głową.

Facet nie zareagował.

– Może nikomu więcej nie musi się stać krzywda – dodał Reacher. – I mówiąc „nikomu”, mam na myśli ciebie. Wszystko zależy od tego, co teraz zrobisz.

Tamten sięgnął po broń. Był szybki. Ale nie dość szybki. Reacher chwycił go za nadgarstek i szarpnął w prawo, tak że przeciwnik obrócił się wokół własnej osi, twarzą do muru.

– Nie! – Jego głos nagle zabrzmiał piskliwie. – Zaraz. Co robisz?

– Chcę zobaczyć, jak ci się to spodoba – odparł Reacher. – Nie ma autobusu, ale są cegły, muszą wystarczyć.

Puścił nadgarstek mężczyzny. Przesunął dłoń wyżej i położył między jego łopatkami. I pchnął. Z całej siły. Brutalnie. Zwierzęco. Znacznie mocniej, niż musiał. Tamten próbował się ratować, ale nie miał szans w zderzeniu z przytłaczającą siłą. Uderzył twarzą w mur i zwałił się na ziemię, jakby nagle zanikły mu kości w nogach. Z ran ciętych na czole spływała krew. Miał złamany nos. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że się udusi. Albo utopi.

Żadna z tych możliwości nie zmartwiłaby Reachera.

5

Reacher miał zamiar zgarnąć faceta w bluzie z kapturem i zaciągnąć z powrotem do autobusu. I tam poczekać na przyjazd policji. Ale zawahał się, gdy sięgnął po worek na śmieci. Wewnątrz była torebka kobiety. A coś, co kryło się wewnątrz, było warte zabójstwa. Reacher przez trzynaście lat był śledczym w wojsku. Trudno pozbyć się dawnych przyzwyczajień. Choć nie słyszał jeszcze żadnych syren, wiedział, że ma niewiele czasu.

Podniósł upuszczony pistolet i wetknął sobie za pasek. Następnie położył faceta w bezpiecznej pozycji pod murem i zaczął od przeszukania mu kieszeni. Tak jak się spodziewał, nie znalazł niczego z nazwiskiem ani adresem, ale mężczyzna miał przy sobie pęk kluczy. Reacher wybrał najostrzejszy i odciął nim dwa nierówne, szerokie paski z górnej części worka. Owinął nimi dłonie i wyjął torebkę. Kwadratową, o boku długości około czterdziestu centymetrów, zrobioną ze sztucznej skóry w beżowym kolorze, z długim paskiem na ramię i dwoma półokrągłymi uchwytami. Po jednej stronie torebki zobaczył cętki krwi. Była zamykana na suwak. Reacher rozpiął go i przetrząsnął zawartość. Najpierw wyjął portfel kobiety. Znalazł w nim prawo jazdy wydane w stanie Missisipi dla Angeli St. Vrain zamieszkałej w Winson. Oprócz dokumentu w portfelu były trzy jednodolarówki. Plik paragonów z supermarketu i drogerii. Oraz zdjęcie Angeli z małą dziewczynką. Może trzyletnią. Podobieństwo od razu rzucało się w oczy. Matka i córka. Reacher nie miał wątpliwości.

Położył portfel na ziemi i znowu sięgnął w głąb torebki. Wyjął zalaminowaną kartę na jasnoniebieskiej smyczy. Identyfikator służbowy. Wynikało z niego, że Angela pracowała w więzieniu. W zakładzie karnym Minerva, który też znajdował się w Winson w stanie Missisipi. Znalazł jeszcze szczotkę do włosów, sporo kosmetyków do makijażu i innych przedmiotów osobistych. Trzy klucze na kółku. Oraz kopertę. Szarą, taką, w jakich przesyła się pisma urzędowe. Była zaadresowana do niejakiego Danny'ego Peela, który również mieszkał w Winson w stanie Missisipi. Koperta była otwarta.

Tkwiła w niej czarno-biała fotografia – pochodzące sprzed szesnastu lat zdjęcie z kartoteki policyjnej – oraz plik papierów. Fotografia przedstawiała młodego mężczyznę. Miał wymizerowaną, ściągniętą twarz i niewiele krótko ostrzyżonych włosów. Spod tych rzadkich włosów prześwitywała blada skóra, Reacher domyślił się więc, że zostały obcięte niedawno. Jego uwagę przyciągnęły też oczy chłopaka. Osadzone blisko siebie i szeroko otwarte, malowała się w nich mieszanina zdziwienia i strachu. Chłopak miał jeszcze jedną nietypową cechę: brakowało mu kawałka małżowiny usznej. Lewej. Wyglądało na to, że został obcięty. Brzeg był prosty i zaczerwieniony, a na szyi biegła blizna aż na tył głowy. Reacher przypuszczał, że to ślad po brzytwie. Ktoś musiał go zaatakować i próbował poderżnąć mu gardło, ale chłopakowi udało się odwrócić, pochylić i odskoczyć. Nie na tyle szybko, by uniknąć zranienia. Ale na tyle szybko, by przeżyć. A to już było wiele, pomyślał Reacher. Może.

Papiery można było podzielić na dwa rodzaje. Pierwszy zestaw, z nagłówkiem stanowego Wydziału Więziennictwa Missisipi, opowiadał historię życia niejakiego Antona Begovica. W każdym razie przebieg jego dorosłego życia. Opisywał, jak osiemnastoletni Begovic wpakował się w kłopoty. Był zamieszany we włamanie. Powiązano go też z wieloma innymi przestępstwami. Ciężar zarzutów rósł, aż w końcu mężczyzna trafił za kratki. Tak to się kończy. W więzieniu jego sytuacja jeszcze się pogorszyła. Po trzech latach znalazł się w izolatce. I pozostał tam przez następne siedem. Drugi zestaw dokumentów świadczył jednak o diametralnej zmianie w życiu Begovica.

Przełom zbiegł się w czasie z przejściem placówki przez Minervę. Pracodawcę Angeli. Begovic wrócił do reszty populacji więzienia. Odnotowano poprawę w jego zachowaniu. Firma prowadząca zakład karny sponsorowała wniesienie przez niego apelacji. Prywatny detektyw ujawnił zeznanie byłego więźnia, który na łożu śmierci przyznał się do przestępstw zarzucanych Begovicowi. Okazało się, że detektyw policji, który zebrał dowody przeciwko niemu, dziesięć lat temu popełnił samobójstwo, ponieważ tkwił po uszy w długach karcianych. Sędzia nakazał więc zwolnić Begovica. Miało to nastąpić niebawem. Według ostatniego dokumentu więzień powinien wyjść na wolność w przyszły piątek o dziesiątej rano.

Reacher wsunął zdjęcie i dokumenty z powrotem do koperty. Schował ją do torebki, po czym włożył na miejsce pozostałe rzeczy Angeli. Zasunął zamek błyskawiczny i wrzucił torebkę do worka na śmieci. Następnie odwinął z dłoni plastikowe paski i wcisnął do kieszeni.

Myślał o zawartości koperty. O tragicznej historii niesłusznie skazanego człowieka. Zastanawiał się, co wspólnego mogła z tym mieć Angela. A to przywiodło mu na myśl inną tragedię. Tę, która właśnie się rozpoczynała. Dla dziewczynki z fotografii w portfelu. Córki Angeli. Dziecka, które od teraz będzie wychowywać się bez matki.

6

U wylotu uliczki pojawił się samochód. Czarny sedan. Lśniący. Elegancki. Bmw. Reacher rozpoznał markę po niebiesko-białym logo na masce. Symbol miał przedstawiać niebo i chmury. Reacher gdzieś o tym czytał. Że logo nawiązuje do początków firmy jako producenta silników lotniczych. Nie miał jednak pojęcia, co to za model. Nie bardzo interesował się samochodami.

Bmw podjechało naprzód. Jego kierowca też był w szarej bluzie z kapturem. Zwolnił, zatrzymał się, opuścił szybę i powiedział:

– Ręce na widoku. I odsuń się.

Reacher ani drgnął.

Kierowca wrzucił luz i zwiększył obroty silnika. Wcisnął do deski pedał gazu dwa, trzy razy i czekał, aż wściekły ryk ucichnie.

– Odsuń się, powiedziałem.

Reacher nadal stał bez ruchu.

Samochód stał w odległości trzech metrów od Reachera i dwóch i pół od muru. Mężczyzna, którego popchnął na mur, leżał nieprzytomny na ziemi, piętnaście centymetrów od obcasów Reachera. Prawdopodobnie był kumplem kierowcy. Właśnie dlatego ten w bmw kazał Reacherowi się przesunąć. Nie chciał uszkodzić ich obu.

Reacher stał bez ruchu.

Bmw ruszyło. Kierowca obrócił kierownicę i jechał wolno. Dopiero gdy Reachera i przedni błotnik dzieliło niewiele więcej niż metr, tamten wyprostował

koła i wcisnął gaz. Autem szarpnęło do przodu. Facet trzymając kierownicę prawą ręką, lewą chwycił klamkę. Otworzył drzwi na oścież i przytrzymał, jakby był rycerzem na koniu, który próbuje uderzyć przeciwnika tarczą. Zwalić go na ziemię. Albo przynajmniej zmusić do porzucenia bezpiecznej pozycji.

Reacher nie zamierzał się cofać. Zrobił krok naprzód. W stronę samochodu. Uniósł kolano i śródstopiem uderzył w drzwi bmw. Włożył w ten cios całą siłę. Cały ciężar ciała. Trafił w sam środek metalowej tafli. Blacha zgrzytnęła, wgniotła się i drzwi się zatrzasnęły. Samochód śmignął obok Reachera, a potem gwałtownie skręcił w prawo. Mężczyzna w bmw siłował się z kierownicą. Ostro zahamował, ale o ułamek sekundy za późno. Samochód zahaczył prawą stroną przodu o pojemnik na śmieci po drugiej stronie zaułka. Stłukł się reflektor. Kierowca wrzucił wsteczny i znowu wcisnął gaz. Szarpnął kierownicę. Bmw obróciło się tak, że tylny lewy błotnik znalazł się w jednej linii z nogami Reachera. Temu leżącemu na ziemi nic nie groziło. Było widać, że cały zmieści się pod tylnym zwisem samochodu. Ale Reacher nie mógł uniknąć uderzenia. Nie przy takim kącie. Bmw za moment miało przygwoździć go do muru.

Dał nura w kierunku wylotu uliczki, przetoczył się i zerwał na nogi. Samochód rąbnął w ścianę. Znowu trzasnęło szkło. Odłamki posypały się na klatkę piersiową i brzuch nieprzytomnego mężczyzny. Nie były jednak na tyle ostre, żeby przeciąć mu ubranie. A uderzenie w mur nie było tak mocne, by unieruchomić pojazd.

Mimo to kierowca został w środku, co wydawało się zrozumiałe. Rozsądniej było uniknąć walki na pięści. Ale nie próbował strzelać. Reacher doszedł do wniosku, że zależało mu przede wszystkim na tym, by wyglądało to na wypadek. Wprawdzie wypadek też mógłby wzbudzić pewne podejrzenia – zwłaszcza tak blisko miejsca, gdzie autobus zmiądzzył Angelę St. Vrain – ale i tak byłoby to mniej podejrzane niż pozostawienie zwłok ze śmiertelną raną postrzałową.

Reachera nie krępowały ograniczenia tego rodzaju. Wyjął broń odebraną leżącemu pod murem facetowi i wyszedł z samochodu. Zamierzał strzelić przez szybę od strony pasażera, lecz kierowca zobaczył, co się święci, i z impetem ruszył naprzód, samym środkiem zaułka. Reacher posłał więc trzy pociski przez tylną

szybę. Pierwszy zmienił ją w gęstą siateczkę matowych kryształków. Drugi posłał ją na tylne siedzenie. A trzeci trafił w coś w środku. Reacher nie miał co do tego wątpliwości. Nie wiedział tylko, czy to był kierowca. Czy zagłówek. A może inny przypadkowy element wnętrza.

Samochód stanął. Na moment zastygł w bezruchu. Potem zapaliło się jedno ocalałe światło cofania. Rozległ się pisk opon. Wóz pomknął do tyłu. Reacher strzelił jeszcze trzy razy. Wszystkie pociski utkwily w fotelu kierowcy. Ale samochód wciąż jechał. Prosto na Reachera. Nic nie wskazywało na to, by zamierzał zwolnić. Albo skrócić. Kierowca musiał się bardzo nisko pochylić. Może do połowy zjechał pod siedzenie, jeżeli był aż tak drobny. Reacher przypuszczał, że mężczyzna widzi, dokąd jedzie, dzięki kamerze cofania. Uniósł broń, zastanawiając się, gdzie może być obiektyw. Ale dał sobie spokój. Nie było na to czasu. Rzucił się w lewo, a po chwili w prawo. Chciał jeszcze raz spróbować strzelić w szybę od strony pasażera. Niewiele brakowało. Jeszcze parę sekund i miałby idealną pozycję. Załatwiłby gościa. Na bank.

Kierowca ostro skręcił w prawo. Po jednej stronie na drodze Reachera stał mur. Gdyby ruszył w przeciwnym kierunku, uderzyłoby w niego bmw. Lub gdyby ruszył naprzód. Albo do tyłu.

Samochód pędził w jego stronę. Spojler z tyłu był już bardzo blisko.

Reacher nie miał dokąd uciec.

Chyba że w górę. Gdyby udało mu się to zrobić w idealnym momencie.

Wepchnął pistolet za pasek. Odczekał ułamek sekundy. A potem skoczył na bagażnik samochodu i odbił się od niego. Mocno. Obiema nogami. Wyciągnął ręce nad głowę, by skoczyć jeszcze wyżej. Opuszkami palców musnął metal. Szorstkie, zimne żelazo. Element schodów pożarowych. Najniższy szczebel, jak w drabinkach na placu zabaw. Reacher chwycił się go i mocno zacisnął dłonie, podciągając nogi, by nie potracił ich dach samochodu.

• • •

Prawie mu się udało. Czubki butów zahaczyły o górną krawędź pustej ramy po tylnej szybie. Poczul potężne szarpnięcie. Łupnęło w kostkach, kolanach, potem fala bólu przetoczyła się przez resztę ciała, ramiona, dłonie i palce. Które się rozluźniły. Odrobinę. Ale Reacher nie puścił szczebla. Napiął mięśnie. Patrzył, jak przesuwa się pod nim maska bmw. Wyprostował nogi, gotowy zeskoczyć na ziemię, wykonać obrót i oddać następny strzał. Tym razem przez przednią szybę. Prosto w przednią część kabiny. Tam, gdzie kierowca nie miał się gdzie schować.

Nagle usłyszał jakiś hałas. Nad sobą. Metalowy zgrzyt, jęk i szczęk. Coś huknęło. To był ostry, ogłuszający odgłos, jak wystrzał z pistoletu. Potem rozległ się drugi dźwięk. I trzeci. Dobiegały z góry schodów pożarowych. Coś się odrywało. Może pod wpływem ciężaru Reachera. Może pod wpływem jego ciężaru zwielokrotnionego przez szarpnięcie samochodu. A może dlatego, że zestaw szczebli i platform nie był tak zadbany, jak wyglądał z dołu. Być może kilka warstw błyszczącej farby maskowało wady konstrukcyjne. Ale bez względu na przyczynę, rozpórki łączące drabinę i podest z ramą na następnym poziomie nie wytrzymały obciążenia. Cały segment konstrukcji wibrował. Dygotał. Zaczął się odchylać od muru budynku. O dziesięć stopni. Piętnaście. Na chwilę się ustabilizował. Znieruchomiał przechylony w dół. Mocowania nie były przeznaczone do utrzymania konstrukcji pod takim kątem. Śruby zaczęły puszczać. Zatrzęsły się, zgrzytnęły i wyrwały gniazda z kruchej zaprawy między cegłami.

Reacher zobaczył, co się dzieje. Puścił szczebel i wylądował stopami na ziemi. Zrobił pół kroku. I wtedy spadła na niego skręcona masa żelaza.

7

Przez pierwsze piętnaście lat życia Jed Starmer niewiele uwagi poświęcał pojęciu prawa.

Zdawał sobie sprawę, że przepisy prawa istnieją. Rozumiał, że w jakiś sposób kształtują i regulują świat wokół niego, ale w niewidocznym, abstrakcyjnym sensie, jak siła grawitacji albo pola magnetyczne. Wiedział, że złamanie prawa grozi konsekwencjami. Grzywną. Karą. Szeregiem nieprzyjemnych rezultatów. Widział grupki ludzi w pomarańczowych kombinezonach, którym kazano zbierać śmieci przy autostradzie. Słuchał ostrzeżeń rodziców zastępczych o poprawczaku. I o więzieniu. I ostatecznie o piekle. Mimo to niewiele trafiało mu do serca. Wydawało mu się, że to nie ma związku z jego życiem. Nie zamierzał obrabować banku. Ani ukraść samochodu. Nawet nie tak często urywał się ze szkoły. Przejmował się innymi sprawami. Znacznie ważniejszymi, na przykład jak nie dać się wywalić z domu, żeby nie zamieszkać na ulicy. I jak uniknąć kuli albo ciosu nożem za każdym razem, gdy chciał się dokądś wybrać.

Perspektywa Jeda zupełnie zmieniła się w jego piętnaste urodziny. Czyli dwa tygodnie i dwa dni temu. Była niedziela, więc gdy rodzice zastępczy byli w kościele, wsiadł do autobusu i pojechał prawie dziesięć kilometrów w głąb południowego Los Angeles, gdzie zabroniono mu w ogóle zaglądać. Ostatnie dwieście metrów pokonał pieszo, idąc popękany chodnikiem, starając się nie okazywać strachu, ze wzrokiem wbitym w ziemię, by za wszelką cenę uniknąć kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. Dotarł do niskich wytartych kamiennych

schodków prowadzących do budynku, w którym mieszkała jego biologiczna matka. Wspiął się po nich i popchnął drzwi – zamek był zepsuty, jak za każdym razem, gdy zakradał się tu w ciągu ostatnich dwóch lat. Wszedł do holu i skręcił na schody. Dwa piętra. Potem korytarzem do końca. Wiedział, że nie ma sensu naciskać dzwonka, więc zapukał. Czekał. Miał nadzieję. Że matka będzie w środku. Że będzie trzeźwa. I że nawet jeśli nie będzie pamiętać, jaki jest dzień, przynajmniej przypomni sobie jego.

Okazało się, że matka pamięta. I dzień, i jego. Była najzupełniej przytomna. A nawet ubrana. Otworzyła drzwi z papierosem w dłoni i poprowadziła go przez błękitną mgiełkę do głównego pomieszczenia w mieszkaniu. Rolety były opuszczone. Wszędzie wały się rzeczy. Ubrania. Buty. Torebki. Książki. Czasopisma. Płyty CD. Listy. Rachunki. Wszystko w stertach bez ładu i składu, jakby ktoś bez większego przekonania zabrał się do porządkowania, choć kompletnie nie miał pojęcia, na czym to polega. Na moment przystanęła pośrodku bałaganu, westchnęła, po czym wskazała na kanapę. Jed przecisnął się obok niej i przycupnął na rogu. Matka usiadła naprzeciwko i rozgniotła papierosa w popielniczce stojącej na bocznym stoliku. Już pełnej niedopałków. Na dywan wysypywała się z niej kaskada popiołu. Matka znowu westchnęła i obróciła się twarzą do Jeda. Powiedziała, że spodziewała się jego odwiedzin. Oczywiście nie miała dla niego żadnego prezentu, ale cieszyła się, że przyszedł, bo chciała mu coś powiedzieć. Ściślej rzecz biorąc, dwie rzeczy.

Po pierwsze, że jest chora. Ma raka trzustki. W czwartym stadium. Jed nie bardzo znał się na biologii człowieka. Nie wiedział, co to jest trzustka. Nie był pewien, co oznacza liczba cztery. Z łez matki wyczytał jednak, że ta informacja jest zła. Oznaczała, że zostało jej niewiele życia. Prawdopodobnie parę miesięcy. Może tygodni. Na pewno nie więcej.

Drugą rzeczą, którą matka chciała mu przekazać, była prawda o jego ojcu. A przynajmniej sądziła, że to prawda.

• • •

Słyszając pierwszą wiadomość, Jed poczuł wyrzuty sumienia. To była niespodziewana reakcja. Z jego obserwacji wynikało, że gdy ludzie dowiadują się, że ich bliscy są umierający, zazwyczaj się tym martwią. Ale gdy prawda do niego dotarła, uświadomił sobie, że nie jest smutny. Ani niezdolny. Poczł ulgę. Wiedział, że nie powinien. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Człł się tak, jakby przez całe życie płynął pod prąd z uwiązany u pasa ciężarem. Ciężył mu niepokój. Ciągły strach, że do domu zapuka policja. Z wiadomością o matce. Że przedawkowała. Albo została zamordowana. Albo znaleziono jej gnijące zwłoki w jakimś obrzydliwym squacie. Że będzie musiał jechać z nimi i zidentyfikować ciało. Albo jeszcze gorzej, że matka pojawi się na progu. W nie wiadomo jakim stanie. Jego rodzice zastępczy potępiali ją. Ostro. Dawali mu to wyraźnie do zrozumienia. Przy każdej okazji. Nie miał najmniejszej ochoty ponosić odpowiedzialności za matkę tylko dlatego, że był jej synem. Teraz jednak mógł się przestać zamartwiać. Wiedział, jak skończy się jej historia. I kiedy. Niebawem sznur zostanie odcięty. Nareszcie Jed będzie mógł popłynąć swobodnie.

• • •

Druga rzecz, której się dowiedział, wywarła na niego inny wpływ. Słowa matki podziały jak światło, które rozjaśniło ukryty dotąd zakamarek jego przeszłości. Wydobyły z mroku punkty łączące jego życie z prawem. Pokazały związek, którego dotąd nie widział. Bardzo osobisty. Relację, która ukształtowała całe jego istnienie. Dzięki niej zobaczył wszystko z zupełnie nowego punktu widzenia. Poprzysiął sobie, że sam nigdy nie złamie prawa. I przerwie cykl. By historia już się nie powtórzyła.

Jed wytrwał w swoim postanowieniu dokładnie dwa tygodnie. Potem przeniósł je na zupełnie nowy poziom. Z powodu tego, co znalazł w sieci, gdy w tamtą

niedzielę rodzice zastępczy poszli na mszę. W oparciu o to, co w dniu jego urodzin matka opowiedziała mu o ojcu, zaczął poszukiwania od Google'a. Wyniki zaprowadziły go do pewnego artykułu w jednym z serwisów informacyjnych. Długiej, złożonej relacji ze zdarzeń, które toczyły się przez wiele lat. Jed uważnie przeczytał tekst. Zwracał uwagę na każdy szczegół. Na każdą sprzeczność. A gdy skończył, miał wrażenie, że w jego głowie rozbłysnął silny reflektor. Milion watów oślepiającego objawienia. W porównaniu z tym wersja matki wydawała się żałośnie blada. Jakby matka oświetlała najważniejsze detale świeczką. Albo robaczką świętojańską. W ogóle nie dotknęła sedna. Teraz zdał sobie sprawę nie tylko z potęgi prawa. Ujrzał też niebezpieczeństwo, jakie się z nim wiąże.

Nowa wiedza Jeda rzuciła światło nie tylko na jego przeszłość. Rozjaśniła mu też drogę, wskazując, co powinien zrobić. I dokąd pojechać. Na początek do miejsca znajdującego się daleko od jego domu zastępczego. Potem miał w ogóle opuścić Kalifornię.

Przez dwa dni układał plan. Gromadził informacje. Zbierał się na odwagę. Właśnie dlatego, gdy Reacher wszedł do bocznej uliczki w Gerrardsville w stanie Kolorado, Jed stał przed komodą w sypialni rodziców zastępczych. Górna szuflada była wysunięta. Sfatygowana i rozciągnięta bielizna matki zastępczej była odsunięta na bok. Odsłaniała plik banknotów dwudziestodolarowych. A Jed przeżywał rozterkę. Potrzebował tych pieniędzy. Bardzo. Ale nie chciał ich kraść. Za nic w świecie nie zamierzał łamać prawa. Dlatego próbował przekonać sam siebie, że jeśli je weźmie, nie będzie tego można uznać za kradzież. Nie, jeżeli te pieniądze już zostały skradzione, a uważał, że w pewnym sensie tak się stało. Rodzice zastępczy dostali je od władz – za jedzenie i dach nad głową, jego i trojga innych dzieci mieszkających z nim tutaj. Mimo to forsa wciąż tu leżała, niewydana, a oni nosili za małe ubrania i kładli się spać głodni.

Jed nie chciał popełnić przestępstwa. Z drugiej strony nie chciał też głodować. Ani pokonywać autostopem ponad połowy kraju. Bo bez względu na to, czego chciał, trzy rzeczy nie ulegały wątpliwości. Czekająca go długa droga. Miał na nią niewiele czasu. I za nic nie mógł się spóźnić.

8

Kiedy Reacher się ocknął, dzwoniło mu w uszach. W głowie pulsował przenikliwy ból. Ciężar metalu na klatce piersiowej utrudniał oddychanie. Dopiero po chwili zorientował się, co przygniata go do ziemi. Przez następne pięć minut pchał, dźwigał i szarpał, aż wreszcie udało mu się wyswobodzić z pułapki.

U wylotu zaułka zebrał się mały tłumek. Reacher rozpoznał niektóre osoby. To one gapiły się na autobus, który zmiążdżył Angelę St. Vrain. Widocznie tamta scena straciła na atrakcyjności. Ci ludzie wyszli z założenia, że incydent w zaułku okaże się ciekawszy. Ale najwyraźniej woleli się przyglądać, niż uczestniczyć. Dopiero gdy Reacher już prawie wydobył się spod sterty żelastwa, z gromady gapiów wysunęli się dwaj młodszy mężczyźni i próbowali wziąć go pod rękę.

Odepchnął ich od siebie.

– Nic ci nie jest, kolego? – spytał jeden z nich.

Nie odpowiedział.

– Bo zdawało się nam, że słyszeliśmy strzały. – Facet wzruszył ramionami. – Pewnie to był łomot metalu.

Czekając, aż tłum się rozejdzie, Reacher nabrał kilka haustów powietrza, a potem uważnie rozejrzał się po uliczce. Zobaczył ślady opon. Na murach w kilku miejscach pozostały resztki lakieru. W najbliższym pojemniku na śmieci było widać spore wgniecenie. Tu i ówdzie walały się odłamki szkła. Ale nie było broni. Ani człowieka w bluzie z kapturem. Ani samochodu. Nie było worka na śmieci. Ani torebki. I nie było koperty.

• • •

Gdy Reacher wrócił na główną ulicę, na miejscu zjawiły się już tłumnie służby ratownicze. Ruch we wszystkich kierunkach został zablokowany przez cztery pary radiowozów z migającymi kogutami na dachu. Przy boku autobusu, gdzie leżały zwłoki Angeli St. Vrain, rozstawiono namiot. Reacher pomyślał, że chodzi bardziej o to, by osłonić miejsce zdarzenia przed helikopterami telewizyjnymi i dziennikarzami uzbrojonymi w długie obiektywy niż przed warunkami atmosferycznymi. Nietrudno było odpowiedzieć na pytanie, co zabiło kobietę. Zupełnie inaczej przedstawiała się natomiast kwestia, kto to zrobił. I dlaczego.

Zobaczył czterech umundurowanych funkcjonariuszy wypytujących ostatnich maruderów z tłumu gapiów. Rozglądał się dalej, dopóki nie dostrzegł mężczyzny w garniturze, który wyłonił się zza autobusu. Miał nitrylowe rękawiczki, a w lewej dłoni trzymał niewielki czarny notes. Reacher pomyślał, że to sporo mówi o poziomie przestępczości w miasteczku, skoro wysyłają detektywa do zdarzenia, które w wielu miejscowościach zostałoby uznane za zwykły wypadek drogowy. Nie miał jednak powodów do narzekań. W ten sposób mógł zaoszczędzić trochę czasu, który musiałby poświęcić na znalezienie posterunku.

Ocenił, że detektyw z włosami ostrzyżonymi na języka jest tuż po trzydziestce. Miał jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu i było widać, że jest w dobrej formie. Jego spodnie z przodu i z tyłu miały kanty ostre jak brzytwy. Koszula była świeżo wyprasowana. Krawat starannie zawiązany. A buty wyglansowane na błysk.

Gdy gliniarz poczuł na sobie wzrok Reachera, podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Detektyw Harewood. Mogę w czymś pomóc?

Reacher opowiedział mu, co zobaczył na skrzyżowaniu i co potem wydarzyło się w zaułku. Mówił powoli, dzieląc informacje na łatwo przyswajalne porcje. Harewood zapisywał wszystko w notesie. Niczego nie opuścił. Nie skrócił. No i nie tracił czasu na zbyteczne pytania o jego adres zamieszkania czy zawód.

Kiedy skończyli formalności, Reacher wziął od detektywa wizytówkę i obiecał zadzwonić, gdyby przypomniał sobie jeszcze jakieś szczegóły. Po czym odszedł. Był pewien, że sprawa trafiła w dobre ręce. Wahał się, czy nie poszukać transportu i nie wyjechać z miasta, ale po chwili zrezygnował z tego pomysłu. Bolała go głowa. Ciało miał sztywne i obolałe. Uznał, że lepiej będzie porządnie się wyspać. I że to pomoże mu dojść do siebie. Chodziło o coś jeszcze. Faceci w bluzach z kapturem mogli wrócić. Oczywiście musieliby wymienić pojazd. I prawdopodobnie chcieliby przekazać komuś kopertę. Albo zabezpieczyć ją w jakimś miejscu. Chociaż pewnie niepokoił ich świadek, którego tu zostawili. Być może będą chcieli coś z tym zrobić.

Reacher oczywiście liczył, że spróbują.

• • •

Miasteczko nie było duże. Reacher przez całe popołudnie starał się być widoczny dla wszystkich. Krążył po ulicach, oglądał witryny sklepów, przechodził przez jezdnię i przesiadywał przed knajpkami, popijając kawę. Z początku był to przyjemny sposób zabijania czasu. W centrum miasteczka było mnóstwo deptaków, zieleni i miejsc do spacerowania. Na miejscową społeczność składali się studenci, świeżo upieczeni rodzice z wózkami oraz hipsterzy i młodzi przedstawiciele klasy średniej w przesadnie luzackich garniturach. Ale im dłużej Reacher wystawiał się na widok, tym głębszą czuł frustrację. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Jeśli był przynętą, to ryba najwyraźniej nie brała. Dał sobie spokój z wabieniem i ruszył za miasto, na południe, w stronę dwóch hoteli, które zapamiętał z poprzedniego dnia, gdy tu przyjechał.

• • •

Był w błędzie.

Zorientował się, zanim dotarł do następnego skrzyżowania. Ktoś go śledził. Miał go na oku. Reacher czuł to. Chłód promieniujący od podstawy karku w górę. Pierwotna reakcja. Mechanizm ostrzegawczy integralnie wtopiony w jego jaszczurczy mózg. Wyjątkowo czuły. Mógł na nim polegać. Nie powinien go ignorować.

Przystanął przed następnym sklepem. Sprzedawano tu wymyślne czekoladki w jaskrawych opakowaniach. Stał i przyglądał się witrynie. Nie patrzył na stare puszki słodczy i gigantyczne piramidy trufli. Patrzył na odbicie ulicy.

Minął go czarny pick-up z podwyższonym zawieszeniem i chromowanymi felgami. Na fotelu pasażera nie było nikogo. Kierowca nie zwracał na Reachera najmniejszej uwagi. Następny przejechał srebrny jeep z dwoma kajakami na dachu i bokiem opryskanym czerwonym błotem. Jego kierowca patrzył tylko na tył czarnego pick-upa. Potem pojawił się biały sedan. Toyota corolla.

Reacher poczuł lekkie drgnienie, jakby zobaczył coś znajomego. Nie był pewien, czy wcześniej widział właśnie ten samochód. Corolle to popularny model. Po chwili samochód podjechał bliżej. Chłód na karku stał się intensywniejszy. Reacher zobaczył młodego człowieka na miejscu pasażera. Dwadzieścia kilka lat. Muskularny. Krótko ostrzyżony. Niebieski T-shirt. Mógłby być klonem tego, który wepchnął Angelę St. Vrain pod autobus, tyle że na jego twarzy nie było ani jednego draśnięcia. I patrzył na Reachera. Co do tego nie było wątpliwości. Wpatrywał się w niego, gdy toyota mijała sklep, potem zerknął na telefon, a później obejrzał się przez ramię.

Reacher ruszył dalej. Corolla skręciła w prawo w najbliższą przecznicę. Reacher wyobraził sobie, że na następnym skrzyżowaniu wóz też skręca w prawo, a potem jeszcze raz. Oceenił, ile potrzebuje na to czasu. I przeszedł na drugą stronę ulicy. Dzięki temu miał pretekst, by spojrzeć w drugą stronę, nie zdradzając swoich podejrzeń. Toyota czekała na pierwszym skrzyżowaniu. Reacher nie zatrzymał się. Nie przyspieszył kroku. Nie zwalniał. Niczym nie zdradzał, że zauważył śledzący go samochód. Skręcił w najbliższy zaułek między budynkami. Podobny do

tamtego, w którym rozprawił się z facetem w bluzie z kapturem. Było pusto. I czysto. Pojemniki na śmieci stały w szeregu. Schody pożarowe wyglądały na solidne. Zauważył jednak jedną dużą różnicę. Przy ścianie po lewej stronie, gdzie u podstawy dachu brakowało fragmentu rynny, stało rusztowanie.

Corolla nie przejechała obok zaułka.

Reacher przycisnął się plecami do muru i przesunął do rogu uliczki. Zobaczył przód białego samochodu, który zatrzymał się na tyle daleko od wylotu zaułka, by nie rzucać się w oczy. Reacher ruszył wzdłuż muru w przeciwnym kierunku, w stronę rusztowania. Metalowe rury zmontowano za pomocą śrub i złączek. Konstrukcja była mocna jak skała. Nie sposób było wyjąć z niej żadnego elementu. W każdym razie nie szybko. I nie bez narzędzi. Sprawdził deski, które tworzyły dolny pomost. Środkowa była luźna. Podważył ją i wyjął. Wrócił z nią do wylotu zaułka. Corolla wciąż stała kawałek dalej. Liczył na to, że szukający go ludzie zaczną się niecierpliwić. I że znudzi im się czekanie, aż stąd wyjdzie, więc postanowią sprowokować go do działania. Wpadną do zaułka jak wcześniej tamten gość w bmw. A wtedy Reacher zrobi krok naprzód i przebije deską przednią szybę. Uderzy kierowcę w klatkę piersiową. Złamie mu żebra. A może trafi w głowę. I strąci mu ją z ramion. Wtedy będzie mógł spędzić trochę czasu sam na sam z facetem siedzącym na miejscu pasażera.

Corolla nie drgnęła.

Minęło dziesięć minut. Dwadzieścia. Pół godziny.

Nadal nie drgnęła.

Reacher był cierpliwym człowiekiem. Nikt nie potrafił czekać tak długo jak on. Nauczył się tej sztuki podczas służby w wojsku. A w późniejszych latach doprowadził ją do perfekcji. Ale był też realistą. Wiedział, że są rzeczy, które nigdy się nie wydarzą, wszystko jedno, jak długo się na nie czeka. Facet w corolli patrzył na ekran telefonu. Czyli miał zdjęcie albo przynajmniej rysopis. Musiał je dostać od tych, z którymi Reacher zetknął się wcześniej. Być może opowiedzieli w skrócie, co się stało. Albo spotkali się w czwórkę, żeby się naradzić. Ci dwaj

w toyocie być może widzieli skutki tego, co się stało, na własne oczy. I woleli zachować ostrożność. Byli na tyle rozsądni, żeby wstrzymać się z akcją, dopóki nie znajdą się w bezpieczniejszym miejscu.

Albo w miejscu, które uważali za bezpieczniejsze.

Reacher nie miał nic przeciwko temu. Był cierpliwy. Odniósł deskę z powrotem na rusztowanie i wsunął na miejsce. Potem wrócił na ulicę, z której wszedł w zaułek.

• • •

Jeden z dwóch hoteli na obrzeżach miasteczka wyglądał na całkiem nowy. Należał do sieci. W związku z tym zapewniał anonimowość, co zwykle odpowiadało Reacherowi. Drugi hotel znajdował się po przeciwnej stronie głównej ulicy. Musiał pochodzić z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Długi i niski budynek z płaskim dachem i z otynkowanymi ścianami pomalowanymi na różowo. Hotel oferował gościom dwanaście pokoi, a każdy miał na drzwiach numer w lustrzanej ramce w stylu art déco. Recepcja znajdowała się na końcu budynku, jeśli się szło od strony miasteczka. Z dachu wyrastał maszt z żółto-turkusowym neonem w kształcie ananasa w sukience. Owoc szczyrzył zęby w obłąkańczym uśmiechu. Reacherowi trudno było ocenić, czy wygląda przyjaźnie, czy demonicznie.

Postawił na Ananasa. Z doświadczenia wiedział, że niezależne małe hotele bardziej odpowiadają jego potrzebom. Zazwyczaj nie kręciły nosem na dokumenty, które straciły ważność, i nie nalegały na płatność kartą kredytową. Ruszył się zameldować, otoczony lustrami, neonami i wzorami art déco. Recepcja też była w tym stylu. Z kąta w głębi zaplecza wyłonił się mężczyzna. Chudy. Chorobliwie mizerny, z rzadkimi kępkami siwych włosów, które go postarzały. Nosił hawajską koszulę z papugami i palmami i turkusowe szorty wiszące na biodrach.

W zestawieniu z tymi jaskrawymi barwami jego blade nogi wydawały się niebieskie.

Chudzielec zaproponował pokój za sześćdziesiąt dolarów. Reacher odparł, że zapłaci osiemdziesiąt dolarów gotówką za pokój, w którym nie będzie miał nikogo za ścianą. Facet chętnie się zgodził. Schował do kieszeni nadprogramowe dwie dychy i wręczył Reacherowi klucz do pokoju, po czym podsunął mu książkę meldunkową z pozaginanymi rogami oraz długopis. Reacher wpisał imię i nazwisko, podpisał się, a potem przeszedł przez cały budynek i otworzył drzwi do pokoju. Stało w nim łóżko. Szafa. Krzesło. Była łazienka. Typowy standard motelowy. Ananasowe motywy nie sięgały do wnętrza budynku. Tu i ówdzie było widać brud, ale Reacherowi to nie przeszkadzało. Dziesięć minut później zgasił światło i położył się.

9

Najpierw bilet, pomyślał Jed Starmer, a potem coś do jedzenia.

Trudno było go uznać za wytrawnego podróżnika – dopiero drugi raz w życiu opuszczał hrabstwo Los Angeles, odkąd matka przywiozła go tu jako niemowlaka. Teraz wyjeżdżał na dobre i na razie nie sprawiało mu to przyjemności. Musiał się spakować, co oznaczało kłopot, bo nie miał walizki ani dużej torby. Nie chciał podkradać ich rodzicom zastępczym ani dzieciakom, z którymi mieszkał, a w jego dzielnicy nigdzie nie sprzedawano takich towarów. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka przychodziła mu do głowy. Otworzył swój plecak i wysypał do śmieci całą szkolną zawartość. Zastąpił ją ubraniami. Spakował tylko najpotrzebniejsze rzeczy wyjęte na chybił trafił z szafy, tylko tyle, ile się zmieściło. Z łazienki zabrał szczoteczkę do zębów, jakby po namyśle, i wcisnął ją do kieszeni. Ostatni raz się rozejrzał. Nie cierpiał tego domu, odkąd pierwszy raz przestąpił jego próg. Czuł się nieszczęśliwy przez niemal każdą chwilę, którą tu spędził. A teraz wydał mu się najmiłym miejscem na świecie.

Gdy wiedział, że już go więcej nie zobaczy.

Potem pojawił się problem z autobusem, do którego Jed musiał wsiąść. Autobus nie przyjechał o godzinie podanej w rozkładzie. Nie chodziło o brak czasu – Jed uwzględnił w swoim planie spory margines. Obawiał się natomiast, że zostanie przyłapany. Matka zastępcza we wtorki wracała z pracy wcześniej. Jechała do domu obok przystanku autobusowego, na którym Jed stał teraz sam. Widoczny

jak na dłoni. Nie mogłaby go nie zauważyć. A gdyby przydybała go tu z kieszeniami pełnymi jej pieniędzy, rozpętałoby się piekło.

Minęło dziesięć minut. Dwadzieścia. Nie było śladu żadnego środka transportu publicznego. Ani matki zastępczej. Upłynęło jeszcze pięć długich minut. Mogła się pojawić już lada chwila. Na pewno była niedaleko. Jed nie potrafił ustać w miejscu. Zaczął się rozglądać za kryjówką. Jakimkolwiek miejscem, w którym mógłby się schować, gdyby zobaczył, jak nadjeżdża. Wreszcie pojawił się posapujący autobus. Przyturlał się ulicą i ze zgrzytem zatrzymał się obok niego. Jed miał poważne zastrzeżenia co do jego stanu technicznego, nie mógł jednak czekać na następny, jeśli nie chciał sprowadzić na siebie nieszczęścia. No więc wsiadł, zapłacił za bilet, a potem szybko przeszedł na koniec i starał się nie zwracać na siebie uwagi przez całą długą, co chwilę przerywaną podróż na skrzyżowanie Siódmej i Decatur.

Wysiadł dokładnie naprzeciwko dworca Greyhounda. Cieszył się, że nie musiał jechać dalej tą dzielnicą. Nie podobała mu się jej atmosfera. Ani trochę. Tylko kilka ulic stąd był stary Skid Row. Jed słyszał o nim różne opowieści. Oglądał filmy. Po chodniku kręcili się jacyś kolesie. Kilkunastu. Byli chudzi. Połowa z nich paliła. Wszyscy mu się przyglądali. Jak szakale, pomyślał. Albo hieny. Patrzyli jak na zdobycz. Na parkingu przed dworcem zobaczył następną grupę. Wyglądali na trochę starszych. Ale równie nieprzyjaznych. Jed opuścił wzrok. Ominął szerokim łukiem obie grupy i kierując się znakami, ruszył do wejścia na dworzec.

• • •

Kiedy znalazł się w środku, wszystko zmieniło się na lepsze. Budynek dworca był przestronny i jasny. Ludzie stali w kolejce do kasy, inni siedzieli albo półożeli na rzędach niebieskich krzesełek z metalowej siatki i nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Jed okrążył halę, kierując się w stronę szeregu automatów biletowych. Ten, który wybrał, okazał się wolny. Na ekranie ktoś rozmazał jakąś oleistą substancję, mimo to Jedowi udało się przejść przez menu, wybrać miejsce

docelowe i klasę serwisową. Wziął dziesięć dwudziestodolarówek z pliku, który zabrał z domu zastępczego, i jedną po drugiej wprowadził je do szczeliny na gotówkę. Uzupełnił to czterema własnymi ćwierćdolarówkami. Wpadł w panikę, że maszyna się zawiesiła. Po chwili uspokoił się jednak, bo w okienku pojawił się bilet.

Jed nawet nie spojrzął na automaty z jedzeniem i od razu podszedł do bufetu. Przystudiował menu. Umierał z głodu. Chciałby zjeść wszystko. To miał być jego pierwszy posiłek jako samodzielnego obywatela, uważał więc, że zasługuje na to, by trochę zaszaleć. Były tu dania tego samego rodzaju co w McDonalddie, o ile dobrze pamiętał. Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz był w fast foodzie. Matce zastępczej nie podobało się, gdy jadł takie dania. A może nie lubiła za nie płacić. Nie był pewien. Tak czy owak, to nie miało znaczenia. Już nie musiał przejmować się jej upodobaniami. Musiał jednak myśleć o swoich zasobach gotówki.

Ostatecznie postanowił zabrać cały zapas z szuflady matki zastępczej. Doszedł do wniosku, że bez sensu byłoby tego nie zrobić. Albo miał prawo do tych pieniędzy, więc głupio byłoby zostawić ich część. Albo je kradł, a w tym wypadku tak czy inaczej wydawał na siebie wyrok. Po kupieniu biletu zostało mu trzysta dolarów. Z noclegiem na dziś nie będzie problemu. Na jutro też. Będzie spał w autobusie. Ale musiał znaleźć coś na noc w czwartek. Może pokój w hotelu czy pensjonacie. A to pewnie będzie drogie. Po drodze musiał też coś jeść i pić. A w piątek rano potrzebował środka lokomocji, by ruszyć dalej. Dość daleko. Nie był jeszcze pewien, jak będzie wyglądać następna część podróży. Miał nadzieję, że znajdzie kierowcę, który będzie jechał w tę samą stronę i zgodzi się go zabrać, jeśli dostanie za to pieniądze. Jeżeli nie, Jed będzie musiał wziąć taksówkę. W każdym przypadku musiał się liczyć z wydatkiem. Prawdopodobnie wysokim. Dlatego postanowił zachować rozsądek. Zamówił hamburgera z frytkami i butelkę wody na drogę. Zapłacił własnym banknotem dziesięciodolarowym. Bilet wsunął do jednej tylnej kieszeni. Resztę pieniędzy do drugiej. I czekał na zamówienie.

Pięć minut później skończył jeść. I przez następne dwadzieścia czytał informacje na paskach przesuwających się po dwóch ekranach zamontowanych na

ścianie. Obydwa były wyciszone, na pierwszym był włączony kanał informacyjny, na drugim – sportowy. Jeda nie interesowało ani jedno, ani drugie. Po prostu potrzebował czegoś do roboty, zanim do odjazdu autobusu zostanie pół godziny. Sądził, że trzydzieści minut powinno mu w zupełności wystarczyć, żeby się zorientować, do którego autobusu ma wsiąść, i zrobić to na tyle wcześnie, by znaleźć dobre miejsce. Kiedy nadszedł czas, wstawił tacę na stojak obok przepełnionego kosza na śmieci, po czym wszedł na chwilę do toalety. Po wyjściu zobaczył chłopaka, który stał pod ścianą i machał ręką. Jed go poznał. Chłopak stał za nim w kolejce do bufetu. Też jadł sam, parę stolików dalej. Jed już miał go minąć, uświadomił sobie jednak, że chłopak nie próbuje ściągnąć na siebie uwagi kogoś innego. Wyraźnie machał do niego.

Z początku Jed przypuszczał, że są mniej więcej w tym samym wieku, ale gdy chłopak podszedł bliżej, wyraźnie zobaczył, że jest starszy. Mógł mieć dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Był chudy i opalony, a gęsta blond czupryna wyglądała na sztywną od soli, jak u surferów.

– Ej, koleś? – Chłopak wyciągnął do niego rękę. Coś w niej trzymał. Bilet na autobus. – To twój. Upuściłeś.

To nie mogła być prawda. Jed bardzo starannie schował bilet. Na pewno. Poklepał się po kieszeni, by to potwierdzić. I serce w nim zamarło. Kieszeń była pusta. Bilet zniknął. Sprawdził z drugiej strony. Tam, gdzie schował forszę. Wszystkie pieniądze... były na miejscu. Bezpieczne. Nic się nie stało. Ale minęła chwila, zanim odzyskał oddech.

Blondyn zerknął na jego bilet.

– Trasa jeden cztery pięć cztery? Spoko. Ta sama co moja.

– Dzięki, że znalazłeś. – Jed wziął od niego bilet. Dłoń mu drżała. – Nie wierzę, że go zgubiłem.

– Nie ma sprawy. Nie takie rzeczy się zdarzają. Ty też jedziesz do Dallas?

Jed pokręcił głową.

– Mam tam przesiadkę.

– Jedziesz dalej?

Skinął głową.

– Do Jackson w Missisipi.

– Kawał drogi. Do rodziny?

– Nie mam żadnej rodziny.

– Naprawdę? Nikogo?

Jed pomyślał, że może odpowie zgodnie z prawdą. Nie chciał kłamać. Z drugiej strony nie chciał też wdawać się w szczegóły. Na pewno nie w rozmowie z nieznanym. Nie w tym momencie.

– Nikogo – odparł. – Jestem sam.

– Nie masz rodziców?

– Ojca nie poznałem. Matka... ma raka.

– Smutna sprawa, chłopie. Nie masz braci ani sióstr? Wujków ani cioć?

– Nie.

– No to kto na ciebie będzie czekał tam, dokąd jedziesz?

– Nikt. Czemu pytasz?

– Po prostu wydaje mi się, że trafił ci się w życiu ciężki los, skoro jesteś sam na świecie. Przykro mi.

Jed wzruszył ramionami.

– Można się przyzwyczaić.

– Wiesz co? Pojedźmy razem. Przynajmniej do Teksasu. Dotrzymamy sobie towarzystwa.

Znowu wzruszył ramionami.

– Okej. Jak chcesz.

– Pierwszy raz jedziesz greyhoundem?

Jed pokiwał głową.

Blondyn położył ręce na jego barkach, przyciągnął go do siebie i zniżył głos do szeptu.

– O coś cię spytam. To naprawdę ważne, więc lepiej posłuchaj. To twój bagaż? Tylko ten plecak? Masz tam coś cennego? Laptop? Tablet? Nintendo?

– Nie, nie mam nic takiego.

– To dobrze. Bardzo dobrze. Droga nie jest bezpieczna. W każdym razie nigdy nie spuszczaaj bagażu z oka. Nigdzie go nie zostawiaj. Nie pozwól kierowcy wstawić go do bagażnika. A kiedy śpisz, zawsze zakładaj sobie paski na rękę. Rozumiesz?

– Jasne.

– Dobrze. Muszę jeszcze skoczyć się odlać. Idź sam. Wyjdiesz tymi drzwiami, skręcisz w lewo. Potem do samego końca. Stanowisko szesnaste. Zajmij nam dwa miejsca. Najlepiej w połowie między przednimi a tylnymi kołami. Tam jest najwygodniej. Za chwilę przyjdę.

• • •

Jed odnalazł autobus, wsiadł, pokazał kierowcy bilet i ruszył środkowym przejściem. Ponad połowa miejsc była już zajęta. Wszyscy pasażerowie byli od niego starsi. Niektórzy o trzy, cztery lata. Inni o sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt. Część z nich podróżowała samotnie. Część w parach. Inni w grupach. Sporo osób miało na głowach słuchawki. Niektórzy wzięli ze sobą poduszki. Inni siedzieli owinięci kocami. Większość miało się czym zająć podczas podróży: książką, telefonem, komputerem. Jed nagle poczuł się kompletnie nieprzygotowany. Miał ochotę zrobić w tył zwrot. Wskoczyć z autobusu. Wrócić biegiem do domu zastępczego. I udawać, że nigdy w życiu nie próbował wyjeżdżać. Zapomnieć o wszystkim, co powiedziała mu biologiczna matka. Siłą woli zmusił się jednak do zajęcia jednego z dwóch pierwszych wolnych miejsc. Przesunął się do okna. Plecak położył na kolanach, przytulił do piersi i skupił uwagę na miarowym pomruku silnika. Szumie wentylacji. Gwarze rozmów toczących się wokół niego. Zapachu środka dezynfekującego i czyjś jedzenia. Powtarzał sobie, że wszystko będzie

dobrze. Jeżeli tylko zdoła wziąć się w garść, zanim pojawi się ten blondyn. Nie chciałby się jeszcze bardziej wstydzić.

Dwie minuty przed odjazdem drzwi z przodu zamknęły się z sykiem. Jed zaczął się podnosić z miejsca. Już miał krzyknąć do kierowcy, że brakuje jednego pasażera. Że powinni poczekać. Ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Przestał się ruszać. Zagłębił się w siedzeniu. I położył plecak na pustym miejscu obok siebie. Do Dallas miał ponad trzydzieści sześć godzin drogi. Nie znał nawet imienia blondyna. To nie był towarzysz na całe życie. Jed cieszył się, że odzyskał bilet. Ale nie miał ochoty przez półtora dnia wysłuchiwać nudnych pytań, opinii i kretyńskich rad, zanim przesiądzie się do następnego autobusu. Dobrze było mu samemu.

W każdym razie na pewno do dziesiątej rano w piątek.

Czy potem nadal będzie sam, to była już całkiem inna kwestia.

10

Mechanizm zamka szczęknął i zachrobotał. Drzwi pokoju Reachera nagle się otworzyły. Na jaskrawą wykładzinę padł klin światła. Do pokoju wśliznęli się dwaj faceci. Obaj mieli około dwudziestu pięciu lat. Obaj mieli broń. Jeden przymknął drzwi, ostrożnie stykając je z futryną. Przez chwilę stali w bezruchu. Po czym ruszyli w stronę łóżka, które było na wpół widoczne. Przez cienkie zasłony do wnętrza sączyło się mdłe światło. Ale sylwetka pod kołdrą była wysoka. I szeroka. Wyglądała tak, jak się spodziewali.

Mężczyźni rozdzielili się i podeszli do materaca z dwóch stron. Przesunęli się aż do wezgłowia. Chociaż noc była ciepła, kołdra przykrywała całą postać, sięgała poduszki. Ten stojący bliżej okna wzruszył ramionami, po czym trącił lufą pistoletu wybrzuszenie, które, jak sądził, było ramieniem Reachera.

Nie doczekał się reakcji.

Trącił jeszcze raz. Mocniej.

– Hej – powiedział. – Pobudka.

Zapaliła się górna lampa. Intruzi obrócili się na pięcie. Przy drzwiach zobaczyli Reachera. Otworzył i wyszedł z pokoju. Rzucił się w bok i przywarł plecami do zewnętrznej ściany.

Mężczyźni wybiegli za nim. Gdy stopa pierwszego wysunęła się za próg pokoju, Reacher uderzył go w twarz przedramieniem. Głowa faceta, z rozbitym nosem, odskoczyła do tyłu. Zachwiał się, wpadł tyłem do środka, zderzył się

plecami z kumplem i przewrócił go na podłogę. Reacher zgarnął upuszczoną broń i wszedł do pokoju.

Ten ze złamanym nosem się nie ruszył. Drugi obrócił się na bok i po omacku szukał pistoletu, który wypuścił z ręki w momencie upadku. Reacher przydepnął mu dłoń. Facet wrzasnął i zwinął się w kłębek. Reacher chwycił za ramię tego ze złamanym nosem, wciągnął go w głąb pokoju i zamknął drzwi.

Ktoś załomotał w ścianę obok.

– Ej tam, w dwunastce! – rozległ się męski głos. – Ciszej!

Reacher zaczekał, aż ten skulony w kłębek się uspokoi, po czym rozkazał:

– Wstań. Usiądź na krześle, jeśli chcesz. Możemy to załatwić kulturalnie.

Młody człowiek pospiesznie odpełzł na tyłku i piętach, pomagając sobie sprawną ręką, i oparł się plecami o ścianę.

– Dzisiaj spotkałem dwóch twoich kumpli – powiedział Reacher. – Tu, w miasteczku. W zaułku między budynkami. Gdzie oni teraz są?

Facet nie odpowiedział.

– Czemu jeden z nich zabił rano kobietę? – spytał Reacher. – Dlaczego wepchnął ją pod autobus?

Tamten nadal milczał.

Reacher podszedł i nadepnął mu na drugą dłoń. Facet znowu wrzasnął, tym razem głośniej, i przeturlał się na drugi bok.

Znowu rozległo się walenie w ścianę.

– Dwunastka! – ryknął mężczyzna. – Cisza! Ostatnie ostrzeżenie.

Reacher zaczekał, aż młody człowiek przestanie się zwijać z bólu, i spytał:

– Dla kogo pracujecie?

Tamten pokręcił głową.

Reacher nadepnął mu na prawe kolano. Facet wydał przeciągły i przeraźliwy wrzask.

– Mogę tak całą noc – uprzedził Reacher. – Ty też? Gdzie są ci dwaj?

– Wyjechali z miasta.

- Dokąd jadą?
- Do domu. Do Winson w Missisipi.
- A dlaczego wy zostaliście?
- Kazali nam cię znaleźć.
- Po co?
- Żebyśmy sprawdzili, ile wiesz.
- O czym?

Światło sączące się przez zasłony zmieniło się z ciemnoszarego w pulsujące czerwone i niebieskie. Reacher wyjrzał przez okno. Na parkingu pojawiły się dwa radiowozy. Jeden przed jego pokojem. Drugi na przeciwległym końcu budynku. Jeden z policjantów już wysiadł i szedł w stronę recepcji. Żeby sprawdzić numery pokoi i rozlokowanie gości. I wziąć klucz uniwersalny. To nie mogło potrwać długo. Reacher ocenił, że w najlepszym razie ma sześćdziesiąt sekund. Postawił faceta ze złamanym nosem na nogi i odwrócił plecami do drzwi. Uderzył go pięścią w głowę z boku, znowu zwalając go na podłogę. Chwycił jego kumpla. Odciągnął go od ściany i rąbnął tyłem głowy faceta o podłogę. Uszczypnął go w ucho, by sprawdzić, czy jest nieprzytomny. Potem zawlókł go do tego ze złamanym nosem i położył tak, że niemal stykali się stopami. Przypominali wskazówki zegara, który pokazywał prawie trzecią. Reacher wytarł odciski palców z pistoletu i rzucił go na podłogę. Wszedł do łazienki, otworzył okno i wyskoczył na zewnątrz.

Teren na tyłach hotelu nie wyglądał zbyt obiecująco. Niewielki basen, przy którym stało parę białych plastikowych leżaków, był otoczony drewnianym ogrodzeniem. Wysokości ponad dwóch metrów. Wiekowym. Wykluczone, żeby wytrzymało ciężar Reachera. Jedyna droga ucieczki prowadziła przez recepcję, ale lada chwila miało stamtąd nadejść dwóch gliniarzy. Dwaj od frontu. Dwaj od tyłu. Tak nakazywałaby logika. Był w pułapce. I nie miał się gdzie ukryć. W każdym razie nie na dole.

Wrócił do okna łazienki i postawił jedną stopę na parapecie. Odepchnął się w górę i chwycił krawędzi dachu. Podciągnął się na rękach. Gdy znalazł się na

górze, przetoczył się na środek dachu. I leżał tam w zupełnym bezruchu. Usłyszał kroki po obu stronach budynku. Dobiegały z bliska. Te od frontu ucichły. Ktoś załomotał do drzwi.

– Policja Gerrardsville. Otwierać!

Funkcjonariusze z tyłu chodzili między meblami nad basenem. Jeden wziął leżak i postawił przy ogrodzeniu. Wspiął się na niego, wyrzał i omiół światłem latarki przestrzeń po drugiej stronie płotu. Po czym zeskoczył i zawołał:

– Czysto!

Reacher usłyszał chrobot zamka, a po nim głuchy łomot, gdy drzwi jego pokoju uderzyły podeszwę jednego z mężczyzn. Na moment zapadła cisza, drzwi się zamknęły, a potem usłyszał głos policjanta z okna w łazience. Gliniarz chyba mówił przez radio.

– Mamy podejrzanych, dwaj mężczyźni. Nie reagują. Na miejscu zabezpieczone dwie sztuki broni.

– Wygląda na to, że się o coś poprzytkali – powiedział drugi policjant. – I to dość ostro. Nie mają dokumentów. Nie czuć od nich alkoholu. Lepiej szybko przyślijcie karetkę.

– Na noc można ich zatrzymać w szpitalu – odezwał się znowu ten pierwszy, cichym głosem. – Detektyw, jeżeli będzie chciał, może ich przesłuchać rano. Na wszelki wypadek zaplombujemy pokój w hotelu.

• • •

Reacher leżał na dachu i widział, jak przyjechała karetka. Dwaj ratownicy wywieźli obu rannych na noszach na kółkach, załadowali do wozu i odjechali. Policjanci wynieśli się parę minut później. Reacher został na górze jeszcze przez godzinę, dopóki nie był absolutnie pewien, że żaden gliniarz nie czai się w hotelu i nie węszą tu żadni wścibscy goście. Dopiero wtedy zszedł i ruszył do recepcji.

W drzwiach minął się z dwojgiem ludzi. Młodych. Zarumienionych. Szczęśliwych. I zachowujących się trochę konspiracyjnie.

Za ladą urzędował ten sam mężczyzna, w tym samym idiotycznym stroju, nadal wyglądający na chorowitego i niedożywionego.

– Nic się panu nie stało? – spytał, gdy tylko zobaczył Reachera.

– Wszystko w porządku. Czemu pan pyta?

– Gliniarze już pana puścili?

– W ogóle mnie nie zatrzymali. Wyszedłem się przejść. Właśnie wróciłem i zobaczyłem, że drzwi mojego pokoju są zaklejone taśmą policyjną. O co chodzi?

– To nie była moja wina. Przyszło dwóch facetów. Zmusili mnie, żeby im dać klucz uniwersalny.

– I potem zadzwonił pan pod dziewięćset jedenaście?

– Chyba zadzwonił ten gość spod jedenastki. To straszny dupek.

– Mówiłem, że nie chcę żadnych sąsiadów.

Recepcjonista wyjął z kieszeni dwudziestodolarowy banknot i podał Reacherowi.

– Zawsze tu przyjeżdża. Z dziewczyną. Ona też jest wredna. To ich ulubiony pokój. Nalegali. Przepraszam.

Reacher oddał mu banknot.

– Poproszę o inny pokój. Bez sąsiadów. I tym razem bez żadnych wymówek.

11

Znajdź sobie zajęcie, które kochasz, a nie przepracujesz w życiu ani jednego dnia.

Taką radę Lev Emerson usłyszał wiele lat temu od ojca, gdy chodził jeszcze do szkoły średniej. Nie był to szczególnie oryginalny pomysł. Ani wynik nowego, odkrywczego podejścia. Mimo to była to rozsądna rada. Stary pan Emerson sam się do niej stosował. Umarł szczęśliwy w wieku siedemdziesięciu czterech lat przy swoim warsztacie w niewielkim zakładzie na Brooklynie, gdzie przez całe życie wyrabiał damskie kapelusze. Lev Emerson poszedł za tą radą. Z równym entuzjazmem. Chociaż zaprowadziła go na drogę, której jego ojciec nigdy by nie przewidział.

Na pozór Lev Emerson posiadał i prowadził firmę zajmującą się ochroną przeciwpożarową, z siedzibą w dwóch nijakich magazynach w południowej części Chicago. To był legalny biznes. Firma miała aktualne zezwolenia wydane przez stan Illinois. Statut spółki. Akcjonariuszy. Zarząd. Pracowników. Kontrakty z wieloma dostawcami towarów znanych marek. Miała rzeszę klientów, w większości zadowolonych z jej usług. Płaciła podatki. Sponsorowała miejscową juniorską drużynę softballu. I stanowiła przykrywkę dla nabywania innych materiałów, które Emerson musiał sprowadzać z innych źródeł.

Większa część księgowanych dochodów pochodziła ze sprzedaży instalacji tryskaczowych oraz systemów alarmowych. Na terenie metropolii Chicago nie brakowało budynków mieszkalnych, podobnie jak biurowców i obiektów

przemysłowych. Stale wyrastały nowe. Stare ciągle remontowano. Dla firmy takiej jak ta Emersona oznaczało to obfite żniwo. Zyski zwiększały się również przez to, że bardzo często zmieniały się przepisy związane z ochroną przeciwpożarową. Rozwiązania zgodne z przepisami rok później wyrzucano do kosza jako niebezpieczne. Po dwóch latach sytuacja się powtarzała. Załatwiano niejawne interesy. Jak zwykle w Chicago. Niektórzy nabijali sobie kieszenie. Firmy dostawały zlecenia. Mnóstwo zleceń. Między innymi spółka Emersona. Klienci korporacyjni byli dla niej żyłą złota. Co wcale nie oznaczało, że odwracała się plecami do drobniejszych. Emerson upierał się, by mieć w ofercie całą gamę usług dla właścicieli nieruchomości, którym zależało na bezpieczeństwie. Dzięki temu poszerzał bazę klientów, co było dobre z komercyjnego punktu widzenia. A bezustanny ruch furgonetek i pick-upów przewijających się przez parking tylko potęgował wrażenie banalnej codzienności. Co było dobre z pewnego powodu.

Choć nad wejściem do budynku widniało nazwisko Emersona, nie miał on nic wspólnego z banalną, normalną stroną działalności firmy. Do tego wynajmował ludzi, którzy znali się na rzeczy. I można im było zaufać, że nie będą podbierać z kasy. To im zostawiał kwestie fachowe. Między innymi dlatego, że z natury umiał delegować zadania. A także dlatego, że nie interesowały go tryskacze, alarmy ani żadne inne środki, które zapobiegały pożarom. Przede wszystkim dlatego, że czas zajmowały mu inne sprawy. Równolegle prowadził drugą działalność.

Zajęcie, które kochał.

• • •

Zadania, które Emerson wykonywał osobiście, można było podzielić na dwie kategorie. Pierwsza obejmowała zdarzenia, które wyglądały na wypadki. Druga te, które tak nie wyglądały. Właśnie kończył zadanie, którego nikt nie będzie mógł uznać za wypadek. Na bank. Coś pięknego! Nie będzie cienia wątpliwości, że to celowe działanie. Nie uda się powiązać z nim Emersona. Ani jego klienta.

Przesłanie będzie jednoznaczne. Piętno jego autora czytelne i rozpoznawalne. Gdyby odbiorca okazał się za mało rozgarnięty, wiadomość można było powtórzyć, a wówczas związek byłby jasny.

W stwierdzeniu, że Emerson nadal aktywnie kończy zadanie, byłoby sporo przesady. Praca w zasadzie została wykonana. Nie musiał już robić nic więcej. Nawet nie mógł. Jego obecność w żaden sposób nie wpłynęłaby na wynik. Mógłby być teraz setki kilometrów stąd i niczego by to nie zmieniło. Cztery jego ludzie już wyjechali. Wrócili do bazy dwoma nieoznakowanymi białymi furgonetkami, by wyczyścić sprzęt i zaopatrzyć się przed następnym projektem. Mógł z nimi pojechać. Tak podpowiadałby rozsądek. Ale został. Chciał popatrzeć. Musiał patrzeć.

Chrzanić rozsądek.

Zajęcie, które kochał.

• • •

Emerson był na moście Talmadge Memorial w Georgii, ponad pięćdziesiąt metrów nad powierzchnią rzeki Savannah, w połowie drogi między stałym lądem a wyspą Hutchinson. Paskiem lądu rozcinającym drogę wodną, która oddzielała Georgię od Karoliny Południowej. Nie jechał, ale stał. Oparty przedramionami o brzeg betonowej bariery po stronie pasa prowadzącego na zachód. Obok stał Graeber, jego prawa ręka. Też oparty o mur. W takiej samej pozycji, chociaż był trochę niższy. Trochę młodszy. Z trochę mniejszą obsesją.

Pieszycy nie zachęcano do korzystania z mostu. Nie było na nim chodnika. Ani pasa dla rowerów. Ale w fazie projektowania architekci obawiali się skutków sytuacji, w których samochody psułyby się albo zderzały ze sobą. Miasto nie mogło sobie pozwolić, by główna arteria została zablokowana. Nawet na krótko. W żadnym kierunku. Dlatego na moście wzdłuż jezdni ciągnęły się szerokie pobocza. Po obu stronach. Ich rozmiar był podyktowany koniecznością utrzymania

płynności ruchu w razie wypadku. Niechcący stworzono miejsce dla osób, które miały ochotę tędy spacerować, biegać lub jeździć innymi pojazdami niż silnikowe. Traf chciał, że było to doskonałe miejsce dla dwóch przybyszy spoza miasta, by podziwiać z niego wieczorny widok.

Gdyby Emerson był zwykłym turystą, spojrzalby w przeciwną stronę. Za siebie. W kierunku starego miasta. Na otoczone zielenią place, brukowane ulice, malownicze wiktoriańskie domy i kopuły budynków administracji miejskiej. Kawał historii skąpany w złotym blasku i odbity w pomarszczonej ciemnej tafli Savannah. Ale Emersona nie interesowały atrakcje turystyczne. Nie obchodziły go kolonialne korzenie miasta ani jego układ wiernie odzwierciedlający oryginalny zamysł założyciela. Skupiał wzrok na części przemysłowej. Na terenie portu, który rozciągał się naprzeciw niego. Na chaosie zbiorników gazowych, terminali kontenerowych i składów rozrzuconych na zachodnim brzegu rzeki. Patrzył w szczególności na jeden budynek. Na duży magazyn. O białych metalowych ścianach, z białym metalowym dachem.

Emerson wiedział, że oprócz skromnego biura, na które wykrojono miejsce w rogu, w budynku nie ma wewnętrznych ścian. Wiedział, że większość kubatury zajmują zaplombowane drewniane skrzynki. Poinformowano go, że są w nich lalki dla dzieci importowane z Chin bez odpowiednich dokumentów. W informację o papierach wierzył. Uważał jednak, że ostatnią rzeczą, jaką znalazłby w tych skrzynkach, były lalki. Ani z Chin, ani skądkolwiek. Ale w ogóle go to nie obchodziło. Dostał dokładną analizę chemiczną składników rzekomych lalek i jedną pełną skrzynkę do sprawdzenia jako próbkę, taką samą jak te w magazynie. Sprawdził. Dokładnie. Choć nie zaglądał do środka. Nie lubił niepotrzebnie podejmować ryzyka. O pewnych rzeczach bezpieczniej jest nie wiedzieć.

Jego znajomość budynku i tego, co się w nim znajdowało, nie była wyłącznie teoretyczna. Poprzednie dwa dni poświęcił na uważną obserwację. Po pierwsze po to, by ocenić zabezpieczenia obiektu. Po drugie, by upewnić się, że zgodnie z informacją w budynku nikt nie przebywa. Pierwszy punkt miał znaczenie praktyczne. Drugi biznesowe. Gdyby liczba osób wzrosła, to samo stałoby się

z ceną. Taka była podstawowa zasada. Emerson nie zajmował się tym dla pieniędzy, ale był najlepszy i należało dać temu wyraz. Tak wypadło. Poza tym miał żonę. I syna. Chłopak skończył już dwadzieścia lat, ale wciąż był ciężarem. Pod względem finansowym. Emerson musiał pokrywać wszelkie koszty. Samochodów. Jedzenia. Ubrań. Rachunków za usługi medyczne. Tylko w zeszłym roku uzbierało się tego ponad ćwierć miliona dolarów. Niebawem trzeba będzie zapłacić za college. Jeżeli chłopak zdoła się pozbiierać. Lev Emerson wiedział, że za życie się płaci.

Po czterdziestu ośmiu godzinach doszedł do wniosku, że nie ma powodu przerywać zadania ani nie trzeba żądać większej zapłaty, więc rano, jeszcze przed wschodem słońca, rozpoczął się etap realizacji. Najpierw zablokowano systemy alarmowe. Przeciwwłamaniowe oraz czujniki dymu i temperatury. Odłączono instalację tryskaczową. Wprowadzono sprzęt. Oraz chemikalia, opracowane specjalnie do tego zadania, transportowane bezpiecznie w odpowiednich pojemnikach. Rozwinięto kable. Zainstalowano mechanizmy sterowania. Dokonano pomiarów. Przeprowadzono obliczenia. Wzięto poprawkę na przepływ powietrza i przyrost ciepła. W wybranych miejscach w ścianach i dachu wycięto otwory. Przesławiono skrzynki, by zoptymalizować cyrkulację. Powtórzono obliczenia. Zostały sprawdzone raz, potem jeszcze raz. Wprowadzono kolejne poprawki. I wreszcie, gdy Emerson był zadowolony, ewakuowano obiekt. Jego dzieło zostało przygotowane, uzbrojone i aktywowane. Drzwi zamknięto po raz ostatni. Furgony odjechały. Emerson i Graeber przegryźli coś i szykowali się na spektakl.

Zajęcie, które kochał.

• • •

Graeber trącił go w ramię. Pojawiła się pierwsza wstążeczka dymu. Wychynęła niepewnie przez jedno z nowych nacięć w dachu magazynu. Jeszcze wątła. Błada.

Delikatna. Nieśmiała zapowiedź tego, co nadchodziło. Obietnica. Emersona przeszył dreszcz. Czuł się jak meloman, który słyszy pierwsze ciche dźwięki ukochanej symfonii. To wyczekiwanie było cudowne. Nie do wytrzymania. Smuga dymu zgęstniała. Pociemniała. Skręciła się, zwinęła, zatańczyła. Wspinała się coraz szybciej, szerzej i...

Zadzwonił telefon Emersona. Taka możliwość powinna być w ogóle wykluczona. Wyszarpnął go z kieszeni i rzucił wściekłym okiem na ekran. Dom, przeczytał. Czyli żona. Która wiedziała, że nie powinna dzwonić. Jak zwykle przedstawił jej harmonogram prac. Jasno wytłumaczył. I wiedziała, że nie wolno mu przeszkadzać podczas finału zadania. Dlatego wcisnął przycisk odrzucający połączenie. Wepchnął telefon z powrotem do kieszeni. Znowu odwrócił się w stronę magazynu, z którego dym buchał już pięcioma kominami. Emerson próbował opanować oddech. I czekał na ogień.

Pół minuty później zabrzączał telefon jego towarzysza. Graeber zerknął na ekran, po czym cofnął się i odebrał. Rozmawiał przez ponad pięć minut. Kiedy stanął u boku Emersona, był blady. Drżały mu ręce. Ale Emerson tego nie zauważył. Stał zapatrzony w szalejący pożar. Magazyn nie miał już dachu. Ściany odkształciły się pod wpływem temperatury. Płomienie wiły się, huczały, chłostały niebo. W ciemnej pustce kłębiły się teraz żywe, intensywne i jaskrawe barwy. Nadjeżdżały wozy strażackie. Pędził cały konwój. Co najmniej sześć samochodów. Z włączonymi światłami i syrenami. Emerson się uśmiechnął. Niepotrzebnie opuszczały remizę. Były bezużyteczne. Bezsilne. Prędzej zgasiłyby słońce, niż powstrzymały owoce jego ciężkiej pracy. W każdym razie nie w ciągu kilku najbliższych godzin.

Graeber uniósł rękę. Wyprostował ją powoli, jakby odsuwał ciężki niewidzialny przedmiot. Dotknął ramienia Emersona. Chwycił go za rękaw i ostrożnie pociągnął.

Emerson nie zwracał na niego uwagi.

Graeber szarpnął jeszcze raz, mocniej.

– Szefie. Musi pan zadzwonić do domu.

- Później – rzucił Emerson, nie odwracając głowy.
- Nie – odparł Graeber. – Teraz. Przykro mi. Niech mi pan wierzy. To nie może poczekać.
- Co nie może poczekać?
- Chodzi o Kyle'a. Pańskiego syna.
- Co znowu zrobił?
- Szefie, bardzo mi przykro. Kyle nie żyje. Umarł godzinę temu.

Pobrano z exsites.pl

12

Autobus Greyhounnda rozbrzmiewał masą dźwięków.

Masywne opony dudniły po asfalcie, z łomotem pokonywały każdą szczelinę i wybój. Wentylacja szemrała i wzdychała. Mieszały się ze sobą różne basowe rytmy dobiegające ze słuchawek kilkorga pasażerów. Część młodszych śmiała się głośno z tego, co oglądali na ekranach tabletów i telefonów. Starsi rozmawiali. Jakaś para się kłóciła. Paru pochrapywało, pojękiwało i pochrząkiwało. W normalnych okolicznościach ten niecodzienny gwar nie pozwalałby Jedowi Starmerowi zasnąć. W nocy lubił ciszę, którą zakłócały tylko dalekie syreny i uliczny szum sączący się przez okno jego pokoju. Ale szaleństwo kilku ostatnich dni dało mu się we znaki. Nagły spokój połączył siły z ciemnością i delikatnym kołysaniem, wciągając go w otchłań snu. Spał tak głęboko, że potrzebował kilku minut, by oprzytomnieć, gdy kierowca włączył ostre wewnętrzne światła. Autobus akurat stał, obok identycznego pojazdu, a reszta pasażerów wstawiała z miejsc, przeciągała się, grzebała w bagażach albo spacerowała tam i z powrotem w przejściu między fotelami.

Krótko po odjeździe autobusu z poprzedniego postoju w Blythe w Kalifornii Jed położył sobie plecak na kolanach. Pochylał się nad nim, opierając głowę na górnej klapie i tuląc go do siebie jak gigantycznego pluszowego misia. Wyprostował się i odłożył plecak na siedzenie obok, żeby nie wyglądać jak smarkacz. Wyjrzał przez okno. Z boku widocznego w oddali budynku dworca zobaczył tablicę. Widniały na niej sylwetki gór i rysunkowe kaktusy oraz napis

Witajcie w Phoenix w Arizonie po angielsku i hiszpańsku. Spojrzał na zegarek. Dziesięć po drugiej. Niedawno zaczęła się środa. Co oznaczało, że byli dziesięć minut przed planowanym przyjazdem. Postój miał trwać półtorej godziny. Zgodnie z rozkładem była to jedyna dłuższa przerwa przed El Paso w Teksasie, dokąd mieli dotrzeć przed południem. Jed wahał się, czy nie wysiąść na chwilę z autobusu. Znaleźć coś do jedzenia. Rozprostować nogi. Zrezygnował jednak z tego pomysłu. Zostało mu tylko trzysta dolarów. A w perspektywie miał duże wydatki. Czuł się wycieńczony. Wątpił, czy zdołałby się zwlec z siedzenia. Dlatego został na miejscu. Odchylił się na oparcie. Zamknął oczy. I starał się już nie przytulać do plecaka.

Nie chciał wyglądać jak dzieciak.

• • •

Matka zastępcza Jeda w Los Angeles nie spała.

Położyła się o tej porze co zwykle, ale była zbyt wściekła, by myśleć o odpoczynku. Zbyt wściekła i zajęta nasłuchiwaniami ukradkowych kroków Jeda. Przypuszczała, że chłopak szlaja się gdzieś z kumplami. Albo co gorsza z jakąś dziewczyną. Pewnie pomyślał, że zlekceważy wyznaczoną godzinę powrotu do domu, zrobi coś Bóg wie jak niemoralnego i nikt tego nie zauważy. Że w środku nocy chyłkiem wejdzie do domu, zachowując się jak gdyby nigdy nic.

Ale się mylił.

Zamierzała mu udowodnić, jak bardzo.

Długie godziny leżała bez ruchu i układała w głowie treść kazania, które chciała mu palnąć. Ćwiczyła je w myślach. Udzielała przestroóg. Wyliczała kary. Kiedy rano odezwał się budzik, była wyczerpana myśleniem. Upływ czasu i zmęczenie sprawiły, że jej złość ustępowała miejsca obawie. Jed ciągle nie wracał. Spędzanie nocy poza domem nie było w jego stylu. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do miejscowych szpitali. Może na policję. Obawa przerodziła się

w autentyczny strach. Poszła się ubrać i zobaczyła, że zniknął jej zapas gotówki na czarną godzinę. Ale plik dwudziestodolarowych banknotów tak po prostu nie znika. Ktoś musiał go zabrać. Sprawdziła szafę Jeda. Nie było części jego ubrań. Rzeczy zostały wybrane według dziwnego klucza; gdyby ona jechała na wycieczkę, wzięłaby coś innego, ale w szafie na pewno były puste miejsca. Resztki wątpliwości rozwiały się, gdy zajrzała do łazienki i zobaczyła, że nie ma jego szczoteczki do zębów.

Chłopak uciekł z jej pieniędzmi. Innego wytłumaczenia nie było. Niewdzięczny gówniarz i złodziej.

Matka zastępcza Jeda przestała przygotowywać się do wyjścia do pracy. Poszła po telefon. Zadzwoiła do szefa. Poinformowała go, że bardzo źle się czuje i dzisiaj nie może przyjść. Potem zadzwoniła pod 911 i odbyła rozmowę zupełnie innego rodzaju.

Jedowi bardzo zależało na tym, żeby nie złamać prawa. Żeby nie szukała go policja. Nie przyszło mu do głowy, że mogły być inne powody, by stał się obiektem zainteresowania organów ścigania. Za bardzo skupił się na dążeniu do swojego nowego celu. Na rozpoczęciu nowego życia.

• • •

Lev Emerson też nie spał tej nocy.

Spędził czternaście godzin w samochodzie z Graeberem. Pędzili z Georgii na północ przez Tennessee, Kentucky i Indianę, a potem przez róg Illinois, dopóki nie dotarli do peryferii Chicago. Prowadzili na zmianę, co sprzyjało bezpieczeństwu. Ale nie wpływało dobrze na stan ducha Emersona. Zadzwoił do żony jeszcze z mostu w Savannah, obserwując pożar, który wzniecił. Mówiła nieobecnym, mechanicznym głosem, jak nieboszczyk we śnie. Powiedziała mu o Kyle'u. Ich synu. Terapia szła bardzo dobrze. Dopóki nagle nie przestała działać. Tego dnia po południu. Jego organizm po prostu się wyłączył. Najpierw oczywiście wątroba.

A potem jeden organ po drugim. Kaskadowa seria katastrofalnych, nieodwracalnych awarii. Natychmiast zadzwoniła do lekarza, ale już było za późno. Nic się nie dało zrobić. Syn zwiądnął, skurczył się i zgasł na jej oczach. Nie była w stanie go powstrzymać.

Kyle miał zaledwie dwadzieścia dwa lata. To nie było w porządku. Nie po wszystkim, co dla niego zrobili. Nie po tym, jak wydali tyle pieniędzy, żeby mu pomóc.

Gdy Emerson siedział za kierownicą, musiał się skupiać na innych rzeczach. Na tym, żeby nie rozbić wozu. Żeby nie zatrzymała go policja, gdy wskazówka prędkościomierza sięgała dwustu na godzinę. Wyjaśnianie takich historii może doprowadzić do poważnych opóźnień. Ale gdy prowadził Graeber, Emersonowi trudniej było zapanować nad emocjami. W głowie rozbrzmiewały mu słowa żony. Zaraz za nimi tłoczyły się wspomnienia o synu. I żal. Masa żalu. I niechęci do oglądania sceny, która na pewno czekała go w domu.

Gdy wyjeżdżali do Georgii, Graeber zostawił swój samochód w garażu Emersona. Ten prowadził na ostatnim odcinku drogi. Gdy dotarli na miejsce, wcisnął przycisk na pilocie, zczekał, aż z brzękiem otworzy się brama, i wjechał do garażu. Zatrzymał wóz obok samochodu swojego towarzysza. Graeber sięgnął do klamki, ale zanim wysiadł, spojrzał na szefa.

– Co mamy robić?

Emerson zastanawiał się przez chwilę. Nad rzeczami, którymi będzie się musiał zająć po wejściu do domu. Nad tym, jak długo to potrwa.

– Zadzwon do Szewczenki – powiedział. – Ma u nas spory dług. Powiedz mu, że potrzebujemy samolotu. Na dzisiaj. I może śmigłowca na jutro albo pojutrze. Zobaczymy się w magazynie. Za dwie godziny. Przyprawdź pozostałych. I spakujcie się.

– Dokąd jedziemy?

– Znaleźć ludzi, którzy sprzedali to, co zabiło mojego syna.

13

Jack Reacher spał dość płytko w nowym pokoju. Zbudził się o dziewiątej rano. Wziął prysznic. Ubrał się. I gdy złożył szczoteczkę do zębów, gotowy do wyjścia, rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Jack Reacher? Detektyw Harewood z policji Gerrardsville. Jest pan tam? Musimy porozmawiać.

Reacher otworzył drzwi i wpuścił policjanta. Harewood rozejrzał się po pokoju. Zaczekał, aż Reacher usiadzie na łóżku, po czym zajął jedyne krzesło. Z miękką turkusową tapicerką i rozchwianym oparciem. Krzesło nie było wygodne. Harewood wiercił się na nim przez chwilę, a potem położył na podłodze teczkę, z którą przyszedł.

– Powinien pan sobie sprawić telefon – powiedział.

– Po co? – zapytał Reacher.

– Żeby ludzie mogli do pana dzwonić.

– Kto na przykład?

– Na przykład ja.

– Często by pan to robił?

Harewood wahał się przez chwilę.

– Nie. Ale nie w tym rzecz. Trudno pana znaleźć. Byłoby mi łatwiej, gdybym mógł zadzwonić. I spytać, gdzie pan jest.

– Ale mnie pan znalazł.

– W końcu tak. Dzwoniłem do hoteli w mieście i pytałem, czy zameldował się u nich niejaki Reacher. Oczywiście wszyscy odpowiedzieli, że nie. No więc domyśliłem się, że użył pan fałszywego nazwiska. Przypomniałem sobie, jak mówił mi pan o wystawie na temat bitwy pod Pea Ridge. I jeszcze raz zadzwoniłem do hoteli. Pytałem o gościa, który nazywa się Samuel Curtis. Generał zwycięskich wojsk Unii. I bingo! Znalazłem.

– Jestem pod wrażeniem. Może powinien pan zostać detektywem.

Harewood uśmiechnął się na ten żart, ale bez rozbawienia.

– No właśnie. Dlatego chciałem z panem rozmawiać. Żeby pana zawiadomić, że ta sprawa... kobiety śmiertelnie potrąconej przez autobus... została zamknięta.

Reacher pomyślał o dwóch mężczyznach, których w nocy wywieziono karetką. Byli w kiepskim stanie. Może lanie sprawiło, że stali się bardziej skłonni do porozumienia.

– Złapaliście ich? – spytał.

– Śmierć została uznana za samobójstwo.

Reacher się nie odezwał.

Policjant zamknął oczy i pokręcił głową.

– Wiem, co mi pan mówił. O facecie w bluzie z kapturem. Że popchnął tę kobietę. Wierzę panu. Ale na tym polega problem. Zgłosił się inny świadek. Przysięga, że widział, jak kobieta rzuciła się pod autobus. Umyślnie.

– Myli się.

– Wierzę panu. Ale ten drugi świadek to... szanowany człowiek.

– A ja nie?

– Tego nie powiedziałem. Mój przełożony, porucznik...

– Ten, jak pan mówi, świadek się myli. Albo kłamie. Może jest w to zamieszany. Albo mu zapłacili.

Harewood pokręcił głową.

– To porządny obywatel. Całe życie mieszka w tym mieście. Ma dom. Żonę. Pracę. Trzyma się z daleka od hazardu. Nie pije, nie ćpa. Nie ma długów. Nigdy nie

dostał mandatu za nieprzepisowe parkowanie.

– W takim razie może są inni świadkowie. Na przykład pasażerowie autobusu. Ktoś coś musiał widzieć.

– Jednej pasażerce wydaje się, że widziała, jak kobieta skacze. Nie miała jednak okularów, więc z jej zeznania raczej nie będzie żadnego pożytku. A inny pasażer widział pana. Jak uciekał pan z miejsca zdarzenia. Między innymi dlatego porucznik...

– Zostawiła list pożegnalny?

Harewood zawahał się przed odpowiedzią.

– W swoim domu. W Missisipi. Na stole kuchennym. Od lekarza sądowego dostaliśmy odciski palców, wzięliśmy jej dane i poprosiliśmy miejscową policję, żeby przeszukała dom. Znaleźli ten list od razu.

– Był wydrukowany?

– Nie. Napisany ręcznie. I podpisany. Nie ma podejrzeń co do autentyczności.

– Dlaczego uważacie, że jest prawdziwy?

Harewood podniósł z podłogi teczkę, wyjął dwie kartki i podał Reacherowi.

– Pierwsza kartka to formularz z jej ostatniego podania o pracę. Firma, w której pracuje... pracowała... każe wszystkim kandydatom wypełniać je ręcznie. To podobno ujawnia różne ukryte cechy osobowości. Można odsiać socjopatów i inne niepożądane osoby. Druga kartka to właśnie jej list pożegnalny.

Reacher zaczął od formularza. Nie miał zbyt wielu doświadczeń z dokumentami zatrudnienia, ale to, co czytał, wydało mu się banalne i zwyczajne. Nagłówek pierwszej rubryki brzmiał: Proszę wymienić powody, dla których stara się pan/pani o to stanowisko. Pismo Angeli było duże, krągłe i nieco dziecinne. Twierdziła, że chce pomagać ludziom. Rozwinąć umiejętności, które nabyła w poprzednich miejscach pracy. Przysłużyć się społeczności. Nic nie wskazywało, że była wyróżniającą się kandydatką. Ani że stara się o pracę w więzieniu. Równie dobrze mogło to być podanie o pracę u hycla. Albo w sklepie ze słodyczami.

Na drugiej kartce nie było żadnych rubryk. Nie trzeba było odpowiadać na pytania ani udzielać informacji. Zanim została zapisana, była zwykłą czystą kartką. Taką, jakich używa się do drukarek i kopiarek w domach i biurach w całym kraju. Na całym świecie. Jakie milionami produkują gigantyczne papiernie. Używa się ich, segreguje je, zapomina o nich. Albo się je wyrzuca. Albo tnie niszczarkami. Ale akurat tej nie spotkał zwykły los. Nie stała się czymś pospolitym. Tekst zaczynał się mniej więcej w jednej ósmej wysokości, blisko krawędzi. Przykro mi, ale jeżeli to czytacie, to oznacza, że nie żyję...

Reacher porównał próbki pisma. Sposób kreślenia liter. Ich rozmiar, kształt, odstępy między wyrazami. Interpunkcję. Dobór słów. Uwzględnił wpływ czasu. Stres. Nie był ekspertem, musiał jednak przyznać, że wyglądało to na charakter pisma tej samej osoby. Wsunął list pod formularz, żeby już na niego nie patrzeć, i podał obie kartki Harewoodowi.

– Okej. A motyw?

– Nieszczęśliwy romans.

– Skąd to wiadomo?

– Angela była asystentką administracyjną w więzieniu. Kiedy zawiadomiliśmy miejscową policję, skontaktowali się z jej pracodawcą. To firma, która ma prawo monitorować prywatne maile personelu. Ze względów bezpieczeństwa. Jest taki paragraf w umowach. Większość ludzi w ogóle o nim nie wie. Albo o nim zapomina. No więc ich informatyk zajrzał na konto. To standardowa procedura w przypadku nagłej śmierci. Znalazł wymianę wiadomości sprzed kilku tygodni. Najwyraźniej Angela próbowała rozpalić na nowo dawną namiętność. U byłego chłopaka, który mieszkał niedaleko stąd. Gość nazywa się Roth. Umówili się na wtorek. Wczoraj. W ostatnim mailu dała do zrozumienia, że jeżeli się nie uda, nie będzie już chciała żyć. Moim zdaniem to wiadomość z gatunku pasywno-agresywnych.

– „Mieszkał” niedaleko stąd?

– Słucham?

– Powiedział pan, że jej chłopak „mieszkał”. W czasie przeszłym.

Harewood skinął głową.

– Rotha znaleziono martwego. Zawał serca.

– Kiedy?

– W poniedziałek wieczorem. Późnym wieczorem. Jakoś tak koło północy.

– Czyli ten Roth umiera niecałe dwanaście godzin przed zabójstwem Angeli.

Wierzy pan, że to zbieg okoliczności?

Policjant wzruszył ramionami.

– Kto znalazł ciało? – spytał Reacher.

– Była żona.

– Gdzie?

– W jego mieszkaniu. Wczoraj rano. To był kawał chłopa. Ale nie był gruby.

Same mięśnie. Miał siłownię w domu. Regularnie ćwiczył. I nagle trach. Koniec.

Tak po prostu.

– Sterydy? Albo jakieś inne modne świństwo?

– Nie było żadnych śladów.

– Po co była żona do niego przysłała?

– Na śniadanie.

– To normalne?

– Widocznie dla nich tak.

– Jak się dostała do środka?

– Miała klucz.

– Wygląda to na poufale stosunki.

– Tak mi się wydaje.

– Może była żona próbowała jakoś odzyskać swoją dawną rolę. Dowiedziała się o spotkaniu eksmeża z kobietą. Poczowała zazdrość.

Harewood pokręcił głową.

– Nie sędzę. Rozwiedli się dziesięć lat temu. Po rozstaniu przeprowadziła się do mieszkania obok. Według sąsiadów żyli jak brat z siostrą. Uczucie między nimi wygasło już wiele lat temu. Ale nie byli wrogami.

– Czy Roth był w jakichś innych związkach?

Detektyw wzruszył ramionami.

– Jego była wiedziała o Angeli, że byli kiedyś ze sobą? – wypytywał dalej Reacher.

– Nie pytaliśmy jej o to. Nie mieliśmy powodu. Znalazła ciało Rotha, zanim Angela zginęła. Nie wiedzieliśmy o jej istnieniu, dopóki nie wyciągnęliśmy jej spod autobusu.

– Czyli była żona nie mówiła nic o ich spotkaniu?

– Nie. Ale to jeszcze nie znaczy, że o nim nie wiedziała. Zweryfikowaliśmy to jednak w inny sposób.

Harewood poszperał w teczce, wyjął następną kartkę i położył na skraju łóżka. Format nie wyglądał znajomo, Reacher domyślał się jednak, że to transkrypcja maili, które ściągnęli informatycy Minervy. Na pewno na kartce były wydrukowane wiadomości wymieniane między dwiema osobami. Przypuszczał, że między Angelą a Rothem, ale imiona i nazwiska nie zostały pokazane w czytelny sposób. Adresy mailowe były tylko zbitkami liter i cyfr ze znakami @ w środku i .com na końcu. Z lewej strony wydruku były pionowe linie, biegnące od początku każdej wiadomości w dół, aż do ostatniej. Każda kolejna linia była przesunięta o jedną spację w prawo, więc wiadomość u dołu strony została zepchnięta prawie na środek. To był najstarszy mail, wysłany przez Angelę. Próbowała wybadać, czy są szanse, by znowu byli razem. Reacher wyczuwał podniecenie kobiety. I lęk. Najnowszą wiadomość u góry, napisaną w niedzielę rano, też wysłała ona. Ton maila był chłodny. Angela wydawała się przybita. Wątpła iskierka nadziei zgasła. Pozostała po niej nuta rozpacz. I masa aluzji, że sama sobie nie poradzi. Właśnie o tym wspominał Harewood.

Reacher odłożył kartkę.

– Jeżeli ta kobieta przyjechała tu spotkać się z Rothem, to gdzie jest jej torebka? I samochód?

Harewood wsunął wydruk z powrotem do teczki.

– Torebka była w jej samochodzie, który stał na parkingu. Na pierwszym przyjeździe od wschodu. A Angela musiała przyjechać właśnie stamtąd.

– Widziałem, jak zabójca zabrał jej torebkę. Pewnie potem wrzucili ją do jej samochodu. Czy wewnątrz była koperta?

Policjant zajrzał do notatek.

– Nie. Portfel. Klucze. Parę rzeczy osobistych. Ale żadnej korespondencji. Czemu pan pyta?

– Mniejsza z tym. A jak pan wyjaśnia ślady krwi?

– Jakiej krwi?

– Na jej torebce. Cała jedna strona była w plamach krwi.

– Nie mam takiej informacji w raporcie. Dlaczego uważa pan, że była zakrwawiona?

– Widziałem.

– Jak? Krwi nie byłoby widać na czarnej skórze.

– Torebka była beżowa. I wcale nie skórzana.

Harewood jeszcze raz zerknął do notatek.

– Była skórzana. I czarna.

– Pewnie ją podmienili.

– Może pan to udowodnić?

– Co z jej dzieckiem?

– Skąd pan wie, że ma dziecko?

– Zgadłem.

Detektyw pokręcił głową.

– Umówiła się z sąsiadką. Kobieta, która często pilnowała córki.

– Umówiła się na stałe? Ustaliła to od strony finansowej? Wypełniła dokumenty adopcyjne? Dała jej ulubione zabawki córki?

Policjant wzruszył ramionami.

– Mam tylko to, co przekazali nam ludzie z Missisipi. Im to najwyraźniej wystarczyło.

– A bmw?

Harewood pokręcił głową.

– To inny problem. Na numery, które mi pan podał, jest zarejestrowany dodge caravan z Oklahoma City. Jego właściciel był wczoraj w pracy. Ma kwit z parkingu podziemnego. Z zaznaczoną godziną, poza tym przyjazd i wyjazd są na monitoringu.

– W porządku. Gdzie są łuski? Wpakowałem w ten samochód sześć pocisków.

– Ekipa techników przeczesała zaułek. Był pusty. Ani śladu łusek.

– W takim razie sprawdźcie ślady powystrzałowe na moich rękach.

– I czego to by dowodziło? Że strzelał pan z broni? To niekoniecznie musiała być broń, z której wystrzelono zaginione pociski do zaginionego samochodu.

– A schody pożarowe? Tego przecież się nie da ukryć.

– Zawaliły się. To jasne. Ale nie ma dowodu dlaczego.

– A...

– Posłuchaj, Reacher. Sam już zadawałem te wszystkie pytania. I kazali mi przestać. Jasno i wyraźnie. Sprawa jest zamknięta. Przyszedłem tylko powiedzieć, jaka jest sytuacja. Z uprzejmości.

– W takim razie chyba skończyliśmy. Wiesz, gdzie są drzwi.

Harewood nie ruszał się z krzesła.

Reacher odczekał trzydzieści sekund, po czym wstał i rzucił na łóżko klucz do pokoju.

– Zrób coś dla mnie. Oddaj to w recepcji, kiedy będziesz wychodził.

– Zaraz – powstrzymał go detektyw. – Przyszedłem... hm... tak naprawdę nie tylko z uprzejmości.

Reacher usiadł z powrotem.

– Jeżeli mam być całkiem szczerzy, to porucznik chce, żebyś opuścił obszar naszej jurysdykcji. Uważa, że przez ciebie są tylko kłopoty.

– Czyli jesteś tu po to, żeby odstawić mnie za granicę hrabstwa?

– Nie. W ogóle mnie tu nie ma. Oficjalnie mnie nie ma.

– Tak myślałem. Pokazywanie dowodów potencjalnemu podejrzanemu... to nie może być w tych stronach standardowa procedura.

– Zgadza się. – Harewood wbił wzrok w podłogę. – Porucznik dobrałby mi się za to do dupy.

– No więc dlaczego to zrobiłeś?

– Sprawdziłem twoje dossier. Sto dziesiąta. Specjalna jednostka żandarmerii. Twój dawny oddział.

– I co z tego?

– Słuchaj, jestem nowy w tej robocie.

– No i?

– Nie mam kogo spytać.

– O co?

– Co byś zrobił na moim miejscu?

– W jakiej sprawie?

– Porucznik kazał mi zamknąć dochodzenie. Moim zdaniem się myli. Chcę nad tym dalej pracować. Powinienem?

– Mówisz o niewykonaniu polecenia przełożonego.

– Tak jest. Zdaję sobie z tego sprawę.

Reacher milczał przez chwilę.

– Piechota morska? – spytał w końcu.

– Skąd wiesz?

– Mój ojciec był w korpusie marines. Dostrzegam znaki.

– No więc? Co powinienem zrobić?

– Ten porucznik to kombinator? Próbuje coś tuszować?

– Nie sądzę. Chyba jest po prostu leniwy. Dostał rozwiązanie sprawy w prezencie. Nie chce go rozpakowywać i sprawdzać, co naprawdę jest w pudełku. Nie chce mu się ruszyć tyłka.

– Jak się nazywa była żona Rotha?

– Hannah Hampton.

– Jego adres?

– Napiszę ci.

– Dobrze. Powiem ci, co powinieneś zrobić. Wracaj do pracy. Jak zwykle.

Więcej o tym nie wspominaj.

– Nie proszę, żebyś zabrał się do tej sprawy za mnie.

– Wiem.

– Nie powinieneś się mieszać.

– Już się wmieszałem.

– W takim razie powinieneś się wymieszać.

– Ktoś zamordował kobietę. I ktoś musi się tym zająć.

– My się tym zajmiemy. Policja.

– Naprawdę? Ze swoim leniwym porucznikiem?

Harewood znowu spojrzał w podłogę.

– Podaj mi ten adres – rzucił Reacher. – I nie wychylaj się. Odezwę się do ciebie.

14

Jeżeli wziąć pod uwagę instalacje i wyposażenie, dodać wartość dzieł sztuki zdobiących ściany, to koszt metra kwadratowego centrali Minery w Winson przewyższał cenę siedziby jakiegokolwiek korporacji w stanie Missisipi. Bruno Hix uwielbiał przy każdej okazji rzucać tą ciekawostką. Zwłaszcza w rozmowach z dziennikarzami. Być może była to nawet prawda. Hixa to nie obchodziło. Nie przywiązywał wagi do szczegółów. Chodziło mu tylko o stworzenie odpowiedniego wrażenia. Budowa centrum była pierwszą decyzją Minery po kupieniu więzienia, a wytyczne Hixa dla architektów były proste: postarajcie się, żeby czuło się tu dużą kasę.

Budynek siedziby Minery stał blisko wjazdu na teren więzienia, po przeciwnej stronie niż oddziały dla osadzonych. Parterowy budynek wykończony jasnym kamieniem miał kształt litery V. Częściowo dlatego, że w ten sposób najlepiej wykorzystywał dostępną przestrzeń. Ale przede wszystkim dlatego, by okna, które znajdowały się tylko w ścianach od wewnętrznej strony V, nie wychodziły na bloki więzienne i spacerniaki. Jedno skrzydło w całości zajmowała sala konferencyjna. Hix w pośpiechu pokonywał labirynt korytarzy i łączników, których sieć przecinała cały kompleks. Wszedł z tajnego spotkania w centrum kierowania S2 tuż po jego zakończeniu, a mimo to nie zdążył na czas. Gdy odrobinę zaróżowiony i zdyszany wpadł przez podwójne drzwi, zobaczył sześć par oczu zwróconych w jego stronę. Trzy po jednej stronie długiego stołu. Dwie po przeciwnej. I jedną na przeciwległym końcu. To byli dziennikarze, którzy przyszli na briefing poświęcony

planowanemu na piątek wydarzeniu i żeby wysłuchać innych informacji, które łaskawie zechce wyjawić Hix, trzymając ich w tej sali.

Zaczekał, aż Damon Brockman, drugi współzałożyciel Minervy, usiądzie przy stole, po czym odprawił strażnika, który pilnował gości. Jak zawsze stanął u szczytu stołu, rozłożył ręce niczym telewizyjny kaznodzieja i poprosił:

– Niech państwo powiedzą prawdę. Czy to pomieszczenie wygląda na część więzienia?

Pięcioro dziennikarzy posłusznie pokręciło głowami. Tylko facet przy drugim końcu stołu nie zareagował.

Hix uśmiechnął się i przeszedł do historii. Swojej własnej i Brockmana. Opowiadał, jak trzy dekady wcześniej poznali się jako żółtodzioby w straży więziennej w stanowym zakładzie karnym w Lubbock w Teksasie. Jak zszokowały ich warunki. Brak środków. Przypadki dehumanizującego traktowania osadzonych, czego byli świadkami. Podlał to sosem filozoficznym. Trochę Foucault. Trochę Benthama. I mieszał wszystko, by wyjaśnić, co stało za założeniem firmy Usługi Penitencjarne Minerva. Nazwanej na cześć starożytnej bogini między innymi mądrości i sprawiedliwości. Firmy pragnącej widzieć w więźniach ludzi, którymi przecież byli. Choć oczywiście popełnili błędy. Podjęli w życiu złe decyzje. Mimo to nie byli pozbawieni możliwości. Mogli dać coś światu. Wciąż mieli przed sobą przyszłość, pod warunkiem że znaleźliby się we właściwym środowisku i otrzymali wsparcie. Opisał programy kształcenia zawodowego, które realizowała jego firma. Mówił o wprowadzonych przez nich projektach zdrowego odżywiania i aktywności fizycznej. O proaktywnych badaniach przesiewowych, którym poddawano osadzonych we wszystkich pięciu ośrodkach. Przytoczył dane statystyczne. Niektóre mogły nawet być prawdziwe. Twierdził, że radykalnie wzrósł wskaźnik zatrudnienia zwolnionych z zakładów karnych. Spadła liczba recydywistów. W podsumowaniu nawiązał do piątku. Perły w koronie Minervy. Planu apelacji wnoszonych przez dobrze sprawujących się więźniów, którzy mają szansę zostać uznani za ofiary pomyłek sądowych.

Hix przerwał, by położyć większy nacisk na ostatni punkt, po czym oparł na blacie dłonie i pochylił się do przodu.

– Są jakieś pytania?

Zawsze pytano go o mnóstwo prozaicznych szczegółów. O tożsamość inwestorów. Rekrutację. Praktyki zatrudniania. Prawa do widzeń. Przemoc. Obecność gangów. Przypuszczał, że ktoś poruszy kwestię wpływu ośrodków Minervy na środowisko. Ostatnio był to dość drażliwy temat. Zdarzały się też pytania nieprzewidywalne. O bardziej drażliwe sprawy, które mogły zostać poruszone lub nie, zależnie od tego, czy trafiła się bardziej czy mniej zadziorna grupa dziennikarzy. Na przykład o moralny wymiar czerpania zysków z więzienia ludzi. Czy dba się o to, by zapobiec wykorzystywaniu seksualnemu bezbronnych osadzonych. O dowody uprzedzeń rasowych wśród strażników. O rzeczy, przy których odpowiedź wymagała trochę więcej namysłu i finezji.

W ciągu kwadransa pięcioro dziennikarzy siedzących bliżej niego odhaczyło listę pytań obowiązkowych. Hix próbował sprawiać wrażenie, że nigdy wcześniej ich nie słyszał. I że szalenie go interesują. Udzielił, jak przypuszczał, ostatniej odpowiedzi i już zamierzał zakończyć spotkanie, gdy nagle ożywił się szósty dziennikarz. Ten, który siedział przy drugim końcu stołu. Najmłodszy w grupie. Miał puciołowatą twarz, potarganą blond czuprynę i był ubrany w wypłowiałe rzeczy z demobilu. Gdyby ufarbować mu włosy i włożyć beret, wyglądałby jak Che Guevara, pomyślał Hix. Facet powinien jeszcze popracować nad koncentracją. Dotychczas prawie nie wykazywał zainteresowania tym, co się dzieje wokół niego. Nie dawał właściwie oznak przytomności.

– Wskaźnik umieralności w więzieniach Minervy jest szokujący – powiedział dziennikarz. – Skąd taka liczba zgonów?

Hix zerknął na Brockmana i przez chwilę milczał. Potem zwilżył językiem wargi.

– Śmiertelność w naszych ośrodkach nie jest wysoka. Dlaczego twierdzi pan, że jest inaczej?

Brockman ukradkiem wysunął telefon z kieszeni. Trzymał go nisko, przy nodze, by nikt nie zobaczył, jak kciukiem wstukuje wiadomość.

– Mam swoje źródła – wyjaśnił blond Che Guevara.

– Których nie może pan ujawnić? – domyślił się Hix.

– Właśnie.

Hix się uśmiechnął.

– Węszy pan jakąś sensację, tak? Otóż to fałszywy trop, przyjacielu. Stan zdrowia i średnia długość życia naszych więźniów są znacznie lepsze niż w porównywalnych zakładach. I to nie przypadek. Ani uśmiech losu. Tak jest dzięki naszym oryginalnym, progresywnym i humanitarnym zasadom. Jeśli ktoś ma pecha i zbłądzi na złą drogę, która zaprowadzi go za kratki, najlepiej będzie, gdy trafi do Minery. Co do tego nie ma wątpliwości.

– Mówi pan, że wskaźnik umieralności nie wystrzelił wysoko ponad normę?

– Właśnie to powiedziałem.

– Ma pan dane, które by to potwierdzały?

– Oczywiście.

– Wobec tego może podacie je do wiadomości?

– W jakim celu? Niczego nie pokazują.

– Mimo to powinniście je ujawnić. Ze względu na transparentność.

– Podajemy do wiadomości publicznej wszystkie dane, których wymaga od nas prawo stanowe i federalne.

– To i tak ułamek tego, co muszą podawać stanowe i federalne zakłady karne.

Hix wzruszył ramionami.

– Nie tworzymy prawa. Po prostu stosujemy się do niego. Bardzo sumiennie.

– Dla was to zasłona dymna. Macie w swoich zakładach poważny problem z narkotykami i próbujecie go ukryć. Za każdym razem, gdy jakiś więzień przedawkuje i musi trafić do szpitala, udajecie, że to w ramach profilaktyki wpływającej z waszego tak zwanego humanitaryzmu. Świetnie nauczyliście się

ukrywać prawdę o tych, którzy wracają do zdrowia. A kiedy umierają? Tam się kryją prawdziwe liczby, czy nie?

– Nie. Proszę posłuchać. Czy z ręką na sercu mogę powiedzieć, że dzisiaj we wszystkich naszych ośrodkach ani jeden człowiek nie przyjmie dawki narkotyku? Nie. Mamy taką rzeczywistość, jaką mamy. Nie jestem naiwny. Ale jeżeli chodzi o narkotyki, podobnie jak o inne zagrożenia, Minerva w pomocy więźniom i ich ochronie wyprzedza wszystkich konkurentów o parę długości. Sam pomyśl, że narkomani pod naszą opieką tłumnie umierają, jest niedorzeczny.

– Niech pan to udowodni. Proszę pokazać dane.

– Ależ...

Za plecami Hixa rozległo się donośne pukanie do drzwi i do sali wrócił strażnik, który wcześniej pilnował dziennikarzy.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie dyrektorze, ale jest do pana telefon – oznajmił.

– Proszę powiedzieć, że oddzwonię. Jestem zajęty.

– To gubernator, panie dyrektorze.

– O... Czego chce?

– Nie mówił. Powiedział tylko, że to pilne.

– W porządku. W takim razie chyba nie powinienem kazać mu czekać. Może pan odprowadzić do wyjścia tych miłych państwa?

Strażnik skinął głową.

– Z przyjemnością.

Hix odwrócił się do dziennikarzy.

– Przykro mi, ale tu musimy postawić kropkę. Żałuję, bo naprawdę miło mi się z państwem rozmawiało. Mój przyjacielu na końcu stołu, podam panu te dane o śmiertelności. Oczywiście przy założeniu, że pozwolą mi na to nasi prawnicy. Musimy bardzo uważać, jeżeli chodzi o informacje zastrzeżone, przepisy o ochronie inwestorów i tak dalej. Pogadam też z jednym z naszych osadzonych. Spytałem, czy będzie chciał się z panem spotkać. Kiedy Minerva przejęła ten

ośrodek, miał jakieś kłopoty z okiem. Damon i ja widzieliśmy kiedyś to samo u pewnego osadzonego, gdy pracowaliśmy w innej spółce świadczącej usługi więzienne. Firma ze względu na koszty nie zgodziła się na sprowadzenie lekarza. Nie ubezpieczała skazanych. Stan chorego coraz bardziej się pogarszał, no i krótko mówiąc, ten człowiek zupełnie stracił wzrok. To samo spotkałoby naszego więźnia, gdybyśmy proaktywnie nie zapewnili mu leczenia. Dzisiaj jest artystą. Maluje akwarele. Część z nich można obejrzeć w galerii w Jackson. Mógłby panu udzielić wiarygodnych informacji o naszych humanitarnych zasadach. Które nie mają nic wspólnego z martwymi ćpunami. Zapewniam pana.

• • •

Hix podał rękę wszystkim dziennikarzom po kolei i kiedy salę opuścił ostatni z nich, ciężko opadł na krzesło u szczytu stołu.

– Przez moment miałem wrażenie, że coś jest na rzeczy. Wysoki wskaźnik umieralności? Aż mi się gorąco zrobiło.

– Kim jest ten chłopak? – spytał Brockman. – Podoba mi się. Wyciąganie danych o śmierci z przedawkowania to świetny pomysł. Moglibyśmy spróbować podobnego numeru z tymi bydlakami z Curtis. Wywlec brudy. Załatwilibyśmy ich akurat wtedy, gdy będzie im się kończył kontrakt w Kansas.

– Mamy pilniejsze sprawy. Chłopaka trzeba obserwować. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki nie wyjedzie z miasta.

– Nie ma potrzeby. Nie jest dla nas groźny. Nic nie wie. Tak jak mówiłeś, tylko węszył.

– Na razie nie jest groźny. Ale niech się nie rozgląda. Niech nie wypytuje. Jeżeli chce szukać narkotyków, nie możemy mu na to pozwolić.

– Jeśli nawet szuka narkotyków, to co? Przecież ich nie znajdzie. A na pewno nie powiąże ich z nami.

– Nie rozumiesz, o co chodzi. Narkotyki nie spadają z nieba. Trzeba je przemyścić. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś śledził paczki, które trafiają do więzienia. A tym bardziej te, które stąd wychodzą.

Brockman zastanawiał się przez chwilę.

– Masz rację. Zajmę się tym. Każę obserwować tego faceta. I zniechęcić go, gdyby było trzeba.

– To dobrze. Ale to nas prowadzi do innej sprawy. Tego gościa z Kolorado. Który mógł zajrzeć do koperty. Pomyślałem, że rozsądniej będzie poczekać i zobaczyć, czy przyjedzie do miasta.

– Nie przyjedzie.

– Ale może. Jeśli do tego doszło, nie chciałbym, żeby przypadkiem natknął się na tego młodego dziennikarza. Albo gdybyśmy musieli się zająć facetem, wolałbym, żeby ten pismak tego nie zwierzył.

– Martwisz się, chociaż nie ma o co.

– Zależy mi na bezpieczeństwie. I ochronie naszej inwestycji. Dlatego zmienimy plan.

– Nie odwołamy uroczystości. Ani nie urządzimy jej za zamkniętymi drzwiami. Nie słuchaj Riverdale'a. Ten gość z Kolorado...

– Nie boję się szumu w mediach. Chcę to nagłośnić. To nam nie może zaszkodzić. Co się stanie w najgorszym wypadku? Facet zobaczy film albo przeczyta relację ze zdjęciem. Po fakcie będzie już za późno, żeby robił jakieś zamieszanie. Groźnie może się zrobić wtedy, kiedy się tu pojawi. Urządzi scenę w czasie uroczystości. Podkreśli tego wścibskiego dziennikarza. Dlatego powinniśmy przesunąć kordon trochę dalej. Zastanowić się, jak ten facet mógłby się tu dostać. W końcu jest bezdomny. To na pewno jakoś ogranicza mu możliwości. Ustalimy każdą potencjalną trasę i w strategicznych miejscach rozstawimy swoich ludzi.

– Chyba nie zaszkodzi. W każdym razie nie wydaje mi się, że on przyjedzie.

– Zakładajmy, że tak. Pytanie tylko jak. Nie ma samochodu. Nie może go też wypożyczyć, bo nie ma prawa jazdy.

– Mógłby ukraść auto.

– Niewykluczone. Co jeszcze?

– Mógłby dać się podwieźć komuś znajomemu. Albo złapać okazję i przyjechać z kimś obcym.

– Też możliwe. Co jeszcze?

– Wybrać oldskulowy sposób: wsiąść do autobusu. Gdyby go było stać na bilet. Najbliżej stąd jest chyba dworzec Greyhounda w Jackson.

– Pewnie mógłby pojechać autobusem. W ostateczności. Ale jeżeli jeszcze nie wyjechał z Kolorado, może mu zabraknąć czasu. Co poza tym?

Brockman milczał przez chwilę.

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– No dobra. Zrobisz tak. Wyślesz dwóch ludzi na dworzec Greyhounda w Jackson. Niech sprawdzają każdy autobus, który przyjeżdża z zachodu. Postaw też dwóch ludzi na parkingu dla ciężarówek na dwudziestce. Jeżeli będzie próbował przyjechać stopem, to jakie ma szanse znaleźć kierowcę, który jedzie z Kolorado do samego Winson? Zerowe. Będzie się musiał często przesiadać. Ostatnią okazję złapałby dość daleko stąd. Wszyscy przecież wiedzą, że lepiej nie brać nikogo w pobliżu więzienia. Daj jeszcze dwóch ludzi na skrzyżowanie z sześćdziesiątkąjedyneką, może tam będzie próbował szczęścia. I dwóch na osiemdziesiątkęsiódemkę, tam gdzie są roboty, w połowie drogi z Jackson. Na wypadek gdyby ukradł samochód albo jechał ze znajomym. Tam jest zwężenie do jednego pasa. Ruch jest wolniejszy. Łatwiej zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. Albo obok.

– Potrzeba sporo ludzi.

– Mamy dużo do stracenia.

– A więzienie? I dom Angeli? Dalej je obserwujemy?

– Oczywiście. Nie mamy gwarancji, że facet się nie prześliznie.

– Czyli jeszcze więcej ludzi.

– Nie ma innego wyjścia. Weź po paru strażników z każdego oddziału. Tylko tych z Minervy. Nie trepów, którzy nam zostali w spadku z dawnych czasów. Odwołaj urlopy, niech ludzie pracują na dwie zmiany, żeby wszystko załatać. I znajdź najlepiej zbudowanego z naszych. Trzymaj go w rezerwie. Tak samo tych idiotów, których wysłaliśmy do Kolorado. Jeżeli ktoś go zobaczy, niech oni to sprawdzą. Gdy będziemy mieć pewność, że to on, dasz im zielone światło. Tylko niech tym razem zneutralizują go porządnie.

– Zakładając, że zdążą. I że nasi ludzie go wyhaczą. Jest ich o wiele za mało.

– Mam na to pewien pomysł. Małe zabezpieczenie, na wypadek gdyby jakoś udało mu się przedostać przez kordon. To go trochę zmyli. Zajmę się tym, kiedy będziesz czuwał nad logistyką.

– Rozumiem. Powiem Moseleyowi, żeby wysłał na ulicę dodatkowe patrole. I żeby każdy miał rysopis tego Reachera.

– Okej. Ale gliniarze niech tylko mają oko na to, co się będzie działo. Musimy to załatwić sami. Nieoficjalnie. Damon... Sprawdź wszystko dwa razy. Może nawet trzy. Niech każdy stanie na rżęsach. Wiesz, co by się stało, gdyby w piątek coś się spieprzyło.

15

Budynek, w którym było mieszkanie Sama Rotha, wyglądał jak wszystkie pozostałe w tej okolicy. Dwupiętrowy. Z kamiennym frontem. Solidny, ale prosty. Ładny, ale zwyczajny. Nic nie wskazywało, że w ciągu minionych trzydziestu sześciu godzin umarł w nim człowiek.

Może z przyczyn naturalnych.

Może nie.

Detektyw Harewood mówił, że Roth umarł z powodu zawału serca. Nie było w tym nic podejrzanego. Wielu ludzi umiera na choroby serca. W Stanach Zjednoczonych każdego roku prawie siedemset tysięcy osób. Więcej niż liczba mieszkańców stanu Vermont. To więcej niż jedna osoba co czterdzieści sześć sekund.

Gdyby jedynym czynnikiem była choroba serca, Reacher mógłby odnosić się do tego mniej sceptycznie. Gdyby Roth nie był wysportowany i przyzwyczajony do ćwiczeń. Gdyby porucznik, szef Harewooda, nie był leniwy. Gdyby Roth nie umarł kilka godzin przed umówionym spotkaniem z Angelą St. Vrain. Gdyby Angela nie została zamordowana...

Za dużo tych „gdyby”, pomyślał Reacher. I za mało odpowiedzi.

...

Budynki wychodziły na szeroką zieloną ulicę, ale wejścia znajdowały się z tyłu, od strony alejki, zbyt wąskiej, by zasłużyć sobie na miano drogi, ale zbyt ładnej, by nazwać ją bocznym zaułkiem. Była porządnie wybrukowana. Czysta i zadbane. Rosły tam drzewa i krzewy. Większość mieszkań miała po tej stronie tarasy i balkony. W budynku Rotha były dwa tarasy osłonięte daszkiem przed słońcem, a pomiędzy nimi dwoje drzwi, wejścia do mieszkań. Oba tarasy pomalowano na niebiesko. W tym samym ciemnym odcieniu. Przy każdym z nich znajdowało się miejsce do parkowania. Oba były zajęte. Jedno przez pick-upa, błyszczącego czerwonym lakierem, chromem i czarnymi szybami. Drugie przez małego hatchbacka. Samochód był elegancki i srebrny, a spod klapki nad tylnym błotnikiem biegł gruby kabel podłączony do skrzynki na ścianie przy drzwiach po lewej.

Według adresu podanego przez Harewooda mieszkanie Rotha znajdowało się po prawej. Reacher zapukał do drzwi po lewej. Miał mglistą nadzieję, że nikt nie otworzy. Informowanie o śmierci kogoś bliskiego to przygnębiający obowiązek. Wiedział o tym z doświadczenia. Wiedział też, że równie przykro jest dawać komuś do zrozumienia, że bliska osoba mogła paść ofiarą zabójstwa.

Po dwóch długich minutach drzwi drgnęły i się otworzyły. Stała w nich kobieta. W białych spodniach długości trzy czwarte i gładkim białym T-shircie. Była boso. Miała blond włosy, przetykane tu i ówdzie siwizną, sięgające ramion. Związała je zwykłą gumką w kucyk. Jej twarz była trupio blada z wyjątkiem ciemnoczerwonych obwódok oczu. Wyglądała na czterdzieści kilka lat, chociaż okoliczności mogły utrudnić Reacherowi ocenę.

Kobieta przez chwilę mierzyła go wzrokiem, po czym powiedziała:

– Sama nie ma. On...

– Wiem – przerwał jej Reacher. – Nie szukam Sama. Muszę porozmawiać z panią.

Kobieta popatrzyła na niego skonsternowanym wzrokiem.

– Sam... widzi pan, coś się stało i Sam...

– Wiem, co spotkało Sama. Pani jest Hannah? Hannah Hampton?

Zamrugnęła zaskoczona, a potem skinęła głową.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Reacher.

– Czego pan chce?

– Zna pani Angelę St. Vrain?

– Angelę? Boże, powinnam jej powiedzieć o Samie.

– Zna ją pani?

– Czy ją znam? Znałam? Od lat jej nie widziałam. Wyprowadziła się do Missisipi. O Boże, Danny. Jemu też powinnam powiedzieć.

– Danny?

– Danny Peel. Też się tam przeprowadził. To on dał Angeli pracę.

– Sam znał Angelę?

– Oczywiście. Pracowali razem. Kilka lat temu. Był jej szefem. Właściwie bardziej mentorem.

– Znał Danny’ego?

Hannah skinęła głową.

– Utrzymywali kontakt? – pytał dalej Reacher.

– Z Danny’em nie bardzo. Z Angelą od czasu do czasu. Niekiedy zwracała się do Sama z prośbą o radę. Przede wszystkim w sprawach zawodowych. Dlaczego pan pyta o to wszystko?

– Czy Sam i Angela kontaktowali się niedawno?

Hannah wahała się przez moment.

– W weekend. Wysłała mu coś mailem.

– Coś związanego z pracą? Czy osobistego?

– Z pracą.

– Sam mówił, co to było?

– Jakiś głupi problem rachunkowy. Angela nie umiała sobie z nim poradzić. Była roztrzęsiona... często była roztrzęsiona. Tym razem Sam nie powinien się do tego mieszać. Powiedziałam mu, że powinna sama wykombinować, jak to zrobić. I bez tego miał mnóstwo spraw na głowie. Ale nie. Sam już taki był. Nigdy nie odwrócił się plecami do przyjaciela.

– Co to był za problem?

– Nie wiem. Chodziło o jakąś liczbę, która się nie zgadzała, pewnie w księgach rachunkowych. Nie wchodził w szczegóły. – Hannah przez chwilę milczała. – Zaraz. O co chodzi? Zaczyna mnie pan niepokoić. Co się dzieje z Angelą? I co to ma wspólnego z panem? Proszę mi powiedzieć, bo nie odpowiem już na żadne pytanie.

Reacher się zawahał.

– Hannah, muszę ci coś powiedzieć. O Angeli. To nie jest dobra wiadomość. Możemy gdzieś usiąść?

Kobieta cofnęła się o krok.

– Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, kim pan jest.

– Nazywam się Reacher. Pamiętasz detektywa Harewooda? Rozmawiałaś z nim wczoraj, gdy znalazłaś Sama. Na pewno zostawił ci wizytówkę. Zadzwoń do niego. On za mnie poręczy.

• • •

Drzwi się zamknęły i otworzyły dwie minuty później. Hannah gestem zaprosiła Reachera do środka. Wszedł za nią do głównego pomieszczenia w mieszkaniu. W części pełniącej funkcję salonu były meble z jasnego drewna i tkanin w pastelowych kolorach, dwa niskie regały na książki i niewielki telewizor w rogu. Dalej stały skórzane krzesła i owalny stół ze szklanym blatem. Na końcu, za barkiem z dwoma wysokimi stołkami, była kuchnia. Hannah podeszła tam i przysiadła na jednym z nich. Reacher ruszył za nią i zajął drugi stołek.

Kobieta oparła łokieć o blat.

– Chcesz mi powiedzieć, że Angela też nie żyje.

– Skąd wiedziałaś? – spytał Reacher.

– Detektyw Harewood powiedział mi, że kiedyś byłeś policjantem. W wojsku. Po co gliniarz przychodzi do czyjegoś domu? Po co wypytuje o kogoś, a potem mówi, że ma złą wiadomość? Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić. Co się z nią stało?

– Potrafił ją autobus.

– Poważnie?

Reacher kiwnął głową.

– Przykro mi. To okropne. Wypadek?

– Nie.

– Zaraz. Czy to znaczy... Przecież nie mogła...

– Skoczyć? Nie.

– Została zamordowana? Straszne. Mówiłam jej, żeby nie przeprowadzała się do Missisipi. Tam mieszkają wariaci.

– To się zdarzyło tutaj. W Gerrardsville.

– Nie. Nie wierzę. Kiedy?

– Wczoraj.

– Co Angela robiła wczoraj w Gerrardsville?

– Policja przypuszcza, że przyjechała spotkać się z Samem.

– Po co? Pomagał jej przy problemach rachunkowych, ale przez telefon. Albo mailowo. Nie musiała przyjeżdżać aż tutaj.

– Policja podejrzewa, że coś między nimi było.

– Co?! W sensie uczuciowym?

Reacher skinął głową.

Hannah pokręciła swoją.

– Nie ma takiej możliwości.

– Na pewno?

– Na tysiąc procent. Po pierwsze, jeśli Sam zainteresowałby się kimś, na pewno by mi powiedział. A po drugie, gdyby chciał przeżyć romans, to bardziej przypadłbyś mu do gustu ty niż Angela.

– Było o tym wiadomo?

– Pracował w więzieniu. Odkąd skończył osiemnaście lat. Trzydzieści lat temu nie rozgłaszało się tego wszystkim dookoła. W każdym razie w tym środowisku.

– Z tego powodu się rozwiedliście?

– Nie, dlatego się pobraliśmy. W tamtych czasach świat wyglądał inaczej. Dla niego i dla mnie. Pracowaliśmy razem... w pewnym sensie. Był funkcjonariuszem straży więziennej. A ja pracowałam w organizacji, która pomaga byłym skazańcom przystosować się do normalnego życia. Do dzisiaj okazjonalnie z nimi współpracuję. To było logiczne rozwiązanie. Ale stopniowo nastawienie do gejów się zmieniło. Na lepsze. Tak nam się przynajmniej wydawało.

– Rozumiem. Ale jest coś dziwnego. Widziałem mnóstwo maili, które pisali do siebie Sam i Angela. Przez wiele tygodni. W ostatnim umówili się na wczoraj.

Hannah wyprostowała się na stołku.

– Włamałaś się na konto mailowe Sama?

– Nie. Widziałem wydruki. Pochodziły od pracodawcy Angeli.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Sam wczoraj nie szedł do pracy, nie wypadła jego zmiana. Wspominał, że zamierza wyjść z domu. Jeżeli Angela przyjechała do Gerrardsville, to niewykluczone, że chcieli się spotkać. Ale nie w męsko-damskich celach. Możesz mi wierzyć.

– W takim razie skąd te maile, które widziałem?

– Może ktoś udawał w internecie Sama, żeby zwabić tu Angelę... jeżeli chciał ją zabić? Pedofile stale robią takie numery. W każdym razie z dziećmi. A Angela już znała Sama. Ufała mu. Łatwiej było go wykorzystać, żeby ją oszukać, niż wymyślać nową tożsamość.

– Teoretycznie racja, ale nie. To Angela wszystko zaczęła. Powiedziała, że chce rozpalić na nowo dawną namiętność.

– Ale żadnej namiętności nie było. Nie mogło być.

– Może ten problem rachunkowy, który próbowali rozwiązać, był poważniejszy, niż Sam przyznawał. Może umówili się po to, żeby o tym pogadać. Angela miała zabrać jakieś dokumenty, żeby mu pokazać. Albo inne dowody. Ale ktoś się dowiedział. Postanowił ich powstrzymać. I zamienił ich prawdziwe maile na fałszywe.

– Kto mógłby zrobić coś takiego?

– Współpracownik, który ma lekkie ręce. Szef, który daje łapówki. Dostawca, który kantuje pracodawcę Angeli. Kandydatów jest mnóstwo.

– No dobrze. – Hannah wzruszyła ramionami. – Ale prokurowanie fałszywych maili? Po co ktoś miałby sobie robić tyle kłopotu? Dlaczego po prostu nie skasował prawdziwych?

– Żeby chronić własny tyłek. W ostatnim fałszywym mailu Angela sugeruje, że jeżeli Sam do niej nie wróci, ona popełni samobójstwo. Człowiek, który ją zabił, zrobił to tak, że wyglądało, jakby rzuciła się pod autobus. Kiedy dodamy te dwie rzeczy, policja nie ma powodu szukać czegoś więcej.

– Gdyby Sam nie dostał zawału, pewnie spotkałby się z Angelą. Zaczekałby chwilę. Gdyby się nie pojawiła i potem dowiedziałyby się, że popełniła samobójstwo, co by zrobił? Pomyślał, że stres wywołany tą sprawą okazał się silniejszy? Być może.

– Hannah, czy ostatnio zauważyłaś, że ktoś się tu kręci? Ktoś nieznajomy? W niedzielę, może w poniedziałek? Jakiś samochód?

– Zaraz. Ciągle zastanawiam się nad tą teorią. Tak rzeczywiście mogło być. Pod warunkiem, że Sam uwierzyłby w samobójstwo Angeli. To kluczowe założenie, bo nie zobaczyłby żadnych dowodów, które przywiozła. I nic nie wiedziałby o podrabianych mailach, bo nie zobaczyłby ich w swoim komputerze. Nie mogły się pojawić, bo przecież by zdębiał.

– Mógł nie zobaczyć fałszywych maili, ale co z prawdziwymi? Co się z nimi stało?

– Pewnie ciągle są w jego komputerze.

– Masz klucz do jego mieszkania?

– Jasne. Ale po co ci on?

Reacher wstał.

– Muszę zobaczyć ten komputer. Natychmiast.

16

Hannah drżącą dłonią próbowała wsunąć klucz do zamka w drzwiach mieszkania Rotha.

– Przepraszam – powiedziała. – Pierwszy raz tu jestem, odkąd...

– W porządku – odparł Reacher. – Nie musisz wchodzić do środka.

– Nie. – Na moment przymknęła oczy. Głęboko zaczerpnęła tchu. – Dam radę. Dla Sama. Jeżeli jego przyjaciółka została zamordowana, nie chciałby, żeby ludzie wierzyli w wersję o jej samobójstwie. Angela ma... miała dziecko. A Sam był strażnikiem w więzieniu. Nie podobałoby mu się, że zabójca jest na wolności.

Główne pomieszczenie w mieszkaniu Rotha miało taki sam układ jak u Hannah. Ten sam rodzaj mebli, tyle że starszych o mniej więcej dziesięć lat, trochę bardziej sfatygowanych, mniej kolorowych. Nie było telewizora, a górną półkę jednego regału zajmowały oprawione w ramki fotografie. Reacher czuł dolatujący skądś zapach kadzidła i natychmiast, jak zawsze podczas przeszukania domu zmarłego, przebiegł mu po plecach nieprzyjemny dreszcz wywołany wrażeniem, że jest tu intruzem.

Hannah ruszyła w stronę łukowego przejścia po stronie aneksu kuchennego, ale gdy zbliżyła się do regału, przystanęła. Spojrzała na zdjęcia. Na wszystkich była ona. Składały się na całą serię. Na każdym miała na sobie to samo białe kimono do judo czy karate. Na pierwszej fotografii z białym pasem. Na ostatniej z brązowym. Wyciągnęła rękę i jedno po drugim położyła wszystkie zdjęcia wierzchem do dołu.

– Nie wierzę, że je zachował – powiedziała. – Wiedział, że ich nie znoszę. – Pociągnęła nosem i otarła łzę z policzka.

– Trenujesz jeszcze? – zapytał Reacher.

Pokręciła głową.

– Nie bardzo. Odkąd przeprowadziłam się do mieszkania obok, nie zdobyłam już wyższego stopnia. Zaczęłam tylko po to, żebyśmy razem mogli chodzić z Samem na treningi. Ćwiczenie jest strasznie nudne. Ciągle mnie męczył, żebym znowu zaczęła się starać.

W kącie oka błysnęła następna łza. Hannah powstrzymała płacz i ruszyła dalej. Przez łukowe przejście. Na łamane schody prowadzące na piętro, gdzie było troje drzwi. Pierwsze były uchylone. Hannah otworzyła je na oścież i weszli do sypialni Rotha. Pokój był niewielki. Uporządkowany. Bezosobowy. Łóżko pościelone. Nigdzie nie wałały się żadne ubrania. Na podłodze nie było butów. Na ścianach obrazów. Na szafce nocnej leżała książka i stała szklanka wody. Okna przysłaniały opuszczone rolety. Lustrzane drzwi szafy były zamknięte. W przeciwległym kącie stało niewielkie biurko z metalu i drewna. Wyglądało, jakby można je było złożyć, gdy nie było potrzebne. Nie stało przy nim żadne krzesło.

– Niewielka ta powierzchnia biurowa. – Hannah zdjęła z biurka srebrny laptop i położyła na łóżku. – W pokoju obok jest pełno ciężarków i sprzętu do ćwiczeń. To było dla niego ważniejsze.

Uruchomiła komputer i zaczęła stukać w klawiaturę i przesuwać palcem po touchpadzie. Parę minut później obróciła ekran w stronę Reachera.

– Dziwne – powiedziała. – Nie ma maili od Angeli. Jest masa wiadomości od innych. I spamu, którego się nie pozbył. Ale od niej nic. Nawet sprzed lat. Nie ma nic w skrzynce odbiorczej. W żadnym innym folderze. Ani w koszu. Co jest szczególnie dziwne, bo Sam tak ustawił pocztę, żeby usunięte wiadomości zostawały w koszu przez tydzień. Właśnie sprawdziłam.

– Są jakieś maile od Danny’ego Peela?

Hannah przez następną minutę klikała, stukała w klawisze i przesuwała palec po touchpadzie, wreszcie kiwnęła głową.

– Kilka. W większości sprzed przeprowadzki Danny’ego.

– No to co się stało z mailami od Angeli?

– Sam pewnie znalazł sposób, żeby je trwale usunąć. Błyskawicznie. Tylko nie rozumiem po co.

– Czy jakiś ekspert mógłby je odzyskać?

– Być może. Nie wiem.

– Można z całą pewnością stwierdzić, że to Sam je usunął?

– Nikt inny nie miał dostępu do jego komputera. Nigdy go stąd nie wynosił. To laptop, ale Sam kupił go tylko dlatego, że jest mały. Nie po to, żeby go nosić.

– Czy te maile mogły zostać usunięte zdalnie?

– Nie wiem. Nie jestem ekspertką. Pewnie mogły być skasowane zdalnie z głównego serwera. Ale po tym, jak znalazły się w jego komputerze? Może jakiś zdolny haker potrafiłby to zrobić. Ale chyba nie zwykły użytkownik.

– Zauważyłaś, czy w ciągu kilku ostatnich dni ktoś kręcił się w pobliżu budynku? Zwróciłaś uwagę na przykład na nieznany samochód?

– Dlaczego znowu o to pytasz? Myślisz, że po śmierci Sama ktoś się tu włamał i wyczyścił mu komputer?

Reacher nie odpowiedział.

– Ach. – Hannah wolno zamknęła laptop. – Nie. Myślisz, że on został zamordowany? Jak Angela? Niemożliwe.

– Angela została zamordowana, gdy w tajemnicy szła na spotkanie z Samem. Prawdopodobnie miała przy sobie kluczowe dowody, które chciała mu pokazać. Nawet gdyby Sam uwierzył w jej samobójstwo, widział maile od Angeli. Wiedział, że coś się dzieje. Wiedział, jakie materiały miała mu przywieźć. Czyli uznano go za następnego do odstrzału.

– Nie. Na sto procent umarł z przyczyn naturalnych. Pamiętaj, że go widziałam. Znalazłam go.

– Zawały serca można sfingować. Są różne środki. Chemiczne.

– Nie w tym przypadku. Wiesz, co było naprawdę smutne? Gdy go zobaczyłam, nie byłam nawet zaskoczona.

– Słyszałem, że zdrowie mu dopisywało. Harewood mówił, że miał same mięśnie.

– Tak, dużo ćwiczył. Właściwie za dużo. W ten sposób radził sobie ze stresem. Ale czy był zdrowy? Nie za bardzo.

– Był zestresowany?

– Miał stresującą pracę.

– Pracował w tym zawodzie od trzydziestu lat.

– Stres stał się większy.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Miał nowego szefa? Redukowano personel? Coś mu zarzucano?

– Nic z tych rzeczy. Po prostu... miał kłopoty. Nic nie mówił, ale znam go... znałam. Rozpoznawałam znaki. Źle się odżywiał. Nie dosypiał. Za dużo ćwiczył. Narzucił sobie za ostre tempo. Powinam zrobić więcej, żeby mu pomóc. Zawał wisiał w powietrzu, a ja o tym wiedziałam.

– Czyli był zestresowany. Bardziej niż zwykle. Ale jak to mogło doprowadzić do zniknięcia wiadomości od Angeli?

– Może rzeczywiście ktoś to zrobił zdalnie. – Hannah milczała przez chwilę i nagle zmarszczyła czoło. – Zaraz. W poniedziałek Sam był u mnie na kolacji. Próbowałam go namówić, żeby zjadł więcej. Bez skutku. Trochę podziobał jedzenie, a potem pognął do siebie. Żeby poćwiczyć. Znowu. Zresztą ostatnio nie robił nic innego. Nie podobało mi się to, ale jak zawsze pocałowałam go na dobranoc. W drzwiach. I wydaje mi się, że po drugiej stronie widziałam jakiś samochód. Tak, pamiętam, pomyślałam, że to chyba uber na kogoś czeka, chociaż to trochę dziwne, bo miał zgaszone światła.

– Jakiego koloru to był samochód?

– Ciemny. Chyba czarny.

– Marka? Model?

– Nie jestem pewna. Nie widziałam za dobrze, bo wóz Sama trochę go zasłaniał.

Reacher zastanawiał się przez chwilę. Tego dnia rano nie padało. Poprzedni dzień też był bezdeszczowy. Poniedziałkowy wieczór pozostawał jednak niewiadomą. W ciągu dnia, gdy wchodził do miasta, było ładnie. Ale wieczór spędził z Alexandrą. W jej mieszkaniu. Pogoda była ostatnią rzeczą, na jaką zwracał uwagę. Mimo to, jeżeli jakiś pojazd parkował nawet krótko, mógł zostawić ślad. Warto było sprawdzić.

– Chodźmy – powiedział. – Pokaż mi, gdzie czekał ten samochód.

• • •

Gdy Reacher wyszedł z Hannah na zewnątrz, słońce stało wysoko. Było ciepło i jasno, w powietrzu unosił się słodki aromat roślin kwitnących w donicach przed budynkami. Prawie nigdzie cienia. Ziemia sucha jak pieprz. Przysypana pyłem. Trudno było dostrzec w nim ślady stóp. Czy opon. Nie było szans, by pozostały.

Hannah szła dalej w stronę przeciwległej ściany. Zatrzymała się przy miejscu, gdzie z ceglanego muru wystawała rura. Plastikowa, o średnicy niecałych dziesięciu centymetrów, biegnąca pionowo w dół i znikająca w ziemi. Kanalizacyjna, domyślił się Reacher. Z pralni, kuchni albo łazienki.

– Samochód stał właśnie w tym miejscu – poinformowała go Hannah. – Przy rurze. Po tej stronie. Tyłem do drzwi Sama. Jeżeli ktoś siedział w środku, nie mógł obserwować jego mieszkania.

Reacher zrównał się z nią. Samochody mają lusterka, myślał. A facet, który wepchnął Angelę pod autobus, był doświadczony. Podobnie jak jego kumpel kierowca. I tamci dwaj, z którymi Reacher spotkał się w Ananasiu. Czyli wszyscy zdawali sobie sprawę, jak cenna jest dyskrecja. Reacher chciał o tym wspomnieć,

gdy zauważył coś na ziemi w pobliżu stóp Hannah. Plamę trochę ciemniejszą od ziemi dookoła. Niewiele. Tylko ćwierć tonu. Ale wyraźnie różniącą się od otoczenia. Zaczynała się u podstawy rury, rozchodziła się półkolem o średnicy niemal metra i blakła w miarę oddalania się od środka. Przyczyną musiał być przeciek z kanalizacji. Niewielki. Zbyt skąpy, by zamienić ziemię w błoto. Nie wydzielał paskudnego smrodu ani nie zalatywał chemikaliami. Nic takiego, co wymagałoby pilnej naprawy.

Kucnął i uważniej przyjrzał się wilgotnemu fragmentowi ziemi. Był w zasadzie płaski, choć nie idealnie. Gładkość powierzchni coś zaburzyło. Prawdopodobnie żwir i piasek naniesione przez wiatr. Ale obok wypukłości i zagłębień pochodzenia naturalnego Reacher dostrzegł pasek bardziej regularnych kształtów. Niezbyt wyraźny, ale na pewno widoczny. Wzór bieżnika opony. Szerokiej, wskazującej na sedana ze sporym silnikiem.

– Mogłabyś to sfotografować? – Reacher wskazał na odcisk.

Hannah wyjęła telefon i pstryknęła kilkanaście zdjęć.

– Naprawdę przypuszczasz, że ktoś nas obserwował?

– Za wcześnie, żeby dało się coś powiedzieć.

Nagle mimo ciepła Hannah zadrżała.

– Boże, widziałam ich. W każdym razie ich samochód. A jeżeli oni... to znaczy... biedny Sam.

– Powinnaś spędzić kilka nocy poza domem. Masz w pobliżu rodzinę? Przyjaciół?

– Nie, jestem sama. Pojadę do hotelu.

– Najlepiej w innym mieście.

– To chyba dla mnie za dużo. – Hannah westchnęła. – Nie. Wcale nie. Poradzę sobie. Lepiej pójdę po parę rzeczy. Co zamierzasz zrobić?

– Pogadać z Harewoodem. Poprosić go, żeby przysłał tu techników.

Zrobiła krok w stronę swojego mieszkania i przystanęła.

– Niech to szlag. Popatrz.

– Na co?

– Na jego skrzynkę na listy. – Wskazała skrzynkę na słupku przy miejscu parkingowym Sama. Prostą konstrukcję ze sprasowanej do odpowiedniego kształtu blachy falistej, pomalowaną na czerwono jak jego samochód.

– Coś z nią nie tak?

– Nie jest do końca zamknięta.

Hannah miała rację. Klapka skrzynki była odrobinę uchylona.

– On tego nie znosił. – Podeszła do skrzynki. – Lubił, jak jest porządnie zamknięta. Ciągłe sztorcował listonosza, kiedy nie robił tego, jak trzeba. – Hannah mocno uderzyła w przód skrzynki otwartą dłonią i klapka ze stukiem wskoczyła na miejsce. Ale po chwili ją otworzyła. – Chyba powinnam zobaczyć, co przyszło. To może być coś ważnego.

Sięgnęła do środka i wyjęła kartkę. Bez koperty, złożoną na trzy części. Zerknęła na Reachera i rozłożyła arkusz. Rozprostowała. Przeczytała. Potem bezwiednie rozchyliła usta, a kartka wysunęła się jej z dłoni i sfrunęła na ziemię. Reacher podniósł ją. Zobaczył, że nie jest zaadresowana. Ani podpisana. Były na niej tylko cztery linijki wydrukowanego tekstu:

Park Wiles, godzina 13, środa. Ławka pod drzewem. Przynieś dowód.

Jeżeli nie posłuchasz, twoja sąsiadka przed zachodem słońca znajdzie się w szpitalu.

Oddał jej kartkę.

– Gdzie jest park Wiles? – spytał.

– Niedaleko centrum miasta. – Głos Hannah brzmiał słabo i głucho. – Jakies piętnaście minut drogi stąd. Szybkim krokiem.

W liście była mowa o godzinie trzynastej. Zegar w głowie Reachera mówił mu, że ma tylko dziesięć minut, by dotrzeć na miejsce.

Harewood i jego technicy będą musieli zaczekać.

Niebo stopniowo się rozjaśniało, a autobus Greyhouna nadal z dudnieniem i łomotem toczył się na wschód. Pokonał resztę Arizony, przeciął na ukos róg Nowego Meksyku i wjechał do Teksasu. Z każdym kilometrem Jed Starmer coraz bardziej przyzwyczajał się do odgłosów wydawanych przez pojazd. Coraz mniej mu przeszkadzały. A jednocześnie dzięki długim godzinom snu był coraz mniej zmęczony, więc jeden efekt równoważył drugi, co oznaczało, że gdy autobus zrobił postój w El Paso, Jed potrzebował tyle samo czasu co w Phoenix, by się obudzić.

Oprzytomniał, rozejrzał się i zobaczył tablicę z nazwą dworca. Zerknął na zegarek. Przyjechali co do minuty zgodnie z rozkładem. Czyli mieli spędzić w El Paso godzinę i pięć minut. Było południe, a następna dłuższa przerwa w podróży czekała go dopiero w Dallas nad ranem. Dlatego rozsądek podpowiadał, żeby wsiąść i znaleźć coś do jedzenia. Jed umierał z głodu, czuł jednak, że ma więcej energii niż wtedy, kiedy obudził się poprzednim razem. Przesunął się na fotel bliżej środkowego przejścia. Część pasażerów była już na zewnątrz i krążyła po dworcu. Zaczekał, aż minie go para starszych ludzi, po czym wstał i ruszył w stronę wyjścia. Nagle przystanął. Nie było plecaka. Nie miał go na kolanach. Nie przyciskał go do siebie. Nie chciał przecież wyglądać jak małe dziecko. Dlatego odłożył go na siedzenie obok. Zanim zasnął. Teraz jednak fotel był pusty. Plecaka nie było na podłodze. Ani na półce na bagaż. Nigdzie. Zniknął.

Jed przypomniał sobie chłopaka z dworca autobusowego w Los Angeles. Tego o wyglądzie surfera, który znalazł jego upuszczony bilet. Chłopak go ostrzegął.

Radził mu nie wypuszczać bagażu z rąk. Zakładać paski plecaka na rękę, kiedy spał. Jed powinien go posłuchać. Powinien...

Nagle dostrzegł swój plecak. Na zewnątrz. Niósł go jakiś chłopak. Szedł szybkim krokiem przez halę dworca między stanowiskami. Był już prawie przy wyjściu. Jed rzucił się biegiem przez środkowe przejście, ale zaraz musiał zwolnić. Prawie się zatrzymać, bo drogę blokowali mu starsi państwo. Człapali. Wlekli się. Jakby przeprowadzali doświadczenie, jak wolno może się przemieszczać człowiek, żeby stopy nie wrosły w podłogę. Jed deptał im po piętach, dopóki nie dotarli do drzwi i nie wysiedli. Wskoczył z autobusu. Pobiegł w stronę wyjścia z dworca. Nigdzie nie było śladu chłopaka z jego plecakiem. Nagle go dostrzegł. Przez szybę samochodu. Taksówki. Chłopak siedział rozparty z tyłu. Tulił do siebie plecak, którego klapa była przyciśnięta do szyby.

Taksówka była w odległości dwudziestu metrów. Jed pobiegł w jej stronę. Machał ręką. Krzyknął. Samochód przyspieszył. Jed wrzasnął, biegnąc za nim. Ale taksówka jechała coraz szybciej i szybciej, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Jed został na chodniku, zgięty w pół, bez tchu. Sam w obcym mieście, setki kilometrów od jedyne miejsce, które kiedykolwiek nazywał domem. Wszystkie jego doczesne dobra zniknęły. Marzenie o nowym życiu legło w gruzach. Łzy zamgłyły mu oczy. Wsunął dłoń do przedniej kieszeni i zaczął szukać palcami monet. Gdyby znalazł ćwierćdolarówkę, mógłby zadzwonić do matki zastępczej. I błagać ją, żeby po niego przyjechała. Zabrała go z powrotem. Uratowała.

Mógłby to zrobić.

Ale czy matka zastępcza odebrałaby telefon, to już całkiem inna sprawa.

• • •

Graeber i czterech pozostałych czekali od godziny, gdy Emerson pojawił się w magazynie w Chicago. Tamci czterej byli zaskoczeni. Emerson raczej nigdy się nie spóźniał. Ale to nie były normalne okoliczności. Graeber częściowo naświetlił

im sytuację. Nie powiedział wszystkiego, bo szef cenił sobie prywatność. Nie chciałby, by publicznie prano jego rodzinne brudy. A Graeber był ambitny. Wolał nie podkopywać swojej uprzywilejowanej pozycji w organizacji, więc trzymał się najistotniejszych kwestii. Ujawnił tyle, by pozostali nie zadawali zbyt wielu pytań, ale też żeby nie zdenerwowali się i nie wyszli.

Gdy Emerson wrócił do domu, jego żona szalała bardziej, niż się spodziewał. Od momentu, gdy pojawił się w drzwiach, wrzeszczała na niego. Lamentowała i tłukła go pięściami w pierś. Rzucała różnymi przedmiotami. Obwiniła go o to, co spotkało Kyle'a. O to, że terapia okazała się nieskuteczna. Wydało mu się to niesprawiedliwe. Zupełnie niesprawiedliwe. Przecież nie wlewał Kyle'owi alkoholu do gardła. Nie skręcał mu jointów ani nie napełniał strzykawek Bóg wie czym. Próbował tylko poprawić chłopakowi samopoczucie. Nie szczczędząc wydatków. I ponosząc niemałe ryzyko.

Musiał się bardzo starać, by nie stracić cierpliwości podczas ataku szału żony. Chciał zrozumieć, co się dzieje, musiał więc poczekać, aż w końcu xanax zacznie działać.

• • •

Emerson usiadł u szczytu wysłużonego starego stołu i poświęcił chwilę na to, by się opanować.

– Dziękuję, że przyszliście – powiedział. – Przede wszystkim powinniście wiedzieć, że to nie jest zwykła robota. Nie zlecenie. To sprawa osobista. Dla mnie. Jeżeli więc ktoś woli się z niej wypisać, może wyjść. Nie będę miał tego za złe. Nie będzie żadnych konsekwencji. Macie moje słowo.

Nikt się nie ruszył.

– Doskonale. – Emerson pokiwał głową. – Plan, jeżeli można go tak nazwać, jest taki. Mamy dwa znane punkty kontaktowe tych bydlaków. Po pierwsze, wiemy, kto firmuje ich swoim nazwiskiem. Graeber i ja złożymy mu wizytę. Spróbujemy

mu rozwiązać język. Przekonać go, żeby podzielił się z nami szczegółami ich operacji. Po drugie, mają statek, który stoi jakieś dwadzieścia kilometrów od wybrzeża New Jersey. Nigdzie nie popłynie. Nie może. Ich najważniejsi ludzie pewnie są na pokładzie. Myślą, że są tam bezpieczni, i tam trzymają cały sprzęt i zapasy. Co na razie nam odpowiada. Dopóki żaden z nich się nie wymknie. Reszta z was uda się właśnie tam. Przyjaciół użyjemy nam samolotu. Zabierzecie podstawowy zestaw. W tej robocie finezja nie będzie potrzebna. Zaczniecie od obserwacji z brzegu. Między statkiem a nabrzeżem kursuje tylko jedna mała łódka. Jeżeli ktoś będzie próbował stamtąd zwać, zatrzymacie go. Jeżeli to będą klienci, puście ich. Może wcześniej trochę nastraszyć. Żeby wiedzieli, że nie powinni wracać. A jeżeli to nie będą klienci, zatrzymajcie ich. Nie musicie być delikatni. Tylko postarajcie się, żeby jeszcze żyli, kiedy przyjadę.

• • •

Park Wiles nosi niewłaściwą nazwę, pomyślał Reacher. Powinien się nazywać plac Wiles. Bo tym właśnie był. Placem. Zresztą całkiem ładnym. Dołożono pewnych starań, żeby ludzie chcieli tu przychodzić. To było widać. Otaczały go urocze sklepiki, kawiarnie i restauracje ze stylowymi ogródkami na zewnątrz. Pośrodku stała fontanna, prawdopodobnie wzorowana na jakiejś z francuskiego zamku, działająca na jedną czwartą mocy, przypuszczalnie z powodu kłopotów z zaopatrzeniem w wodę. Między małymi żywopłotami, przyszytych w skomplikowane geometryczne kształty, zasadzono kwiaty w różnych kolorach. No i stały tu ławki. Zrobione z polerowanego betonu i ustawione w szerokim kręgu jak liczby na tarczy zegara. Było ich dwanaście. Ale tylko jedna stała w pobliżu drzewa, jak wspomniano w wiadomości znalezionej w skrzynce na listy Rotha.

Reacher kupił kawę na wynos w wyglądającej najmniej pretensjonalnie kawiarni przy placu i wolnym krokiem podszedł do ławki obok drzewa. Była za dziesięć pierwsza. Usiadł na samym środku i czekał.

• • •

Za pięć pierwsza zza fontanny wyłonił się jakiś facet. Barczysty, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, w dżinsach i białym T-shircie z logo Rolling Stonesów. Miał ostrzyżone do skóry włosy i twarz przysłoniętą czarnymi sportowymi okularami przeciwsłonecznymi. Przystanął w połowie odległości do ławki Reachera, skrzywił się niezadowolony, po czym podszedł bliżej.

– Rusz się – burknął.

Reacher uniósł lewą dłoń i poruszył palcami.

– Masz na myśli coś takiego?

Grymas na twarzy nieznajomego się pogłębił.

– Zjeżdżaj z tej ławki, młocie.

– Dlaczego? Jest twoja?

– Jest mi potrzebna. Spadaj.

– Masz jeszcze jedenaście. Skorzystaj z innej.

– Potrzebuję akurat tej. Nie będę powtarzał. Rusz się.

Reacher siedział jak gdyby nigdy nic. Nie odzywał się.

Facet nachylił się bliżej.

– Nie słyszałeś?

– Słyszałem bardzo dobrze. Powiedziałaś, że nie będziesz już powtarzał, żebym się ruszył. Uznałem, że się rozmyśliłaś. Jeżeli potrafisz myśleć.

– Lepiej uważaj na to, co mówisz. Zaczynasz mnie wkurzać.

– A jak nie będę uważać? Co na to poradzisz?

Mężczyzna się odwrócił. Zacisnął dłonie w pięści, ale zaraz je rozluźnił. Nabrał powietrza do płuc. I odwrócił się z powrotem do Reachera.

– Słuchaj, umówiłem się z kimś właśnie na tej ławce. Za mniej więcej minutę. To bardzo ważne. Dlatego będę wdzięczny, jeżeli przeniesiesz się na inną ławkę.

– Umówiłeś się z Samem Rothem – powiedział Reacher.

Tamten znowu się skrzywił.

– Skąd wiesz?

– I nie spotkasz się z Rothem. Już nie. Spotykasz się ze mną.

– Co jest? O co tu chodzi?

– Zmieniło się stanowisko negocjacyjne. – Reacher poklepał gładki beton obok siebie. – Usiądź. Pogadajmy. Może dojdziemy do rozwiązania, które zadowoli wszystkich.

– Masz wydruk?

– Niedaleko. Mogę po niego iść. Jeżeli uzgodnimy warunki.

Facet wahał się przez chwilę, a potem powoli usiadł na ławce. Na samym brzeżku betonowej płyty, jak najdalej od Reachera.

– Musimy to zobaczyć – powiedział. – Sprawdzić, czy Roth rzeczywiście zmienił grafik, tak jak mu kazaliśmy.

Reacher dostrzegł jakiś ruch przy fontannie. Wyłonił się zza niej mężczyzna. Mniej więcej tego samego wzrostu co ten, który siedział teraz obok niego. Wyglądał wprawdzie na trochę potężniej zbudowanego, ale nosił takie same ciemne okulary i podobne ubranie, chociaż jego koszulka była bez nadruku i miała długie rękawy. Zrobił krok naprzód, zatrzymał się i z teatralną przesadą wzruszył ramionami. Pierwszy też wzruszył ramionami, a potem przywołał go gestem.

• • •

Nowy facet pomaszerował w kierunku ławki i zatrzymał się przed nią. Miał czerwoną twarz, a na czole nabrzmiała żyła. Zmierzył kumpla wściekłym spojrzeniem.

– Co ty robisz z tym palantem? Mamy sprawę do załatwienia.

– Spokojnie. Siadaj. Przyszedł zamiast Rotha.

Nowy dalej stał nad nimi.

– Akurat! Umowa była inna.

– Umowa się zmieniła – odezwał się Reacher. – Chcecie, żeby przerobić grafik?

– Przecież wiesz.

– Pan Roth nie jest już przekonany, czy zmiana grafiku jest konieczna. Od was zależy, czy zmienię zdanie.

– Zwariowałeś? – warknął ten nowy.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób. Może jestem trochę ekscentryczny. Ale nie mnie to oceniać. – Reacher poklepał beton po drugiej stronie. – Siadaj.

– Jeśli nie ty, to pewnie Roth ześwirował. – Nowy usiadł. – Bo jeżeli wycieknie to, co mamy, będzie skończony. Może się pożegnać z robotą. Dobrze o tym wie.

– To, co macie, jest naciągane.

– No i co z tego? Jest wiarygodne. Kiedy to wyjdzie na jaw, na pewno wezmą go pod lupę. I nieważne, co znajdą. Coś. Nic. Wszystko jedno. Smród zawsze zostanie. Zawali mu się cała kariera.

– Może go to nie obchodzi. Jest gotowy na nowe wyzwanie.

– Obchodzi go.

– Tak?

– Blefujesz.

– Naprawdę?

– Tak czy inaczej – wtrącił pierwszy – mamy zabezpieczenie. Na wypadek gdyby okazał się za głupi i nie chciał współpracować.

– Masz na myśli groźbę pod adresem jego byłej żony?

Pierwszy skinął głową.

– Wypadki się zdarzają. W domach wybuchają pożary. W elektrycznych samochodach też. Czasem z właścicielami w środku.

– Nie przepadam za bydlakami, którzy grożą niewinnym ludziom – oznajmił Reacher. – Powinienem wam za to połamać nogi.

Facet się nadał.

– Raczej my połamalibyśmy tobie.

– Naprawdę? – odparł Reacher.

• • •

Świadek zeznałby, że facet spadł z ławki. Po prostu zwalił się z niej na bok, wylądował na ziemi i leżał tam bez ruchu, ze zgiętymi nogami i rękami przy bokach. Zeznałby, że Reacher w ogóle się nie poruszył. A jeżeli już, to tylko z powodu jakiegoś tiku. Bo to nie był umyślny ruch. Tylko chwilowy skurcz w lewej ręce.

Reacher odwrócił się do nowego.

– Etap negocjacji właśnie się zakończył. Nie będzie żadnych zmian w grafiku. Nie ujawnicie wymyślonych brudów na Rotha. I nie tkniecie palcem Hannah Hampton. Rozumiemy się?

Żyła na czole faceta znowu zaczęła pulsować.

– Nie wiem, jakie masz plany, kolego, ale lepiej je odwołaj. Wyjedź z miasta. I to szybko.

– I tak zamierzałem wyjechać. Ale znam kogoś, kto tu mieszka. I pracuje w policji. Obaj służyliśmy w wojsku. Jeżeli wycieknie jakieś kłamstwo na temat Rotha, powie mi o tym. Jeśli coś się stanie pani Hampton, też mi powie. Wróć. Znajdę was. I przeżyjecie najgorszy dzień swojego życia.

• • •

Świadek zeznałby, że potem stało się coś bardzo dziwnego. Drugi facet też spadł z ławki. Też wylądował na ziemi bokiem i leżał bezwładnie jak lustrzane odbicie swojego towarzysza z drugiej strony. Świadek zeznałby, że tym razem Reacher też się nie poruszył. Na pewno nie umyślnie. Chociaż wydawało się, że znowu chwycił go skurcz.

Tym razem w prawej ręce.

18

Jed Starmer stanął na skraju chodnika i wyciągnął z kieszeni garść bilonu. Miał trzy ćwierćdolarówki plus parę drobniejszych monet. W sumie ponad dwa dolary. Ale nie obchodziła go wysokość kwoty. Najważniejsze, że mógł zadzwonić. Mógł się wyrwać z kłopotów, w których się znalazł. A przynajmniej mógł spróbować.

Przypuszczał, że na dworcu Greyhounda są automaty telefoniczne, więc zawrócił. Z początku szedł szybkim krokiem, ale zwolnił i zaczął się rozglądać. Pościg za taksówką, do której wsiadł złodziej jego plecaka, pochłonął go do tego stopnia, że w ogóle nie zwracał uwagi na otoczenie. Szedł długą i płaską ulicą. Dworzec Greyhounda miał przed sobą, po prawej. Bliżej, naprzeciwko niego po lewej, stał dziwny budynek. Jasnożółty, o gładkich zaokrąglonych ścianach. Wysoki. Nie miał okien, a jego szczyt był ścięty pod ostrym kątem. Jed miał przed oczami wyższą stronę budynku, a dach opadał stromo w kierunku tyłu. Widok kojarzył mu się z ciastkiem albo mitrą, którą mógłby nosić biskup w filmie science fiction.

Podstawę otaczał pierścień rzeźb. Zrobione ze stali, przedstawiały łukowate, splecione ze sobą kształty, które lśniły w słońcu jak płomienie. Albo ostrza bułatów. Przypominały Jedowi pewne miejsce w Los Angeles. Wymyślną salę koncertową. Nigdy nie był w środku, ale budynek fascynował go z zewnątrz. Był wykończony błyszczącym metalem o powierzchni poskręcanej i zniekształconej, jakby się topiła. Jak gdyby właśnie znalazła się w środku lokalnej apokalipsy. Albo

była sennym majakiem. Albo oznaką, że Jed traci rozum. Budynek zawsze wydawał mu się trochę groźny. Jak wiele rzeczy w jego rodzinnym mieście.

Jeżeli Los Angeles nadal było jego rodzinnym miastem.

Schodki prowadziły na podwyższony dziedziniec oddzielający okrągły budynek od podobnego, niższego i szerszego. Jed wspinał się po nich. Przystanął na górze, a potem przeszedł na przeciwległą stronę. Był tam niski murek, który prawdopodobnie miał chronić pieszych przed upadkiem na ulicę w dole. Chłopak przysiadł na nim i ułożył monety w szeregu na szorstkiej betonowej powierzchni. Potem zabrał wszystkie oprócz ćwierćdolarówek. Trzy metalowe krążki. Zmatowiały ze starości. Starte od wielokrotnego dotyku. Niewinne przedmioty codziennego użytku. Ale zdolne rozstrzygnąć o jego przyszłości.

Jed musiał podjąć decyzję. Czy włożyć monety z powrotem do kieszeni. Czy wrzucić je do automatu telefonicznego.

Mógł dalej zmierzać naprzód. Albo się cofnąć.

Zacząć nowe życie. Albo wrócić do dawnego.

• • •

W tym samym momencie, gdy Jed zastanawiał się, co zrobić z ćwierćdolarówkami, na parkingu z boku dworca Greyhounda zatrzymał się radiowóz. Wsiadło z niego dwoje funkcjonariuszy. Oboje trzymali kopię fotografii. Policjantka weszła do budynku dworca. Przeszła przez całą halę, pokazując zdjęcie pasażerom, którzy jedli, kręcili się bez celu albo wracali z toalety. Jej kolega został na zewnątrz. W skupieniu przyglądał się ustawionym w szeregu autobusom. Szukał zwłaszcza jednego pojazdu. Tego, który niedawno przyjechał z Los Angeles.

• • •

W tym samym momencie, gdy policjanci przyjechali na dworzec Greyhounda w El Paso w Teksasie, na bocznej uliczce w pobliżu parku Wiles w Gerrardsville w Kolorado zatrzymał się samochód. Podstawowa wersja dodge'a chargera. Detektyw Harewood postawił włączonego koguta na desce rozdzielczej, wysiadł i podszedł do jedynej ławki na placu, która znajdowała się blisko drzewa. Przez chwilę stał i patrzył na Reachera. Następnie przeniósł wzrok na dwóch mężczyzn, którzy nadal leżeli na ziemi. I nadal się nie ruszali.

– Co się stało? – spytał Harewood.

Reacher wychylił resztkę kawy i odstawił kubek na ławkę.

– Upadli. Sami z siebie.

– Poważnie?

– Coś knuli. Chyba nie wytrzymali napięcia.

– A ty akurat tu byłeś, kiedy to się stało?

Wyjął z kieszeni kartkę i podał Harewoodowi.

– Zostawili to w skrzynce na listy u Sama Rotha.

– Powinieneś do mnie zadzwonić. Żebym ja się tym zajął.

– Pomyślałem, że ci dwaj mogą mieć związek z Angelą St. Vrain.

– A mieli?

– Nie.

Harewood zerknął na zegarek.

– Zadzwoniłeś przynajmniej po karetkę?

Reacher pokręcił głową.

– Próbowałem wezwać śmieciarkę. Nie udało się. Widocznie dzisiaj nie wywożą śmieci.

Detektyw wyjął telefon i wcisnął przycisk szybkiego wybierania numeru. Poleciał komuś sprowadzenie pomocy medycznej i wysłanie mundurowego, żeby pilnował tych dwóch w szpitalu. Potem usiał obok Reachera.

– No więc co takiego knuli ci faceci?

– Próbowali szantażować Rotha. Jego była żona powiedziała, że miał ostatnio w pracy dużo stresu. To wyjaśnia powód.

– Czego chcieli?

– Żeby wprowadził jakieś zmiany do grafiku pracy personelu. Pewnie po to, żeby pomóc im przemyścić coś do więzienia, w którym pracowali. Albo może pomóc komuś w ucieczce.

– Niech to szlag. Co mieli na Rotha?

– Nic konkretnego. Jakieś sfabrykowane bzdury. Sami się przyznali. Ale wystarczyłoby, żeby narobić mu kłopotów. Gdyby żył.

– Dojdę do tego.

– W to nie wątpię.

– Ustalę, o co tu chodzi, ale bądź ze mną szczery. Mówisz prawdę?

– O czym?

– Naprawdę myślałeś, że ci faceci mieli coś wspólnego z Angelą? Czy po prostu znalazłeś wiadomość i przyszedłeś tu szukać kłopotów? Bo ja nie widzę związku z Angelą.

– Okazało się, że go nie ma. Ich plan miał lokalny charakter. Był zupełnie niezależny. Ale pomyślałem tak: fakt numer jeden jest taki, że Angela nie była uczuciowo związana z Rothem. Kiedyś był jej szefem. Przyjechała, żeby jej pomógł.

– W czym?

– W jakimś problemie rachunkowym w jej pracy. Wymieniali maile. To następny fakt. A teraz przypuszczenia. Myślę, że Angela przyjechała do Gerrardsville, żeby pokazać coś Rothowi. Może dowody przestępstwa, które odkryła. Sądzę, że jej zabójcy dowiedzieli się o tym dopiero wtedy, gdy wyjechała z Missisipi. Dlatego upozorowali jej wypadek tutaj. Wiedzieli, gdzie będzie. I kiedy.

– To by wyjaśniało czas i miejsce. – Harewood pokazał na ziemię po obu stronach ławki. – Ale nie tłumaczy, dlaczego uznałeś, że ci dwaj mogą być w to

zamieszani.

– Tamtym nie wystarczyło, że powstrzymali Angelę przed pokazaniem dowodów Rothowi. Chcieli je zdobyć. Wszystko jedno, co to było. Dlatego ukradli jej torebkę.

– Skąd pewność, że dowody były w torebce Angeli?

Reacher nie odpowiedział.

Twarz Harewooda spochmurniała.

– Mogli przecież założyć, że przed wyjazdem z domu wysłała te rzeczy Rothowi pocztą.

– To byłoby sprytne posunięcie. Przesyłka jest bezpieczniejsza w US Mail Service niż w torebce. Zwłaszcza gdy siedzi ci na ogonie dwóch morderców.

– I sądziłeś, że to jest ten „dowód”, którego żądano w wiadomości?

– Na to liczyłem. Bo wtedy moglibyśmy złapać dwóch szeregowych żołnierzy. Dostalibyśmy się do wyższych poziomów hierarchii. I to by oznaczało, że Roth po prostu miał zawał serca.

Harewood przez chwilę milczał.

– Możesz szantażować tylko kogoś, o kim wiesz, że żyje. Nie człowieka, którego już zabiłeś. Wydaje mi się, że nawet nie znając dowodów od Angeli, Roth wiedział za dużo.

– Też tak sądzę.

– Skontaktuję się z lekarką sądową. Poproszę ją, żeby przeprowadziła testy na wszystkie znane substancje, które mogą wywołać zawał serca.

– Wyślij też do mieszkania Rotha komputerowców. Ktoś wyczyścił z jego laptopa wszystkie maile, które pisali do siebie z Angelą. Prawdziwe. Te, które dostarczył pracodawca Angeli, były fałszywe.

– Dobra.

– I sprawdź, czy na ziemi za budynkiem Rotha są ślady opon. Jego była żona chyba widziała samochód, który stał tam w poniedziałek wieczorem, przed jego śmiercią.

Harewood pokręcił głową.

– O co chodzi? – spytał Reacher. – Nie wierzysz jej?

– To nie to. Porucznik był już wściekły, że chcę prowadzić śledztwo w sprawie jednego zabójstwa. A teraz będę musiał mu powiedzieć, że mamy podejrzaną śmierć drugiej osoby.

– Możesz mu to trochę osłodzić. Powiesz mu, że wyjeżdżam z miasta.

– Naprawdę? Kiedy?

Reacher podniósł się z ławki.

– Właśnie teraz.

– Dlaczego? Już skończyłeś?

Uśmiechnął się.

– Dopiero zaczynam.

• • •

Jed Starmer siedział na murku tak długo, aż słońce przesunęło się na niebie i pograżyło leżące obok niego trzy ćwierćdolarówki w głębokim cieniu. Spojrzał na zegarek. Do planowego odjazdu autobusu zostało dziesięć minut. Nie mógł dłużej zwlekać. Pora podjąć decyzję.

Naprzód? Czy z powrotem?

Wsiąść? Czy zadzwonić?

Nie wiedział, które rozwiązanie wybrać. Panika chwyciła go za gardło. Czuł, że strach go dławi. Nie mógł oddychać. Ale tylko przez chwilę. Opanował przerażenie. Przecież pokonał już kawał drogi. Bez niczyjej pomocy. I nie potrzebował żadnych rzeczy. Gdyby pojechał dalej, byłby sam jeszcze przez dwa dni. Niecałe czterdzieści osiem godzin. Poradziłby sobie bez czystego ubrania na zmianę. Strata plecaka była drobną przeszkodą, ale nie katastrofą. Nie można jej

uznać za powód do kapitulacji. Wciąż miał szczoteczkę do zębów. I trzysta dolarów.

Jed wstał. Zgarnął monety i wrzucił do kieszeni. Brakowało mu czasu. Zamierzał kupić sobie coś do jedzenia. Umierał z głodu, ale posiłek będzie musiał poczekać. Co w pewnym sensie miało swoją dobrą stronę. Będzie mógł na dłużej zachować gotówkę. Dopóki nie dotrze do Dallas. Tyle czasu wytrzymać bez jedzenia. Był przyzwyczajony do głodu. Za to jedno mógł być wdzięczny matce zastępczej.

Zbiegł po schodach i pędem pokonał drogę powrotną na dworzec Greyhounda. Przemknął przez halę, omijając slalomem grupki przesuających się wolno pasażerów, ale zanim dotarł do wyjścia, przystanął. Dostrzegł automat z napojami. Pod ścianą na drugim końcu hali. Obok telefonów. Był upalny dzień. Do takiego upału nie był przyzwyczajony, a biegał w słońcu. Tymczasem w automacie był duży wybór.

Przeżycie bez jedzenia to jedna rzecz. Z wodą było jednak inaczej. Czytał, że jej niedobór może zrujnować zdrowie. Uszkodzić organy wewnętrzne. Wyrządzić trwałe szkody. Nie chciał rozpoczynać nowego życia słaby i schorowany. Z drugiej strony nie chciał się spóźnić na autobus. Drzwi zamykały się krótko przed godziną odjazdu. Widział to w Los Angeles, ze sto lat temu. Chociaż tak naprawdę wczoraj. Zerknął na zegarek. Uznał, że warto zaryzykować, i wyciągnął z kieszeni garść drobnych. Wrzucił monety jedną po drugiej do otworu i patrzył, jak liczba na elektronicznym wyświetlaczu zbliża się do wymaganej kwoty. Potem chwycił butelkę z dolnego okienka i popędził do autobusu.

Gdy wbiegł po schodach do środka, drzwi z sykiem się zasunęły, zanim zdążył zrobić dwa kroki środkowym przejściem. Zajął to samo miejsce co wcześniej. Oparł się o szybę. I nagle bez plecaka poczuł się bezbronny. Niczym nieosłonięty. Tęsknił za jego ciężarem na kolanach. Oddałby wszystko, żeby w tym momencie móc go przycisnąć do siebie. Wszystko jedno, czy wyglądał przez to jak mały dzieciak, czy nie.

– Hej, koleś!

Jed podskoczył. Ktoś usiadł na fotelu obok niego. Chłopak, trochę niechlujny, może osiemnastoletni. Jed go poznał. Jechał autobusem od samego Los Angeles. Siedział bardziej z tyłu. Jed myślał, że podróżuje w jakiejś większej grupie. Teraz nie był już tego taki pewien.

– No, co jest grane? – spytał chłopak.

– Nic – odparł Jed.

Chłopak nachylił się bliżej.

– Masz kłopoty?

– Ja? Nie. Dlaczego?

– Nie szuka cię policja?

Jed poczuł się, jakby wokół jego piersi zacisnął się stalowy pas. Serce zaczęło łomotać jak oszalałe.

– Policja? Pewnie, że nie. Po co miałyby mnie szukać?

– Nie bój się, możesz mi powiedzieć. To dlatego wsiadłeś w ostatniej chwili, nie? Czekales, aż gliniarze stąd wyjdą.

– Policja tu była? W autobusie?

Chłopak pokiwał głową.

– Nie wiedziałem. Po prostu... za wolno wracałem.

– Jasne. – Chłopak mrugnął. – Za wolno. Jarzę.

– No dobra, może policja tu była. Ale nie szukała mnie.

– Na pewno? Bo ten gliniarz miał zdjęcie. Stare. Sprzed co najmniej czterech czy pięciu lat. Ale gęba wyglądała jak twoja. Chyba nikt inny się nie połapał. Właśnie zmienił się kierowca, a ci staruszkowie są prawie ślepi, ale ja zobaczyłem.

Jed z trudem przełknął ślinę.

– I co powiedziałeś?

– Spoko. – Chłopak klepnął go po ramieniu. – Że w życiu cię nie widziałem.

– Dziękuję. – Jed wreszcie mógł odetchnąć.

– Nie ma sprawy. – Chłopak się zawahał. – Wiesz co? Mam pomysł. Może postawiłbyś mi śniadanie, co? Jak dojedziemy do Dallas?

– Śniadanie? – Jed pomyślał o swoim zapasie gotówki. Nie palił się do wydawania większej kwoty, niż to było absolutnie niezbędne. Potem pomyślał jednak, jak łatwo byłoby chłopakowi zadzwonić pod 911. Pewnie miał telefon. A jeżeli nawet nie, to przed Dallas było jeszcze siedem postojów. W miejscach, gdzie na pewno były automaty telefoniczne. Rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu.

– Jasne. Chętnie.

– Super. – Chłopak podniósł się i ruszył w stronę swojego miejsca. – Od takich długich podróży robię się strasznie głodny. Na razie...

19

Dwa tysiące kilometrów dalej, w Winson w stanie Missisipi, przyszła pora, by Curtis Riverdale wziął się do roboty.

Riverdale stanowił pewną anomalię w kadrze Minervy. Był niedobitkiem. Jego nietypowość polegała na tym, że zajmował swoje stanowisko w chwili, gdy korporacja przejmowała więzienie. Zgodnie z przyjętą metodą Minerva po nabyciu nowego zakładu karnego odstawiała urzędującego naczelnika na boczny tor. Przesuwała go na fasadowe stanowisko, tak że nie miał żadnego wpływu na los więzienia. Czekano, aż zostanie pokonany przez nudę i upokorzenie i znajdzie sobie pracę gdzie indziej. Gdyby próbował to przetrzymać, Minerva wyrzuciłaby go razem z jedną trzecią jego załogi.

Jak zwykle rozpoczęto tę procedurę. Ściągnięto sporą grupę nowych strażników. Sprawdzonych „ludzi Minervy” z innych należących do firmy placówek – kandydatów idealnych – by wpasowali się w miejsca po właśnie zwolnionych pracownikach. Równocześnie obsadzano nowego naczelnika. Wysokiego, chudego czterdziestolatka, który ubierał się jak bankowiec i mówił głosem spikera radiowego. Wykonywał wszystkie typowe posunięcia nowego szefa, by udowodnić, że nie wypadł sroce spod ogona. Nie zagrzał jednak miejsca w Winson. Ciągle chorował. Więcej czasu spędził w szpitalu niż w pracy. Po sześciu miesiącach nie dawał już rady. Odszedł. Podczas jego licznych nieobecności Riverdale skorzystał z okazji i wrócił do dawnych obowiązków. Okazał się nieocenionym pracownikiem. Elastycznym. Dyskretnym. Potrafił się

dostosować do metod działania Minery w sposób, jakiego Hix jeszcze nie zaobserwował u żadnego z naczelników odziedziczonych przez firmę.

Niektóre korporacje penitencjarne traktują biznes więzienny tak jak prowadzenie supermarketów. Przyświeca im naczelna zasada – sprzedawać dużo i tanio. Minerva taka jednak nie była. Od samego początku Hix i Brockman mieli inny pogląd na swoją działalność. Uważali się za kogoś w rodzaju poszukiwaczy złota na Dzikim Zachodzie. Mieli ten sam cel. Oddzielić złoto od ziemi. Tyle że nie używali łopat, wiader ani sit. Mieli własny system. Który opracowali sami. Udoskonalili go. Skorygowali. I używali do odsiewania potoku więźniów przysyłanych przez stany, z którymi podpisali umowę.

Proces rozpoczynał się od świeżo skazanych. „Narybku”. Prawnicy dokonywali oceny ich spraw. Księgowi sprawdzali ich sytuację finansową. Genealogowie tropili ich rodowody. Następnie przeprowadzano testy zdolności. Sprowadzano psychologów, by ocenili ich osobowość. Wybierano tych najodpowiedniejszych. Resztę wysyłano do lekarzy razem z innymi więźniami. Przeprowadzano im całą serię badań przesiewowych. W razie konieczności podejmowano leczenie. I gdy każda osoba została gruntownie przeanalizowana i zakwalifikowana, decydowano, do którego zakładu ją wysłać.

Więźniowie pierwszej kategorii mieli szanse na uchylenie wyroku skazującego, albo ze względów PR-owych, albo dla zysku. Rozsyłano ich w równych proporcjach do wszystkich placówek Minery. Ci z drugiej kategorii nie mieli szczególnych szans. I byli zdecydowanie najliczniejsi. Podstawowe źródło utrzymania firmy. Nieciekawe, ale konieczne. Większość należących do niej osób trafiała do starszych więzień Minery, ale część dla zachowania pozorów zamykano w Winson. Trzecia kategoria była mniejsza. Ciekawsza. I wszyscy kwalifikujący się do niej osadzeni lądowali w Winson. Czwarta kategoria była jeszcze mniej liczna. I niezbyt interesująca. Ale za to dochodowa. Często danego dnia kwalifikowała się do niej tylko jedna osoba. Czasami dwie. Czasami żadna.

Tego popołudnia znalazł się tylko jeden jedyny więzień z kategorii czwartej. Zakwaterowany zupełnie sam w oddziale S1. Oddziale izolacyjnym, który wciąż

był częściowo czynny. Dlatego od niego Riverdale zaczął obchód. Miał sporo spraw na głowie. Organizację personelu. Przygotowanie. Spakowanie. Dystrybucję. Musiał dbać, by cała skomplikowana operacja przebiegała gładko i bez zakłóceń.

Przy założeniu, że w piątek wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jeśli nie, zakład zostanie zamknięty. Na nieokreślony czas. I duża część personelu Minervy będzie musiała się przenieść do innych więzień. Gdzie trafią na drugą stronę krat.

• • •

Reacher opuścił Gerrardsville w Kolorado pieszo, w ten sam sposób, w jaki pojawił się tu dwa dni wcześniej.

Po drodze zastanawiał się, jak najlepiej dotrzeć do celu. Do Winson w stanie Missisipi. Nigdy wcześniej nie słyszał o tej miejscowości, dopóki nie zobaczył jej nazwy w prawie jazdy Angeli St. Vrain. Zamierzał wstąpić do biblioteki w Gerrardsville, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej, ale jeszcze na ławce w parku Wiles detektyw Harewood wyjął telefon i otworzył mapę... coś w rodzaju mapy. Niezbyt wyraźną wielobarwną płataninę dróg i innych elementów krajobrazu na małym zadrapanym ekranie. Ale wystarczyło, by Reacher poznał położenie miasta. Było nie większe od kropki, leżało na samym obrzeżu stanu, wciśnięte w zakole w kształcie litery C na wschodnim brzegu rzeki Missisipi.

Wiedział, że ze znalezieniem drogi do Winson nie będzie problemu. Bardziej martwiła go długość podróży. Myślał o dwóch śmiertelnych ofiarach. Przynajmniej jeden zabójca był na wolności. I przynajmniej jeden współsprawca. Ich trop zacierał się z każdą minutą. Reacher miał mnóstwo energii. I gotówkę w kieszeni. Ale niewiele czasu.

Po prawej widział góry, które wcinały się w bezchmurne błękitne niebo. Słońce różowiało i powoli chowało się za najwyższe szczyty. Wciąż było ciepło, ale cień Reachera wydłużał się i tańczył na wyblakłym nierównym asfalcie. Było bezwietrznie. I cicho. Odkąd minął granicę miasta, drogą nie przejechał żaden

pojazd. Ani osobowy, ani pick-up, ani furgonetka. W innych okolicznościach Reacher nie miałby nic przeciwko samotności. Ale nie tego dnia. Tylko wzmagająca jego zniecierpliwienie.

Przyspieszył kroku i trzydzieści sekund później usłyszał za plecami jakiś dźwięk. Warkot silnika. Dużego diesla, który klekotał i stukotał jak pociąg towarowy. Obejrzał się i zobaczył pędzącego w swoją stronę pick-upa. Wóz był czerwony. Miał czarne szyby i dużo chromu. Reacher już go widział. Zatrzymał się, odsunął na skraj drogi i czekał, aż samochód się z nim zrówna.

Pick-up gwałtownie zahamował i przez chwilę kołysał się na resorach, potem opuściła się szyba po stronie pasażera. W kabinie siedziała Hannah Hampton z prawą ręką opartą o kierownicę. Z uśmiechem popatrzyła na Reachera.

– Otwórz sobie.

Pociągnął klamkę i otworzył drzwi tak szeroko, na ile pozwoliły zawiasy.

Uśmiech zniknął z twarzy Hannah. Uniosła lewą dłoń, którą dotąd trzymała między udem a drzwiami od strony kierowcy. Trzymała w niej broń. Krótki czarny kanciasty pistolet. Szerokości dwóch i pół centymetra, z lufą długości ośmiu centymetrów. Całkowita długość nie przekraczała piętnastu centymetrów. Reacher domyślał się, że to sig P365. Nigdy z niego nie strzelał. Nawet nie miał go w rękach. Moda na subkompakty zaczęła się już po zakończeniu jego służby, a dodatkowo nakręcał ją szal noszenia ukrytej broni. Czytał jednak o tym modelu. I wiedział, że to wcale nie zabawka.

Hannah wymierzyła lufę w środek jego klatki piersiowej i powiedziała:

– Zostań tu. I nie ruszaj się.

• • •

Stały klient. Marzenie każdego biznesu. Nie jest człowiekiem, którego się nadmiernie wypytuje, któremu się nie dowierza ani którego odprawia się z kwitkiem.

Lev Emerson liczył, że ludzie, na których polował, prowadzą swoją organizację jak biznes. Aczkolwiek nie taki zwyczajny. Nie znał jej nazwy. Nie reklamowała się. O ile wiedział, nie miała logo. Ani strony internetowej. Ani aplikacji. Nie podawała swoich danych o rachunku bankowym do płatności online. Nie była obecna w mediach społecznościowych. Miała tylko figuranta, który firmował ją swoją twarzą. I statek. Ostatnią pływającą deskę ratunku dla zdesperowanych. Tam musieli się zwracać ludzie, gdy nigdzie indziej nie mogli dostać tego, czego chcieli.

Ostatnim razem, kiedy Emerson się w to zaangażował, zapłacił figurantowi gotówką. To był jedyny raz. Żeby przetransportować syna, Kyle'a, na statek. Kyle z pewnością był zdesperowany. Ale nie dostał tego, czego chciał. Dostał coś, co go zabiło.

Emerson ostatnim razem zapłacił sporą kwotę. To był błąd, którego nie zamierzał więcej popełnić. Wszelkie kontakty z tymi ludźmi byłyby błędem. Gdyby jednak figurant połknął haczyk, to on popełniłby błąd. Na bank. On. I ludzie, dla których pracował. A przede wszystkim ludzie, którzy ich zaopatrywali. Źródło trucizny, która zabiła Kyle'a. Bo Emerson nie chciał tylko odcinać jednej kończyny. Chciał zamordować całą bestię. Obrócić w popiół każdą komórkę jej cielska.

Pod warunkiem że figurant połknie haczyk.

Zaczerpnął tchu i wcisnął WYŚLIJ. Jego laptop wydał dźwięk przypominający świst wiatru. Wiadomość zniknęła z ekranu. Wyobraził ją sobie jako ciąg zer i jedynek, który gna przez internet. Śmigła od jednego niewykrywalnego serwera do drugiego, po całym świecie. Może dociera do miejsca przeznaczenia. Może nie. Może ktoś ją czyta. Może nie. Może przekonuje figuranta. Przemawia do jego chciwości. Dusi w zarodku nieufność, dlaczego klient, który pojawił się tak niedawno, do niego wraca.

A może nie.

• • •

Jack Reacher stracił już rachubę, ilu ludzi przez wiele lat mierzyło do niego z broni palnej. Często człowiek z palcem na spuście był wściekły. Czasem przestraszony. Albo zdecydowany. Albo szalał z radości. Albo właśnie oddychał z ulgą. Rzadko broń trzymał opanowany zawodowiec. Ale Reacher nigdy jeszcze nie widział w takiej sytuacji wyrazu twarzy, jaki miała Hannah Hampton. Wydawała się zakłopotana.

– Przepraszam – powiedziała. – Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jestem przekonana, że się mylę. Że oszalałam. Ale muszę wiedzieć na pewno.

– Co musisz wiedzieć? – spytał.

– Dlaczego pojawiłeś się u Sama?

– Już mówiłem.

– Opowiedziałeś mi historyjkę. Skąd mam wiedzieć, że to prawda?

– Rozmawiałeś z detektywem Harewoodem. Potwierdził.

Hannah pokręciła głową.

– Potwierdził tylko to, co robisz. Badasz sprawę zabójstwa Angeli. Nie mówił dlaczego.

– Pomagam mu.

– Dlaczego?

– Angela została zamordowana. Sam też. Ktoś powinien coś w związku z tym zrobić.

– Tak. Detektyw. To jego zadanie. Poza tym ma za sobą całą policję. Dlaczego potrzebuje twojej pomocy?

– Bo ma pewne... przeszkody instytucjonalne.

– Na przykład?

– Nieważne. Ważne jest tylko to, czy chcesz, żeby morderca Sama został na wolności. Jeżeli nie, powinnaś odłożyć ten pistolet.

– A jeżeli to nie takie proste?

– To jest proste.

Hannah zawahała się, ale nie opuściła broni.

– Mam mały kłopot. Z tyłu głowy brzęczy mi głosik, który nie chce się zamknąć. Powtarza, że ty jeden wiedziałeś, że Angela została zamordowana. Tylko ty wiedziałeś, że Sam nie miał zawału. Tylko ty zasugerowałeś, że Angela wysłała Samowi jakieś tajne dowody. I tylko ty zacząłeś ich szukać.

– Właśnie dlatego Harewood potrzebuje mojej pomocy.

– Chyba że jest inne wytłumaczenie.

– Nie ma.

– Gdybyś znalazł jakieś dowody w mieszkaniu Sama albo w jego skrzynce na listy, co byś zrobił?

– Oddałbym je Harewoodowi.

– Ale czy na pewno? Oto jest pytanie.

– Myślisz, że próbowałem je zdobyć dla siebie?

– Jest taka możliwość. Musisz przyznać. Nie występujesz w żadnej oficjalnej roli, nie stoi za tobą prawo.

– Czyli przypuszczasz, że zabiłem Angelę? I Sama? Do tego to się sprowadza?

Reacher nie odrywał wzroku od jej palca spoczywającego na spuście. Staw zbiegał. Ale się nie zgiął. Jeszcze nie.

– Strasznie dużo wiesz o tym, jak zginęła Angela i Sam – powiedziała Hannah.

– I dlaczego.

– Wiem o tym stanowczo za mało. Ale wszystko, czego się dowiedziałem, przekazałem Harewoodowi. Bo mu pomagam. Zadzwoń do niego. Zapytaj, czy to prawda.

– Skoro pomagasz, to dlaczego zwiewasz z miasta? Znalazłeś te dowody? – Hannah przyjrzała się Reacherowi. Uświadomiła sobie, że nie ma torby. Ani walizki, ani wypchanych kieszeni. – Zniszczyłeś je?

– Nie.

– To dlaczego uciekasz z miasta?

– Bo ich nie znalazłem. Muszę poszukać gdzie indziej.

– Gdzie?

- W Winson w Missisipi.
- Tam, gdzie mieszkała Angela?
- Gdzie pracowała. Gdzie znalazła problem, który do tego wszystkiego doprowadził.

Hannah milczała przez chwilę.

- Dowiesz się, kto zabił Sama? – spytała w końcu.
- Spróbuję.
- Obiecujesz?
- Masz moje słowo.
- Czy to cokolwiek oznacza?

Reacher skinął głową.

- Jeżeli znajdziesz człowieka, który zabił Sama... co wtedy zrobisz?
- Dam mu szansę, żeby się poddał.
- A jeżeli z niej nie skorzysta?
- To będzie jego problem.

Opuściła pistolet.

- W porządku. Wierzę ci... chyba. I chcę, żeby zabójca Sama został złapany.

Jak mogę pomóc?

- Możesz mnie podwieźć do Denver. Tam jest dworzec Greyhounda.

• • •

Wiadomość Emersona trafiła do figuranta organizacji. Dotarła do niego prawie natychmiast. I zastała go w przychylnym nastroju, wzbudziła w nim zaufanie. Albo chciwość. Tego Emerson nie był pewien. I w ogóle go to nie obchodziło. Bo facet odpowiedział. Bez chwili wahania. Bez zwłoki. Nie napisał nic szczególnego. Podał tylko godzinę. Miejsce. I datę.

Emerson wysłał potwierdzenie. Byli umówieni na spotkanie. Na następny dzień. O dziesiątej rano.

Spojrzał na Graebera siedzącego po drugiej stronie stołu.

– Przynieś beczkę – polecił mu. – Dużą. Będzie trochę mieszania.

20

Curtis Riverdale spędził w oddziale S1 ponad godzinę. Sprawdził, czy wszystko będzie gotowe przed piątkowym popołudniem. Sprzęt. Odpowiedni ludzie o odpowiednich kwalifikacjach. Zweryfikował też realizację ustaleń co do transportu. Tą częścią planu martwił się najbardziej. Denerwował się, ponieważ transport pozostawał poza jego bezpośrednią kontrolą. Instykt podpowiadał mu, że lepiej byłoby kierować całą operacją. Mieć decydujący głos od A do Z. Rozumiał jednak znaczenie rozdziału zadań. Było lepiej dla wszystkich, że nikt w Minervie nie wie, dokąd trafiają wysyłane przez nich paczki. I jeszcze lepiej, żeby ludzie, którzy kontaktowali się z ostatecznymi klientami, nie mieli pojęcia, skąd pochodzi towar. Riverdale nie miał najmniejszej ochoty, by cała odpowiedzialność za tę historię spadła na Minervę, gdyby komuś po drodze powinęła się noga.

Usatysfakcjonowany wynikami kontroli naczelnik opuścił S1 i ruszył w stronę pierwszego z trzech oddziałów ogólnych. Tego, który zajmowali najbardziej interesujący więźniowie. Na początku szedł bardzo szybko, ale w połowie łącznika między budynkami na moment przystanął. Coś sobie uświadomił. Jeżeli w piątek wszystko pójdzie zgodnie z planem, po raz pierwszy więzień przejdzie z jednej kategorii do innej. Po raz pierwszy. Miał nadzieję, że i po raz ostatni. To tylko zwiększało podejmowane przez nich ryzyko. I to bez wyraźnego powodu. Zdaniem Riverdale'a zawsze należało unikać ryzyka, jeśli było zbędne.

Część ludzi w korporacji Minery źle interpretowała jego postawę. Jednym z nich był Damon Brockman, który brał ją za oznakę nieśmiałości naczelnika. Nadmiernej ostrożności. Może nawet tchórzostwa. Nie rozumiał, że Riverdale po prostu się nie daje. Że dobrze ustawił się w Winson. Ciężko zapracował na możliwości, jakie dawało mu stanowisko. Był gotów bronić swojej pozycji. Zrobić wszystko, co będzie trzeba, by ratować własną skórę.

Gdyby Brockman był bystrzejszy, potrafiłby spojrzeć na tę sytuację z innej perspektywy. Mógłby porozmawiać z naczelnikiem, którego wcześniej postawił na miejscu Riverdale'a. I gdyby tylko ten nowy zwracał większą uwagę na jedzenie, które przynoszono mu z więziennej kuchni. Na dodatkowy subtelny posmak podawanych mu dań.

Przynosili mu je wyłącznie członkowie Starej Gwardii Riverdale'a.

• • •

Hannah Hampton jechała szybko. I agresywnie. Mimo to wielu kierowców na autostradzie I-25 prowadziło szybciej. Bardziej brawurowo. Bez przerwy wyprzedzali ją z obu stron. Zajeżdżali jej drogę. Siedzieli na zderzaku. Reacher widział pick-upy porzucone na pasie zieleni, zwrócone w przeciwnym kierunku. Stojące na poboczu samochody osobowe z wgniecionym tyłem albo przodem. Dostrzegł nawet parę SUV-ów na ławkach przy drodze. Jeden leżał kołami do góry.

Hannah zauważyła, że Reacher przygląda się wrakom.

– Pewnie niedawno padało – powiedziała. – Tutejsi nie wiedzą, jak jeździć w czasie deszczu.

– Teraz nie pada – zauważył.

Wzruszyła ramionami.

– Myślałam o tej miejscowości, do której się wybierasz... Winson. To chyba dziura. Gdzieś na odludziu. Myślisz, że uda ci się tam dojechać Greyhoundem?

– Pewnie nie. Ale dostanę się dość blisko.

– I co wtedy zrobisz?

– Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę.

Włączyła kierunkowskaz i zjechała na prawo. Tablica informowała, że za niecałe dwa kilometry będzie zjazd do centrum Denver. Hannah zwolniła, przygotowując się do pokonania łuku za zjazdem z autostrady. Nagle przełożyła stopę na gaz i ostro zjechała z powrotem na pas prowadzący prosto.

– Pieprzyć to – rzuciła. – Daj sobie spokój z autobusem. Zawiozę cię do samego Missisipi.

Reacher spojrzał na nią.

– Na pewno? To prawie dwa tysiące kilometrów.

– Co z tego? To wóz Sama. Bak jest pełny. On go zatankował. Na pewno by nie chciał, żeby tyle ropy się zmarnowało.

– Spalanie paliwa nieboszczyka nie wydaje mi się najważniejszym powodem.

– To nie jest jedyny powód. Na jakiś czas muszę wyjechać z miasta. Sam mi to powiedziałeś. Więc dlaczego nie do Winson? Będę się mogła zobaczyć z Dannym Peelem. Osobiście powiem mu o Samie. Tak będzie lepiej, niż gdybym miała go zawiadomić przez telefon. I sprawdzę, czy wszystko w porządku z dzieckiem Angeli.

– Znasz sąsiadkę, u której zostawiła małą?

– Nie. Ale Danny na pewno zna.

Reacher pomyślał o kopercie, którą widział w torebce Angeli. Tej, którą zabrał z miejsca „wypadku” mężczyzna w bluzie z kapturem. Była adresowana do Danny’ego Peela. Musi z nim o niej pogadać. Dowiedzieć się, jak Angela weszła w jej posiadanie. I dlaczego była taka ważna. Towarzystwo osoby, która знаła Danny’ego, mogłoby mu pomóc. Ułatwiłoby rozmowę. Przyspieszyło jej wstępną fazę, poświęconą budowaniu zaufania. Usprawniło cały proces. I prawdopodobnie pozwoliło uniknąć nieprzyjemności.

– W takim razie okej – rzekł Reacher. – Dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Hannah przez moment przyglądała mu się z boku. – Ale powiedz mi jedno. Jestem ciekawa. Co się stało z twoim bagażem?

– Nic.

– Daj spokój. Przecież możesz mi powiedzieć.

– Nic się z nim nie stało.

– Naprawdę? Bo powiem ci, jak ja to widzę. Przyjechałeś do miasta. Poznałeś jakąś kobietę. Spędziłeś u niej noc. Może nawet kilka. Czymś ją wkurzyłeś. Albo nadużyłeś jej gościnności. Nie chciałeś się wynieść, chociaż wyraźnie dawała ci to do zrozumienia. No więc straciła cierpliwość i wywaliła twoje rzeczy do śmietnika. Albo pocięła. Albo potraktowała ogniem. Tak. Powiedz mi, że je spaliła. Proszę. Niech to będzie to.

– Zgoda. Spaliła je kobieta.

– Naprawdę?

– Nie.

– No więc gdzie się podziały twoje rzeczy?

– Mam je przy sobie. W kieszeni.

– Co się może zmieścić w kieszeni?

– Wszystko, czego mi potrzeba.

– Wszystko?

– Wszystko. Przynajmniej na razie.

• • •

Bruno Hix i Damon Brockman wychodzili z założenia, że w Winson są więźniowie czterech kategorii. Tego oczekiwali, ponieważ sami wprowadzili tę klasyfikację. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że w rzeczywistości kategorii jest pięć.

Jeśli chodzi o ścisłość, to piąta kategoria była najstarsza. Poprzedzała o kilka lat przejście Winson przez Minervę. Nie została zdefiniowana przez profesjonalistów. Nie mieli z nią nic wspólnego lekarze. Ani psychologowie. Ani księgowi. Z pewnością również nie prawnicy. O przynależności do tej kategorii rozstrzygał osobiście Curtis Riverdale. Polegał na swoim kilkudziesięcioletnim doświadczeniu. Na wrodzonej umiejętności rozszyfrowywania ludzi. Zauważania pewnych elementów, nawet gdy były dobrze ukryte. Na przykład skrajnej rozpacz. Albo wyjątkowej chciwości. Cech, które sprawiały, że więzień umawiał się z żoną, a w wyjątkowych wypadkach z siostrą, by go odwiedziła – ilekroć Riverdale mu polecił – a potem czekał w zamknięciu za szklaną przegrodą, podczas gdy ktoś ze Starej Gwardii prowadził kobietę do gabinetu. Gdzie naczelnik nadawał własne oryginalne znaczenie koncepcji widzenia małżeńskiego.

Czasem, gdy miał ochotę na odrobinę pikanterii, kazał przyprowadzać też więźnia. I przykuwać w korytarzu do stalowej sztaby, którą zamontowano na ścianie specjalnie w tym celu. Wtedy zostawiał otwarte drzwi gabinetu. Lekko uchylone. Nie na tyle, by więzień mógł zajrzeć do środka. Ale na tyle, by nic nie tłumilo dobiegających stamtąd odgłosów.

Riverdale miał na ten wieczór umówione właśnie takie widzenie. Z żoną narybku. Nie mógł się doczekać. Jeśli kobieta spełni jego oczekiwania, być może sprowadzi ją w piątek po południu. Żeby uczcić powrót normalności do Winson.

Przy założeniu, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

• • •

Im dalej Hannah Hampton jechała, tym rzadziej się odzywała.

Zaraz po podjęciu decyzji, że nie podrzuci Reachera na dworzec Greyhounda, była bardzo rozmowna. Chciała się dowiedzieć wszystkiego na jego temat. By zrozumieć, kim jest człowiek, który odchodzi z wojska i włóczy się bez zajęcia po kraju. Nie ma domu, do którego mógłby wrócić. Nie ma określonego celu

włóczęgi. Nie ma bagażu. Pytała go o dzieciństwo. O rodziców. O brata. Co czuł, gdy każde z nich umierało. Jaki wpływ wywarło na nim to, że dorastał w bazach wojskowych na całym świecie. Fascynowało ją jego życie w żandarmerii. Dopytywała się o najlepszą sprawę, w jakiej prowadził śledztwo. I najgorszą. O te, które dręczyły go do dziś. Pytała, dlaczego odszedł ze służby. I jak się czuje pozostawiony samemu sobie, mimo że od trzynastu lat naraża własne życie dla innych.

Reacher chętnie udzielał jej informacji. Większość odpowiedzi była rzeczowa. Większość miała pozytywny wydźwięk. Już wiele lat temu pogodził się z negatywnymi stronami swojego życia. Rozmowa płynęła. Opony dudniły i stukały o łączenia i szpary w nawierzchni. Telefon Hannah skierował ich na autostradę I-70, która właśnie rozciągała się przed nimi. Góry zmalowały w lusterku wstecznym, aż wreszcie zniknęły na zamglonym horyzoncie. Hannah jechała prosto na wschód, dopóki nie minęli Denver, a potem ruszyła przez stan po przekątnej, prawie do jego granicy. Wtedy znowu skręcili. Tym razem prosto na południe. Przecięli wąski pas ziemi wysunięty z boku Oklahomy. I gnali dalej, coraz dalej w głąb Teksasu.

Rozmowa zaczęła się rwać, gdy Hannah poruszyła temat związków. Reacher odbił pytania w jej stronę, a ona zrobiła unik, opowiadając o swoim małżeństwie z Samem Rothem. Wyłaniał się z tego obraz miłego faceta. Hannah miała w zanadru niezliczone anegdoty. O ich życiu razem, chociaż osobno. W niektórych wspomnieniach było dużo czułości. Część była zabawna. Inne, te z dawnych czasów – szalone. Gdy Hannah wracała do nich pamięcią, jej głos brzmiał inaczej. Mówiła ciszej. I wolniej. W końcu po jej policzku stoczyła się łza. Tylko jedna. Otarła ją i zerknęła na Reachera z wyrazem twarzy, który mówił: teraz kolej na ciebie.

Nie odezwał się.

21

Damon Brockman nie należał do ludzi, którzy łatwo zmieniają zdanie.

Gdy pierwszy raz usłyszał, że ktoś mógł zajrzeć do koperty, z którą Angela St. Vrain uciekła do Kolorado, nie uznał tego za wielki problem. I nadal nie sądził, by to było coś istotnego. Nie należał też jednak do ludzi, którzy lubią się wystawiać na niepotrzebną krytykę. Doświadczenie mówiło mu, że tylko jedna rzecz jest gorsza od sytuacji, gdy coś złego dzieje się na podwórku, za które odpowiadasz: kiedy bierzesz na siebie winę za to, co poszło źle. A gorsza od wzięcia na siebie winy jest tylko sytuacja, gdy ktoś cię przedtem uprzedzał o takim niebezpieczeństwie. Publicznie. A teraz może powiedzieć: a nie mówiłem? Zwłaszcza jeśli ten ktoś jest twoim szefem. I może cię za to ukarać. Uderzyć cię po kieszeni. Dlatego choć zdaniem Brockmana prawdopodobieństwo, że w Winson pojawi się Reacher i sprawi im kłopoty, nadal było bliskie zeru, postanowił działać tak, jakby chodziło o prawdziwe zagrożenie.

Po pierwsze, przesunął godzinę, o której należało wystawić strażników, żeby obserwowali trasy do miasta. Bruno Hix mówił o szóstej rano w czwartek. Brockman zmienił czas na trzecią nad ranem.

Po drugie, dodał dodatkową parę strażników. Hix prosił, żeby dworzec Greyhounda w Jackson obstawiało dwóch ludzi. Brockman dorzucił dwóch na przystanku, z którego odjeżdżał lokalny autobus do Winson. Z tego połączenia korzystało wiele osób przyjeżdżających do więzienia na widzenie, co oznaczało, że

osoba bez własnego transportu i nowa w tej okolicy skierowałyby się tam w pierwszej kolejności.

Po trzecie, Brockman przeszedł w tryb gdybania. Hix próbował już brać pod uwagę każdą ewentualność, ale on chciał ograniczyć prawdopodobieństwo. Obstawić jednego konia, zamiast rozdzielać zakład na całą stawkę. Zadał sobie pytanie, co by zrobił, gdyby miał przejechać przez cały kraj, mając bardzo niewiele środków finansowych. Odpowiedź była oczywista. Ukradłby samochód. Szybkie i proste rozwiązanie. Przyjemniejsze i wygodniejsze niż podróż autobusem Greyhounda. I bezpieczniejsze od wyprawy autostopem. Świat roił się od przeróżnych szaleńców, polujących na ludzi bez grosza i dachu nad głową. Brockman dobrze o tym wiedział. Minerva zarobiła masę pieniędzy na przymykaniu ich, gdy zostali złapani.

Jedyną niebezpieczeństwo związane z kradzieżą samochodu polegało na tym, że jeśli nie miałeś kosmicznego fartu, właściciel mógł zauważyć brak pojazdu i zadzwonić pod 911. I gdyby policja cię złapała, gra natychmiast byłaby skończona. Dlatego w celu zminimalizowania ryzyka należałoby zmienić tablice rejestracyjne. Na przykład ukraść je z innego auta. Co z kolei niesie inne zagrożenie. Najlepiej byłoby więc sklonować tablice. Albo zrobić fałszywe z przypadkowymi znakami. Co byłoby trudne dla osoby z ograniczonymi środkami.

Brockman poczuł się trochę lepiej. Kradzież samochodu była najlepszą z możliwości, ale dla Reachera prawdopodobnie nie wchodziła w grę. Po chwili poczuł się trochę gorzej. Bo pomyślał ni mniej, ni więcej, tylko o Curtisie Riverdale'u. O czymś, co od niego usłyszał. Że Reacher służył kiedyś w żandarmerii wojskowej. Podobno był pierwszorzędnym śledczym. Był świadkiem „wypadku” Angeli St. Vrain. Rozmawiał z policją w miasteczku w Kolorado. Być może miał okazję posłuchać lokalnych wiadomości. I skojarzyć z tą sprawą śmierć Sama Rotha.

Nie groziło im, że ten facet trafi na ślad prowadzący do Minervy. Tego Brockman był pewien. Był jednak inny problem. Nieboszczycy nie mogą zgłaszać

kradzieży samochodu.

Brockman wyjął telefon i wbił numer Roda Moseleya. Komendanta miejscowej policji.

Moseley odebrał po pierwszym dzwonku.

– Co znowu? Powiedz mi, że dla odmiany masz dobre wiadomości.

– Chodzi o Sama Rotha – odparł Brockman. – Gościa, którego sprzątnęliśmy w Kolorado. Trzeba ustalić markę i model jego samochodu.

• • •

Hannah Hampton i Reacher spędzili w pick-upie Sama Rotha już blisko siedem godzin.

Od prawie sześciu żadne z nich się nie odezwało. Hannah koncentrowała się na drodze. Dobrze, że miała na czym skupić uwagę. Było widać, że usiłuje zapanować nad smutkiem. Reacher natomiast nie koncentrował się na niczym konkretnym. Lekko odchylił oparcie siedzenia. Miał zamknięte oczy. Odtwarzał w głowie muzykę. Nie mógł zrobić nic, by przyspieszyć jazdę. Nie mógł zbliżyć celu ich podróży. Słuchanie ulubionych zespołów było więc dla niego najprzyjemniejszym sposobem zabicia czasu.

Hannah trąciła go w ramię, a gdy otworzył oczy, wskazała tablicę przy drodze. Widniała na niej nazwa miejscowości, o której żadne z nich nigdy wcześniej nie słyszało. Teren za nią jak okiem sięgnąć był płaski jak stół. W świetle zachodzącego słońca krajobraz był bury i nijaki. Ze skorupy spalonych niskich traw tu i ówdzie wystawał krzew. Rysowały się sylwetki paru karłowatych drzew. W stronę horyzontu biegły linie energetyczne rozpięte na ustawionych w równej odległości słupach. Nad nimi rozciągała się szara chmura, ale cienką warstwą, jakby było jej za mało, by przykryć tak ogromną połąć nieba.

– Koniec na dzisiaj? – odezwała się Hannah.

Nadal jechali prosto na południe, więc Reacher doszedł do wniosku, że nie dotarli jeszcze do Amarillo. To niekoniecznie był problem. Na tablicy wymieniono udogodnienia dla podróżnych w pobliskim miasteczku. Wydawały się całkiem wystarczające. I najwidoczniej wszystkie występowały parami. Były dwie stacje benzynowe. Dwie restauracje. I dwa hotele. Hannah skręciła w zjazd i niecałe pięćset metrów za skrzyżowaniem zatrzymała się pod pierwszą stacją benzynową. Weszła do środka, by skorzystać z toalety. Reacher podjechał do najbliższego dystrybutora i zatankował do pełna olej napędowy. Poszedł zapłacić, a kiedy wrócił, Hannah siedziała już za kierownicą. Przejechali na drugą stronę ulicy do pierwszego hotelu. Zaparkowała na skraju parkingu, w połowie drogi między hotelem a pierwszą restauracją. Widzieli tylko dwa samochody, uznali więc, że nie muszą się obawiać walki o pokoje. Pilniejszą sprawą wydawało się jedzenie.

Restaurację wystylizowano na dawne ranczo. Dach był kryty rustykalnym gontem. Ściany przykrywały sztuczne bale. Na zardzewiałych kołkach wisiały żelazne narzędzia do znakowania bydła i inne staroświeckie instrumenty, których przeznaczenia Reacher nie znał. Podłogę wewnątrz wysypano trocinami. Stoły i krzesła były drewniane. Skórzane siedziska krzesel miały ten sam kolor co siodła kowbojów na obrazkach zdobiących ściany. Blaty były pokryte siatkami śladów po przypaleniu, dziur i rys. Wyglądały na stare, mimo to Reacher podejrzewał, że uszkodzenia nie powstały w wyniku dziesiątek lat użytkowania, ale w fabryce.

W lokalu nie było ani jednego klienta, więc siwowłosa kelnerka w sukience w różową kratkę pokazała im gestem, żeby wybrali sobie miejsca. Zajęli stolik w przeciwnym rogu. Reacherowi to miejsce podobało się dlatego, że widział stamtąd wejście i równocześnie korytarz prowadzący do toalet. Kelnerka podała im menu i odeszła, żeby spokojnie wybrali. Nie trwało to długo. Karta nie była zbyt rozbudowana. Ułożoną ją z myślą o wielbicielach steków. Wszyscy inni raczej nie mieli szczęścia.

Złożyli zamówienie i czekali w milczeniu. Hannah zupełnie straciła ochotę na rozmowę. Reacher też nie miał nic nowego do powiedzenia. Po upływie długich dziesięciu minut kelnerka przyniosła im posiłek. Górę mięsa i ziemniaków bez

śladu warzyw. Reacher był zadowolony. Hannah znacznie mniej. Bez przekonania skubała brzeg steku. Zdołała przełknąć dwie frytki. Po chwili odsunęła talerz.

– Przepraszam. – Wstała. – Nie chcę psuć zabawy, ale jestem wypompowana. Oczy mi się zamykają. Idę do hotelu obok. Prześpię się. Zobaczymy się rano przy samochodzie?

– Jasne – odparł Reacher. – Co powiesz na szóstą?

– Może być. Dobranoc.

• • •

Reacher wziął gazetę ze stojaka zrobionego z podków, umieszczonego na ścianie przy wejściu, i czytając, dokończył kolację. Zjadł też nietkniętą porcję Hannah. Wypił do dna kawę, potem jeszcze jedną. Wreszcie zostawił na stole tyle gotówki, by wystarczyło za całe zamówienie plus napiwek, i wyszedł z restauracji.

• • •

Cztery postoje na trasie Greyhounda między El Paso a Dallas były krótkie. Trwały zaledwie tyle, by zdążyli wysiąść pasażerowie albo wsiąść nowi. Trzy postoje były dłuższe. Dwadzieścia minut. Albo dwadzieścia pięć. Wystarczająco, by każdy, kto zeszywniał albo zgłodniał, mógł rozprostować nogi lub wyskoczyć po coś do jedzenia.

Jed Starmer nie opuszczał swojego miejsca na żadnym z tych postojów, ani na tych długich, ani na krótkich. Bo miał czymś zaprzątniętą głowę. Myślał o policji. W El Paso pojawili się gliniarze. Z jego zdjęciem. Tylko jedna osoba na świecie mogła im je przekazać. I tylko jedna osoba mogła zadzwonić pod 911. Matka zastępcza. Zgłosiła jego zaginięcie. Albo zgłosiła popełnioną przez niego kradzież. Martwiła się o niego. Albo była wściekła. Jed wiedział, którą możliwość powinien

obstawić. Wiedział też, że motywy, jakimi się kierowała, nie mają znaczenia. Liczyło się tylko pytanie, co zrobi policja. Może wyjść z założenia, że skoro nie było go w autobusie w El Paso, to nie jedzie greyhoundem do Dallas. W takim wypadku był bezpieczny. Przynajmniej na pewien czas. Albo będą go szukać dalej, na kolejnych postojach. Aż do końca trasy. A to oznaczało, że jest zgubiony.

Nie wiedział, co zrobi policja. I ta niepewność go zżerała. Za każdym razem, gdy autobus się zatrzymywał, Jed wpadał w panikę. Nawet jeżeli to było tylko skrzyżowanie. Nawet jeśli przyczyną był wieczorny ruch. Wyobrażał sobie, jak otwierają się drzwi. Jak gliniarz wbiega po stopniach. Wchodzi między fotele. Świeci latarką w twarz każdego pasażera. Wszystko jedno, czy ktoś śpi, czy nie. Porównuje każdą twarz ze zdjęciem. Które zresztą było stare. W ciągu ostatnich pięciu lat jego wygląd się zmienił. Tak przynajmniej sądził Jed. Taką miał nadzieję. Ale nawet nie próbował się łądzić. Przecież rozpoznał go ten chłopak siedzący z tyłu. Policjant nie mógłby nie zauważyć podobieństwa. Szkołą ich do takich zadań. Jed zostałby zidentyfikowany. Zatrzymany. Wywleczony z autobusu. I odstawiony do Los Angeles. Do matki zastępczej. Albo do pudła.

Autobus stawał na siedmiu zaplanowanych postojach. Siedem razy otwierały się drzwi. Trzy razy ktoś wsiadał. Ale za każdym razem to byli pasażerowie. Nie gliny. Co oznaczało, że już go nie szukają.

Albo będą na niego czekać, gdy autobus przyjedzie do Dallas.

• • •

Za piętnaście trzecia w czwartek rano rozległ się dźwięk budzika Emersona.

Był to temat z Muzyki ogni sztucznych Händla. Bardzo głośny. Lev Emerson wyłączył sygnał. Przez chwilę leżał nieruchomo w ciemności i zbierał myśli. Drzemał na kanapie w rogu swojego biura w magazynie w Chicago. Czuł swojski zapach sfatygowanej szorstkiej skóry. Swojski dotyk jej wytartej powierzchni na policzku. Przez lata sypiał tam wiele, wiele razy. Ale nie z typowych powodów, dla

których żonaci mężczyźni nocują poza domem. Nie spał tu z powodu kłótni z żoną. Nie był pijany. Nie zalatywał perfumami innej kobiety. Nie przyjeżdżał tam, by brać narkotyki czy oglądać porno. Przyjeżdżał ze względu na charakter swojej pracy.

Gdy ktoś wykonujący zwykłe zajęcie umawia się na spotkanie z samego rana w odległym mieście, może tam pojechać poprzedniego dnia wieczorem. Przenocować w dogodnie położonym hotelu. Rano zjeść sute śniadanie i przyjść na spotkanie dziarskim krokiem, pełen zapału i energii. Emerson nie miał jednak takiej możliwości, jeśli miał zabrać ze sobą swoje narzędzia pracy. Nie mógł wsiąść z nimi do samolotu. Musiał je przetransportować drogą lądową. Jedną ze swoich specjalnych furgonetek. Nie podobał mu się pomysł, żeby zostawiać ją na publicznie dostępnym parkingu. Na którym jakiś idiota mógłby ją rozbić. Albo próbować ukraść. Albo zanadto zainteresować się jej ładunkiem. A to oznaczało, że musiał starannie obliczyć czas przejazdu. Nastawić budzik. I wstać wtedy, gdy trzeba, bez względu na porę.

Kiedy biznes się rozkręcił, Emerson przyjął ludzi, którzy brali na siebie poranne wyjazdy. Ludzi, którym ufał. Ale sam nie uchylał się od ciężkiej pracy. Zwłaszcza gdy chodziło o sprawę dotyczącą go osobiście. A zważywszy na to, że jego ludzie byli obecnie w New Jersey i obserwowali statek zakotwiczony dwadzieścia kilometrów od brzegu, nie miał wyjścia. Zadanie spadło na jego barki. I Graebera, który spał w składziku obok. Emerson zwlókł się z kanapy. Podszedł do stołu warsztatowego i włączył ekspres Nespresso. Uznał, że przed wyruszeniem w drogę obaj potrzebują solidnej porcji kofeiny.

• • •

Jed Starmer nigdy wcześniej nie był w Dallas, ale gdy w oddali zobaczył skupisko lśniących budynków o ostrych konturach oraz jeden przypominający piłkę golfową na patyku, wiedział, że musi być blisko.

Patrzył przez okno autobusu. Zachowywał najwyższą czujność, szukając wzrokiem niebieskich i czerwonych migających świateł. Rozglądał się za radiowozami. Za samochodami detektywów. Za pieszymi patrolami. Za kimkolwiek, kto mógł go szukać. Widział witryny sklepów. Biura. Bary i restauracje. Hotele. Budynki federalne. Rozległy plac. Pomnik zabitego prezydenta. Bezdomnych koczujących przy ulicy. Ale nie dostrzegł nikogo związanego z organami ścigania... jeśli się nie mylił.

Doszedł do wniosku, że gliniarze nie zamierzali go dopaść. Chyba że będą się na niego czaić na dworcu Greyhounda.

• • •

Miał wrażenie, że autobus już z tydzień kluczy przez miasto. Podskakiwał na widok każdego mijanego pojazdu. I każdego przechodnia, który stał na ulicy. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Mimo to Jed skulił się na fotelu, gdy kierowca wykonał ostatni skręt w stronę dworca. Na koniec zobaczył tablicę z napisem Transport do Teksaskich Zakładów Penitencjarnych. Nigdy o tym nie słyszał i ta nazwa go zasmuciła. Wkrótce sam mógł trafić do więzienia i wiedział, że gdyby tak się stało, nikt nie przyjedzie go odwiedzić. Wszystko jedno, czy do dyspozycji byłby dogodny transport, czy nie. Bez różnicy.

Kierowca wjechał na wyznaczone stanowisko, łagodnie zatrzymał autobus i zapalił wewnętrzne światła. Część pasażerów sarknęła, jęknęła i nakryła głowy kocami i kurtkami. Inni podnieśli się, by się rozprostować. Stanęli w przejściu i zaczęli przesuwac się do wyjścia. Jed nie podniósł się. Gdyby umiał stać się niewidzialny, skorzystałby z tej zdolności. Musiało mu jednak wystarczyć pochylenie głowy i zagłędanie przez szparę między fotelami przed nim. Skupił się na przodzie autobusu. I szczytce stopni. Żeby sprawdzić, czy ktoś nie wsiada. Nikogo nie zobaczył. Nie było nowych pasażerów. Ani policjantów. Na razie. Ale

do odjazdu autobusu, do którego miał się przesiąść, została jeszcze godzina i pięć minut. A w tym czasie wiele mogło się zdarzyć.

– Hej, koleś. – Obok Jeda usiadł chłopak podróżujący z tyłu autobusu. – Dzięki, że zaczekałeś. Jesteś głodny? Chodź. Pora na śniadanie, które mi obiecałeś.

• • •

Jed przystanął w wejściu do hali dworcowej i zajrzał do środka. Była prostokątna z posadzką wyłożoną szarymi płytkami i ze sklepionym sufitem. Po jednej stronie były kasy biletowe – o tak wczesnej porze jeszcze zamknięte – i szereg samoobsługowych automatów do sprzedaży biletów. Po drugiej – kilka automatów z jedzeniem i napojami. Pośrodku rzędy czerwonych plastikowych krzeseł, częściowo zajętych przez śpiących ludzi. Była też część, która interesowała nowego znajomego Jeda. Lokale z jedzeniem. Dwa. Jeden tylko z pizzą. Drugi z pełnym wyborem fast foodu.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie było gliniarzy... na razie.

Jed zamierzał przekąsić coś małego. Chciał spędzić poza autobusem jak najmniej czasu. I wydać jak najmniej pieniędzy. Ciągłe czekały go spore wydatki. Zdawał sobie z tego sprawę. Ale przeczytał menu w barze z fast foodem. I poczuł zapach bekonu. Kielbasek. Frytek. Wszystkie dobre chęci natychmiast wyparowały. Od wyjazdu z Los Angeles nie miał nic w ustach. Z głodu drżały mu nogi. Nie potrafił się powstrzymać. Zamówił Michę Deluxe, w której skład wchodziło chyba wszystko, co dało się usmażyć na oleju, plus dodatkowe panierowane krążki cebuli i colę. Chłopak z autobusu poprosił o taki sam zestaw. Kobieta za ladą rzuciła polecenie stojącemu za nią kucharzowi, po czym podeszła do kasy. Wcisnęła parę klawiszy i szorstkim tonem podała łączną cenę. Jed przeprowadził już odpowiednie działania w głowie. Obliczył, ile mu zostanie po uwzględnieniu podatku i najniższego możliwego napiwku.

Zostało znacznie mniej, niżby sobie życzył, ale doszedł do wniosku, że jakoś się z tym pogodzi.

Sięgnął do tylnej kieszeni, by wyjąć zwitek banknotów. Ale jego palce nie wymacały niczego prócz śmieci i strzępiących się szwów. Kieszeń była pusta. Sprawdził pozostałe. Wszystkie. Znalazł tylko parę monet i szczoteczkę do zębów. Pieniądze zniknęły. Wszystkie. Przez chwilę stał bez ruchu, próbując zrozumieć, co się dzieje. Nagle kolana odmówiły mu posłuszeństwa. Poleciał do tyłu i uderzył głową w posadzkę. Światła nad nim zmieniły się w gorejące wieloramienne gwiazdy. Zawirowały i zatańczyły. A potem cały jego świat pogrążył się w ciemnościach.

22

W czwartek rano Reacher obudził się kwadrans po piątej. Wziął prysznic. Ubrał się. I za dziesięć szósta wyszedł przed hotel.

Był na parkingu, tak jak się umówili. Hannah Hampton nie było. Nie było też pick-upa Sama Rotha.

Wahał się, czy nie wrócić i nie spytać recepcjonisty, o której Hannah się wymeldowała. Po chwili uznał jednak, że da sobie spokój. Bez sensu. Wszystko jedno, czy wyjechała przed pięcioma minutami czy godzinami, i tak nie dogoniłby jej bez jakiegoś pojazdu. A nawet gdyby mógł, nie zrobiłby tego. Brała w tym udział dobrowolnie. Jeżeli ogarnęły ją wątpliwości, to lepiej, że na niego nie czekała. Popełniłby błąd, gdyby ją zabrał.

Na stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy nie było ani jednego samochodu, więc Reacher ruszył pieszo. Od autostrady dzieliło go raptem jakieś czterysta metrów. Liczył, że gdy dojdzie do skrzyżowania, uda mu się złapać okazję. O tak wczesnej porze zwykle jeździło już sporo ciężarówek, korzystających z tego, że drogi nie były jeszcze zbyt zatłoczone. Miał nadzieję, że znajdzie się przynajmniej jeden kierowca, który będzie miał ochotę na towarzystwo. Nie pogardzi paroma dodatkowymi dolarami na paliwo. Albo okazją do rozmowy, żeby nie zasnąć po długiej nocy za kółkiem.

Zaczynało wschodzić słońce, ale krajobraz wcale nie wyglądał atrakcyjniej niż wieczorem. Wciąż było płasko. Sucho i brązowo. Wciąż nijako. Reacher ocenił, że pokonał mniej więcej dwieście metrów, ale przestrzeń była tak ogromna

i monotonna, że wyglądało to tak, jakby w ogóle nie ruszał się z miejsca. Trochę przyspieszył kroku. Nagle przystanął. Usłyszał za sobą jakiś odgłos. Warkot silnika. Diesla. Który klekotał i stukał jak pociąg.

Hannah Hampton zatrzymała pick-upa na poboczu i otworzyła szybę po stronie pasażera.

– Co jest? – spytała. – Dlaczego chcesz odjechać beze mnie?

– Pomyślałem, że to ty odjechałaś beze mnie – odparł Reacher.

Zerknęła na zegarek.

– Przecież jeszcze nie ma szóstej. Umówiliśmy się na szóstą.

Reacher wzruszył ramionami.

– Stare przyzwyczajenie. Tam, skąd jestem, punktualnie znaczy za późno. A w ogóle to gdzie byłaś? Nie ma tu za dużo atrakcji na poranną przejażdżkę.

– Pojechałam po kawę. – Hannah pokazała dwa olbrzymie kubki wciśnięte do uchwytów w środkowej konsoli. – Myślałam, że lubisz. Na stacji naprzeciwko był brudny ekspres. Facet z porannej zmiany spóźnił się i jeszcze go nie wyczyścił. No więc pojechałam na drugą. Jakies dwa kilometry stąd. Zrobiłam źle?

– Absolutnie nie. – Reacher otworzył drzwi i wsiadł. – Rzeczywiście lubię kawę. W każdym razie to o wiele lepsze powitanie niż wtedy, kiedy zabrałaś mnie ostatnim razem. Na pewno.

• • •

Jed Starmer obudził się dwie godziny później niż Reacher. Był w autobusie Greyhounda. Ale nie tym, który przywiózł go z Los Angeles. W innym. Jadącym na wschód i zbliżającym się do granicy między Teksasem a Luizjaną.

Gdyby Jed został pozostawiony samemu sobie, mógłby nie zdążyć na ten autobus. Nie pamiętał, jak wstawał z podłogi na dworcu w Dallas. Przypominał sobie tylko, że znalazł się na plastikowym krześle, oparty o stół. Naprzeciwko niego siedział chłopak z pierwszego autobusu. Między nimi stały dwie tace pełne

jedzenia. Dwie Michy Deluxe z dodatkowymi krążkami cebulowymi i olbrzymimi kubkami coli. Dokładnie to, co zamówili. Dokładnie to, za co próbował zapłacić, kiedy się zorientował, że zniknęły mu pieniądze. Pomyślał, że chyba się pomylił. Że na pewno gdzieś są. Ogarnęła go fala ulgi. Wsunął dłoń do kieszeni. Musiał dotknąć tej forsy. Upewnić się, że jest na miejscu. Ale kieszeń była tak samo pusta jak przedtem. Poczł straszny mętlik w głowie.

– Jeżeli zastanawiasz się nad tym jedzeniem – odezwał się chłopak – to ja za nie zapłaciłem.

– Aha. – Jed usiłował pozbierać rozbiegane myśli. – To dzięki. Chyba...

Chłopak gapił się na niego. Nie było to życzliwe spojrzenie.

– Powiedz mi jedno. Tylko nie kłam. Chcesz mnie wyrolować?

– Co? Nie. Zaraz... Nie rozumiem.

– Powiedziałeś, że mi postawisz. Zamówiłeś jedzenie. A potem wrobiłeś mnie w płacenie rachunku.

– Nie zrobiłem tego specjalnie.

– A ten numer z zasłabnięciem? Powinieneś dostać za niego Oscara.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Naprawdę myślałeś, że masz kasę?

– Bo mam kasę... miałem. Ale zniknęła.

– Ile miałeś?

– Trzysta dolarów.

– W jakich banknotach? Dychach, dwudziestkach? Pięćdziesiątkach?

– W dwudziestkach.

Chłopak pokręcił głową.

– Spory zwitek. Kiedy ostatni raz widziałeś te pieniądze?

Jed zastanawiał się przez chwilę.

– W El Paso. Kupiłem wodę. Nie... Zaraz. To był automat. Wrzuciłem monety. To musiało być jeszcze w Los Angeles. We wtorek. Kupiłem bilet i burgera.

– Wyjmowałeś wszystkie? Czy tylko tyle, ile potrzebowaleś?

Jed wzruszył ramionami.

– Chyba wszystkie.

– I kiedy zapłaciłeś, resztę schowałeś do kieszeni?

– Zgadza się.

– Ktoś widział, do której kieszeni włożyłeś kasę?

– Nie wiem. Może. Na dworcu był duży tłok.

– Ktoś do ciebie podchodził? Zderzył się z tobą? Albo jakoś inaczej wszedł z tobą w kontakt?

– Nie. Zaraz... Tak. Ten chłopak, który znalazł mój bilet. Upuściłem go i... aha.

– Właśnie. Aha. Rozmawiałeś z nim? Pytał cię o coś?

– Pogadaliśmy chwilę. Mówił, że jedzie tym samym autobusem. Ale potem wcale do niego nie wsiadł. Już wiem dlaczego.

– Powiedziałaś mu, dokąd jedziesz?

– Niezupełnie. Mówiłem raczej mało konkretnie. Czemu pytasz?

– Nieważne. Dobra, lepiej jedz. Zanim ta góra żarcia wystygnie.

• • •

Chłopak opróżnił talerz, po czym zaczekał, aż Jed skończy jedzenie.

– Dobra – powiedział. – Teraz trzeba by cię odstawić do szpitala. Żeby cię zbadali. Jak upadłeś, dość mocno przydzwoniłeś głową w podłogę.

– Nie. – Jed spojrzał na zegarek. – Nie mam czasu. Za dziesięć minut odjeżdża mój autobus. Zresztą nic mi nie jest.

– Przynajmniej powinieneś zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. Zgłosić tego kolesia z Los Angeles.

Jed pokręcił głową.

– Musisz to zgłosić. Żeby nikogo więcej nie obrobił.

- Nie ma sensu. Już za późno. Na pewno dawno zwiął.
- Boisz się zadzwonić na policję? Próbujesz unikać glin. Czemu?
- Wcale się nie boję. Po prostu mam mało czasu.
- Masz jakieś kłopoty.
- Już ci mówiłem, że nie.
- No to w czym problem? Uciekłeś z domu? O to chodzi?

Jed znowu pokręcił głową.

– Nie. Nie uciekłem. Po prostu... przeprowadzam się.

– Naprawdę? A dokąd? Jak? Gdzie twoje rzeczy? Co zrobisz, kiedy dojedziesz na miejsce?

– Nie wiem. – Dobre pytania, pomyślał Jed. Chociaż tak naprawdę liczyły się tylko dwie rzeczy. Gdzie będzie spał tej nocy, gdy wysiądzie z autobusu. I jak zakończy podróż następnego ranka. Te same dwie kwestie, nad którymi głowił się od początku. Trochę utrudniał je teraz brak pieniędzy. Ale Jed miał nadzieję, że coś wymyśli. Kawalek dalej spali ludzie na krzesłach. Nie był zachwycony tym pomysłem, ale mógłby zrobić to samo na dworcu w Jackson. Przecież nie umrze od jednej nocy spędzonej w ten sposób. Potem przypomniał sobie tablicę, którą widział przed dworcem. Z informacją o transporcie do więzień. Skoro mieli takie coś w Teksasie, w Missisipi na pewno też będzie coś podobnego. To go może ocalić. Gdyby tylko udało mu się jakoś nakłonić kierowcę, żeby go zabrał. Uniósł głowę i próbował się uśmiechnąć.

– Nic się nie martw, dam sobie radę.

– Powodzenia. Dzielny z ciebie dzieciak. – Chłopak przez chwilę przyglądał się Jedowi, a potem wyjął z kieszeni dwudolarowy banknot i położył na stole. – Masz. Więcej nie mogę ci odpalić. Weź. Tylko tym razem nie daj się okraść.

• • •

Telefon Hannah Hampton prowadził ich prosto na południe, a za Amarillo autostrada skręciła lekko na wschód. Reacher domyślał się, że będą przecinać stan po przekątnej, dopóki nie dotrą do Dallas. Stamtąd będzie już prosta droga do Luizjany, a potem do Missisipi. Jeszcze tylko parę postojów na tankowanie i kawę. I parę godzin odtwarzania muzyki w głowie. Chyba że Hannah znowu nabierze ochoty na rozmowę. Wszystko jedno, nie miał nic przeciwko żadnej z tych możliwości. Odchylił bardziej oparcie fotela, zamknął oczy i usadowił się jak najwygodniej. W czasie podróży niewiele mógł zrobić. Ale nie miał wątpliwości, że gdy dojadą na miejsce, to się zmieni. Przeciwno temu też nic nie miał.

• • •

Łącznik Emersona na miejsce spotkania wybrał kawiarnię w St. Louis w stanie Missouri. W tym samym mieście, w którym zobaczyli się po raz pierwszy. Inny był lokal, ale wybrany według tej samej reguły. Miejsce publiczne. Głośne. Żeby trudno było podsłuchać albo nagrać rozmowę. I gdyby Emerson chciał wyrządzić swojemu rozmówcy fizyczną krzywdę, widziałyby to dziesiątki świadków. Było jasne, że facet woli zachować ostrożność. Ale przeoczył jeden szczegół. Kiedy spotkali się ostatnim razem, Emerson nie wiedział, jak on wygląda. Nie miał innego wyjścia, musiał zgodnie z umową czekać na niego w środku. Ale teraz nie martwił się już, że go nie rozpozna. Dlatego postanowił zastawić pułapkę przed lokalem.

Gdy człowiek ma w pracy kontakt z taką gamą chemikaliów jak Emerson, zdobycie odrobiny chloroformu jest dziecinną igraszką. Przed wyjazdem z Chicago nasączył tą substancją szmatę i włożył ją do strunowej torebki. Tak zaplanował podróż, by dotarli z Graeberem do małego centrum handlowego, gdzie znajdowała się kawiarnia, godzinę wcześniej. Zaparkował furgonetkę przy samym wjeździe na parking, a potem obserwował każdy wjeżdżający pojazd. Zauważył ich łącznika w srebrnym mercedesie. Wycofał wóz i ruszył za nim na drugą stronę parkingu.

Wjechał tyłem na miejsce obok niego, tak że drzwi od strony pasażera były przy drzwiach kierowcy mercedesa. Graeber wyskoczył z auta, ściskając w rękach wymięty atlas samochodowy. Pochylił się i spytał, jak dojechać do parku przemysłowego na obrzeżach miasta. Tymczasem Emerson niepostrzeżenie wysiadł z drugiej strony. Uzbrojony w szmatę. Okrążył furgonetkę i otworzył tylne drzwi mercedesa. Zaszedł faceta od tyłu. Przycisnął mu szmatę do ust i nosa. I gdy ten osunął się bezwładnie, podtrzymał ciężar jego ciała, żeby nie gruchnął o ziemię. Graeber wszedł do części ładunkowej furgonetki, a Emerson przydźwigał na plecach nieprzytomnego mężczyznę do jej otwartych drzwi. Graeber złapał faceta za ramiona, Emerson za kostki i razem wciągnęli go do środka. Potem Emerson zatrzęsął drzwiami i szybko rozejrzał się po parkingu. Cała akcja trwała dziewięć sekund. Nikt niczego nie zauważył.

• • •

Damon Brockman wszedł do gabinetu Bruno Hixa i usiadł na jednym z krzeseł dla gości, które ustawiono przed imponującym drewnianym biurkiem.

– Właśnie odebrałem bardzo ciekawy telefon – oznajmił. – Pamiętasz Lawrence’a Osborna?

Hix odłożył długopis.

– Pieprzowego Larry’ego? Pewnie. Był w porządku. Trafił do nas z poprzednią ekipą z Kansas City, potem musiał odejść na wcześniejszą emeryturę. Przez astmę, zgadza się?

– Zgadza. No więc zgadnij, kto właśnie zapukał do drzwi Larry’ego?

– Mów.

– Ten dzieciak. Dziennikarz, który wbił sobie do głowy coś o ofiarach narkotyków.

– Po co zawracał głowę Larry’emu?

– Zdaje się, że wziął na cel wszystkich, których zwolniliśmy, kiedy przejęliśmy placówkę. Pewnie zakłada, że część z nich może mieć deficyt lojalności. I może będzie skłonna puścić farbę.

– Żaden z tych ludzi nic nie wie.

– To prawda.

– Poza tym nie zwolniliśmy Larry’ego.

– Chłopak o tym nie wie.

Hix przez chwilę bębnił palcami w blat biurka.

– To mi się nie podoba. Jeżeli ten pismak tropi naszych dawnych pracowników, to kto wie, gdzie jeszcze może grzebać. Nie chcę, żeby przyszedł tu jutro. Jest za wścibski. Za bardzo upierdliwy. Pora się go pozbyć.

Brockman się uśmiechnął.

– Zgoda. Znam całkiem łatwy sposób.

– Jaki?

– Larry powiedział mu, że może ujawni jakieś brudy na nasz temat, ale potrzebuje czasu do namysłu. I że jeżeli się zdecyduje, skontaktuje się z nim. Potem zadzwonił do mnie, żeby nas ostrzec. I spytać, jak ma to rozegrać. No więc myślę sobie tak: powiemy Larry’emu, żeby skontaktował się z chłopakiem. I wysłał go, żeby szukał wiatru w polu.

– W jakim polu? Dokąd Larry miałby go wysłać?

Brockman wzruszył ramionami.

– Gdzieś daleko. Nie wiem. Do San Francisco. Key West. Szczegóły nie mają znaczenia. Możemy coś wymyślić. Ważne, żeby to było pilne. Żeby chłopak musiał wyjechać jeszcze dzisiaj wieczorem. Najpóźniej jutro rano.

Hix wziął długopis i przez chwilę obracał go w palcach.

– Dobra. Podoba mi się. Tak zrobimy. Tylko postarajmy się wykombinować coś przekonującego.

23

Lev Emerson musiał tylko złożyć obietnicę, że nie spali budynku.

Czyli zgodził się nie zrobić tego, do czego zwykle się zobowiązywał, ale w tych okolicznościach było to zrozumiałe. Musiał uzyskać dostęp do jakiegoś obiektu. Odizolowanego tak, by nikt niczego nie usłyszał. Ani niczego nie zobaczył. Ani niczego nie wyczuł. To powinien być solidny budynek. Przemysłowy. Emerson był w obcym mieście. I się spieszył. Dlatego zadzwonił do klienta, dla którego właśnie wykonał zlecenie w Savannah, właściciela zabytkowego magazynu w St. Louis. Pusty budynek stał niedaleko rzeki, w pobliżu nie było żadnych firm. Emerson znał już to miejsce. Pamiętał je, ponieważ ten sam klient wynajął go kiedyś, by podpalił nieruchomość sąsiada.

Kiedy ich łącznik ocknął się z odurzenia chloroformem, był nagi. Leżał na wznak na środku zimnej betonowej posadzki. Czuł lekką woń benzyny. W oddali widział ściany. Ceglane. Wyglądały na stare. Odpadała z nich jasna kredowa powłoka. Na wysokim suficie podtrzymywanym przez zardzewiałe metalowe belki ciemniały zacieki.

Ręce i nogi łącznika były wyciągnięte na boki. Próbował nimi poruszyć, ale na próżno. Bo nadgarstki i kostki przywiązali mu opaskami zaciskowymi do wystających z podłogi stalowych kikutów długości około piętnastu centymetrów. Wszędzie ciągnęły się rzędy takich prętów. Tylko tyle zostało po gigantycznych regałach, które usunięto i stopiono, gdy magazyn przestał pełnić swoją funkcję

i zlikwidowano interes. Szarpnął z całej siły. Plastikowe opaski wpiły mu się w skórę, ale metalowe kikuty ani drgnęły.

Emerson stał przy jednym jego boku, Graeber przy drugim. Niedaleko stóp łącznika stała duża plastikowa beczka. I leżała na niej chochła. Taka, jakich używa się w restauracjach do nalewania zupy do talerzy.

Emerson kucnął i czekał, aż mężczyzna obróci głowę i spojrzy na niego. Wtedy powiedział:

– Nie owijajmy w bawełnę. Wiem o was. I oczywiście o waszym statku. Twoje dzisiejsze zadanie polega na tym, żebyś uzupełnił lukę w moich informacjach.

Facetowi wyszło w gardle.

– Jaką lukę? – wykrztusił.

– Chcę wiedzieć, kto jest waszym dostawcą – odparł Emerson.

Łącznik szeroko otworzył oczy.

– Nie wiem. Nie mogę wam powiedzieć.

Emerson wyprostował się i podszedł do beczki. Jedną ręką wziął chochlę. Drugą zdjął pokrywę. Nabrał sporą porcję gęstego, kremowego żelu. Wrócił do mężczyzny. I rozlał cały żel na jego genitalia.

Facet wrzasnął, szarpnął rękami i nogami, zaczął się szamotać.

– Nie! Co robisz? Co to za breja?!

– Mógłbym ci podać chemiczną nazwę, ale niewiele by ci mówiła – odparł Emerson. – Widziałeś Czas apokalipsy?

– A co?

– Bo możesz znać tę substancję pod nazwą napalm.

– Nie... Poważnie? Co to...

– To moja autorska wersja. Lepsza od wojskowej. Kluczowa zasada to nie żałować benzenu. Mieszanina według oryginalnej receptury spala się tylko przez kilka sekund. Moja nie gaśnie przez dziesięć minut. Pomyśl o tym. Czujesz, jak klei się do skóry?

Łącznik wił się, rzucał i próbował zrzucić z siebie żel, ciężki jak klej. Parę kropel spłynęło, ale większość nadal uparcie przywierała do ciała.

Emerson wyjął z kieszeni pudełko zapalek.

– No, słucham. Skąd twoja organizacja bierze towar?

Facet znieruchomiał. Usiłował złapać oddech.

– Mamy kilka źródeł. Różne rzeczy bierzemy z różnych miejsc.

– Zaczynij od tego, co dostał od was mój syn. Skąd to wzięliście?

– Nie wiem. Naprawdę. Mam łącznika. Mówię mu, czego nam potrzeba. Jeżeli ma do tego dostęp, dostajemy towar. Nie wiem, dla kogo pracuje. Tak jest zbudowany cały układ. Dla bezpieczeństwa. On też nie wie, dla kogo pracuję.

– Jak się nazywa?

– Carpenter. Tak mi w każdym razie powiedział. To nie musi być jego prawdziwe nazwisko.

– Dane kontaktowe?

– Mam w telefonie. Dam wam. Ale posłuchajcie. Mówię prawdę. Cztery tygodnie temu Carpenter zniknął z horyzontu. Być może się wycofał. Może zainteresowało się nim FBI. Nie wiem. Ale jeżeli nie będziecie się mogli z nim skontaktować, to nie myślcie, że was okłamałem.

Graeber podniósł z podłogi jego spodnie i wyjął z kieszeni telefon.

– Hasło?

Facet wyrecytował serię cyfr.

Graeber wcisnął odpowiednie klawisze.

– Carpenter? Masz jego zdjęcie. To jakiś żart?

– Nie wiedział, że mam zdjęcie. Zrobiłem je na wypadek, gdybym potrzebował na niego haka. Zresztą teraz to i tak na nic.

– Kogo obchodzi zdjęcie, skoro gość zniknął? – odparł Emerson. – Jak można go ominąć?

– Nie można – rzekł facet. – Był moim jedynym kontaktem.

– No to jak będziecie składać zamówienia?

– Nie będziemy. Nie możemy. Dopóki nie odezwie się do nas ktoś, kto zajmie jego miejsce. Na razie korzystamy z alternatywnych dostawców.

– Jak płaciłeś Carpenterowi?

– Na początku gotówką. Ostatnio bitcoinami. Są nie do wykrycia.

– Kto odbiera towar? I skąd?

Facet zwlekał z odpowiedzią ułamek sekundy.

– Nie wiem skąd.

– Czyli wiesz kto.

Nie odpowiedział.

Emerson wyjął zapałkę z pudełka.

– Dobra! Korzystaliśmy z przewoźnika. Gość ma jednoosobową firmę transportową. W Vicksburgu w Missisipi. Nazywa się Lafferty. To specjalista.

– Adres?

– Mam w telefonie.

– Dobrze. Chcesz nam powiedzieć coś jeszcze?

– Nie. Nic. Powiedziałem wszystko. Więcej, niż powinienem. Proszę, puśćcie mnie.

– Wszystko po kolei. Towar, który trafił do mojego syna. Ty go załatwiałeś? Byłeś ogniwem w tym łańcuchu?

Facet zamknął oczy i skinął głową. To był niemal niedostrzegalny ruch.

– Chcę to usłyszeć – oświadczył Emerson.

Tamten otworzył oczy i powiedział:

– Tak. Ja to załatwiałem. Pozwolicie mi już odejść? Jeżeli chcecie rekompensaty, mogę wam ją dać. Tylko ja jeden mogę.

Emerson nabrał drugą chochlę żelu i rozlał go na jego brzuchu. Następną przykrył mu klatkę piersiową. Graeber położył pokrywę na miejsce i odtoczył beczkę do wyjścia. Emerson potarł zapałkę o bok pudełka.

– Rekompensatę? – powtórzył. – Nie. Ale możesz odejść. Tak jak musiał odejść mój syn, kiedy ubiłeś z nim interes. Tyle że ty odejdiesz szybciej. I chyba trochę

bardziej cię zaboli.

• • •

Autobus Greyhounda, którym jechał Jed Starmer, dotarł do Jackson w stanie Missisipi przed wpół do drugiej po południu w czwartek. Czyli ponad czterdzieści godzin po wyjeździe Jeda z Los Angeles. Powitały go cztery osoby. Dwie czekały specjalnie na ten autobus. Dwie pozostałe miały na oku każde połączenie z zachodu.

Druga para na co dzień pracowała w zakładzie karnym Minervy w Winson. Tkwili na dworcu od trzeciej rano. W ramach zadania specjalnego. Byli znudzeni. Zmęczeni. I pełni podejrzeń. Wobec dwóch pozostałych. Ci dwaj przyciągnęli ich uwagę w chwili, gdy wyszli na zadaszony plac manewrowy. Byli młodzi. Tuż przed dwudziestką albo tuż po. Mieli na sobie szorty, jaskrawe koszule z krótkimi rękawami i brudne białe podkoszulki pod spodem. Skarpet nie nosili. Jeden miał sandały. Drugi tenisówki, stare i rozczłapane, bez sznurowadeł. Obaj mieli zlepione brudem długie włosy. Jeden jasne. Drugi ciemne. Obaj od dawna się nie golili. Żaden nie wyglądał na uosobienie przyzwoitości. Z całą pewnością. Ale prawdziwym sygnałem ostrzegawczym była ich mowa ciała. Bez przerwy się wiercili. Nie umieli za bardzo opanować napięcia rąk, nóg i szyi.

Funkcjonariusze straży więziennej kierują się instynktem, który często decyduje o ich życiu lub śmierci. Potrafią wyczuć kłopoty, zanim się pojawią. Nie mają innego wyjścia, skoro bywa tak, że stają samotnie przeciw dwustu ludziom. Sytuacja może się szybko wymknąć spod kontroli. Gdy więźniowie zaczynają, nic ich nie powstrzyma. Przynajmniej dopóki nie poleje się krew. Gdyby więc ludzie Minervy mieli służbę, a ci niechlujni chłopcy byli więźniami, natychmiast wkroczyliby do akcji. Bez wahania. Wpakowaliby ich do cel i nie wypuszczali, dopóki nie ustaliliby, co ci dwaj kombinują. Wszystko jedno, jak długo by to trwało. Ale tu, w wolnym świecie, ludzie z Minervy nie mogli nic zrobić.

Tylko obserwować.

Co parę minut blondyn wyjmował telefon i patrzył na ekran.

Jeden ze strażników z Minervy trącił partnera w bok.

– Widziałeś?

– Patrzy na zdjęcie. Nie widzę czyje. A ty coś widzisz?

Pokręcił głową.

– Pod tym kątem nic. Może sylwetkę. To wszystko. Ale wiesz, co to znaczy?

Nie znają człowieka, po którego tu przyszli. Czekają na nieznanego.

Drugi strażnik przez chwilę milczał.

– My tu jesteśmy i oni tu są. Przypadek?

– Jeżeli szukają tego samego faceta co my, to nie chcą go zatrzymać. Patrz, jakie chuchra. Słyszałeś, co on zrobił Robertowi i Dave’owi w Kolorado?

– Czyli przyszli mu pomóc. Będzie potrzebował transportu. Przy założeniu, że szukają tego samego gościa co my.

– A to świetna wiadomość.

– Jak to?

– Brockman przysłała nas po jednego faceta. A my dajemy mu trzech. Za to musi być jakaś premia.

– A jeżeli te dzieciaki knują coś innego?

Pierwszy wzruszył ramionami.

– W takim razie to nie nasz problem.

• • •

Jed wysiadł z autobusu jako ostatni pasażer. Gdy tu podjeżdżali, uznał, że front dworca wygląda zachęcająco. Łukowe zadaszenia i neony jak w kinie z dawnych czasów. Z tyłu, gdzie wsiadali i wysiadali pasażerowie, wyglądało to zupełnie inaczej. Tu teren był zasłonięty. Ciemny i pełen cieni. Jed miał złe przeczucie co do

tego miejsca. Nie miał ochoty wysiadać. Siedział wciśnięty w fotel, udając, że go nie ma, dopóki kierowca nie stanął nad nim, mierząc go wściekłym wzrokiem. Wtedy nie miał już wyjścia. Pogodził się z tym, co nieuniknione. Przemknął przejściem między siedzeniami i wolno zszedł po stopniach.

Dwaj ludzie z Minervy mieli pewność, że w autobusie nie ma Reachera. Tak jak nie było go w żadnym z czterdziestu siedmiu autobusów, których pasażerów uważnie zlustrowali. A to oznaczało, że będą musieli poczekać dłużej. Na przynajmniej jeszcze jeden. Pytanie tylko, czy będą czekać sami. Czy może na dworcu zostaną ci dwaj chłopcy, którzy wpadli im w oko, a teraz nie wykazywali zainteresowania żadnym z pasażerów, których fala płynęła w stronę hali.

Dopóki nie pojawił się Jed.

Rozejrzał się, by zorientować się, gdzie ma iść, i szybkim krokiem ruszył w stronę podwójnych drzwi wahadłowych prowadzących do budynku dworca. Blondyn jeszcze raz zerknął na ekran telefonu. I skierował się w stronę Jeda. Podeszedł do niego z tyłu i złapał go za lewe ramię. Palcem prawej ręki dźgnął go w nerkę. Potem pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Obaj skręcili w lewo. W kierunku wyjścia na ulicę. Tam już czekał drugi chłopak, ten ciemnowłosey. Dał im znak, żeby się nie zatrzymywali. A potem wszyscy trzej zniknęli.

24

Niektórzy wybierają hotele na chybił trafił. Inni przykładają do tego większą wagę. Biorą pod uwagę przeróżne czynniki. Cenę. Lokalizację. Udogodnienia. Otoczenie. Dyskrecję personelu – w zależności od tego, co zamierzają tam robić. I z kim zamierzają to robić.

Tamtego czwartku Emerson i Graeber poświęcili wiele uwagi wyborowi hotelu w St. Louis. Dla nich liczyło się jednak tylko jedno: parking. Musiał być duży. I mieć taki układ, by co najmniej część miejsc parkingowych znajdowała się daleko od głównego budynku. Po opuszczeniu magazynu Graeber spędził z telefonem dobre pół godziny. Przeglądał strony z recenzjami hoteli, dopóki nie znalazł takiego, który wydawał mu się odpowiedni. Wtedy włączył swoją ulubioną aplikację z mapami i powiększał, pomniejszał i obracał obraz, by jak najdokładniej obejrzeć hotel z każdej możliwej strony. Na ekranie wyglądał obiecująco. Gdy jednak dotarli na miejsce, stwierdzili, że odkąd zrobiono zdjęcia satelitarne, sprzedano połowę placu. Teraz część, która ich interesowała, była otoczona parkanami firm budowlanych, ozdobionymi komputerowymi wizualizacjami nowego biurowca.

Emerson i Graeber skierowali się do hotelu, który wybrali jako drugi. Parking był tu mniejszy, ale pora była jeszcze na tyle wczesna, że mieli do wyboru dużo wolnych miejsc. Graeber postawił furgonetkę w najbardziej odosobnionym miejscu, a jego szef poszedł do recepcji. Wziął jeden pokój. Zapłacił za całą dobę, ale wiedział, że wyjadą o wpół do drugiej w nocy. Dzięki temu zdążą dotrzeć do

Vicksburga w stanie Missisipi godzinę przed przyjściem do pracy dostawcy, o którym się dowiedzieli, i będą mieli czas na obserwację. Z planu wynikało, że pozostało im dwanaście godzin. Emerson doszedł do wniosku, że powinni odpocząć. Wcześniej zaczęli dzień. Odbyli długą podróż z Chicago. Potem mieli pracowity poranek. Tak więc podzielili czas na cztery zmiany, z których każdą po kolei jeden z nich miał spędzać w pokoju, a drugi w samochodzie. Pokój był wygodniejszy. Ale furgonetka ważniejsza. Jej zawartość była zbyt cenna, by pozostawiać ją bez dozoru. I bardzo trudno byłoby wyjaśnić, co w niej jest, gdyby zainteresował się nią funkcjonariusz jakichś służb.

• • •

Samochód był stary. Coś w rodzaju kombi. Długi, zielony, z okleiną z imitacji drewna na bokach. Tylne drzwi otworzył chłopak z ciemnymi włosami. Blondyn przesunął dłoń na środek pleców Jeda. Popchnął go. Mocno. Jed próbował się ratować przed upadkiem, ale jego palce ześliznęły się po zakurzonej lakierze i wpadł twarzą w miejsce na nogi pod tylną kanapą. Blondyn zatrzasnął drzwi i odwrócił się do kumpla. Miał uniesioną rękę, jakby chciał przybić mu piątkę. Nie mógł tego jednak zrobić, bo kolega leżał na wznak na chodniku. Nieprzytomny. Stał nad nim jeden ze strażników z Minervy. Z uśmiechem na twarzy.

– Może mi łaskawie powiesz, co się tutaj dzieje? – poprosił drugi strażnik.

Blondyn otworzył usta, ale się nie odezwał.

Mężczyzna, który stał nad jego kumplem, wyjął pistolet zza pasa dżinsów.

– Musisz coś zrozumieć. Jestem funkcjonariuszem organów ścigania. Właśnie byłem świadkiem próby uprowadzenia osoby nieletniej. Kiedy cię zastrzelę, dostanę medal. Jeżeli więc masz jakieś niewinne wyjaśnienie, to właśnie pora go udzielić.

Chłopak nie zareagował.

Strażnik zerknął na zegarek. Do planowego przyjazdu następnego autobusu zostało osiem minut. Irytujące. Prawdopodobnie był to jedyny moment tego dnia, w którym coś się działo. Chętnie przeciągnąłby go odrobinę, żeby się trochę rozerwać. Ale tylko zmarszczył brwi i rozkazał:

– Pokaż mi telefon.

Blondyn nawet nie drgnął.

Strażnik z Minervy wcisnął lufę broni w jego mostek. Sięgnął do kieszeni chłopaka i sam wyjął telefon. Zerknął na ekran.

– Hasło?

Chłopak ciągle milczał.

– Dobra, to stary model – stwierdził strażnik. – Odblokuje go odcisk palca. Wyciągnij rękę.

Dzieciak ani drgnął.

– No to podsumujmy: hasło czy odcisk palca?

Chłopak nie odpowiedział.

– W porządku. Wybieram odcisk palca. Wiesz, że żeby odblokować telefon, palec wcale nie musi być połączony z resztą. Ani wskazujący, ani kciuk, wszystko jedno, którego użyłeś do ustawienia blokady. Być może będę musiał odłamywać ci wszystkie palce jeden po drugim.

Blondyn szeroko otworzył oczy i wyrzucił z siebie kombinację sześciu cyfr. Strażnik wpisał ją do telefonu, po czym otworzył galerię zdjęć. Była pełna fotografii ludzi, którzy uprawiali surfing, pili i leniuchowali na plaży, plus jedno zdjęcie czyjś tyłka. Nic, co miałoby związek z sytuacją, więc strażnik spojrzał na esemesy. Na ekranie od razu wyświetliła się inna fotografia. Przedstawiała Jeda Starmera. Na dworcu Greyhounda w Los Angeles. Zrobiona we wtorek po południu. Strażnik przeciągnął ją palcem i zobaczył, że została wysłana z numeru w Kalifornii. Dołączono do niej wiadomość. Z numerem trasy. I godziną przyjazdu. Podał telefon koledze.

– Ile? – zwrócił się do chłopaka.

Ten jeszcze szerzej otworzył oczy.

– Nie mam pieniędzy – powiedział. – Ale mogę zdobyć. Zapłacę wam, ile chcecie.

Strażnik z Minervy uderzył go w twarz. Otwartą dłonią, ale na tyle mocno, że chłopak przewrócił się na bok do rynsztoka. Strażnik pociągnął go za podkoszulek i postawił z powrotem.

– Ile mieliście dostać za porwanie tego chłopca?

– Aha... Nic. Naprawdę.

– Pieprzysz.

– Słowo daję.

– No więc po co go porwaliście?

– Musieliśmy. Nie mieliśmy wyboru.

– Każdy ma jakiś wybór.

– My nie. Musimy odpracować dług.

– Tak? A u kogo się zadłużyliście? I ile jesteście winni?

– U jednego gościa, którego poznaliśmy. Dał nam trochę dragów... masę dragów. Mieliśmy je rozprowadzić. Ale ktoś je nam ukradł. I nie mieliśmy kasy, żeby mu zwrócić.

– Co to za gość?

– Nie wiem, jak się naprawdę nazywa.

– Gdzie mieszka?

– W Nowym Orleanie.

– Czyli teraz dostarczacie mu dzieciaki, które uciekają z domu?

Chłopak wbił wzrok w ziemię i kiwnął głową.

– Macie kogoś na dworcu Greyhounda – domyślił się strażnik z Minervy. – Gdzie? W Los Angeles?

– Przenosi się z miejsca na miejsce – wyjaśnił chłopak. – Los Angeles. San Francisco. Austin w Teksasie.

– I zaprzyjaźnia się z chłopcami, którzy wyglądają na samotnych? Pyta, dokąd się wybierają? Sprawdza, czy nikt nie zwróci uwagi na ich nieobecność?

Chłopak skinął głową.

– Ile razy już to robiliście?

– To jest czwarty raz.

– Ilu jeszcze miało być?

Blondyn wzruszył ramionami.

– Mówił, że powie nam, jak będzie dość.

Strażnik znowu spojrzał na zegarek, po czym wyjął z tylnej kieszeni plastikowe opaski.

– Odwróć się. Ręce z tyłu.

– Co pan chce zrobić?

– Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście. Grozi ci długa odsiadka, kolego. Mam nadzieję, że trafisz tam, gdzie pracuję. Przygotuję ci naprawdę dobre powitanie.

– Nie! Zaraz. Proszę, nie moglibyśmy...

Strażnik obrócił chłopaka i zacisnął plastik na jego nadgarstkach. Popchnął go w stronę swojego partnera i otworzył tylne drzwi samochodu.

– Lepiej sprawdzimy, czy dzieciakowi nic się nie stało – powiedział. – Żebyś nie miał jeszcze więcej kłopotów.

Tyle że nie miał jak sprawdzić. Bo tylna kanapa w kombi była pusta. A drzwi z drugiej strony otwarte. Jed zniknął.

25

W tej samej chwili, gdy Jed Starmer wysiadał z zakurzonego kombi, Hannah Hampton i Jack Reacher opuszczali Luizjanę i przekraczali granicę stanu Missisipi. Byli na środku mostu Vicksburg, trzydzieści metrów nad powierzchnią rzeki. Jechali na wschód autostradą I-20 od pięciu i pół godziny, nie licząc przystanków na tankowanie i kawę.

Prowadził Reacher. Nie był tym zachwycony. Nie proponował, że siądzie za kółkiem. Rola pasażera znacznie bardziej odpowiadała jego usposobieniu. Ktoś, kto zajrzałby do pick-upa Sama Rotha podczas pierwszych sześciuset kilometrów, które pokonali tego dnia, mógłby pomyśleć, że towarzysz Hannah Hampton zapadł w śpiączkę. Siedział rozparty na odchylonym oparciu fotela, zupełnie bez ruchu. Z wyjątkiem oczu, które otwierały się od czasu do czasu. Tylko po to, by sprawdzić, gdzie są. Z początku krajobraz był płaski i monotony, bez żadnych charakterystycznych elementów prócz wieży ciśnień czy metalowej szopy na skraju prostej jak drut drogi. Potem między łąkami porośniętymi niskimi krzewami ukazało się parę drzew. Teren w kilku miejscach lekko się wznosił i opadał w innych. Gdy minęli Dallas, niebo nabrało głębszego odcienia błękitu. Trawa wydawała się zieleńsza. Od wjazdu do Luizjany kępy drzew przy drodze gęstniały. Łąki były bujniejsze, pola żyźniejsze. Reacherowi podobał się krajobraz, przesuwany się za oknem w zwolnionym tempie jak obraz przeźroczy wyświetlanych przez latarnię magiczną. Chętnie zapisywałby w pamięci te widoczki i oszczędzał energię na to, co czekało go w Winson. Gdy nie będzie już pasażerem. Ale kiedy po postoju na ostatnim parkingu przy stacji benzynowej

Hannah wręczyła mu kluczyki, uznał, że niegrzecznie byłoby odmówić. Poza tym to byłoby niebezpieczne. Hannah miała cienie pod oczami. Opadały jej ramiona. Z trudem otworzyła masywne drzwi pick-upa, zmagając się z podmuchem wiatru, i zasnęła, zanim jeszcze wyjechali z powrotem na autostradę.

Kawałek dalej na północ brzegi rzeki spinał inny most. Starszy. Na solidnych palach, z kratowymi dźwigarami, ogromnymi nitami i flagami łopoczącymi na najwyższych punktach. Reacher go poznał. Pokazywano mu jego zdjęcia i płynącej pod nim rzeki, gdy jako dziecko chodził do szkoły w bazie wojskowej na drugim końcu świata. Zanim zbudowano most, po którym właśnie przeprawili się przez rzekę. Ale wtedy to nie była lekcja inżynierii ani geografii. Chodziło o to, żeby dzieci recytowały „jeden Missisipi, dwa Missisipi”, by w ten sposób odmierzać równe sekundy. Reacher nie mógł tego zrozumieć. Już w młodym wieku potrafił śledzić upływ czasu. Dlatego zignorował temat lekcji i skupił się na moście, który wyglądał na solidną budowlę. Przemyślaną. Niezawodną. Taka właśnie powinna być właściwie zaprojektowana konstrukcja. Dzisiaj jeździły po nim tylko pociągi. No i miał swoje lata. Łuszczyła się z niego farba. Żelazny szkielet szpeciły pasma rdzy. Ale wciąż stał. Nadawał się do użytku. Kiedyś cieszył się wielkim szacunkiem. Dzisiaj, przy takiej liczbie przepraw, stał się w zasadzie zbędny. Reacher doskonale rozumiał tę sytuację.

Sto metrów za mostem zobaczył tablicę informującą o parkingu dla ciężarówek. Wynikało z niej, że jest największy w Missisipi. Reacher miał nadzieję, że to prawda. Miał też nadzieję, że dotyczy to nie tylko rozmiarów parkingu, ale też zakresu handlu i usług. Powinien już zmienić ubranie, a w żadnych z odwiedzonych przez nich sklepów nie znalazł niczego w swoim rozmiarze.

Hannah obudziła się, gdy tylko wyłączył silnik. Sen przywrócił jej werwę, więc razem poszli przez parking w stronę głównego budynku. Miał kształt podobny do kokardy. Wejście prowadziło do centralnej kwadratowej części, w której mieściły się toalety i prysznice dla kierowców ciężarówek. W trójkątnym skrzydle po lewej urządzono strefę gastronomiczną: pośrodku ustawiono stoliki i krzesła, a po bokach znajdowały się lady trzech restauracji. Przy jednej można było zamówić pizzę, przy

drugiej smażonego kurczaka. Podstawę trójkąta zajmowała natomiast burgerownia. Całą przestrzeń skrzydła po prawej wypełniał sklep, gdzie regały, stojaki i gabloty rozmieszczono bez żadnej czytelnej koncepcji.

Hannah weszła pierwsza i skierowała się do toalety, ale Reacher ujął ją za łokieć i wprowadził do sklepu.

– O co chodzi? – zdziwiła się. – Nie potrafisz sam wybrać pary spodni?

Obejrzał się przez ramię.

– Masz telefon? – spytał.

– Oczywiście. Chcesz do kogoś zadzwonić?

– Można nim robić zdjęcia?

– Pewnie. Dzisiaj można każdym telefonem.

– Przykłada się go do oka jak aparat?

Hannah parsknęła śmiechem.

– Trzyma się go przed sobą. Obraz widać na całym ekranie. To o wiele lepsze od wizjera. Czemu pytasz?

– Przy smażalni kurczaków stoi jakiś facet. Czai się, jakby czekał na zamówienie. Ale tak naprawdę obserwował wejście. I kiedy weszliśmy, podniósł telefon, trzymał go przed sobą i przesuwał tak, jakby mnie śledził.

– Odsuniesz rękę trochę na bok? – Hannah wyjrzała przez szparę między bicipsem a torsem Reachera. – Biały, ostrzyżony na jeża, w T-shircie i džinsach?

Skinął głową.

– Ciągłe tam się kręci. Jest z nim drugi. Wyglądają jak kumple z siłowni. Ciągłe ma w ręce telefon. Gapi się w ekran, jakby czekał na wiadomość. Może się z kimś umówili? I ten ktoś spóźnia się z jakiegoś powodu i nie dał im znać?

Reacher pokręcił głową.

– Uniósł telefon dopiero wtedy, gdy mnie zobaczył. I wycelował go prosto we mnie.

– Na pewno? Naprawdę myślisz, że robił ci zdjęcie? Po co?

– Nie wiem. – Reacher zrobił w tył zwrot. – Chodźmy go zapytać.

• • •

Podszedł do faceta z telefonem i powiedział:

– Następnym razem zadzwoń do mojego agenta.

Czoło faceta pofałdowały zmarszczki.

– O co chodzi, do cholery?

– Jeżeli chcesz mi robić zdjęcia, potrzebujesz pozwolenia.

Nieznajomy nie mógł się powstrzymać i zerknął na swój telefon.

– Nie robiłem ci żadnego zdjęcia.

– Chyba jednak tak.

– Dobra, cwaniaczku. Zresztą nawet gdybym... – Telefon wydał odgłos, jakby ktoś tępą krawędzią noża trącił kieliszek wina. Facet spojrzał na ekran. Skinął głową kumpłowi. A potem o kilkanaście centymetrów uniósł brzeg koszulki. Za pasek dżinsów był wetknięty czarny pistolet. Beretta. Wysłużona. Okładzina rękojeści była wytarta i zadrapana. – W porządku, panie Reacher. Dość tych bzdur. Skończmy tę rozmowę na zewnątrz.

Milcząca groźba użycia broni wydawała się idiotyczna. Równie dobrze mógł pokazać kolbę kukurydzy. Nie było mowy, żeby zaczął strzelać. Nie tam. Nie przy kamerach monitoringu, które go obserwowały. I dziesiątkach świadków. Nie mówiąc o prawdopodobieństwie strat ubocznych, które groziłyby mu dożywociem albo jeszcze gorszym wyrokiem, gdyby ktokolwiek zginął. Ale nawet jeśli gość okazałby się na tyle głupi, by wyjąć pistolet, to zanim lufa wysunęłaby się zza paska, straciłby przytomność. Podobnie jak jego kumpel. Reacher, prawdę mówiąc, liczył, że spróbuje go zaatakować. Przez tyle godzin kisił się zamknięty w samochodzie, że miał mnóstwo energii do spalania. Wiedział jednak, że lepiej będzie zaczekać, aż znajdą się w ustronniejszym miejscu, więc postanowił przystać na propozycję. Odsunął się na bok.

– Idź przodem.

Facet z bronią pokręcił głową i gestem polecił mu, by szedł pierwszy. Reacher ruszył w kierunku wyjścia. Hannah za nim. Pochód zamknął ten z beretką, wskazując im drogę na tył budynku; kumpel szedł obok niego. Przeszli między długą zewnętrzną ścianą sklepu a częścią parkingu przeznaczoną dla autobusów. Było tam jedenaście pojazdów, ale w pobliżu nie kręcili się żadni kierowcy ani pasażerowie. Budynek stał na skraju całego terenu, więc za nim nie było już nic. Ani drogi. Ani zaparkowanych samochodów. Ani ludzi. Tylko pas spękanego asfaltu między ścianą a ogrodzeniem. Parkan był zrobiony z szerokich drewnianych listew. Solidny. Nie było w nim szpar. Dziur po sękach. Miał wysokość trzech metrów. Nikt nie mógłby zajrzeć ponad nim. Przez deski również. Z tej strony budynku nie było okien. Ani drzwi. Dlatego nie zamontowano tu ani jednej kamery. Ściany części restauracyjnej i sklepowej biegły ukośnie od środkowego kwadratu z toaletami i łazienkami, tak że między nimi i ogrodzeniem była przestrzeń o kształcie trapezu, całkowicie odcięta od reszty obiektu. Nikt nie mógł zobaczyć, co się tu dzieje. Nikt nie mógłby zadzwonić pod 911. Nikt nie złożyłby zeznań na policji. Ani nie stanąłby jako świadek przed sądem.

Reacher domyślał się, jak to będzie wyglądać. Wiedział, że jeden z ludzi za nimi jest uzbrojony, i mógł spokojnie założyć, że drugi też. Będą próbowali przyprzeć jego i Hannah do muru części toaletowo-prysznicowej. Nie było wątpliwości. Potem tym dwóm wystarczy trzymać się z daleka od nich i mieć uszy i oczy otwarte. Być może zamierzali strzelić do Hannah. Albo do niego. Albo do obojga. Żeby ich zabić. Albo unieruchomić. Albo tylko przytrzymać, dopóki nie zjawią się posiłki. Cokolwiek planowali, zamierzali załatwić sprawę tutaj.

Reacher zrobił pół kroku w prawo i stanął jak wryty. Hannah zorientowała się, że się zatrzymał, i gdy znalazła się obok niego, też stanęła. Pochylił się i szepnął:

- Schowaj się za mną. Żeby gość nie mógł do ciebie strzelić.
- Który? – odpowiedziała szeptem. – Jest ich dwóch.
- Już niedługo – odparł Reacher.

• • •

Usłyszał za plecami głos. Mężczyzny, który mówił im, dokąd mają iść. Tego, który na pewno miał broń.

– Nie zatrzymywać się. Nikt nie kazał wam stawać.

Był blisko. Bliżej niż wtedy, gdy wychodzili z budynku. Reacher poznał to po brzmieniu jego głosu. Kiedy się zatrzymał, facet, podobnie jak Hannah, musiał zrobić jeszcze parę kroków. Reacher ocenił odległość. Przypomniał sobie jego wzrost. Odjął w myślach parę centymetrów. Przeniósł ciężar ciała na lewą stopę. I rzucił się do tyłu. Wykonał szybki obrót w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, skręcając się w pasie, by nabrać impetu, i prostując prawą rękę z dłonią zaciśniętą w pięść. Zatoczyła szeroki łuk jak obuch dwuręcznego młota. Którym zamachnął się szaleniec ważący sto dwadzieścia kilogramów. Tamten uświadomił sobie zagrożenie. Zaczął robić unik. Sięgnął po broń. Ale był za wolny. Pięść Reachera trzasnęła go w skroń i runął jak zeschnięte drzewo powalone przez huragan.

Drugi odskoczył do tyłu. Sięgnął pod T-shirt i chwycił za broń. Też miał berettę. Reacher zgrał się z jego ruchem. Zbliżył się, wyciągnął lewą rękę, przycisnął nadgarstek faceta do jego brzucha i zabrał mu pistolet. Potem pchnął go mocno w pierś, tak że przeciwnik zatoczył się do tyłu, za daleko, by mógł odzyskać broń.

– Twój kolega zrobił mi zdjęcie – powiedział Reacher. – Po co?

Facet nie odpowiedział.

– Chcieliście dokończyć rozmowę na zewnątrz – dodał Reacher. – Jesteśmy na zewnątrz. No więc rozmawiaj.

Tamten pokręcił głową.

Reacher uniósł pistolet.

– Spróbujmy zacząć od tego. Wybraliście to miejsce. Bez świadków. Bez kamer. Dlaczego?

Facet wyciągnął przed siebie ręce, zwracając w górę otwarte dłonie.

– Nic nie wiem. Jeżeli chcesz mnie zastrzelić, zrób to od razu.

– Nieprawda – odparł Reacher. – Coś wiecie. Wiecie, jak się nazywam.

– Aha... No tak. Okej.

– Wiecie, że przysłano was tu, żebyście mnie szukali.

– Chyba tak.

– Czyli wiecie, kto was przysłał.

Mężczyzna pokręcił głową.

Gdy Reacher trącił czubkiem buta leżące na ziemi ciało mężczyzny, jego kumpel na moment przymknął oczy.

– Przysłał nas nasz szef.

– Nazwisko?

– Pan Brockman.

– Z jakiej firmy?

– Usługi Penitencjarne Minerva.

– Pracujecie w więzieniu w Winson?

Mężczyzna skinął głową.

– Skąd Brockman wiedział, że tu będę?

– Nie wiedział. Wysłał ludzi do różnych miejsc. Tak na wszelki wypadek.

– Ilu ludzi?

– Nie wiem. Ośmiu? Dziesięciu? Nie mieliśmy normalnej odprawy dla całej załogi. Dostaliśmy rozkazy w parach. Dopiero potem przekazaliśmy sobie parę bliższych szczegółów.

– Dokąd wysłał innych?

– Wiem na pewno tylko o jednym miejscu. O dworcu Greyhounda w Jackson. Jednym z ludzi, których tam wysłano, jest mój szwagier. Dzwonił do mnie. Kilka minut temu. Właśnie złapali dwóch gówniarzy na próbie porwania bezdomnego dzieciaka, który przyjechał z Kalifornii. Chciał spytać, czy u nas są podobne

rozrywki. Ale to głównie prawda. Robił sobie ze mnie jaja, bo wiedział, że u nas kompletna nuda.

– Jakby zadzwonił teraz, nie mógłbyś mu powiedzieć, że się nudzicie. Co mieliście zrobić, gdybyście mnie zobaczyli?

– Zweryfikować tożsamość.

– A potem?

– Powstrzymać.

– Przed czym?

– Przed przyjazdem do Winson.

– Dlaczego?

– Żebyś nie sprawił nam kłopotów.

– Dlaczego miałbym sprawiać kłopoty?

Facet wzruszył ramionami.

– Pan Brockman twierdził, że jesteś wariatem. A wariaci robią różne pokręcone rzeczy.

– Mieliście zweryfikować moją tożsamość. Jak?

– Wysłaliśmy twoje zdjęcie do ludzi, którzy wiedzą, jak wyglądasz.

– Do jakich ludzi?

– Paru współpracowników.

– Jak mnie rozpoznali?

– Spotkaliście się dwa dni temu. W jakimś miasteczku w Kolorado.

Reacher się uśmiechnął.

– Rozumiem. Gdzie są ci ludzie?

– Chyba w Winson. Ciągle na zwolnieniu.

– Gdy będę w mieście, postaram się odwiedzić ich w domu. Może zaniosę im winogrona. Ale wróćmy do Brockmana. To dobry szef?

– Chyba.

– Jest miłym facetem?

– Kiedy kogoś lubi...

– Racja. Widziałem, co się dzieje z ludźmi, których nie lubi. W Kolorado. No więc posłuchaj, co mam zamiar zrobić. Pojadę do Winson. Sprawię trochę kłopotów panu Brockmanowi. Może trochę więcej, niż się spodziewa. A kiedy skończę, dopilnuję, żeby wiedział, jak bardzo mi pomogłeś.

– Nie. Proszę. Nie rób tego. On mnie zabije.

– Przykro mi. Już postanowiłem. Chyba że...

– Chyba że co? Czego chcesz? Pieniądzy? Z tym nie będzie kłopotu. Mogę ci dać...

– Nie chodzi o pieniądze. O informacje. Coś dziwnego dzieje się w księgowości Minervy. Chcę wiedzieć co.

Facet szeroko otworzył oczy.

– W księgowości? Nie mam pojęcia, co to może być. Skąd miałbym wiedzieć?

Reacher przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Przez lata dość dobrze nauczył się rozpoznawać, kiedy ludzie nie kłamią. I zwykle zachęcał ich do mówienia prawdy. Tym razem jednak szczerą odpowiedź go rozczarowała. Oznaczała, że facet jest mu już niepotrzebny. Dlatego wymierzył mu cios pięścią w twarz i patrzył, jak osuwa się na ziemię.

• • •

– To było konieczne? – Hannah stała z rękami na biodrach. – Nie był dla ciebie zagrożeniem. Przecież już mu zabrałeś broń.

– A zapasowy pistolet w kaburze na kostce? – odparł Reacher. – I nóż w skarpetce?

– Miał drugi pistolet? I nóż?

– Mógł mieć. Kiedy ktoś czeka, żeby to sprawdzić, sam może wylądować na ziemi. I już nie wstanie. Ci ludzie pracują dla tych, którzy zabili Sama. I Angełę.

Nie wyprowadzili nas na zewnątrz na kawę i ciasteczka.

Hannah milczała przez ponad minutę, po czym podeszła do pierwszego mężczyzny, którego Reacher zwał z nóg.

– On nie żyje?

Reacher wzruszył ramionami.

– Chyba mogłem złamać mu kark.

– Nie przejmujesz się tym?

– A ty się przejmujesz, kiedy rozdepczesz karalucha?

– To nie jest karaluch.

– Fakt. Gorzej. Jest człowiekiem. Miał wybór.

– Wiesz co? Masz rację. – Hannah zrobiła jeszcze jeden krok i kopnęła faceta w żebra. – Sam to wybrał. Postanowił pomagać ludziom, którzy zabili Sama... Nie, nie zabili, zrobili to z premedytacją, zamordowali go. Dla zysku. To dranie, nienawidzę ich. Myślę, że powinniśmy dopaść wszystkich co do jednego.

– Nie zamierzam zaprzeczać.

– To dobrze. Co robimy dalej?

26

Chodziło o zachowanie równowagi.

Cały problem wynikał z tego, że widzowie uroczystości zaplanowanej na następny dzień mieli być podzieleni na dwie grupy. Tych, którzy chcieli uczestniczyć w niej osobiście. I tych, którzy mieli oglądać ją zdalnie. W telewizji. Albo w internecie. Chodziło o to, by dobrze wypaść w oczach jednej i drugiej grupy. Gdyby pozostawał zbyt statyczny, publiczność oglądająca go na żywo uznałaby, że jest sztywny i drętwy. Gdyby natomiast wykazywał nadmierne ożywienie, na ekranie prezentowałby się jak oszołom, a kamery musiałyby wykonywać gwałtowne podrygi, żeby nie wypadł z kadru. Wyglądałoby to tak, jakby miał jakiś atak. Nikt nie powiedział mu tego prosto w oczy – wszyscy zapewniali, że przemówienie było wielkim sukcesem – ale Bruno Hix był przekonany, że tak właśnie stało się ostatnim razem, gdy zwalniano z więzienia niewinnego człowieka. Bo dał się ponieść emocjom. Czerpał energię od słuchaczy. Chłonał ją jak gąbka. Pozwolił sobie na zbyt wiele. Jak przy każdej wielkiej fecie, w jej trakcie wydawało się to całkiem na miejscu. Ale efekt bynajmniej nie był sympatyczny. A dzięki serwisom takim jak YouTube efekt w cyfrowym świecie mógł żyć wiecznie.

Kluczowe było odpowiednie przygotowanie. Hix dobrze o tym wiedział. Nauczył się już tekstu na pamięć. Nie miał żadnych wątpliwości, że z treścią poradzi sobie śpiewająco. Musiał po prostu popracować nad formą. By mieć pewność, że trafi równocześnie do dwóch kręgów publiczności. Tej prawdziwej

i tej wirtualnej. Byłby to nie lada wyczyn. Hix opracował więc nowy system. Połączenie starej techniki z nową. Na początek polecił personelowi technicznemu więzienia zainstalować gigantyczne lustro na jednej ze ścian sali konferencyjnej. Na przeciwległym końcu kazał zbudować makietę sceny. Następnie zamówił dwie małe kamery. Urządzenia zaprojektowano z myślą o osobach uprawiających dynamiczny sport, taki jak narciarstwo, kolarstwo górskie i kajakarstwo. Hixa nie obchodziła odporność kamer na wstrząsy. Nie interesowała go ich niezawodność pod wodą. Ale jedną cechę uważał za najważniejszą: żeby można je było uruchomić głosem. Jedną zamontował na zwykłym statywie obok siebie i wycelował obiektyw w stronę lustra, by zarejestrować widok z daleka – taki miałyby przed sobą publiczność. Drugą zamontował na ministatywie ustawionym na mównicy. Obiektyw był skierowany prosto na jego twarz. Kadrował ją z bliska, jak u dziennikarzy newsowych. Hix zamierzał wydać polecenie zapisu obrazu, które uruchomiłoby równocześnie obie kamery. Chciał wygłosić kilka razy przemówienie i zmieniać za każdym razem mimikę, gestykulację i zakres ruchów. Następnie zamierzał obejrzeć obydwie nagrania równocześnie na podzielonym na pół ekranie komputera i wybrać najlepszą kombinację.

Zarezerwował na to dwie godziny w swoim kalendarzu. Polecił asystentce, żeby mu nie przeszkadzano, chyba że dojdzie do buntu w więzieniu i straż wprowadzi lockdown. Wszedł na makietę sceny. Włączył kamery. Właśnie miał rozpocząć rejestrację. Nagle drzwi sali konferencyjnej otworzyły się na oścież.

Hix odwrócił się i ryknął:

– Co jest?!

Do sali wszedł Damon Brockman. Przystanął daleko od sceny.

– Miałeś rację – powiedział.

– Oczywiście, że miałem rację – odparł Hix. Spojrzał w obiektyw kamery na mównicy, otworzył usta, ale się zawahał. – W czym miałem rację?

– W sprawie tego włączył z Kolorado. Reachera. Próbował tu przyjechać.

– Próbował?

- Mają go ludzie z parkingu dla ciężarówek na dwudziestce.
- Zatrzymali go?
- Zidentyfikowali.
- Czyli go widzieli. Pytam, czy go zatrzymali.
- Odkąd wysłali jego zdjęcie, utrzymują ciszę radiową. Pewnie są za bardzo zajęci usadzeniem gościa. Wysłałem im do pomocy Harolda.
- Harolda?
- Harolda Keane’a. Nazywają go Drobiną. Gdybyś go zobaczył, na pewno byś go poznał. Jest u nas od dziesięciu lat. Sprowadziliśmy go z Atlanty. Metr dziewięćdziesiąt osiem. Sto czterdzieści kilo. Same mięśnie. Kiedyś pracował w stanowym więzieniu w Georgii, dwa lata z rzędu był wicemistrzem Ameryki w zawodach strongmanów.
- Tylko wicemistrzem?
- Bruno, bądź tak miły i nigdy nie mów mu tego prosto w oczy.
- Taki drażliwy? To dobrze. Ale to trochę potrwa, zanim tam dojedzie. Wyślij im jeszcze chłopaków z Megamartu. Skrzyżowanie z sześćdziesiątą pierwszą jest znacznie bliżej.
- Dobra.
- No i możesz już zdjąć ludzi z dworca Greyhounda w Jackson. Nie ma sensu ich tam trzymać.
- Wyślę im wiadomość. A co z tymi dwoma przy robotach drogowych na osiemdziesiątce?
- Na razie ich zostaw. Na wszelki wypadek. Dopóki nie będziemy pewni, że problem Reachera został pomyślnie rozwiązany.
- Rozumiem.
- To dobrze. Załatw to. A potem wrócisz? Zobaczysz moją próbę przed jutrem?
- Obejrzałbym bardzo chętnie. Tylko że jestem zawałony innymi sprawami. Muszę się uporać z tym obłądem. Dlatego przykro mi, ale nie mogę przyjąć tej szalenie kuszącej propozycji.

• • •

Później Reacher sprawdził, czy pierwszy facet, którego uderzył, jeszcze żyje.

Żył. Miał wyczuwalny puls. Wprawdzie szybki i słaby, ale wyraźny. Na poziomie emocjonalnym nie miało to dla Reachera żadnego znaczenia. Patrzył na to praktycznie. Musiał wiedzieć, czy ma śmieci do wyrzucenia, czy przeciwnika, któremu nie może pozwolić wrócić do gry.

Zabrał beretty nieprzytomnych mężczyzn. Znalazł ich telefony, rozgniół je obcasem, a szczątki wyrzucił przez parkan. Następnie razem z Hannah przeszukał ich kieszenie. Obyło się bez niespodzianek. I jeden, i drugi miał portfel z kartą płatniczą, prawem jazdy i identyfikatorem Minervy. Jeden miał czterdzieści dolarów w dwudziestkach. Drugi sześćdziesiąt. Reacher zostawił sobie gotówkę. Musiał przecież kupić ubrania. Wziął też kluczyk od samochodu. Na grubym plastikowym breloku było logo Mercury, na kółku pilot.

Reacher ściągnął obu mężczyznom buty i rzucił je za ogrodzenie. Zdjął im też T-shirty i dżinsy. I też przerzucił je ponad ogrodzeniem. Potem zdarł im skarpety. Były grube. Solidne. Takie, jakie ludzie noszą na pieszych wędrówkach albo podczas uprawiania dynamicznych sportów. Były lekko wilgotne. Starając się nie zwracać na to uwagi, zbadał wytrzymałość jednej. Pociągnął ją, by sprawdzić, czy jest elastyczna i czy nie pęknie. Lekko się rozciągnęła, ale nie rozerwała. Doszedł do wniosku, że to przynajmniej na chwilę ich przystopuje, więc skarpetkami związał im nogi w kostkach i ręce z tyłu. Później przyciągnął obu pod ścianę budynku, by jak najlepiej ich ukryć. Już chciał odejść, gdy nagle przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl.

– Hannah, chodź ze mną – poprosił.

• • •

Poszedł pierwszy na parking z boku budynku. Jeden autobus już odjechał, zostało dziesięć ustawionych w równiutkim szeregu. W zasięgu wzroku wciąż nie było żadnych pasażerów. Ani kierowców. Ani przypadkowych przechodniów. Reacher poprosił Hannah, by stanęła na czatach, i sprawdził klamki luków bagażowych najbliższej zaparkowanego autobusu. Po każdej stronie były trzy, nisko pod oknami. Wszystkie zamknięte. Spróbował w następnym, z identycznym rezultatem. To samo powtórzyło się przy trzecim autobusie. Ale czwarty był starszy. Z tablic rejestracyjnych wynikało, że przyjechał aż z Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie. Pierwsza klapa nie była zablokowana. Reacher bez trudu uniósł ją i odchylił. Zostawił ją otwartą i szybko wrócił za budynek. Dźwignął z ziemi jednego z nieprzytomnych mężczyzn i zarzucił sobie na ramię. Zaniósł go do autobusu i włożył do luku bagażowego. Wrócił po drugiego. I wrzucił go obok kumpla. Następnie zamknął klapę. Docisnął ją kolanem. Pociągnął klamkę. Obracał nią w prawo i w lewo, dopóki mechanizm nie puścił i nie został mu w dłoni. To samo zrobił z klamkami pozostałych pięciu klap. Wyrzucił je przez parkan. A potem zawrócił do wejścia do budynku.

• • •

W toalecie umył ręce i poszedł do sklepu. W części z artykułami dla kierowców znalazł podstawowy wybór odzieży roboczej. Wybrał parę spodni, których długość wydawała się odpowiednia, T-shirt, bieliznę, a ponieważ był już kiedyś w Missisipi, uznał, że przyda mu się lekka kurtka przeciwdeszczowa. Znalazł atlas samochodowy stanu. I wziął dwa duże kubki kawy. Zapłacił za wszystko pieniędzmi zabranymi facetom z Minervy. Wyszedł na parking i wrócił do Hannah, która czekała przy samochodzie.

Chętnie przyjęła kawę, ale zdziwiła się, gdy Reacher zajął miejsce pasażera i na środkowej konsoli między nimi położył papierową mapę.

– Po co traciłeś na to pieniądze? – spytała. – Mój telefon pokaże nam drogę. Wszystko jedno, dokąd będziemy chcieli pojechać. Zaprowadzi nas pod same drzwi.

– Nie chodzi o drogę.

Reacher otworzył atlas na stronie, która pokazywała ten parking dla ciężarówek. Był położony niedaleko zachodniej granicy stanu i rzeki Missisipi, mniej więcej w połowie odległości między Zatoką Meksykańską na południu a Tennessee na północy. Jackson leżało na wschodzie, mniej więcej w jednej trzeciej drogi do Alabamy. Winson na południowy zachód od parkingu, wtulone w głębokie zakole rzeki.

– Ten facet z Minervy mówił, że wysłano dziesięciu ludzi, żeby mnie znaleźli – powiedział. – Przydzielono po dwóch do różnych miejsc, co oznacza, że jest pięć zasadzek. Wiemy o dwóch. Na tym parkingu i dworcu Greyhounda w Jackson. Trzeba ustalić, gdzie są trzy następne.

– Dobra. Wszystko wskazuje na to, że przewidzieli nasz przyjazd dwudziestką. Ale nie mogli być pewni, że zrobimy sobie tu postój. Chyba że wiedzieli o twoich dziwnych zwyczajach związanych z garderobą. Gdyby nie to, jechalibyśmy dalej, potem skręcilibyśmy na południe tutaj, w sześćdziesiątkęjedynekę. – Hannah pokazała linię na mapie. – Logicznie byłoby zastawić pułapkę gdzieś dalej na tej trasie.

– Nie. Próbowaliby nas złapać na skrzyżowaniu. Nie wiedzą, że postanowiłaś zawieźć mnie do samego Winson. Zakładają, że jeżeli zmierzam do Missisipi, to albo ukradłem samochód, albo jadę autostopem. Gdybym ukradł samochód, tam bym skręcił. Gdyby ktoś mnie zabrał i jechał dalej na zachód do Jackson albo Meridian, Tuscaloosy czy Birmingham, to tam by mnie wysadził. I pewnie kręciłbym się tam, szukając następnej okazji.

– To ma sens – przyznała Hannah, wyjęła z torebki długopis i zakreśliła miejsce, gdzie droga numer sześćdziesiąt jeden przecinała dwudziestkę. – Czyli mamy potencjalną zasadzkę numer trzy. Gdybyśmy wybrali bardziej środkową

trasę z Kolorado, przez Kansas i Missouri, wjeżdżalibyśmy do Jackson pięćdziesiątkąpiątką. Potem skręcilibyśmy znowu na zachód. Do Winson prowadzi tylko jedna trasa, niezależnie od tego, skąd jedziesz. Pewnie zarzucili sieć gdzieś na tej drodze.

Reacher wziął mapę i studiował ją przez chwilę, po czym wskazał punkt niedaleko granicy miasta.

– Tam. Popatrz na poziomice. Wzniesienie ma tylko jakieś trzydzieści metrów, ale jest najbardziej strome na odcinku ponad stu pięćdziesięciu kilometrów. Na pewno muszą na nim zwolnić ciężarówki, a z nimi cały ruch na drodze. Łatwiej zajrzeć do pojazdów, które poruszają się powoli. I łatwiej je zatrzymać.

Hannah zakreśliła miejsce wskazane przez Reachera.

– Numer cztery, jest. Gdzie będzie piątka?

– W Jackson.

– Tak myślisz? Wysyłaliby tam jeszcze jeden zespół? Przecież obstawiają już dworzec Greyhounda.

– Owszem. Ale gdybym przyjechał pociągiem? Albo ktoś by mnie tam podwiózł? Jak pokonałbym resztę drogi do Winson? Na pewno jest jakiś transport wahadłowy albo lokalny autobus. Prawdopodobnie własność Minery. Przypuszczam, że ta firma jest też właścicielem hoteli w pobliżu więzienia.

– To dozwolone?

– Oczywiście. Dlaczego mieliby zarabiać tylko na więźniach, skoro da się też czerpać zyski z ludzi, którzy ich odwiedzają?

– Jesteś taki cyniczny. – Hannah znieruchomiała z długopisem uniesionym nad mapą. – Ale chyba masz rację. No więc gdzie w Jackson zatrzymuje się taki autobus?

– Nieważne. Nie jadę do Jackson. Jest za bardzo w bok od naszej drogi. Na razie zajmę się tylko skrzyżowaniem i szczytem wzniesienia.

– „Zajmiesz się”? Chciałeś chyba powiedzieć, że je ominiesz.

Reacher pokręcił głową.

– To podstawowa taktyka. Jeżeli jest okazja osłabienia zdolności bojowych nieprzyjaciela, trzeba z niej skorzystać.

– Aha. Będziemy „osłabiać zdolności bojowe”? Fantastycznie. Nie mogę się doczekać. Tylko powiedz mi, co właściwie mam robić.

– Znaleźć hotel. Na dzisiejszą noc.

– W porządku. W Winson? Kiedy skończymy osłabiać zdolności?

Reacher pokręcił głową.

– Nie. Pomyśl o czymś innym. Zastanów się nad inną miejscowością, do której pojechałabyś sama. Na parę dni.

– Akurat! Jadę tam gdzie ty. Nie możesz mnie zostawić, skoro kazałeś mi przyjechać aż tutaj. To by było chamstwo.

– Nie kazałem ci. I nie zostawiam cię. Ale mamy nowe informacje. Powinniśmy zareagować z głową. Odpowiednio do okoliczności.

– Jakie nowe informacje?

– Straciliśmy element zaskoczenia. Minerva już wie, że jestem w drodze. Znają moje nazwisko. Mają mój rysopis. A teraz nawet aktualne zdjęcie. Ich ludzie znają się na rzeczy. Szuka mnie wiele osób. Jeżeli ze mną zostaniesz, narazisz się na większe ryzyko. Dużo większe.

– W porządku. Ryzyko jest teraz większe. Rozumiem. Ale wiesz co? Potrafię przyjąć takie ryzyko, jakie mi się podoba. Nie musisz decydować za mnie.

– Nie decyduję. Radzę. Tobie zależy na tym, żeby dopaść ludzi, którzy zabili... zamordowali... Sama. Nie uda ci się, jeżeli zdążą wcześniej zamordować ciebie. Może więc będzie lepiej, jeżeli pojedę pierwszy, jako straż przednia. Wybadam sytuację. Sprawdzę, czy nie czają się na nas jakieś płoćki, i wymiotę je. A kiedy ryzyko się zmniejszy, zadzwonię. Przyjedziesz. I razem załatwimy sprawę.

Hannah przez chwilę milczała.

– Mówisz, że ryzyko jest większe. Ale czegoś nie rozumiem. Jeżeli mamy rację, to ludzie Minervy zabili Angełę, bo odkryła coś podejrzanego

w księgowości. Zabili Sama, bo Angela powiedziała mu, co znalazła. Ale dlaczego ścigają teraz ciebie? Jaki masz z tym związek? Czego mi nie powiedziałeś?

Po krótkim wahaniu Reacher opowiedział jej, co się stało w Gerrardsville, kiedy zobaczył, jak człowiek w bluzie z kapturem wepchnął Angelę pod autobus. Opowiedział, jak dogonił go w zaułku. Jak zabrał mu torebkę Angeli. I zajrzał do środka i znalazł kopertę. Jak kradzionym bmw przyjechał współnik tego w bluzie. I jak obaj uciekli, gdy zawaliła się konstrukcja schodów pożarowych.

Hannah uderzyła go w ramię.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś? Nadstawiam dla ciebie karku. Nie zasługuję na to, żebyś trzymał to przede mną w tajemnicy.

Reacher wzruszył ramionami.

– Sądziłem, że trafili do szpitala. Albo do kostnicy.

Przez chwilę milczała, a potem powiedziała:

– Pewnie miałeś powód, żeby tak ich potraktować. Rozumiem, że nie chciałeś mówić o tym, że załatwiłeś paru ludzi Minervy. Być może widziałeś, co zrobili. I właśnie dlatego cię ścigają. Ale ty nie masz powodu, żeby ich ścigać. Więc dlaczego spodziewają się ciebie tutaj? Co jeszcze przede mną ukrywasz?

– Nic.

– Przysięgasz?

Reacher skinął głową.

– No dobrze – rzuciła Hannah. – Może wiedzą, że powiązałeś ich z tymi morderstwami?

Pokręcił głową.

– Powiedziałem policji w Gerrardsville, że Angela nie popełniła samobójstwa, ale wtedy nie brałem jeszcze pod uwagę Minervy. Zresztą policja i tak mnie zignorowała. Sprawa Angeli jest zamknięta. Sama też.

– W takim razie musi chodzić o torebkę Angeli. Ludzie z Minervy ją zabrali, więc musiało tam być coś ważnego.

– Może tak. Może nie. Mogli tylko przypuszczać, że jest w niej coś ważnego. Mogli się tego obawiać. Ale to nie znaczy, że tak było.

– Powiedz mi jeszcze raz, co tam znalazłeś.

Reacher wyliczył wszystko, co widział w torebce.

– Czy coś mogło być zaszyte pod podszewką?

– Byłem śledczym w żandarmerii wojskowej. Wiem, gdzie ludzie chowają różne rzeczy.

– Czyli wracamy do koperty. Opowiedz mi o niej jeszcze raz.

– Były tam dokumenty niejakiego Antona Begovica. Niesłusznie skazanego, który jutro ma wyjść na wolność. Minerva sponsorowała wniesioną przez niego apelację.

– Co za durnie!

– Jest coś złego w uwolnieniu niewinnego człowieka?

– Nie. Oczywiście, że nie. Chodzi mi o Minervę. U nich zawsze chodzi o PR. Prezes nazywa się Bruno Hix. Jest z tego znany. Nawet gdy idzie się wysrać, bierze ze sobą konsultanta od wizerunku, żeby to wykorzystać. Pewnie wzięli jakiegoś prawnika, który był ich dłużnikiem, żeby przeprowadził apelację za darmo. Potem zrobią wokół tego straszny szum, przedstawią się jako korporacja świętych i aniołów i nie będzie to ich kosztowało ani centa. Sam zawsze był wobec nich podejrzliwy.

– Dlaczego?

– Jeżeli coś wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe, to jest nieprawdziwe. Tak zawsze mówił. Na przykład pensje. Minerva płaci po dwadzieścia pięć centów więcej, niż wynosi średnia w branży, całemu personelowi jak leci. Robią wszystko, by każdy o tym wiedział. A potem dbają, żeby nikt nie wyrobił nadgodzin.

– Skąd to...?

– Zaraz! Coś mi przyszło do głowy. A jeżeli ten Begovic wcale nie jest niewinny? Jeżeli zapłacił Minervie za pomoc w apelacji? Albo zapłaciła jego

rodzina? Minerva mogła próbować wyprać pieniądze jakimiś sztuczkami księgowymi. I nie za dobrze im wyszło. A Angela wyczuła pismo nosem.

– Jeżeli rzeczywiście chodziło o brudne pieniądze, dlaczego w ogóle wprowadzali je do firmy? Czemu nie wzięli ich w gotówce?

Hannah pokręciła głową.

– Takie pytania zadaje tylko ktoś, kto nigdy nie kupował domu. Ani samochodu. Ani zapasowej pary spodni. Duża gotówka to czerwony sygnał ostrzegawczy. Skarbówka zaczęłaby grzebać tak głęboko, że widziałbyś ją w ustach, kiedy rano myjesz zęby. Nie... Chyba jestem na dobrym tropie. I na pewno nie powinieneś jechać tam sam. Proponuję układ. Jadę z tobą. Ale kiedy będziesz zajęty „osłabianiem zdolności bojowych nieprzyjaciela”, zostanę w hotelu. Prześwietlę historię tego Begovica. Dowiem się wszystkiego o jego skazaniu. I apelacji. Jaka była jej podstawa. Dlaczego tak długo trwało jej rozpatrzenie. Może pogadam ze znajomymi Sama. Wypytam o branżowe plotki. Poznam prawdę.

Kiedy Jed Starmer, kucając, chował się między dwoma pojemnikami na śmieci w zaułku po drugiej stronie dworca Greyhounda, w uszach wciąż dźwięczały mu cztery słowa: „Jestem funkcjonariuszem organów ścigania”.

Głos tego człowieka był trochę stłumiony, ale zwinięty na podłodze samochodu Jed był pewien, że się nie przesłyszał. Chociaż nie miał pewności, jakie organa ścigania reprezentuje ten funkcjonariusz. Był bez munduru. Jego partner też. Jed domyślał się więc, że to detektywi policyjni. Albo agenci FBI. Wysoko postawieni. Ważni. Tyle że nie bardzo obchodziło go, gdzie pracują. Ani jaką mają rangę. Po prostu ucieszył się, że pojawili się akurat w tym momencie. Nie miał pojęcia, czego chcieli od niego ci niechlujni chłopcy, nie trzeba było jednak jasnowidza, by się domyślić, że niczego dobrego.

Ucieszył się, że funkcjonariusze się pojawili, ale jednocześnie wpadł w popłoch. Bo to oznaczało, że na pewno go szukali. Tak wynikało z tego, co usłyszał. Musiał ich zawiadomić chłopak z poprzedniego autobusu. Zadzwoń, kiedy skończyli śniadanie w Dallas. Męczył go, żeby zgłosił się na policję. Gdy Jed odmówił, chłopak widocznie postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Co oznaczało, że Jed musiał zmienić plany. Wcześniej zamierzał spędzić noc na krzesłach na dworcu Greyhounda, a następnego dnia dostać się do Winson. Teraz nie mógł ryzykować i zostawać w Jackson. Przynajmniej nie w publicznym miejscu. Nie na widoku. Nie miał wyjścia. Musiał wyjechać. Natychmiast.

• • •

Reacher zostawił w samochodzie u Hannah atlas, jedną zdobyczną beretę i kubek z resztką kawy i wrócił do toalety w budynku na parkingu, by się przebrać. Plan na potem był prosty: zamierzał znaleźć dwóch ludzi z Minervy na pobliskim skrzyżowaniu i dać im dokładnie to, czego chcieli.

Przynajmniej na razie.

Domyślał się, że będą go szukać w samochodzie albo na poboczu drogi, próbującego zatrzymać okazję. Gdyby namierzyli go w samochodzie, sytuacja mogłaby się skomplikować. Nie zatrzymaliby go od razu, z powodu korowodów z identyfikacją. Najpierw musieliby zrobić mu zdjęcie, wysłać do tych, którzy widzieli go w Kolorado, a potem czekać na odpowiedź. Mieli do wyboru dwie możliwości. Albo pojechaliby za nim i zatrzymali go, gdyby potwierdzono jego tożsamość. Albo zostaliby na miejscu i wysłali info do ludzi pełniących straż przy wjeździe do Winson. Żadne z tych rozwiązań nie podobało się Reacherowi. Zmuszenie samochodu do zjazdu z autostrady przy dużej prędkości i dużym ruchu nie jest bezpieczne. Istnieje spore ryzyko wypadku. Może nawet z ofiarami śmiertelnymi. I udziałem innych pojazdów, prowadzonych przez niewinnych kierowców, z niewinnymi pasażerami. A jeśli ludzie Minervy przekazałyby wiadomość dalej, to wprawdzie na wiele kilometrów straciliby Reachera z oczu, ale wcale nie ułatwiłoby mu to sytuacji po przyjeździe do miasta. Dlatego najrozsądniej było stanąć tam, gdzie spodziewali się go zobaczyć, wysunąć przed siebie kciuk i mieć nadzieję, że nie trafi się przypadkowy kierowca, który akurat teraz szuka towarzystwa.

Skrzyżowanie z lotu ptaka przypominało literę A, obróconą o czterdzieści pięć stopni, z łukowatą poprzeczką. Jedną stroną tworzyła autostrada międzystanowa I-20, która po przecięciu rzeki skręcała na północny wschód. Drugim ramieniem była autostrada US-61, odchodząca na południe. Poprzeczkę litery A stanowiły zjazdy łączące wschodnią nitkę dwudziestki z południową nitką US-61 oraz północny

kierunek sześćdziesiątkiejedynek z zachodnim kierunkiem dwudziestki. Innym istotnym elementem tego obrazu była przestrzeń poniżej poprzeczki. Zajmował ją olbrzymi sklep. Reacher nie mógł odczytać z mapy, do jakiej sieci należy ani jakiego rodzaju artykuły sprzedaje. Zresztą niewiele go to obchodziło. Ważne było tylko to, że ma wygodny parking.

Plan był prosty. Hannah zatrzyma się na poboczu tuż przed zjazdem wschód/południe. Reacher wysiądzie z samochodu. Hannah pojedzie dalej dwudziestką w kierunku Jackson, na wypadek gdyby ktoś już ją obserwował. Na następnym zjeździe opuści autostradę, zawróci do wielkiego supermarketu i będzie czekać na parkingu. Ludzie z Minervy zauważą Reachera. Spróbują go sfotografować i zatrzymać, albo na poboczu, albo w samochodzie – z takim samym skutkiem jak ich koledzy z parkingu dla ciężarówek. A gdy już będą nieprzytomni i unieruchomieni, Reacher zejdzie z estakady zjazdu, skręci w stronę sklepu i spotka się tam z Hannah.

Plan był prosty. Ale posypał się, zanim jeszcze przystąpili do jego realizacji.

• • •

Reacher wyrzucił do śmieci stare ubranie i wrócił do pick-upa. Otworzył drzwi po stronie pasażera, ale nie wsiadł. Bo jego miejsce zajmował ktoś inny. Mężczyzna pod trzydziestkę, ubrany w bluzę jakiegoś europejskiego klubu piłkarskiego, dżinsy i buty motocyklowe. Włosy miał wygolone po bokach i trochę dłuższe u góry. Nosił krótką bródkę. I miał broń. W lewej ręce. To był sig sauer P320 w piaskowym kolorze. Facet trzymał go pewną dłonią i celował w sam środek jego klatki piersiowej.

Reacher chwycił go za nadgarstek i pociągnął, wyszarpując przedramię poza ramę drzwi. Przycisnął rękę intruza do słupka między bocznymi szybami, skręcając ją w taki sposób, by lufa pistoletu skierowała się w ziemię. I zatrzasnął drzwi. Włożył w ten ruch cały ciężar ciała. Facet wrzasnął. Broń wypadła mu z dłoni. Ze

stukiem odbiła się od stopnia pick-upa i wpadła pod samochód zaparkowany obok. Reacher poczuł, jak nadgarstek mężczyzny wiotczeje. Usłyszał chrzęst łamanych kości. Dopiero wtedy otworzył drzwi. Głowa tamtego opierała się bezwładnie o oparcie fotela. Na całą twarz wystąpiły kropelki potu. Skóra wydawała się niemal zielona. Miał odsłonięte gardło. Reacher cofnął prawą rękę. Zacisnął pięść. Wystarczyłby jeden cios.

– Nie – usłyszał czyjś głos. Dochodzący z tylnego siedzenia, które zajmował drugi mężczyzna. Z głową ogoloną na zero. W zbliżonym wieku i podobnej budowy ciała jak ten ze złamaną ręką. W gładkim czarnym T-shircie. Siedział za Hannah. Pochylony do przodu. I przyciskał lufę rewolweru do podstawy jej czaszki.

Hannah siedziała wyprostowana tak bardzo, jakby próbowała lewitować. Rękę trzymała wyciągnięte przed sobą. Obiema dłońmi ścisnęła kierownicę. Kostki palców miała kredowobiałe. Patrzyła prosto przed siebie, z twarzą skrzywioną w grymasie, jakiego można się spodziewać u rodzica, który odkrył, że nastoletnie dzieci urządziły orgię w jego salonie.

Kompaktowy rewolwer Ruger LCR, dwudziestkadwójka, wydawał się maleńki w dłoni faceta. Prawdopodobnie był dla niego drugą sztuką broni, noszoną na kostce. Z odległości był z niego niewielki pożytek. Nikt nie wybrałby go jako podstawowej broni. Ale z bliska w zupełności wystarczał. W tej sytuacji był wręcz idealny. Jeśli facet oddałby strzał pod odpowiednim kątem, pocisk nie przebiłby ciemienia Hannah. Obijałby się wewnątrz jej głowy, rozcierając na miazgę mózg, dopóki nie zużyłby całej energii i nie zatrzymał się w powstałej papce. Co oznaczałoby, że nikt nie zobaczyłby jej krwi i mózgu rozprysniętych na przedniej szybie. Gdyby natomiast przeszedł na wylot, na pewno nie miałaby już tyle siły, by przebić stalowy dach pick-upa. Ten człowiek nie mógłby liczyć na bardziej dyskretną okazję. Chociaż gdy życie jego kumpla wisiało na włosku, być może przestał się przejmować, czy zwróci na siebie uwagę otoczenia.

Reacher rozluźnił dłoń i opuścił rękę.

– Dobra decyzja – pochwalił facet. – Posłuchaj, szukamy naszych dwóch przyjaciół. Ta młoda dama powiedziała mi, że mógłbyś pomóc nam ich znaleźć.

– To wy macie przyjaciół? – spytał Reacher.

– Nie pora na żarty.

– A kto żartuje?

– Mów, gdzie oni są.

– Skąd mam wiedzieć?

Facet wyjął coś spod lewego uda. Uniósł, żeby Reacher mógł zobaczyć. To była beretta, którą zostawił w samochodzie, gdy poszedł się przebrać.

– Nie trać czasu – poradził. – Mów, gdzie oni są.

Za pick-upem przejechał z łoskotem jakiś pojazd. Reacher zerknął w tę stronę. To był autobus. Ten stary z Kolumbii Brytyjskiej. Nie było w nim pasażerów. Tylko kierowca. Reacher miał nadzieję, że jedzie prosto do Kanady. A może, zważywszy na jego ponurą minę, prosto na złomowisko. Takie, gdzie nie sprawdzają pojazdów zbyt dokładnie przed wrzuceniem do zgniatarki.

– Niedaleko – odparł Reacher.

– Powiedz gdzie.

– Pokażę.

– Powiedz.

– A uwierzyłbyś mi?

Tamten zastanawiał się przez chwilę.

– Dobra – rzucił w końcu. – Nosisz pasek?

Reacher skinął głową.

– Zdejmij. I daj mi.

Ani drgnął.

Facet jeszcze bardziej przysunął rewolwer do głowy Hannah, tak że lufa wbiła się głębiej w skórę. Hannah zacisnęła zęby, nie umiała jednak opanować długiego, stłumionego jęku.

Reacher przeciągnął pasek przez szlufki i podał go przez szparę między przednimi siedzeniami pick-upa. Mężczyzna na tylnym siedzeniu, wciąż przyciskając broń do czaszki Hannah, wyciągnął lewą rękę. Złapał pasek, a potem zacisnął na nim zęby tuż przy sprzączce. Przewłókł przez nią koniec paska i ciągnął go, dopóki nie powstała pętla o około trzydziestu centymetrach średnicy. Wtedy cofnął rewolwer, zarzucił pasek na głowę Hannah i zacisnął go na jej szyi i metalowych prętach zagłówka. Kobieta nie wydała żadnego dźwięku, ale grymas jej twarzy wyglądał jeszcze bardziej przerażająco.

– Pep? – zwrócił się facet do kumpla na przednim siedzeniu. – Możesz się ruszać?

Pep kiwnął głową.

– Chyba.

– To dobrze. Podejdź tu. Do moich drzwi.

Pep wysiadł i powłókł się w stronę tyłu samochodu. Przyciskał lewą rękę do piersi i poruszał się tak, jakby dręczył go morderczy kac. Dotarł na drugi koniec wozu. Mężczyzna, który trzymał pasek, przesunął się na bok. Pep wsiadł za Hannah i opadł na oparcie. Miał minę, jakby za moment miał zwymiotować.

– Pochyl się do przodu – polecił mu partner. – Jak tylko się da. Z tyłkiem na samym brzegu siedzenia.

Pep przesunął się naprzód. Jego towarzysz przywiązał mu pasek do nadgarstka prawej ręki w taki sposób, że dłoń Pepa była przyciśnięta do tyłu fotela kierowcy tuż pod karkiem Hannah.

Poklepał Pepa między łopatkami, po czym przesunął się na koniec siedzenia, otworzył drzwi i wysiadł obok Reachera. Ruchem głowy wskazał Pepa i Hannah.

– Mam narysować ci schemat?

Reacher pokręcił głową.

– To dobrze. Teraz podnieś siga, którego upuścił Pep. Kciukiem i palcem wskazującym za kabłąk spustowy. Podaj mi.

Reacher wyłowił pistolet spod wozu obok i mu go wręczył.

– Okej. – Facet wepchnął broń za pasek spodni z tyłu i sprawdził, czy koszulka ją zasłania. – Teraz pokaż mi, gdzie są moi przyjaciele. I dla dobra tej kobiety lepiej się pospiesz.

• • •

Reacher ruszył przodem w kierunku głównego budynku, a w drodze próbował odtworzyć w wyobraźni obraz pilota do samochodu, który zabrał po przeszukaniu pierwszej pary ludzi Minervy. Pamiętał, że były tam cztery przyciski. Dwa niższe miały inny kolor niż górne. Jeden był czerwony. Wyglądał, jakby miał jakiś związek z alarmem. Drugi przycisk był niebieski. Służył do otwierania bagażnika. Pozostałe były czarne. Miały niewielkie białe symbole kłódki. Ledwie widoczne. Prawie całkiem starte, ale Reacher przypuszczał, że kłódka na lewym górnym przycisku była zamknięta.

Wsunął dłoń do kieszeni i namacał pilot. Znalazł prawy górny przycisk i wduśił go kciukiem. Rozejrzał się po parkingu, licząc, że zobaczy migające kierunkowskazy któregoś samochodu.

Nic takiego się nie stało.

– Ej, co robisz? – spytał idący za nim mężczyzna.

– Przytrzymuję spodnie, żeby mi nie opadły.

Facet burknął, jakby nie był przekonany, że to prawda.

Szli dalej. Reacher cały czas przyciskał guzik na pilocie, ale żadne światła nie migają. Doszli już prawie do wejścia do budynku. Reacher doszedł do wniosku, że samochód stoi w innym miejscu parkingu, więc będzie musiał zaprowadzić faceta na tyły budynku. I wykonać zadanie w dwóch etapach. Wiedział na pewno, że auta nie ma po prawej, ponieważ tam parkowały autobusy. Ostatni raz rzucił kostką. Skręcił w lewo. Znowu wcisnął przycisk na pilocie. I zobaczył parę pomarańczowych świateł, które odpowiedziały przeciągłym błyskiem.

Samochód, którego kierunkowskazy rozbłysły, stał w ostatnim rzędzie, przed ogrodzeniem, które otaczało cały kompleks parkingu. Po obu stronach wozu były puste miejsca. Reacher pomyślał, że to może być fałszywy alarm. Zbieg okoliczności. To nie był ten rodzaj samochodu. Ford crown victoria. Reacher widział ich setki w trakcie służby w wojsku. I setki po odejściu do cywila. Chociaż ten egzemplarz wyglądał czyściej niż większość, na które zdarzyło mu się trafić. Lakier był w idealnym stanie. Granatowy, prawie czarny. Lśnił, jakby niedawno został wypolerowany. Wóz miał nietypowe koła. Dziwną kratkę wlotu powietrza z przodu. Przyciemniane szyby. Wyglądał raczej na prywatne auto niż na wóz detektywa albo taksówkę. Reacher przyjrzał się uważniej. Zobaczył, że tam, gdzie powinien być błękitny symbol Forda, widnieje logo marki Mercury. Nie rozumiał dlaczego, ale nigdy nie był miłośnikiem motoryzacji. I nie tracił czasu na domysły. Położył palec na przycisku pilota. Wcisnął go. Kierunkowskazy znowu błysnęły. Tak samo leniwie jak poprzednio. Drugi zbieg okoliczności uznał za mało prawdopodobny.

– Tędy – powiedział. Zmienił kierunek i zbliżył się do tyłu samochodu, który prawie dotykał ogrodzenia. Kierowca wjechał tyłem, gotów na błyskawiczny wyjazd w razie potrzeby. Reacher czekał, aż mężczyzna w czarnym T-shircie go dogoni, po czym wyjął z kieszeni kluczyki. Wcisnął przycisk otwierania bagażnika. Kłapa uchyliła się, ale tylko na parę centymetrów.

– Myślisz, że jestem nowy w te klocki? – spytał facet. – Nie zamierzam tego otwierać.

– Nie ma sprawy – uspokoił go Reacher. – Ja to zrobię. Nie musisz podchodzić ani kroku bliżej. Ale najpierw jedno pytanie. Pracujesz w Minervie?

– Właśnie stuknęło mi dziesięć lat. Gdzie moi przyjaciele? Lepiej dla ciebie, żeby nie było ich w tym bagażniku.

– Wysłali was, żebyście mnie szukali?

– Wysłali nas na skrzyżowanie. Przenieśliśmy się tutaj, kiedy tamci cię namierzali. Co jest w bagażniku? Gdzie moi przyjaciele?

– Mieliście ludzi tutaj. I na dworcu Greyhounda. Gdzie jeszcze?

– Nie mam pojęcia. Nie mówili mi, a ja nie pytałem. Dość tego gadania. Pokaż mi, co jest w bagażniku.

– Masz rację. Z gadania nic nie wyniknie. Pora...

Reacher zaatakował bykiem, uderzając go w twarz. Nie cofnął za bardzo głowy. Nie chciał zdradzać swojego zamiaru. To oznaczało, że musiał poświęcić trochę siły i polegać na swoim wzroście i mięśniach szyi. Nie był to najsilniejszy cios, jaki w życiu zadał. Ale wystarczył. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i choć trzymał się jeszcze na nogach, był już nieprzytomny. Uderzył plecami w ogrodzenie. Chwiał się przez chwilę. Reacher podszedł bliżej. Złapał go, zanim ten runął na ziemię. Zawłókł go do samochodu, od którego dzielił ich już niewiele więcej niż metr. Otworzył do końca bagażnik. Załadował do środka faceta. I zatrzasnął klapę. Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

28

Bruno Hix trzy razy zaczynał przemówienie.

Zaczynał. Ale nie mógł skończyć. Nie mógł przebrnąć poza kilka pierwszych linijek. Był za bardzo rozkojarzony. Myślał wyłącznie o parkingu dla ciężarówek. Wciąż się zastanawiał, co się tam dzieje. Wysłał czterech ludzi, żeby rozwiązali problem włączęgi. To powinna być kaszka z mleczkiem. Nie dostał jednak potwierdzenia. Nie nadszedł żaden meldunek. Żadna wiadomość. A włączęga zdążył już ośmieszyć ludzi, którzy zostali wysłani do Kolorado.

Hix zeskoczył z makiety sceny. Opuścił salę konferencyjną i szybkim krokiem przeszedł korytarzem na przeciwległy koniec drugiego skrzydła budynku. Do gabinetu Brockmana. Drzwi były zamknięte. Hix nie zapukał. Po prostu otworzył i wszedł. Przez chwilę myślał, że Brockmana nie ma. Krzesło za biurkiem było puste. Fotel również. Wreszcie zobaczył, że Brockman leży wyciągnięty na kanapie przy oknie. Obok na podłodze stał porzucony kubek kawy.

Hix skrzyżował ręce na piersi.

– Taki jesteś zajęty, hm?

Brockman otworzył oczy. Usiadł.

– Bardzo. Układam plany.

– Dalej żadnych wiadomości?

– Właśnie że jest wiadomość. I to dobra. Jedna z moich poprzednich strategii przyniosła obfite owoce. Wiem, jak Reacherowi udało się tak szybko dostać do Missisipi. Wziął pick-upa należącego do Sama Rotha. Tego, z którym zamierzała

się spotkać Angela St. Vrain. Facet nie żyje, więc oczywiście nikt nie zgłosił kradzieży. Ludzie, których zdjęliśmy z węzła autostrady, namierzyli wóz na parking dla ciężarówek.

– Znaleźli tego pick-upa?

– Owszem.

– Kogo obchodzi samochód? Gdzie jest Reacher?

– Nadal musi tam być.

– Musi? Nie wiesz?

– Pick-up ciągle tam stoi. Czyli Reacher też jest w pobliżu. Co zrobi? Resztę drogi pokona pieszo? Dlatego, Bruno, wyluzuj się. Nasi ludzie są na miejscu. Obserwują ten wóz. Dostaniemy od nich sygnał, gdy będą mieli Reachera.

– Zadzwoń do nich. Teraz. I przełącz na głośnik.

– Lepiej weź diazepam. – Brockman wyjął telefon i wstukał numer. W głośniku zabrzmiał sygnał. Potem drugi. I trzeci. Wreszcie włączyła się poczta głosowa. Brockman rozłączył się, nie nagrywając wiadomości. Wstukał inny numer. To połączenie też zostało przełączone do poczty głosowej. Rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu. – Nie ma się czym martwić. Pewnie wyciszyli telefony. Żeby nie zdradzać swojego położenia. Zawodowcy. Dobrze wiedzieć.

– Spróbuj zadzwonić do pozostałych dwóch.

Brockman znowu zadzwonił. Od razu odezwała się poczta głosowa. Tak samo wyglądała próba połączenia się z czwartym numerem.

– Prawdopodobnie rozładowały im się baterie. Pamiętaj, są tam dzisiaj od trzeciej rano.

– Coś się stało.

– Wszystko gra. Trzeba tylko trochę poczekać. Cierpliwości.

– Kazałeś wrócić ludziom z Jackson?

– Tak. Gdy tylko wyszedłem od ciebie.

– Zadzwoń do nich jeszcze raz. I wyślij ich na ten parking dla ciężarówek.

– Naprawdę? Potrzebujemy tam aż siedmiu ludzi?

– Mamy już czterech. Teraz może pięciu. Wykonali zadanie?

Brockman zadzwonił do ludzi, którzy obserwowali dworzec Greyhounda, i przekazał im instrukcje. Rozłączył się. Odłożył telefon. Zaczekał, aż Hix wyjdzie, znowu wyjął telefon i zadzwonił pod kolejny numer. Zapomniał o ludziach, których wysłał do obserwacji przystanku lokalnego autobusu. Nie było powodu, by zostawiać ich dłużej w Jackson. Szkoda. Brockman mógł poczytywać sobie za sukces to, że skojarzył Reachera z samochodem Rotha. Ale sukces byłby znacznie większy, gdyby złapał tego włóczęgę w pułapkę, która Hixowi nawet nie przyszła do głowy.

• • •

Reacher zaparkował mercury'ego tyłem obok pick-upa Sama Rotha. Miał nadzieję, że Pep rozpozna samochód i pomyśli, że kolega zjawia się z pomocą. A może że to wóz kogoś przypadkowego, kto chce skorzystać z usług w budynku na parkingu. Wszystko jedno, pod warunkiem że nie uzna tego za zagrożenie. Że nie zacznie dusić Hannah paskiem.

Pod warunkiem że już jej nie udusił.

Wyskoczył z samochodu i pociągnął klamkę tylnych drzwi pick-upa. Były zamknięte. Przez przyciemniane szyby nie widział wnętrza. Nie widział, w jakim stanie jest Pep. Ani w jakim stanie jest Hannah. Szarpnął drzwi kierowcy. Też były zamknięte. Rąbnął w szybę, lecz nic się nie stało. Hannah nie otworzyła od środka.

Może nie mogła.

Reacher wyjął zza paska berettę i obrócił ją tak, by chwycić pistolet za lufę. Uderzył ręką, jakby była młotkiem, w szybę w tylnych drzwiach. Trzasnęła mocno w dolnym rogu, czyli najsłabszym punkcie. Szkło natychmiast zmieniło się w nieprzejrzystą siatkę kryształków. Reacher spróbował wepchnąć ją do środka. Wgniół ją. Ale nie oderwał od ramy. Folia przyciemniająca okazała się zbyt wytrzymała. I za bardzo się rozciągała. Na górze i bokach sięgała ramy, a na dole

do wnętrza drzwi. Uderzył w nią nasadą dłoni. Jeden bok puścił. Trzasnął jeszcze raz. Poluzował górną krawędź i drugi bok. Po trzecim uderzeniu cała szyba z osłoną wygięła się. Wywinęła się i opadła jak w zwolnionym tempie. Zgięła się i przykryła wewnętrzną stronę drzwi.

Pep zmierzył Reachera wściekłym spojrzeniem przez puste okno. Miał jeszcze zieleńszą skórę niż wcześniej. I bardziej spoconą twarz. Z całej siły ciągnął pasek. Hannah próbowała oderwać go od szyi. Rzucała głową na boki, nie wydawała jednak żadnego dźwięku. Brakowało jej powietrza. Reacher sięgnął do wnętrza samochodu i zadał Pepowi cios w bok głowy. Mocny. Facet przewrócił się na bok i zjechał z kanapy na podłogę. Przestał się ruszać. Stracił przytomność. Nie mógł już świadomie dusić Hannah. Ale ciągle miał pasek przywiązany do nadgarstka. I napinał go ciężarem ciała.

Hannah wciąż nie mogła oddychać.

Reacher usiłował odnaleźć po omacku klamkę od wewnątrz, ale nie mógł jej dosięgnąć. Zasłaniała ją stłuczona szyba i folia przyciemniająca. Zwisła za nisko, jak tarcza. Próbował ją oderwać. Ale nie był w stanie. Folia okazała się za mocna. Chwycił więc za brzeg i pociągnął do góry. Drugą ręką złapał równoległą krawędź. Ścisnął je razem, tak że rozbita szyba z folią i jego ręce mogły się zmieścić w ramie okna. Ściągnął ją w dół, żeby nie przeszkadzała, i jeszcze raz sięgnął do środka. Zwolnił zamek i otworzył drzwi.

Pociągnął Pepa do pozycji siedzącej i popchnął do przodu. Gdy napięty pasek wreszcie się rozluźnił, Hannah zaczęła kaszleć, charczeć i rzezić. Wsunęła palce między pętlę a szyję i rozluźniła ją jeszcze bardziej. Rozpaczliwie wciągnęła ze świstem haust powietrza. Reacher pracował nad węzłem, który przy szamotaninie został mocno zaciśnięty. Bezwładna ręka Pepa była ciężka jak kamień. Węzeł udało się rozplątać dopiero po trzydziestu sekundach, a potem Reacher w końcu wysunął koniec paska ze sprzączki.

• • •

Hannah poleciała do przodu na kierownicę. Na oślep szukała klamki. Odnalazła ją, otworzyła drzwi i wygramoliła się z pick-upa. Padła na klapę bagażnika mercury'ego. Leżała na wznak, patrząc w niebo. I oddychała.

Powietrze cuchnęło. Było przesiąknięte spalinami pojazdów manewrujących na parkingu i pędzących autostradą. W innych okolicznościach Hannah uznałaby je za obrzydliwe. Wychowała się w czystym górskim powietrzu Gerrardsville. Ale w tym momencie nie wyobrażała sobie, by cokolwiek mogło smakować lepiej niż to tutaj.

• • •

Z jakiegoś powodu Jed Starmer przystanął.

Gdy uciekł z samochodu obdartych chłopaków, chował się w tym zaułku przez dziesięć minut. Potrzebował aż tyle czasu, by odzyskać oddech. I zastanović się nad kolejnym posunięciem. Decyzja o wyjeździe z Jackson to jedno. Ale wykombinowanie sposobu, jak to zrobić, to coś zupełnie innego. Miał nadzieję, że ostatni odcinek drogi do Winson pokona kursującym wahadłowo transportem więziennym, ale tylko dlatego, że w Teksasie widział tamtą tablicę. Nie wiedział, czy w Missisipi też mają coś takiego. Tablica stała przy dworcu Greyhounda w Dallas. W Jackson nic takiego nie zobaczył. Ale przez tych dwóch nie miał okazji się rozejrzeć. A teraz nie mógł wrócić na dworzec. Być może funkcjonariusze znowu tam krążyli. Czaili się na niego. Nie miał telefonu z dostępem do internetu, więc nie mógł wyszukać informacji. A nie powinien ryzykować i błąkać się na oślep. Ktoś mógłby go zauważyć. Ale były jeszcze oldskulowe metody. Przypomniał sobie, że dwie ulice wcześniej przebiegał obok automatów telefonicznych. Wciąż miał w kieszeni parę monet.

Najpierw zadzwonił do informacji telefonicznej. Potem do zakładu karnego Minervy w Winson. Poinformował recepcjonistkę, że jest krewnym osoby osadzonej i chce przyjechać na widzenie, ale nie wie, jak się dostać do więzienia.

Spytał, czy mają jakiś własny transport z Jackson. Recepcjonistka odparła, że nie. Nie ma specjalnego połączenia. Dlatego odwiedzający najczęściej korzystają z lokalnego autobusu. Podała mu adres przystanku. A nawet godziny odjazdów.

Autobus odjeżdżał za cztery minuty. Jed zbliżył się na tyle, że usłyszał silnik. Dudnił jednostajnym rytmem tuż za rogiem ulicy. Żeby zdążyć, musiałby przebiec ostatnie pięćset metrów. Następny autobus miał za godzinę. Nie chciał spędzać tyle czasu na ulicy na oczach wszystkich. Nagle przyszła mu do głowy myśl. Na dworcu Greyhounda wypatrywali go funkcjonariusze. Detektywi, agenci, wszystko jedno, kim byli. A to oznaczało, że mogli też być na przystanku autobusowym. Jeśliby na nich wpadł, nie byłoby sposobu, żeby się wywinąć. Więc równie dobrze mógł sam zgłosić się na posterunek.

Jed zatrzymał się. Był już prawie na skrzyżowaniu, gdy wjechał w niego chłopak na rowerze. Kurier z przewieszoną przez ramię torbą, który korzystał z chodnika. Pod wpływem uderzenia Jed zatoczył się do przodu. Aż za koniec budynku. I obrócił się wokół własnej osi. Krawędzią stopy zawadził o szparę między płytami chodnikowymi. Stracił równowagę. Upadł. Przetoczył się i zatrzymał okraciem na krawężniku. Połowę ciała miał na chodniku. Połowę w ścieku. Na oczach wszystkich na przystanku autobusowym.

Ludzie przyglądali się Jedowi. Stało tam chyba sześć osób. Nie widział ich za dobrze. I nie leżał rozciągnięty na ziemi tak długo, by je policzyć. Zerwał się na nogi i pędem wrócił pod osłonę budynku, znikając im z oczu.

Kurier oparł rower o mur. Stał przy nim, przyglądając się i czekając. Gdy Jed znalazł się w zasięgu jego rąk, pchnął go w pierś.

– Idioto! – krzyknął. – Patrz, jak chodzisz. Mogłeś mnie zabić. – Jeszcze raz popchnął Jeda i zniknął za obrotowymi szklanymi drzwiami ostatniego budynku przed przecnicą.

Jed pomyślał o ludziach, których widział na sąsiedniej ulicy. Może po prostu czekali na autobus. A może obserwowali scenę. Może przyglądało mu się tylko dwóch z tej grupy. Para detektywów. Albo agentów. Odwrócił się, by uciec. Ale

znowu się powstrzymał. Przecież nie miał dokąd iść. Nie było innego środka transportu. Jediną szansę na wyjazd z miasta dawał mu autobus. Byłby szalony, gdyby z niej nie skorzystał, jeżeli nic mu w nim nie groziło.

Jeżeli...

Musiał nabrać pewności. Podkraść się do końca budynku. Pochylił się i wyjrzał za róg. Zobaczył dwóch mężczyzn. Jeden chował telefon w kieszeni. Drugi dawał znak koledze. Pokazał mu gestem, żeby już szli. Zrobili to od razu. Ruszając prosto w stronę Jeda.

Mieli po jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i krótko ostrzyżone włosy. Byli barczyści. Wyglądali na silnych. Nosili dżinsy, T-shirty i marynarki. Dokładnie jak tamci funkcjonariusze z dworca Greyhounda. Byli tego samego wzrostu. Tej samej budowy ciała. Otaczała ich ta sama aura grozy. Znajdowali się niedaleko. I szybko zmniejszali dystans.

Jed wiedział, że już po nim. Widział, co tamci zrobili z obdartymi chłopakami. Jeden w ułamku sekundy stracił przytomność. Drugiemu wbili w pierś lufę pistoletu. Jed nie miał ochoty, by spotkała go któraś z tych rzeczy. Wiedział też jednak, że nie uda mu się przed nimi uciec. Na pewno nie pieszo. Na pewno byłiby szybsi. I zostali wyszkoleni do łapania ludzi. Poza tym mogli wezwać wsparcie. Na przykład z psami. Na przykład z powietrza. Jed osunął się po murze. Udało mu się dotrzeć tak daleko. Tak blisko celu. Poczuł, jak jego dłoń o coś trąca. O przednie koło roweru kuriera.

Rower stał tuż obok niego. Nie był przypięty. Wyglądało to na znak, że Jed powinien go wziąć. Nie był złodziejem. Nie chciał go kraść. Ale nie chciał też dać się złapać. A kurier zachował się jak ostatni dupek. Jed doszedł więc do wniosku, że jeżeli pożyczycy sobie rower, nie stanie się nic złego. Zwłaszcza w tych okolicznościach. Tylko na trochę. Na tak krótko, na ile to będzie możliwe. Potem znajdzie jakiś sposób, by go zwrócić. Jed nie przepadał za jazdą na rowerze. Ale na pewno była lepsza niż wszystko, co zrobiliby mu ci dwaj, gdyby go dorwali.

29

Reacher spodziewał się, że gdy wróci, nie zobaczy już pick-upa Sama Rotha. Pojechał odstawić mercury'ego. Zaparkował go w rogu po przeciwległej stronie parkingu, wciśniętego przy skrzynce na dary dla organizacji charytatywnej zbierającej używane ubrania, gdzie nie było widać zbyt dużego ruchu. Wracął stamtąd wolnym krokiem. Chciał, by Hannah miała dużo czasu do namysłu. Żeby rozważyła wszystkie możliwości. W ciągu kilku ostatnich dni sporo przeszła. Znalazła ciało Sama Rotha. Dowiedziała się, że został zamordowany. Dotarła do niej wiadomość, że to samo spotkało Angelę St. Vrain. Niewiele brakowało, by sama padła ofiarą zabójstwa. Nie miałby jej za złe, gdyby wskoczyła do wozu w momencie, gdy zniknął jej z oczu, wyjechała na autostradę i oddaliła się od niego o tyle kilometrów, na ile pozwalały ludzkie możliwości.

• • •

Pick-up ciągle tkwił w tym samym miejscu. Hannah stała obok niego, z małą czerwoną walizką u stóp. Do jej uchwytu przymocowała dużą torbę w paski, na ramię zarzuciła torebkę.

– Musimy pogadać – oznajmiła.

– Nie musisz niczego wyjaśniać – powiedział Reacher. – Dzięki, że zaczekałaś, żeby się pożegnać. I dzięki za całą pomoc.

– O czym ty mówisz? Myślisz, że te dupki mnie odstraszyły? Pieprzyć ich! Postanowiłam w to wejść już wcześniej. Teraz, kiedy mnie zaatakowali, zależy mi dwa razy bardziej. Nie. Musimy pogadać o samochodzie Sama. Nie możemy z niego dłużej korzystać.

– Jest uszkodzony?

– Nie, jeżeli nie liczyć wybitej szyby. Nie o to chodzi. Ci ludzie, którzy mnie zaskoczyli, jakoś rozpoznali wóz. Szli dość szybko w stronę budynku, a kiedy mnie mijali, nagle stanęli. Zobaczyłam, jak sprawdzają tablice. Zanim załapałam, co jest grane, otworzyły się drzwi i zobaczyłam wycelowaną w siebie broń. Oni musieli cię jakoś skojarzyć z Samem. I skoro wiedzieli, że mają się rozglądać za tym samochodem, to samo będą wiedzieli ich kumple. Przy następnej zasadzce. Nie przedrzemy się do Winson. Musimy zmienić samochód.

– Masz rację, ale mamy dość ograniczone możliwości. Ci, którzy cię zaskoczyli, pewnie przyjechali jakimś samochodem. Moglibyśmy go znaleźć. Ale ten wóz ich kumple też by rozpoznali. Czyli nie byłoby z tego żadnego pożytku. Moglibyśmy ukraść jakiś samochód z parkingu, ale właściciel zgłosiłby to już po paru minutach. I byłibyśmy w jeszcze gorszej sytuacji. Być może nie udałoby się nam nawet dotrzeć do następnej zasadzki.

– Zabierać komuś auto? Kraść? – Hannah uśmiechnęła się i pokręciła głową. – Myślałam o mniej ekstremalnym rozwiązaniu. I bardziej legalnym. Powinniśmy wypożyczyć samochód. W Jackson na pewno jest mnóstwo wypożyczalni. A jeżeli nie chcemy telepać się aż tam, moglibyśmy kazać podstawić go tutaj. Byłoby drożej, ale znacznie wygodniej.

– Ile potrzebowalibyśmy na to czasu?

Hannah wyjęła z torebki telefon.

– Zobaczę, jaka firma ma dostępny samochód. Potem wybierzemy najszybszą opcję. – Ekran rozjaśnił się, a telefon odblokował. – To nie wszystko. Kiedy czekałam, aż się przebierzesz, zanim pojawili się ci dwaj, sprawdziłam na mapie, jak wygląda reszta trasy do Winson. Popatrz. – Wyciągnęła telefon ekranem

w stronę Reachera. – Widzisz tę czerwoną linię? Sprawdziłam w Google’u i okazuje się, że są tam roboty drogowe. I zwężenie do jednego pasa ruchu. Czyli tam będzie zasadzka. Nie na wzniesieniu, które wcześniej znalazłeś na papierowej mapie. To znacznie lepsze miejsce. Utkniemy w miejscu. Będą nas mieli jak na dłoni. Nie mogliby nas nie zauważyć. W każdym razie w samochodzie, który by rozpoznali. A to jedyna trasa, jaką możemy wybrać.

Reacher zastanawiał się przez chwilę.

– Czy Google mówi, jak kierują tam ruchem wahadłowym? Są światła? Czy pracownik z tablicą STOP?

– Tego Google nie podał. Ale znalazłam fora dla rodzin osadzonych. Często jest mowa o trudnościach w odwiedzaniu więźniów. Jedna kobieta wspomniała, że korzystają tam z pojazdu pilotującego. Wiesz, jak to wygląda? Pick-up z dużym podświetlonym napisem na pace kursuje tam i z powrotem. Kierowcy muszą czekać, aż przyjedzie, a potem ruszyć za nim na drugi koniec zwężenia. Kobieta pisała, że kierowca to osioł. Podobno niemiłosiernie się włókł i zrobił się taki korek, że straciła połowę czasu przeznaczonego na widzenie.

– Czy twój telefon może pokazać obraz z satelity? – spytał Reacher.

– Pewnie. – Hannah wcisnęła przycisk w rogu ekranu i obróciła aparat. – To nie jest na żywo. Nie zobaczysz kursującego pilota.

– Nie muszę. – Przez chwilę patrzył na ekran. – Chcę tylko zobaczyć teren. – Skinął głową. – Możemy to wykorzystać. Moglibyśmy wypożyczyć samochód, ale lepiej będzie wziąć pick-upa. Jeżeli będziesz chciała, później poprosimy o podstawienie wozu z wypożyczalni do hotelu.

– Najlepiej będzie dalej jechać pick-upem? Na pewno?

– Na sto procent.

– Nie chodzi o koszt? Bo ja chętnie zapłacę.

– Nie chodzi o koszt. Słowo.

Hannah wskazała na tylne drzwi.

– A szyba? Nie możemy jeździć z taką dziurą.

- Wystarczy trochę taśmy izolacyjnej.
 - Taśmy?
 - Wszystko da się naprawić taśmą izolacyjną.
 - Mówisz serio?
 - Oczywiście. Popatrz: folia przyciemniająca trzyma się całej szyby. Wystarczy przymocować ją czymś do ramy. Taśmą izolacyjną.
 - Masz coś takiego? Na przykład w którymś ze swoich licznych bagaży? Bo może ci się to wydać dziwne, ale nie noszę niczego takiego w torebce.
 - Można ją kupić w tym sklepie. Widziałem na półce.
 - Aha. To chyba dobrze.
 - Pójdę po nią. I wezmę parę flar drogowych. Też będą nam potrzebne.
 - Naprawdę? Do czego?
 - Trochę sami pokierujemy ruchem.
- Zapraszam na E><S i T e S. p L

• • •

Bruno Hix wrócił do prób na makiecie sceny. Kamery pracowały. Tym razem udało mu się za jednym razem dobrać do końca przemówienia. Całkiem nieźle, pomyślał. Chociaż mogło być lepiej.

Właśnie zaczynał drugie podejście, gdy otworzyły się drzwi sali konferencyjnej. To był Brockman.

– Co znowu?

Brockman przez chwilę milczał. Potem pokręcił głową.

– Znowu miałaś rację.

– Tym razem w jakiej sprawie?

– Parkingu dla ciężarówek. Coś się tam stało.

– Jaśniej.

– Właśnie dzwonił Harold. Przyjechał na miejsce i po naszych ludziach nie ma śladu. Zaglądał wszędzie, skąd mogliby prowadzić obserwację. Nic. Postanowił poszukać trochę dalej. Sprawdził parking. Jeździł tam i z powrotem po całym parkingu. W rogu położonym najdalej od budynku, przy skrzyni na zbiórkę charytatywną, znalazł samochód Nicka. Maraudera. Jego dumę i radość. Harold przyjrzał się bliżej. Drzwi były otwarte, a kluczyki leżały na fotelu kierowcy. Wydawało mu się, że wóz trochę siedzi na tylnej osi. No więc otworzył bagażnik. I miał rację.

– Był w nim Nick? Niech to wszyscy diabli! Sam? Czy ze swoim partnerem? To był Steve, zgadza się? Żywi czy martwi?

– Żywi. Ale nie Nick i Steve, wyobraź sobie. To byli Pep i Tony. Ci, których wysłaliśmy tam ze skrzyżowania.

– Jak trafili do bagażnika wozu Nicka?

– Nie mam pojęcia.

– Gdzie są Nick i Steve?

– Nie mam pojęcia. Nie było po nich śladu.

– Co z pick-upem, którego znalazł Pep? Tym, którym jechał Reacher?

– Zniknął. Haroldowi wydawało się, że kiedy przyjechał, widział czerwonego pick-upa, który wyjeżdżał z parkingu, ale nie był pewien, czy to ten sam samochód.

Hix milczał przez chwilę.

– Okej. Nie ma sensu martwić się tym, co już się stało. Dzwon do ludzi na robotach drogowych. Podaj im opis wozu Reachera. Koniecznie z numerami.

– Już to zrobiłem – powiedział Brockman.

– Zadzwoń jeszcze raz. Żeby dobrze wiedzieli, z czym mają do czynienia. Każ Haroldowi tam jechać. I chłopakom z dworca Greyhounda. Ten Reacher to zagrożenie. Nie chcę go w swoim mieście. Na pewno nie jutro.

• • •

Jed Starmer wreszcie docenił walory jazdy na rowerze. Dotąd rzadko trafiała mu się okazja. Nie miał własnych dwóch kółek. Rodzice zastępczy nigdy by na to nie pozwolili. Dlatego kilka miesięcy temu udało mu się nakłonić kolegę, żeby nauczył go jeździć. To nie było przyjemne doświadczenie. Jed przekonał się, że jazda po linii prostej jest prawie niemożliwa. Kiwał się na wszystkie strony. Zaliczał każdą szparę w nawierzchni. Każdy wybój. Zderzył się z zaparkowanym samochodem. Cztery razy spadł. Skaleczył się w kolano. I w łokieć. I w brodę. Dzieciaki na ulicy śmiały się z niego. Odetchnął z ulgą, gdy musiał oddać rower i utykając, wrócić do domu. Ale tego popołudnia w Jackson na rowerze kuriera wszystko wyglądało inaczej. Z początku miał w głowie tylko jedno: uciec od funkcjonariuszy, którzy deptali mu po piętach. Nie przejmował się, czy uda mu się utrzymać na dwóch kółkach, czy nie zrobi sobie krzywdy ani czy nie wygląda idiotycznie. Po prostu pędził chodnikiem, zeskakiwał z krawężników, kluczył między samochodami, które wolno toczyły się zatłoczonymi ulicami miasta. Jechał dziesięć minut. Piętnaście. Nagle błysnęła mu w głowie myśl. Był wolny!

Zatrzymał się przy ulicy. Musiał znaleźć bezpieczne miejsce, by zostawić tam rower. Gdyby potrafił sobie przypomnieć nazwę firmy kurierskiej, którą widział na torbie chłopaka, kiedy się zderzyli, mógłby znaleźć numer telefonu. Zadzwoniliby i powiedział, gdzie właściciel znajdzie pojazd.

Jed nie zamierzał zatrzymać roweru na dłużej. Nie spodziewał się jednak, jaki to będzie przydatny sprzęt. I ile mu da radości. Wciąż miał jeszcze jeden kłopot. Musiał się dostać do Winson. Nie mógł wsiąść do autobusu. Miał za mało pieniędzy na taksówkę. Nie mógł też ryzykować i wystawać na widoku, próbując złapać okazję. Oczywistym rozwiązaniem był rower.

Jego notatki przepadły. Zostały w plecaku. Oceniał jednak, że ma do pokonania około osiemdziesięciu kilometrów. Nie więcej niż dziewięćdziesiąt pięć. Rower był szybki. Łatwo się pedałowowało. Na przejazd potrzebował dwóch godzin? Trzech? Do firmy kurierskiej mógł zadzwonić z Winson. Chłopak będzie musiał przejechać się kawalek, żeby odzyskać swoją własność, ale trudno. Nie powinien się zachować jak dupek. Naprawdę miał szczęście, że trafił na Jeda. Ktoś inny zatrzymałby sobie

rower. Albo sprzedał. Jed nie miał wątpliwości, że tego nie zrobi. Na pewno nie po tym, jak skradziono mu plecak. I wszystkie pieniądze.

30

Hannah zatrzymała się na poboczu, gdy GPS w jej telefonie wskazał, że do strefy robót drogowych zostało im osiemset metrów. Reacher otworzył drzwi po stronie pasażera i wysiadł. Hannah miała na kolanach paczkę flar drogowych, gotowych do odpalenia. Złapała leżącą z tyłu torebkę i wyjęła broń. Małego sig sauera, którego Reacher pierwszy raz zobaczył pod Gerrardsville, kiedy zaczęli wspólną podróż. Wciskając pistolecik w szparę obok fotela kierowcy, poczuła na sobie wzrok Reachera.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– Gdyby znowu jakieś dupki próbowały coś wykręcić, będę przygotowana. Nikt mnie już nie podejdzie. Nigdy więcej.

– Masz w tym praktykę? – spytał Reacher.

– Jeszcze jaką. Strzelam przez całe życie. To chyba jedyna rzecz, która nie budziła obrzydzenia mojego taty.

– Źle się układało między wami?

– Całkiem nieźle. Gdy byłam mała.

– A twoja mama?

– Umarła, kiedy miałam osiem lat.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina. Niczyja. Zresztą chyba nikt nie jest winien, że mój tatuś był wrednym bigotem. Ale nie można mieć wszystkiego. No i nauczył mnie strzelać, a dzięki temu zbliżyłam się do Sama. On pracował w więzieniu. Ja ze

zwolnionymi warunkowo. W wolnym czasie chodziliśmy na strzelnicę. Czyli ostatecznie skończyło się nie tak źle.

• • •

Pokonanie ośmiuset metrów pieszo zwykle zajęłoby Reacherowi nie więcej niż pięć minut. Tego popołudnia zgodził się z Hannah, że trzeba na to przeznaczyć około dwudziestu. Droga była wysadzana drzewami, ale ze zdjęcia satelitarnego na ekranie telefonu nie wynikało, jak gęsto rosły. Jedynym pewnikiem było to, że teren za nimi jest otwarty i płaski. Nie było żadnej innej osłony, a Reacher chciał się poruszać wolno i płynnie. Zatrzymywać się w razie konieczności. I zamierzał być na pozycji przed czasem.

Pokonał otwarty teren w piętnaście minut. Ziemia miejscami była wilgotna i mankiety spodni miał przemoczone od przejścia przez kępy mokrych traw i chwastów sięgających kolan. Gdziekolwiek stąpał, unosił się gęsty zapach zbutwiałej roślinności. Drzewa rosły nieregularnie i z rzadka, więc musiał kilkanaście razy przystawać, by się upewnić, że nie widać go z drogi. Na zachód w stronę Winson zmierzały pojedyncze pojazdy, w nierównych odstępach. Zobaczył też małe konwoje, samochody jadące w ciasnych grupach na wschód.

Trzymał się za szpalerem drzew, dopóki nie dotarł do miejsca, gdzie droga zwężała się do jednego pasa. Znalazł płytkie zagłębienie terenu, może pozostałe po wyschniętym strumieniu albo dawnym systemie nawadniania. Położył się w nim i wcisnął w ziemię, szykując się do obserwacji. Za linią namalowaną na asfalcie w pobliżu znaku ostrzegającego kierowców, by nie wjeżdżali na pas bez eskorty pojazdu pilotującego, czekało dwanaście samochodów. Jakiś mężczyzna szedł poboczem w kierunku końca kolejki. W dżinsach, szarym T-shircie i wysokich czarnych butach. Miał w ręce podkładkę na dokumenty, a na głowie żółty kask ochronny. Pochylał się i zaglądał do każdego mijanego samochodu, przypatrując się pasażerom. Drugi, podobnego wzrostu, ale w białym kasku, szedł w tym samym

tempie z drugiej strony, patrząc na kierowców. Rekwizyty nikogo nie mogą zmylić, pomyślał Reacher. To na pewno następny zespół z Minery. Pytanie tylko, czy po prostu byli tacy drobiazgowi, czy nie powiedziano im o pick-upie Rotha. Reacher uśmiechnął się. Może o nim wiedzieli. A jeżeli nie, to wkrótce się dowiedzą.

Teren między Reacherem a drogą został wyrównany, kwadratowy kawał trawy zastąpiono żwirem. Był poprzecinany śladami opon. Różnych szerokości i z różnymi bieżnikami. Częściowo zachodziły na siebie i wszystkie zaczynały się na tym fragmencie ziemi w tym samym miejscu. W prawym górnym rogu, jeśli spojrzeć na ten teren z perspektywy Reachera. Kreśliły tę samą pętlę, niedaleko brzegu, i wracały na asfalt po lewej ręce Reachera. Pośrodku nierównego okręgu wyznaczonego przez ślady kół stał zaparkowany SUV, prostopadle do drogi, zwrócony tyłem do Reachera. Ford explorer. Bordowy ze złotymi wykończeniami, na masywnych oponach z białymi literami na bokach. Wyglądał na stary, ale był lśniący i dobrze utrzymany.

Po drugiej stronie drogi na poboczu stała przenośna toaleta o wyblakłych niebiesko-białych ścianach z plastiku. Obok szara metalowa skrzynia o rozmiarach kontenera transportowego. Reacher domyślał się, że to magazyn na sprzęt. Obok niego stała przyczepa wywrotka. Wyładowana gałęziami, które zabezpieczono rozpiętą na skrzyni siatką, by nie spadły i nie rozrzucił ich wiatr. Na boku wymalowano nazwę, numer i adres internetowy wypożyczalni.

W tym obrazie brakowało tylko jednego elementu. Robotników drogowych. Za długą linią pachołków nie było śladu robót.

• • •

Reacher usłyszał dobiegający z prawej warkot silników i pół minuty później ukazał się pilot. Pełzł za nim rząd samochodów jak kaczątka drepczące za matką. Pilot skręcił na wysypany żwirem kwadrat. Objechał forda explorera, dodając następne ślady opon, i zatrzymał się przy drodze. Eskortowane przez niego

samochody wjechały na swój pas ruchu i ruszyły dalej na wschód. Pilot odjechał, kierując się na zachód. Przystanął i po chwili znowu ruszył, a za nim czekające w rzędzie samochody.

Ludzie w dżinsach i T-shirtach wrócili i zatrzymali się przy kolejce na asfalcie. Czekali, ale od wschodu nie nadjechał żaden pojazd. Reacher zobaczył, jak wymieniają spojrzenia, wzruszają ramionami i podchodzą do forda explorera. Rzucili na tylne siedzenie podkładki i kaski, po czym usiedli z przodu. Byli tu już długo. Uznali, że przerwa im się należy.

Ale nie dane im było odpocząć.

Reacher usłyszał warkot silnika. Z lewej nadjeżdżał duży diesel. Mężczyźni w explorerze usłyszeli go dwadzieścia sekund później. Wyszli. Otworzyli tylne drzwi. Sięgnęli po rekwizyty. Wtedy zobaczyli, jaki pojazd wydaje ten dźwięk. Czerwony pick-up. Miał przyciemniane szyby i dużo chromu. Zwolnił i zatrzymał się przed tablicą ostrzegawczą. Faceci sprawdzili numer rejestracyjny. I ruszyli w kierunku wozu. Rozdzielili się i przystanęli trzy metry przed pick-upem. Obaj wyjęli zza pasa broń.

Reacher podniósł się z ziemi i podkradł naprzód.

Facet po stronie kierowcy czerwonego samochodu zawołał:

– Super, że dojechałeś tak daleko! Ale szczęście się odwróciło. Tu kończysz podróż. Wsiądź powoli, z rękami na widoku.

Nikt w samochodzie nie zareagował.

Reacher zrobił jeszcze parę kroków.

– Rób, co mówię, a nikomu nic się nie stanie! – krzyknął mężczyzna w dżinsach i T-shircie. – Chcemy tylko pogadać. No, wysiadaj!

Drzwi pick-upa pozostały zamknięte.

Reacher posuwał się dalej.

– Ostatnia szansa! Wsiadaj, bo strzelam!

Z tyłu pick-upa dobiegł jakiś dźwięk. Przerażliwy elektroniczny pisk. Trwał dwie sekundy. Potem rozległ się terkot. I brzęk. Otworzyła się tylna kłapa pick-upa.

Faceci z uniesioną bronią ruszyli w stronę samochodu, powoli, starając się poruszać bezszelestnie. Byli już w połowie długości skrzyni ładunkowej. W trzech czwartych. Wreszcie dotarli na koniec. Przystanęli. Spojrzeli po sobie. Ten po stronie kierowcy uniósł trzy palce. Zgiął jeden. Zgiął drugi. I trzeci. Obaj zrobili jeszcze jeden krok. Długi. Unosili pistolety. Mierzyli z nich prosto do wnętrza skrzyni ładunkowej.

Wtedy pick-up ruszył. Gwałtownie przyspieszył. Pedał gazu musiał zostać wciśnięty do deski. Tylne koła zawirowały, wyrzucając w górę fontanny żwiru. Ostre kamyki przecięły powietrze jak odłamki bomby. Mężczyźni odwrócili się, pochylili i zasłonili twarze. To była instynktowna reakcja. Trwająca nie dłużej niż sekundę. Wyprostowali się, unieśli broń i otworzyli ogień do pick-upa. Tylna kłapa zamykała się z powrotem. Ten od strony pasażera trafił w nią jednym pociskiem. Ten od strony kierowcy celował w opony. Trochę uszkodził asfaltową nawierzchnię, ale nic więcej. Każdy z nich oddał jeszcze kilka strzałów, a potem ten od strony pasażera zaczął biec w stronę explorera.

– Chodź! – krzyknął. – Daleko nie ujedzie!

Kumpel ruszył za nim. Wskoczyli do środka. Ten za kierownicą wyjął kluczyk i wcisnął do stacyjki. Ale nie uruchomił silnika.

Środek tylnego siedzenia zajmował Reacher. Miał rozłożone ręce. W lewej trzymał zdobycznego sig sauera. W prawej berettę. Przycisnął lufy do potylic obu mężczyzn i rozkazał:

– Opuść szyby.

Kierowca przekręcił kluczyk o jedną pozycję zgodnie z ruchem wskazówek zegara i opuścił obie przednie szyby.

– Wyrzucie broń.

Posłusznie wykonali polecenie.

– Czyli wiecie, że musicie współpracować. Chcę informacji. Jeżeli je od was dostanę, będziecie wolni.

– Nie możemy nic powiedzieć – odparł kierowca. – Nic nie wiemy.

– Pracujecie w Minervie?

Kierowca skinął głową.

– Czy przed Winson szuka mnie ktoś jeszcze?

Żaden nie odpowiedział.

Reacher cofnął lufy pistoletów. Wsunął sigę między kolana. Potem nachylił się w luce między przednimi fotelami i pięścią uderzył pasażera tuż przy uchu. Głowa poleciała w bok. Uderzyła w okno, odbiła się o kilkanaście centymetrów, a potem facet runął twarzą w deskę rozdzielczą.

– Ręce na kierownicy – nakazał Reacher, ponownie unosząc beretkę. – Jak się ruszysz, odstrzelę ci łeb. Rozumiesz?

Facet kurczowo złapał się kierownicy. Dłonie miał w pozycji za dziesięć drugą, a knykcie zbieleły jak u zdenerwowanego nastolatka przed pierwszą lekcją.

– Wiesz, co właśnie zrobiłem? – spytał Reacher.

– Ogłuszyłeś Wade’a.

– Dałem ci wiarygodną możliwość negacji.

Kierowca nie zareagował.

– Masz wiarygodną możliwość negacji – powtórzył Reacher. – To znaczy, że możesz coś zrobić, a potem zaprzeczyć, że to zrobiłeś, i nikt nie będzie mógł ci udowodnić, że było inaczej. Na przykład możesz odpowiedzieć na moje pytania.

Mężczyzna się nie odezwał.

– Możesz mi zdradzić wszystko, co chcę wiedzieć. I nikt nigdy się nie dowie. Potem możesz odjechać. Przyczaić się gdzieś na parę dni. Powiesz im, że uciekłeś. Albo połamię ci ręce i nogi i wrzucę do najbliższego pojemnika na śmieci. Wybieraj.

Facet zerknął w prawo, ale ciągle nic nie mówił.

– Kawaleria się nie zjawi. Pomyśl o tym. Ile jest otwartych pasów ruchu?

– Jeden.

– Co nim właśnie odjechało?

– Pick-up, który ukradłeś.

– Zgadza się. Czyli spotka się czołowo z pilotem. Nie uwierzyłbyś, jak uparta jest osoba, która siedzi za kierownicą. Nie ma mowy, żeby się wycofała. Uporządkowanie tego bałaganu potrwa bardzo długo.

Kierowca zerknął w lewo.

– Stąd też nie powinieneś się nikogo spodziewać. Przygotowaliśmy się na każdą ewentualność. Jesteśmy sami. A ty musisz podjąć decyzję.

Facet milczał jeszcze przez chwilę, po czym wreszcie spytał:

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy Brockman wysłał kogoś jeszcze, żeby szukał mnie między robotami drogowymi a Winson?

– Skąd mam wiedzieć? Brockman nie opowiada mi o swoich planach.

– Przypuszczam, że to łebski gość. Relatywnie rzecz biorąc. No więc o czym ci opowiadał?

– Dostałem od niego twoje zdjęcie. Stare. Opis samochodu, który ukradłeś. I jego numer rejestracyjny.

– Jakie usłyszałeś rozkazy?

– Miałem uniemożliwić ci przyjazd do Winson.

– Dlaczego Brockman nie chce, żebym przyjechał do Winson?

– Nie mówił.

– Co się tam ma wydarzyć w ciągu kilku najbliższych dni?

– Nic szczególnego. Jutro zwalniają jakiegoś osadzonego. Będą przemówienia. Jakaś pompa. To się zdarza kilka razy do roku. I szczerze mówiąc, powoli traci urok. Ludzie już się przyzwyczaili.

– Co jeszcze?

Kierowca wzruszył ramionami.

– Nic.

– Okej. Zrobiłeś, co trzeba. Odpal silnik. Możesz jechać.

Facet na moment zastygł. Potem ręka wystrzeliła w kierunku kluczyka. Przekręciła go i potężny stary silnik ożył.

– Zanim odjedziesz w swoją stronę, jeszcze jedna rzecz – dodał Reacher. – Widzisz tę przyczepę na poboczu po drugiej stronie?

Skinął głową.

– Zatrzymaj się obok niej – polecił Reacher.

Kierowca wrzucił bieg, zwolnił hamulec, zatoczył koło, by wjechać na pobocze po przeciwnej stronie drogi, i stanął.

– Wsiądź na chwilę – powiedział Reacher. – Musisz coś jeszcze zrobić. Możesz nie gasić silnika.

Facet otworzył drzwi i wysiadł. Reacher zrobił to samo i podszedł do przednich drzwi pasażera.

– Widzisz siatkę, która przytrzymuje tę stertę patyków? Oderwij jeden róg.

Pomajstrował przy najbliższym zacisku i odczepił część siatki.

– Wyciągnij parę tych gałęzi z góry – instruował dalej Reacher. – I krzewów. Zrób trochę miejsca.

Mężczyzna chwycił kilka grubszych kawałków drewna i rzucił na ziemię.

– Dobrze. Teraz wyciągnij z wozu swojego kumpla. I włóż go w tę dziurę, którą zrobiłeś.

– Mam go wsadzić na przyczepę?

– Zgadza się. To ma wyglądać realistycznie. Inaczej Brockman nie uwierzy, że uciekłeś. Pomyśli, że mi pomagałeś. A tego chyba nie chcesz. Zaufaj mi.

Facet przez chwilę stał bez ruchu. Z lekko rozchylonymi ustami. Wreszcie wzruszył ramionami i otworzył drzwi pasażera w explorerze. Wyprostował ciało kumpla, ale głowa nieprzytomnego mężczyzny opadła na bok. Złapał go za nadgarstki i wywlókł na zewnątrz. Przewiesił go sobie przez ramię i przydźwigał na koniec przyczepy. Położył na odpadach pozostałych po robotach drogowych. Następnie złapał siatkę i zaczął ją z powrotem naciągać na przyczepę.

– Zaczekaj – powstrzymał go Reacher. – Muszę na moment pożyczyć twój telefon.

Mężczyzna wzruszył ramionami, wyjął z kieszeni telefon, wbił kod, by odblokować ekran, i podał Reacherowi. Ten wziął go i położył na ziemi.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział. – Ludzie, których Brockman wysłał na dworzec Greyhounda, musieli mnie wypatrywać w każdym przyjeżdżającym autobusie. Przewala się tam masa ludzi. W takich miejscach często jest straszny bałagan. Ciężka sprawa. Ludzie na parkingu dla ciężarówek musieli mieć oko na setki przyjeżdżających i odjeżdżających pojazdów. Nie byle jakie zadanie. Ci na skrzyżowaniu nie wiedzieli, czy będę łapał okazję, czy już będę siedział w jakimś w samochodzie. To właściwie dwa zadania w jednym i żadne z nich nie jest łatwe... Ale wy? Musieliście tylko patrzeć przez szyby. Jak myślisz, dlaczego wybrali was do takiej roboty?

– Nie mam pojęcia.

– Nie?

Reacher zadał mu cios pięścią w splot słoneczny. Faceta zgięło w pół. Wtedy Reacher rąbnął go kolanem w twarz. Uderzenie postawiło go z powrotem do pionu, ale był już nieprzytomny i bezradnie wymachiwał rękami. Reacher pchnął go w pierś i mężczyzna wygiął się do tyłu. Wylądował tułowiem na przyczepie. Reacher chwycił go za kostki, uniósł, obrócił i wrzucił na górę obok kumpla. Obu przykrył gałęziami, po czym zabezpieczył skrzynię siatką. Następnie podniósł z ziemi telefon i wstukał numer wypożyczalni przyczep.

Po trzech dzwonek usłyszał kobiecy głos:

– Reed Plant Partners, słucham.

– Jestem z ekipy prowadzącej roboty drogowe na drodze osiemdziesiąt siedem – powiedział Reacher. – Mamy od was przyczepę. Może mi pani przypomnieć termin zwrotu?

Usłyszał stukot klawiatury komputera, po czym znowu zabrzmiał głos kobiety:

– Została wypożyczona do końca przyszłego miesiąca.

– Możemy zwrócić ją wcześniej?

– To jest umowa na czas określony. Za skrócenie okresu najmu nie przysługuje zwrot części opłaty.

– Nie chodzi nam o zwrot opłaty. Chcemy tylko zabrać przyczepę z terenu robót.

– Rozumiem. Można ją odstawić do nas, kiedy będziecie chcieli. Trzeba tylko opłacić najem do daty, którą zapisano w umowie.

– Moglibyście kogoś po nią przysłać?

– To by się wiązało z dodatkową opłatą.

– Nie szkodzi.

– Ktoś mógłby przyjechać po nią w poniedziałek.

– A dzisiaj po południu?

– Wszyscy nasi pracownicy są zajęci.

– Widzi pani, mam mały zgryz. Szef chce, żeby ta przyczepa zniknęła. Jeżeli mogłaby pani to jakoś załatwić, byłbym wdzięczny.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Jeśli w grę wchodzi jeszcze dodatkowa opłata, z tym też nie będzie problemu – dodał Reacher. – Mam na myśli kwotę, której nie uwzględnia faktura.

Milczała jeszcze przez chwilę, a potem odparła:

– To będzie was kosztowało sto dolarów. W gotówce. Przygotujcie tyle.

31

„Cierpliwość jest cnotą”, mawiał ojciec Reachera. Jeśli miał rację, to kierowcy jadący z Winson tego popołudnia musieli być naprawdę podli.

Zadanie Hannah polegało na zablokowaniu drogi zwężonej do jednego pasa w miejscu prowadzenia robót. Wykonała je bardzo dobrze. Ostro skręciła w prawo na pobocze, cofnęła w kierunku rzędu pachołków, po czym cztery razy podjeżdżała do przodu i do tyłu, dopóki pick-up nie ustawił się mniej więcej prostopadle do jezdni. Wóz był w doskonałej pozycji. Przód tarasował trzy czwarte pobocza. Z tyłu Hannah zostawiła tyle przestrzeni, by nikt się tamtędy nie przecisnął. I wybrała idealne miejsce. Po drugiej stronie drogi stała gigantyczna maszyna do zrywania asfaltu, więc próby usunięcia pachołków nie zdałyby się na nic.

Gdy ukazał się następny konwój, Hannah stała na drodze od dwóch minut. Pilot był coraz bliżej. I bliżej. I w ogóle nie zwalniał. Na chwilę wpadła w panikę. Pomyślała, że kierowca nie ma zamiaru hamować. Wyobraziła sobie, jak samochody walą w bok pick-upa. Jeden po drugim. Uderzenie za uderzeniem. Pick-up przewraca się, a ona zostaje zmiażdżona. Albo spalona żywcem. Albo jedno i drugie.

Pilot prawdopodobnie nie skupiał się na jeździe. Od początku robót pokonywał ten odcinek drogi już setki razy. Nigdy nie natknął się na żadną przeszkodę. Żadnej się nie spodziewał. Dlatego zauważył pick-upa dość późno. Ale zdążył. Ledwie. Z całej siły wcisnął hamulec. Koła się zablokowały. Opony wpadły w poślizg na żwirze. Ale wóz zatrzymał się mniej więcej metr przed przeszkodą.

Wszystkie pojazdy za nim też zahamowały. Nie doszło do kolizji. Zabrzmiało kilka klaksonów, jakby to mogło pomóc. Jeden z kierowców wyminął resztę pojazdów i próbował objechać przód samochodu Hannah. Skręcił z pobocza na porośnięte krzakami wertepy przy drodze i zaczął się przez nie przedzierać. Sądził, że udało mu się przechytryć Hannah. Pokazał jej środkowy palec. Nagle koło jego pick-upa trafiło na koleinę. Samochodem szarpnęło i stanął. Przechylił się na jedną stronę. Było tylko jedno wyjaśnienie. Złamał oś. Zważywszy na wiek i stan pojazdu, jego następnym przystankiem będzie najprawdopodobniej złomowisko.

Kierowca wyskoczył z wozu i pomaszerował prosto do Hannah. Szarpnął za klamkę. Drzwi były zamknięte, więc zaczął wrzeszczeć do szyby od strony kierowcy. Spryskał ją całą kropelkami śliny. Po chwili dołączyli do niego inni. W sumie dziesięć osób. Zebrali się wszyscy kierowcy prócz pilota. Ten został w kabinie i zadzwonił pod 911. Uznał to za swoją powinność obywatelską. A potem pomyślał, że wolno mu usiąść wygodnie i czekać, aż stanie się to, co się miało stać.

Kiedy pojawił się Reacher, za samochodem Hannah stało czterech kierowców. Próbowali zepchnąć go z drogi, ale czerwony pick-up ani drgnął. Po jednej stronie było trzech, którzy krzyczeli i ujadali, po drugiej – czterech.

– Dość! – Reacher przystanął dwa metry od tyłu wozu. – Cisza. Wracać do swoich samochodów.

– Nie ma mowy – odparł kierowca unieruchomionego pick-upa. – Ten dupek tarasuje drogę. Przez niego moja bryka się rozkraczyła. Musi za to zapłacić.

– Naprawdę? Tak się składa, że to mój wóz. Stoi tu, bo kazałem kierowcy zablokować drogę. Jeżeli macie coś przeciwko temu, to macie coś przeciwko mnie.

Reacher popatrzył po kolei na wszystkich. Spokojnie. Bez emocji. Prosto w oczy. Większość z nich zaczęła się wycofywać. Paru nie ruszało się z miejsca. Facet z zepsutego pick-upa zrobił krok naprzód.

– Wiesz co? Ja mam coś przeciwko temu. Mam skasowany wóz. Jeżeli ty za to odpowiadasz, to radzę ci sięgnąć do kieszeni.

Oddalający się kierowcy natychmiast stanęli.

Reacher wskazał uszkodzonego pick-upa. Samochód wyglądał tak, jakby próbował zagrzebać się w ziemi.

– Masz na myśli to?

Tamten skinął głową.

– Przykro mi, ostatnią ćwierćdolarówkę wrzuciłem do automatu w zeszłym tygodniu. Masz cholernego pecha.

Kierowca pick-upa wymierzył zamaszysty sierpowy, mierząc w głowę. Reacher odchylił się do tyłu i patrzył, jak pięść bezpiecznie omija jego twarz. Barki napastnika obróciły się i facet gwałtownie się zachwiał. Cały ciężar ciała przeniósł na lewą nogę, a kiedy Reacher mu ją podciął, runął naprzód. Padł niemal zupełnie płasko. Twarzą w ziemię. Próbował się podnieść. Ale Reacher postawił stopę między jego łopatkami, przycisnął go do podłoża i przytrzymał na miejscu.

– Ruszcie głową – poradził pozostałym kierowcom Reacher. – Chcecie jechać dalej. Ja też. Ale nikt nie może nigdzie pojechać, dopóki snujecie się tu jak smród po gaciach.

Nikt się nie odzywał. Nikt się nie ruszał. Przez chwilę. Potem kierowca na skraju grupki odwrócił się i chyłkiem oddalił. W jego ślady poszedł mężczyzna stojący obok niego. Potem ruszyło się paru następnych. W końcu wszyscy człapali w stronę swoich aut, mruczając pod nosem i kręcąc głową. Reacher pochylił się i odwrócił na wznak leżącego na ziemi kierowcę zepsutego wozu. Złapał go za koszulę i dźwignął na nogi. Ten zmierzył go wściekłym wzrokiem, ale milczał. Reacher popchnął go pod osłonę samochodu, by nikt nie widział tego, co miało się zaraz stać.

– Twoje auto naprawdę nadaje się na złom? – spytał.

Facet spojrzał na niego ze złością.

– Chyba. Poczulem, że poszło zawieszenie.

– Ile jest warte?

– Pięć tysięcy.

– A w dolarach amerykańskich na planecie Ziemia?

– Tysiąc... może.

Reacher wyjął zwitek banknotów, odliczył pięćset dolarów i podał mu.

– Masz połowę. Drugą musisz skombinować sam. Potraktuj to jak pouczające doświadczenie. W przyszłości staraj się słuchać głosu rozsądku. Gdybyś nie zjechał z drogi i wykazał się odrobiną cierpliwości, miałbyś wóz na chodzie.

• • •

Jed Starmer w końcu przyznał, że za pierwszym razem się nie mylił. Jazda na rowerze naprawdę jest do dupy.

Przede wszystkim skutkowało bólem rzeczonyj dupy. Łydek. Ud. Pleców. Ramion. Szyi. Właściwie wszystkich części ciała. Jedowi nigdy w życiu nie było tak niewygodnie. W głowie tłukła mu się jedna myśl: ludzie robią to dla rozrywki? Co z nimi nie tak?

Wszystko było w porządku, dopóki jechał przez Jackson. Ulice miasta były równe. Samochody z powodu dużego ruchu toczyły się powoli. Kierowcy wydawali się przyzwyczajeni do rowerów przemykających między pojazdami. A Jed musiał się skupiać na trasie. Pamiętał, że do Winson prowadzi tylko jedna droga. Nie miał mapy, więc szczególną uwagę musiał zwracać na oznakowania. Dwa razy wydawało mu się, że zabłądził. Pedałował jednak dalej i niebawem mijal już niższe budynki, które stały coraz dalej od siebie. Drzewa były wyższe i rosły coraz gęściej. Za nimi rozciągały się pola i łąki. Uniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Doszedł do wniosku, że nowe otoczenie wygląda całkiem ładnie.

Tak było na początku.

W miarę jak oddalał się od miasta, zmieniał się nie tylko krajobraz. Na drodze było mniej pojazdów, a te, które się pojawiały, jechały znacznie szybciej. Mijały go w mniejszej odległości. Parę razy podmuch omal nie strącił go z siodełka. Wróciła do niego fala zdenerwowania z pierwszej lekcji jazdy na rowerze. Ciągłe pojawiały

się przed nim wzniesienia drogi. Wjeżdżając na nie, czuł się tak, jakby do kół doczepiono mu wielkie ciężary. Musiał naciskać na pedały sto razy mocniej niż na płaskim terenie. Słońce się zniżało, ale z nieba nadal lał się żar. Jed się pocił. Chciało mu się pić. Był głodny. Nie jadł od ponad dwunastu godzin. Kręciło mu się w głowie. Nogi miał wiotkie, jak z gumy. Modlił się o długi zjazd. Żeby przez parę minut napędzała go siła grawitacji. Żeby mógł odpocząć. Żeby trochę się rozpędził i wiatr ochłodził mu ciało.

Z mozołem pokonał następny zakręt. Uniósł wzrok znad kierownicy. I zobaczył, że jest u stóp najwyższej góry, jaką w życiu widział.

• • •

Droga do Winson była długa, prosta i wysadzana drzewami. Delikatny blask popołudniowego słońca przebijał przez liście i przysłaniał wyblakły asfalt siatką drobnych cieni. Podobne obrazy Reacher widywał przy artykułach z niedzielnych gazet, gdzie opisywano miejsca, do których rodzice powinni zabrać dzieci na piknik w czasie ferii. Wyglądało to idyllicznie. Nic nie wskazywało, że na końcu tej drogi jest jakieś miasteczko.

Albo więzienie.

Albo ludzie, którzy zamordowali Angelę St. Vrain i Sama Rotha.

• • •

Parę kilometrów za znakiem informującym o granicy miasta drzewa przerzedziły się i zaczęły się pojawiać budynki. Głównie mieszkalne. Przeważnie parterowe, oddalone od siebie nawzajem, ale stojące blisko ulicy. Większość z nich miała zewnętrzne ściany wyłożone drewnem pomalowanym brudną białą farbą,

która schodziła całymi płatami. Dachy wielu z nich wyglądały, jakby jedna silniejsza burza mogła je zupełnie zerwać.

– Wczoraj wieczorem w hotelu czytałam przed snem o tej miejscowości – powiedziała Hannah. – Ma przedziwną historię. Pierwotnie była osadą rdzennych mieszkańców Ameryki. Francuzi wypędzili ich koło tysiąc siedemset dwudziestego. Od Francuzów przejęli miasteczko Brytyjczycy. Kiedy wycofali się po rewolucji amerykańskiej, wkroczyli tu Hiszpanie. Mieli być po naszej stronie, ale nie chcieli przekazać nam miasta, więc je odbiliśmy. Rozkwitło w czasach, gdy cały handel koncentrował się na rzece. Krążą plotki o drugim mieście, bliźniaczym, u stóp urwiska. Opowiada się o jaskiniach, trunkach, dziwkach, skradzionym złocie i przemyconych klejnotach. Jeżeli nawet była w tym odrobina prawdy, wszystko już dawno zniknęło. Wyleciało w powietrze albo zostało zalane. Potem handel rzeczny podupadł i główną rolę zaczęły odgrywać kolej i przemysł. Przede wszystkim papiernię, które wykorzystywały tutejsze drzewa. Dzisiaj po tym przemyśle też już nie ma śladu. Pewnie dlatego tyle tu starych domów. I tyle z nich się sypie.

Hannah przez jakiś czas prowadziła w milczeniu. W miarę jak zbliżali się do miasta, pojawiły się zabudowania w lepszym stanie. I większe. Domy stały bliżej siebie. Przeważały piętrowe. Większość nadal była biała, ale farba wyglądała na świeżą i jasną. Niektóre domy były niebieskie. Inne żółte. Wiele z nich miało okiennice, a większość werandy biegnące wzdłuż całych frontowych ścian. Część z solidnymi kolumnami i ozdobnymi drewnianymi balustradami. Mijane chodniki były szerokie, a skraj drogi wyznaczały wysokie stare drzewa.

W centrum miasteczka drewniane budowle ustąpiły miejsca ceglanym. Wciąż było mnóstwo balkonów i werand, ale z cienkimi podporami i żelaznymi ozdobnymi balustradami, które lśniły czarną farbą. Reacher uznał, że wygląda to jak pomniejszona kopia Nowego Orleanu. Dachy były w większości płaskie. Okna większe, niektóre kwadratowe, inne łukowe. Budyńki były rozdzielone zaułkami. Na wszystkich ulicach parkowało się po obu stronach. Połowa miejsc była wolna. Reacher zobaczył dwie restauracje. Kilka barów. Mały kościół z cegły, z topornymi

witrażami. Wyglądał, jakby niedawno został odbudowany, ale przy ograniczonych środkach. W miasteczku działały przeróżne firmy. Lombard, w którego witrynie zawieszono w dwóch rzędach pistolety i gitary. Biuro agenta ubezpieczeniowego. Serwis opon. Parę małych pensjonatów. Sklep rybny. Sklep z telefonami komórkowymi. Warsztat blacharski.

Jeździli po centrum przez pół godziny. Zaczęli od głównej ulicy i penetrowali przecznice po obu stronach, dopóki nie doszli do wniosku, że już nieźle się orientują w topografii. Wreszcie zatrzymali się przed kawiarnią. Hannah weszła do środka i wróciła do pick-upa z dwiema dużymi kawami na wynos. Podała kubek Reacherowi i spytała:

– Hotel?

Pokręcił głową.

– Najpierw więzienie. Potem jedzenie. I dopiero wtedy hotel.

Jed Starmer siedział przy drodze. Rower kuriera leżał na poboczu po jego lewej ręce, tam gdzie wylądował, gdy chłopiec zeskoczył z siodełka.

Popatrzył na rower i westchnął. Tak naprawdę wcale nie zeskoczył. Zamierzał. Próbował. Ale nogi nie funkcjonowały tak jak zwykle. Jeżeli więc miał być szczery, to raczej spadł. Albo się zsunął, gdyby chciał to przedstawić w korzystniejszym świetle.

Po prawej widział coś, czego nie mógł przedstawić w korzystniejszym świetle. Górę. Właściwie wzgórze. Czy wzniesienie. Przez tych kilka minut, które przesiedział na ziemi przy drodze, starał się pohamować własną wyobraźnię. Przecież nie miał do zdobycia Mount Everestu. Ani Eigeru. Ani Kilimandżaro. Teren wznosił się pewnie nie więcej niż o trzydzieści metrów. Ale trzydzieści czy osiem tysięcy, to nie miało znaczenia. Jed za nic nie potrafiłby tam wjechać. Na tych rozdygotanych nogach nie umiałby nawet wepchnąć roweru na szczyt. Myślał, że po prostu będzie musiał zostać tu, gdzie siedział. Prawdopodobnie na resztę życia, bo nie mógł się spodziewać, by ktokolwiek przyszedł mu z pomocą.

• • •

Reacher doszedł do wniosku, że gdyby Winson było Dorianem Grayem, to jego portretem byłoby więzienie. Brzydkie. Nieprzyjemne. Ukryte na zachód od miasteczka. Jeśli przesunęłoby się je jeszcze kawałek, znalazłoby się w rzece. Ale

właśnie dzięki niemu miasto było prężne. Tętniło życiem. Ten fakt nie budził wątpliwości. Nie było tu w zasadzie innego przemysłu. Żadnych innych pracodawców. Nikt inny nie dawał zajęcia na taką skalę miejscowym piekarniom, pralniom, hydraulikom i elektrykom.

Teren więzienia miał kształt litery D. Jej łuk tworzył brzeg rzeki. Dalej było dwudziestometrowe urwisko, a pod nim rwący nurt brudnej i głębokiej wody. Trzy metry od krawędzi spadku biegło ogrodzenie. Podwójne. Miało sześć metrów wysokości i było zwieńczone zwojami drutu kolczastego. Na solidnych metalowych słupach zamontowano reflektory. I kamery zamknięte w ochronnych siatkach. Jedną siatkę od drugiej dzieliło cztery i pół metra, a między nimi była trzecia, wysokości trzech metrów, bez drutu kolczastego.

W ten sam sposób ogrodzono więzienie od pionowej kreski. Zwróconej ku miastu. Na wysokości drutu kolczastego od zewnątrz były cztery wieże strażnicze. I trzy wejścia. Jedno pośrodku. Prowadziło do budynku. Parterowego, ceglanego, z podwójnymi drzwiami, które były zamknięte i wyposażone w domofon z kamerą wbudowany w futrynę. Pewnie wejście dla odwiedzających, skostatował Reacher. Personel chyba też z niego korzystał. Pozostałe wejścia znajdowały się na dwóch końcach. Były to właściwie bramy wysokości całego ogrodzenia. I nie miały żadnych oznakowań. Jedno przypuszczalnie było przeznaczone dla dostawców. Drugim wwożono świeżo skazanych.

Od strony rzeki za ogrodzeniem stało w szeregu pięć budynków. Każdy zbudowany był na planie litery X. Reacher domyślał się, że to bloki więzienne. Resztę zamkniętej przestrzeni zajmowało dwanaście innych budynków – prostych, funkcjonalnych i różnej wielkości – oraz trzy place spacerowe. Gdyby nie otaczające je druty kolczaste i wieże strażnicze, kompleks mógłby wyglądać jak fabryka czy magazyny. Spacerniaki były tych samych rozmiarów, ale oddzielone od siebie. Prawdopodobnie po to, by izolować więźniów różnych kategorii w przestrzeniach przeznaczonych tylko dla nich.

Budynki i place spacerowe były połączone przejściami z siatką po bokach i na górze. Nawet z daleka Reacher widział, że to gruba osłona. Mocna. Gdyby ktoś

próbował ją przebić, to żeby mieć jakiejkolwiek szanse powodzenia, musiałyby się uzbroić w profesjonalne narzędzia. Na zewnątrz, wokół budynków i między łącznikami, zieleniały kawałki ziemi porośnięte trawą. Zaskakująco dużo zieleni jak na tak ponurą instytucję, pomyślał Reacher. Trawniki były kwadratowe. Prostokątne. Owalne. A ponad pięć metrów od podstawy każdej z wież strażniczych były otoczone cegłami trójkąty.

Trawa wydawała się wypielęgnowana. Przyszrzyżona. Starannie wyrównana na brzegach. A sądząc po głębokim odcieniu zieleni podkreślonym przez jasne mury i szarość siatki łączników, prawdopodobnie nie szczędzono nawozów. Tylko jedna budowla na ogrodzonym terenie wyglądała na nowszą: wciśnięta za budynek oddziałów dla osadzonych, w kształcie litery V. Zaprojektowana jako siedziba korporacji, z zamontowanym na dachu trójwymiarowym logo Minery, które obracało się na cokole. Reacher pomyślał, że gdyby doszło do zamieszek, to byłby pierwszy cel do zniszczenia.

– Czytałaś, czy ostatnio dochodziło tu do jakichś buntów? – zwrócił się do Hannah.

– Oficjalnie nie było takich wiadomości – odpowiedziała. – Ale na jednym forum jakaś kobieta żaliła się, że strażnik zranił jej męża. W trakcie awantury na spacerniaku. Brało w tym udział trzydziestu czy czterdziestu ludzi, ale od straży oberwał tylko jej mąż. Złożyła skargę i usłyszała, że mąż próbował uciec. Powiedzieli jej, że przymkną na to oko, ale jeżeli będzie chciała nagłośnić sprawę jego obrażeń, skończy się na tym, że wydłużą mu wyrok.

– Udało się stąd komuś uciec?

– Nie sądzę. W każdym razie nie trafiłam na taką informację.

Reacher wcale się nie dziwił. Więzienie wyglądało na nieźle zorganizowane. Zgodnie z tym, co przeczytał w teczce znalezionej w torebce Angeli St. Vrain, zbudowały je władze stanowe. Jeśli chodziło o zamykanie ludzi, ci goście znali się na rzeczy. Reacher sam miał pewne doświadczenia więzienne. Był kiedyś żandarmem wojskowym. Wsadził za kratki mnóstwo ludzi. Odwiedzał

podejrzanych, żeby ich przesłuchać. Łapał skazanych, którzy zwiali. Grillował ich, by się dowiedzieć, jak to zrobili. Parę razy nawet sam został przymknięty.

Pierwsze zabezpieczenie, na jakie zwrócił uwagę, było jednocześnie najprostsze. Teren nie był otoczony murem, lecz ogrodzeniem z siatki. Dzięki temu strażnicy widzieli każdego, kto zbliżał się do obiektu, wszystko jedno, z której strony. Widzieli, czy ktoś niesie sprzęt, który umożliwiłby włamanie, albo jakieś przedmioty, by przerzucić je nad drutem kolczastym. Do siatki były przymocowane czerwone trójkąty. Rozmieszczono je w czterometrowych odstępach na wysokości od pół do dwóch metrów nad ziemią. Reacher był za daleko, by odczytać napis, ale rysunek ludzkiej sylwetki padającej do tyłu po porażeniu prądem był wystarczająco wymowny. Ogrodzenia były pod napięciem. Prąd w zewnętrznych mógł najwyżej mocno trzepnąć ciekawskiego. Chodziło bardziej o ostrzeżenie niż uszkodzenie ciała. Śmiertelne napięcie było zapewne w niewinnym i niewysokim wewnętrznym ogrodzeniu wciśniętym między dwa wyższe z koroną z drutu kolczastego.

Reacher był gotów się założyć, że w ziemi ukryto czujniki wibracji, które reagowały, gdy ktoś za bardzo zbliżył się do ogrodzenia. Że zainstalowano alarmy uruchamiające się w momencie, gdy w ogrodzeniach spadało napięcie. Że trzymano psy na wypadek awarii albo celowego uszkodzenia obwodów elektrycznych. Wszystkie wejścia na pewno były zabezpieczone. To przeznaczone dla odwiedzających musiało przypominać kontrolę na lotnisku, z urządzeniami do prześwietlania bagażu i wykrywania metalu. Bramy dla pojazdów były pewnie wyposażone w śluzy, by ciężarówki i furgonetki dostawcze podczas wjazdu i wyjazdu można było zatrzymać między jednym a drugim ogrodzeniem. Wewnątrz budynków kanały wentylacyjne i techniczne były za wąskie, by ktokolwiek mógł się do nich wczołgać albo się nimi wspiąć. Zresztą i tak musiały być wyposażone w czujniki ruchu i przegrody z siatki. Wszystkie drzwi i bramy w zabezpieczonych częściach były sterowane centralnie, bez klawiatur, które pozwalałyby osadzonym nauczyć się albo domyślić kodów dostępu, jak można zobaczyć w filmach. A gdyby wszystko to zawiodło, pozostawały jeszcze wieże strażnicze. Wystarczyłyby dwie. Więzienie miało cztery. W każdej strażnik uzbrojony w długą

broń miał w zasięgu rażenia cały ogrodzony teren oraz odległość do stu pięćdziesięciu metrów poza nim – przy odpowiednim wyposażeniu i poziomie wyszkolenia.

Teren przed więzieniem urządzono na planie półkola. Pasy trawy i starannie utrzymane kolorowe rabaty kwiatowe zachowywały kształt tego samego łuku. Wyglądały nie na miejscu, jak dziwna próba odtworzenia ogrodów francuskich europejskich zamków. Brakowało jedynie fontann. Reacher wiedział jednak, że projektowi nie przyświecał cel estetyczny. Chodziło o zachowanie pustego pola ostrzału dla dwóch środkowych wież strażniczych na wypadek ucieczki. Albo próby ataku z zewnątrz.

Na zewnątrz półkola biegł wybetonowany pas. Na tyle szeroki, że mogły na nim parkować samochody. Część po lewej, przeznaczona dla personelu, była teraz w połowie pełna. Stały tam przede wszystkim pick-upy. Starsze modele amerykańskich marek. Niektóre w niezbyt dobrym stanie. Tu i ówdzie można było dostrzec sedana. Też krajowej produkcji, z niższych półek cenowych. Na drugim końcu, oddzielone kilkoma pustymi miejscami, stały trzy nowsze pojazdy. Srebrny dodge ram z chromowanymi felgami, na którego platformie ładunkowej lśniła skrzynka z narzędziami zrobiona z blachy ryflowanej. Obok sedan bmw, większy od tego, który Reacher widział w Kolorado, ale też czarny, z napisem MC1 na tablicy rejestracyjnej. I biały mercedes z tablicą MC2.

Parking dla odwiedzających znajdował się po prawej. Stał tam tylko jeden pojazd. Volkswagen garbus. Zielony metalik. Miał dwa kapcie. Z jednej strony wisiał urwany boczny stopień. Nie wiadomo, czy samochód został tu zaparkowany, czy porzucony.

Hannah otworzyła drzwi i odwróciła się do Reachera.

– Gotowy? Już za długo się tu kręcimy. Powinniśmy jechać.

Skinął głową i wsiadł razem z nią. Nie było nic więcej do oglądania. Pomyślał jednak, że chyba wie, jak czuje się epidemiolog, patrząc na próbkę pobraną od pacjenta cierpiącego na zagadkową nową chorobę. Na pierwszy rzut oka wszystko

wyglądało normalnie, ale wiedział, że coś jest nie tak. Tylko nie wiedział co. Na razie.

• • •

Bruno Hix siedział za swoim biurkiem. Patrzył w ekran komputera. Z którego spoglądała na niego jego własna twarz.

Obraz był powiększony. Hix miał na nim rozchylone usta. Półprzymknięte oczy. Wydawał się pijany. Albo obłąkany. Albo, co gorsza, brzydki. Tupnął nogą. Odtwarzanie dwóch zapisów wideo równocześnie okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Z każdym po kolei nie było problemu. Nie mógł jednak rozgryźć, jak obejrzeć je oba naraz. Dzwonił do więziennego informatyka, ale ten skończył już pracę. Był w domu i przygotowywał kolację swoim kotom. Podobno miał wrócić, ale zupełnie się nie spieszył. Człowiek potrafi szybciej pełzać. Hix nie był zadowolony. Musiał pogadać z Riverdale'em. Pora na zmiany kadrowe. I to szybkie.

Powoli otworzyły się drzwi gabinetu.

Hix odwrócił się i zaczął:

– Gdzie, do cholery...

W drzwiach zobaczył Brockmana.

– O, to ty. Jakieś wiadomości?

Brockman skinął głową.

– Dobrze?

– Po prostu wiadomości.

– No to mów.

– Dzwonił Harold. Dotarł na miejsce robót drogowych. Naszych ludzi tam nie było.

– Opuścili posterunek? Co się stało? Przestraszyli się gróźb? Zostali przekupieni?

– Po prostu zniknęli. Ford explorer Brada stał zaparkowany dokładnie w tym samym miejscu, w którym Harold widział go wcześniej. Ale nie było śladu Brada ani Wade'a.

– No więc co się stało?

– Nie mam pojęcia. Harold rozmawiał z kierowcą wozu pilota. Mówił, że doszło do jakiegoś dziwnego incydentu. Jechał na wschód jak zwykle i natknął się na pick-upa, który tarasował drogę. Nie widział numerów rejestracyjnych, ale to był ten sam model co wóz, który ukradł Reacher. I tego samego koloru.

– Widział Reachera?

– Na to wygląda. Posłuchaj, co opowiedział Harold. Pilot zatrzymał się, zakładając, że pick-up z jakiegoś powodu próbował zawrócić. Doszedł do wniosku, że prędzej czy później usunie mu się z drogi. Ale inni kierowcy zaczęli się niecierpliwić. Otoczyli pick-upa. Próbowali go zepchnąć. Oczywiście nie dali rady. To był wybuch masowej hysterii. I gdy próbowali ruszyć wóz, z drugiej strony nadszedł jakiś ogromny facet.

– Reacher?

– W każdym razie przegonił kierowców. Dziesięciu. I zdaje się, że jednemu spuścił łomot. Sam wyciągnij wnioski. Potem wsiadł do pick-upa i odjechał.

– Co zrobił Harold?

– Domyślił się, że Brad i Wade zostali znokautowani i facet pozbył się ich tak jak Pepa i Tony'ego na parkingu dla ciężarówek. Czyli blokada drogi była zasłoną dymną. No więc Harold zaczął ich szukać. Nic nie znalazł. Ale ciągle próbuje.

– Czyli nadal nie wiemy, gdzie są nasi ludzie?

– Nie.

– A Reacher?

– Też nie wiemy, gdzie jest.

– Najwyraźniej minął blokadę. W każdej chwili może się pokazać w mieście. Może nawet już tu jest. Dzwon do Harolda. Każ mu wracać. Natychmiast.

– A co z Bradem i Wade'em?

– Jak to co? Mieli proste zadanie. Nie poradzili sobie. Lepiej nam będzie bez nich.

• • •

Reacher oglądał więzienie, a tymczasem Hannah, korzystając z telefonu, dalej zbierała informacje. Tym razem gastronomiczne. To był kolejny punkt ich planu.

Znalazła lokal, w którym według opinii klientów można było zjeść najlepsze hamburgery w mieście. Zaproponowała, żeby od razu tam pojechali, wzięli coś na wynos i zabrali do hotelu. Reacher nie był zwolennikiem tego rozwiązania. Wolał przekonać się na własne oczy, jak wygląda lokal. Lubił posiedzieć w dobrej knajpie. I zdecydowanie sprzeciwiał się wszelkim pomysłom, które wskazywałyby na chęć ucieczki i szukania kryjówki. Stawiał czoło zagrożeniu, bo miał to we krwi. Wolał atakować frontalnie. Pokonać przeciwnika albo zginąć w walce. Ta zasada była wdrukowana w jego DNA. Widział jednak, że Hannah zbliża się do kresu wytrzymałości. Zdawała sobie sprawę, że ich szukają. Ci sami ludzie, którzy próbowali ją zabić. To rozumiałe, że wolała nie pokazywać się na ulicy. Jak najszybciej zniknąć. Zmuszanie jej, by zrobiła coś odwrotnego, byłoby okrucieństwem, więc Reacher się nie sprzeciwiał.

Burgerownia znajdowała się cztery skrzyżowania na północ od głównej ulicy, w budynku, który kiedyś był stacją benzynową. Dystrybutory stały tam gdzie dawniej, ale w roli dekoracji z neonowymi światełkami. Podjazd stacji zmieniono w parking. Stoliki ustawiono w głównym budynku za dużymi łukowatymi oknami i pod wymyślnym dachem, który z boku przypominał literę M.

Punkt obsługi zmotoryzowanych urządzono w dawnym okienku nocnym. Tam skierowała się Hannah. Złożyła zamówienie, zapłaciła i w ciągu trzech minut

dostała papierową torbę pełną jedzenia. Dla siebie wzięła pojedynczego burgera z pieczarkami i truflowym sosem aioli, a dla Reachera dwa podwójne cheeseburgery bez żadnych warzywnych dodatków. Jeszcze minutę czekała na dwie duże kawy, po czym skręciła w stronę wyjazdu. Do mapy w telefonie wpisała adres hotelu i mechaniczny głos polecił jej „kontynuować trasę”. Reacher uznał, że taka rada na niewiele się przyda.

Gdy wrócili na główną ulicę, telefon pokierował ich na wschód, w przeciwną stronę od centrum miasta. Hotel stał w pobliżu rzeki, bardziej na północ. Całkiem niedaleko w linii prostej, ale pasmo drzew oznaczało, że nie prowadzi tam bezpośrednia droga. Słońce wisiało nisko na niebie. Gęste gałęzie nad nimi jeszcze bardziej ograniczały dostęp światła dziennego. Droga była pusta. Dopiero po pięciu minutach zobaczyli pierwszy pojazd. Kiedy się zbliżył, zarysował się kształt belki świetlnej na dachu. Wóz minął ich. Rozbłysły światła na dachu. Wąski korytarz między drzewami zaczął pulsować czerwonym i niebieskim blaskiem. Samochód zawrócił i ruszył za nimi.

– Och, tylko nie to – jęknęła Hannah. – Co znowu? Co mamy robić?

– Nie ma się czym martwić – uspokoił ją Reacher. – Nie zrobiliśmy nic złego.

– Nie? Tych sześciu ludzi, których pobiłeś, mogłoby stwierdzić coś innego.

– Ale ich tu nie ma. Poza tym nie są w stanie zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. To jakaś idiotyczna rutynowa kontrola. Wszystko będzie dobrze.

– A jeżeli nie?

Reacher nie odpowiedział.

• • •

Hannah zatrzymała pick-upa na poboczu. Radiowóz przystanął tuż za nimi, nie wyłączając kogutów. Gliniarz siedział w środku jeszcze przez dwie minuty. Reacher nie wiedział, czy coś sprawdza, wzywa posiłki, czy może po prostu

próbuję rozgrywać ich psychologicznie. Było mu wszystko jedno, pod warunkiem że policjant nie będzie tego przeciągał. Nie chciał, żeby hamburgery ostygły.

Wreszcie policjant wysiadł i podszedł do ich wozu od strony kierowcy. Uniósł dłoń. Zgiął środkowy palec, chcąc zapukać w szybę, ale zanim jej dotknął, Hannah ją opuściła.

– Dzień dobry panu... pani – powiedział gliniarz. – Wie pani, dlaczego panią zatrzymałem?

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Nie przekroczyłam prędkości. – Zerknęła na Reachera. – Nie zrobiłam nic złego.

– Prowadzi pani pojazd zarejestrowany na osobę, która według urzędowych rejestrów obecnie nie żyje.

– Obecnie? Przypuszcza pan, że to się zmieni?

Głęboko nabrał powietrza.

– Powiem wprost. Dlaczego jeździ pani samochodem nieboszczyka?

– Nieboszczyk to mój były mąż. Byliśmy ze sobą blisko. Dostałam pozwolenie. Jestem wpisana do ubezpieczenia i odziedziczę samochód, gdy tylko zostanie odczytany jego testament.

– Pani nazwisko?

– Hannah Hampton-Roth.

– Dokument tożsamości?

– Mam w torebce. Mogę wyjąć?

– Proszę.

Wzięła torebkę z tylnego siedzenia, szperała w niej przez chwilę i wreszcie wyłowiła portfel. Otworzyła go i podała policjantowi prawo jazdy.

Przez moment studiował dokument.

– Dowód rejestracyjny? Ubezpieczenie?

Przechyliła się na stronę pasażera, otworzyła schowek i wyjęła stamtąd przezroczystą plastikową kopertę. Tkwiły w niej dokumenty. Wyprostowała się

i podała kopertę przez okno.

– Proszę zaczekać – powiedział policjant. I wrócił do radiowozu.

Hannah wyciągnęła rękę do stacyjki, by wyłączyć silnik, ale Reacher zatrzymał jej dłoń.

– Niech pracuje – rzucił. – Jeśli wróci tu z bronią w ręce, wciśnij gaz i wiew. I zrób to samo, gdyby pojawił się drugi radiowóz. Albo jakiś samochód, który wyglądałby na nieoznakowany wóz policyjny.

• • •

Policjant spędził w radiowozie pięć długich minut, a potem wrócił do pick-upa. Pistolet nadal tkwił w kaburze. Oddał dokumenty samochodu i prawo jazdy.

– Jest pani bardzo daleko od domu. Co sprowadza panią do Winson?

Hannah wsunęła prawo jazdy z powrotem do portfela, a plastikową kopertę podała Reacherowi.

– Mój były mąż ma... miał tu przyjaciół. Muszę im przekazać wiadomość o jego śmierci. Lepiej to zrobić osobiście niż przez telefon czy mailowo, nie sądzi pan?

– Kto stąd się z nim przyjaźnił?

– Angela St. Vrain. Danny Peel. Pracowali z Samem, zanim się tu przeprowadzili.

– Zatrzyma się pani dzisiaj u któregoś z tych osób?

– Nie. Jedziemy do hotelu.

– Którego?

– Do...

– Jeszcze nie wybraliśmy – włączył się Reacher.

– Nie pomyśleli państwo, żeby zarezerwować pokoje przed wyjazdem z Kolorado? – spytał gliniarz.

– Nie – przyznał Reacher.

– A gdyby po pokonaniu tylu kilometrów okazało się, że wszystkie hotele mają komplet?

– Turyści często spotykają się tutaj z takim problemem?

Policjant milczał przez chwilę, po czym ruchem głowy wskazał na tył samochodu.

– Co się stało z szybą?

Hannah westchnęła.

– Jacyś gówniarze próbowali się włamać.

– Kiedy?

– Dzisiaj po południu. Na parkingu przy dwudziestce.

– Zrobiły to dzieciaki?

– Zgadza się.

– Ukradli coś?

– Zobaczyli, jak wracamy z toalety, i uciekli.

– Zgłosili to państwo na policję?

– Uznałam, że nie ma sensu. Nie zdążyliśmy się przyjrzeć tym dzieciakom. Nie potrafiłabym podać rysopisów.

– A kłapa z tyłu?

– Coś z nią nie tak?

– Jest dziura po pocisku. Ktoś do was strzelał?

Hannah pokręciła głową.

– Do nas? Nie. Sam, mój były mąż, był zapalonym strzelcem. W zeszłym tygodniu był na strzelnicy pod miastem i jakiś żółtodziób przypadkowo strzelił na parkingu, kiedy wyjmował broń z samochodu.

– Czy pani były mąż to zgłosił?

– Uznał, że nie ma potrzeby. To przecież był wypadek. Nikt nie został ranny. Tamten pechowiec zapłacił za uszkodzenie. Jeżeli to był błąd, niech pan nie wini

Sama. To klub ma pilnować, żeby na strzelnicy przestrzegano przepisów.

– Jak się nazywa ten klub?

– Nie wiem. Nigdy tam nie byłam. Sam mówił o nim „klub strzelecki”. Był funkcjonariuszem straży więziennej. Wielu jego kolegów ze służby też należy do klubu. Właścicielem jest emerytowany policjant. Jestem pewna, że Sam postąpił, jak trzeba.

Gliniarz zastanawiał się przez moment.

– No dobrze, proszę jechać. Ale musi pani zawrócić.

– Dziękuję. Ale dlaczego?

– Potrzebuje pani noclegu. Najlepszy hotel w okolicy to Winson Garden. Łatwo go znaleźć. Wystarczy patrzeć na znak i kierować się w stronę więzienia, a potem skręcić w lewo w Mole Street. Pojadę za państwem. Dopilnuję, żebyście nie zabłądzili.

• • •

Nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Jed Starmer musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Zmusił się, by dźwignąć się z ziemi. Nie mógł zostać w tym miejscu. Był za bardzo widoczny. W Jackson szukało go co najmniej dwóch funkcjonariuszy. Niedługo pewnie przyjmą do wiadomości, że im zwiął. Nie będą mieli innego wyjścia. Potem zostanie im tylko jedno miejsce do sprawdzenia. Ostateczny cel podróży Jeda. Winson. A tam można było się dostać wyłącznie tą drogą, przy której właśnie marudził.

Wciąż nie miał pojęcia, jak dotrze na szczyt wzniesienia. Ledwie mógł ustać na nogach. Miał wrażenie, że ktoś skradł mu kości nóg i zamienił je na modelinę. Bolał go żołądek. Gdy patrzył na cokolwiek, kontury rozmywały się, a kolory drżały i tańczyły, jakby każdy przedmiot płonął. Jed wiedział, że jest w kompletnej rozsypce. I wiedział jeszcze jedno. Dotarł za daleko, żeby dać się pokonać wzniesieniu.

Uważał, że ma po swojej stronie dwa czynniki. Czas. I drzewa. W Winson musiał się pojawić za ponad dwanaście godzin. Musiał tylko odpocząć. W jakimś miejscu, w którym nie będzie go widać z drogi. Powłókł się do roweru, który wciąż leżał na boku. Dźwignął go i postawił. Zepchnął go w wysoką trawę na skraju pobocza i tam zostawił. Zrobił jeszcze kilka kroków. I przystanął.

Potrzebował odpoczynku. Ale musiał też być bezpieczny. Kierował się w głąb lasu. A tam mogły czyhać wilki. Może aligatory. Albo kojoty. Być może w wielkich krwiożerczych watahach. Jed nie miał pojęcia, jakie drapieżniki występują w Missisipi. I nie chciał się o tym przekonywać na własnej skórze. Dlatego zamierzał wybrać kryjówkę ze szczególną uwagą.

33

Hannah, jako posiadaczka karty kredytowej, zajęła się zameldowaniem ich w Winson Garden. Reacher, jako osoba z natury podejrzliwa, cały czas obserwował parking. Gliniarz, jako osoba, której polecono pilnować nieznanego, zaparkował w takim miejscu, by widzieć dobrze wejście do hotelu. I mieć stuprocentową pewność, że nieznanomy i jego niespodziewana towarzyszka rzeczywiście weszli do środka. I nie wyszli.

Gdy Hannah skończyła wypełniać formularze i opłaciła rachunek, pociągnęła walizkę przez część recepcyjną i podała Reacherowi kartę magnetyczną w kartonowym etui. Wziął ją i wsunął do tylnej kieszeni. Ułamek sekundy później zadzwonił telefon na ladzie za nimi.

Recepcjonista odebrał po pierwszym dzwonku.

– Winson Garden, najlepsze miejsce dla gości w Winson. Czym mogę służyć? – Przez chwilę słuchał, po czym odpowiedział znacznie ciszej, prawie szeptem: – Tak, kobieta. Z karty wynika, że nazywa się Hannah Hampton. Adres zamieszkania w Gerrardsville w Kolorado. Zapłaciła za dwie osoby. Dwa pokoje. Jedna noc. – Potem skinął głową do nikogo konkretnego i odłożył słuchawkę.

Reacher czuł na sobie jego wzrok. Niemal słyszał myśli mężczyzny. Recepcjonista zastanawiał się, dlaczego policja interesuje się akurat tymi gośćmi. Czy rano będzie miał co opowiadać. I czy trzeba będzie coś posprzątać.

• • •

Informatyk Minervy potrzebował dziesięciu sekund, żeby zmienić ustawienia ekranu w komputerze Bruno Hixa zgodnie z jego życzeniem.

Kazano mu zostawić koty – musiały same jeść kolację. Zmuszono go, by przyjechał do więzienia, poświęcając na to swój wolny czas. Mimo to dał popis fachowości. Nikt inny nie potrafiłby rozwiązać tego problemu tak szybko i skutecznie. Na pewno. Dlatego nie rozumiał, dlaczego szef wydawał się jeszcze bardziej rozdrażniony, gdy spełnił jego polecenie, niż na początku.

Informatyk był na wpół urażony, na wpół zdziwiony. Wywiązał się świetnie z zadania, co nie zostało docenione, ale przy okazji musiał popełnić jakieś rażące faux pas. Utwierdzało go w tym przekonaniu zachowanie Hixa. Kłopot w tym, że informatyk nie miał pojęcia, co złego zrobił. Zbierał się już na odwagę, by spytać szefa, o co chodzi, ale zanim się odezwał, w głowie zabrzmiało mu jedno z ulubionych wyrażeń matki: „Kiedy dasz plamę, staraj się więcej nie brudzić”. Doszedł do wniosku, że najrozsądniej będzie ulotnić się z gabinetu, zanim zdąży pogorszyć swoją sytuację, wybąkał więc jakieś przeprosiny i rzucił się do drzwi. Otworzył je, obejrzał się na Hixa i niemal wpadł na Damona Brockmana, który zmierzał w przeciwnym kierunku.

Brockman zaczekał, aż informatyk czmychnie korytarzem, po czym oznajmił:

– Dobre wiadomości. Właśnie cudem udało się nam uniknąć kłopotów.

Hix wyłączył monitor.

– Naprawdę? Jak?

– Mówię o tym, że nasi ludzie nie zatrzymali Reachera na parkingu dla ciężarówek ani w strefie robót drogowych. To chyba było szczęście w nieszczęściu. Okazuje się, że ten włóczęga nie działa sam. Ma partnerkę. Gdyby nasi ludzie usadzili go, tak jak im kazaliśmy, nie wiedzielibyśmy o niej zupełnie nic. Kręciłaby się tu dalej, zupełnie niewidoczna, i Bóg jeden wie, co mogłaby zrobić jutro.

– Jak się o niej dowiedziałeś?

– Jeden z ludzi Moseleya namierzył pick-upa, którym jeździ Reacher. Tuż za miastem. Zatrzymał wóz, spodziewając się znaleźć w nim Reachera, ale za

kierownicą siedziała kobieta. A Reacher obok niej.

– Gliniarz znalazł Reachera? Gdzie on teraz jest?

– W Winson Garden. Z tą kobietą.

– Jesteś pewien?

Brockman skinął głową.

– Sam policjant ich tam skierował. Pojechał za nimi. Upewnił się, że się zameldowali.

Hix przez chwilę bębnił palcami w blat biurka.

– Co to za kobieta? Kim jest? Co o niej wiemy?

– Gliniarz miał w rękach jej dokumenty. Nazywa się Hannah Hampton. Jest byłą żoną Sama Rotha. Powiedziała policjantowi, że po rozwodzie się przyjaźnili. Zanim zmarł. I że dał jej pozwolenie na korzystanie z jego pick-upa.

Hix wstał, podszedł do okna i spojrzał przez ogrodzenie w stronę łukowatego parkingu.

– Nie bardzo rozumiem. Myśleliśmy, że ten Reacher jest w to zamieszany z powodu jakiegoś czysto przypadkowego spotkania.

– Zgadza się.

– Daliśmy sobie wmówić, że akurat był w Gerrardsville. Przypadkiem zobaczył to, co się stało z Angelą St. Vrain. Wściubił nos w nie swoją sprawę.

– Tak właśnie było.

– No więc jak to się stało, że zwąchał się z byłą żoną Sama Rotha? To nie może być zbieg okoliczności.

Brockman wzruszył ramionami.

– Po prostu wściubił nos trochę głębiej. Dowiedział się o śmierci Rotha. Uznał, że to śliska sprawa. I zaczął węszyć. Całkiem naturalne, że zwrócił się do wdowy. Zwłaszcza że to ona znalazła ciało.

– A jeżeli jest inne wyjaśnienie? Nie wiedzieliśmy, że Roth przyjaźnił się ze swoją byłą. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Wszyscy ludzie po rozwodzie, jakich znam, nienawidzą swoich byłych. Ja na pewno. Gdybym wiedział, że ujdzie

mi to na sucho, chętnie zmieliłbym obie moje eks na hamburgery i nakarmił nimi psy.

– Wiem. Ale czy to ma jakieś znaczenie, z kim Roth się przyjaźnił?

– Ludzie zwierają się przyjaciołom. A jeżeli on powiedział swojej byłej to, co usłyszał od Angeli? I wszyscy troje domyślili się, co się jutro stanie? Wiedzieli, że nie mogą z tym iść na policję. Więc może wynajęli Reachera. I pojawił się w Gerrardsville specjalnie po to, żeby się z nimi spotkać. Ślepy los nie miał z tym nic wspólnego. Cała nasza teoria byłaby nietrafiona.

– Nie wyobrażam sobie tego. Po co mieliby go wynajmować? Skąd by się o nim dowiedzieli? I jak by się z nim skontaktowali? Facet jest włóczęgą.

– Naprawdę? Może chce, żeby ludzie tak myśleli. Ma wygodną przykrywkę. Jest emerytowanym gliną. Wielu z nich zaczyna pracować jako prywatni detektywi, kiedy oddają odznaki.

– Był żandarmem wojskowym. Nie zwykłym gliną.

– Co z tego? Ma te same umiejętności. No i jest sprawny. Nie ma wątpliwości. Spytaj ludzi, których wysłaliśmy za nim.

Brockman wzruszył ramionami.

– Okej. Powiedzmy, że masz rację. Przyjechał tu, bo wynajęła go ta kobieta. Czy to dla nas jakaś różnica?

– Taka, że teraz musimy się zająć dwiema osobami, nie jedną.

– To nic wielkiego. Dokładnie wiem, gdzie oboje są. Pytanie tylko, czy nasłać na nich Harolda i chłopaków, kiedy będą spali w pokojach, czy poczekać do rana i zaskoczyć ich, gdy wyjdą z hotelu.

– Niech zrobią to w ich pokojach. Jak najszybciej. Jeśli inni goście zaczęliby coś podejrzewać, każ im wywieźć ciała na noszach na kółkach.

– Zorganizuję to z Haroldem.

– Dobrze. Kto tymczasem obserwuje hotel?

– Ten gliniarz.

– Pewnie za bardzo rzuca się w oczy. Niech go zastąpi ktoś z naszych.

– Nikogo nie mamy. Tylko ludzi, których wysłaliśmy do Jackson, ale ci pracują od trzeciej rano. W nocy będą musieli pomóc Haroldowi. Lepiej niech trochę odpoczną. Nabiorą sił.

– Jeżeli Reacher zobaczy przed hotelem radiowóz, domyśli się, że coś się kroi. A wtedy...

– Jeśli obserwował otoczenie, to musiał zobaczyć, jak radiowóz odjeżdża. Powiedziałem Moseleyowi, żeby wycofał stamtąd tego gliniarza i kazał mu się trzymać z daleka. Zostać na ulicy.

– Wycofał go? I gliniarz odjechał?

– Tylko na chwilę. Ma patrolować miasto. Już wraca. Zameldował się Moseleyowi, a on zadzwonił do mnie. Zająłem się sprawą.

– Na pewno?

Brockman pokiwał głową.

– Moseley kazał temu gliniarzowi zadzwonić do hotelu, kiedy wróci na posterunek. Recepcjonista potwierdził, że widział, jak Reacher i kobieta szli do windy. Był pewien, że nie schodzili na dół. Przysięgał, że zauważyłby, gdyby wracali przez recepcję. Po pierwszym telefonie już wiedział, że policja się nimi interesuje, więc był szczególnie czujny.

– W porządku. Tylko koniecznie powiedz Haroldowi, że teraz ma dwa cele. I żeby się zabezpieczył. Niech weźmie ze sobą tę kopertę. Musi ją mieć w takim miejscu, żeby Reacher ją znalazł, gdyby go pokonał.

– Haroldowi się to nie spodoba. Pomyśli, że w niego nie wierzysz.

– Gównu mnie obchodzi, co sobie pomyśli Harold. Powiedz mu to.

– Obchodziłoby cię bardziej, gdybyś zobaczył, jak ten gość jest zbudowany. Nikt nie miałby ochoty wkurzać kogoś takiego. Nawet dyrektor generalny korporacji.

• • •

Reacher czekał, aż radiowóz wolno zatoczy szeroki łuk i oddali się w stronę centrum miasteczka. Potem ruszył korytarzem prowadzącym do wind i pokoi hotelowych. Hannah poszła za nim, wciąż ciągnąc za sobą walizkę. Minęli windy i dotarli na koniec korytarza. Do wyjścia ewakuacyjnego. Tabliczka informowała, że drzwi są zabezpieczone alarmem. Jeżeli to miało być ostrzeżenie, to było niezbyt skuteczne. Właścicielom hotelu zależało na minimalizowaniu kosztów. Świadczył o tym wyraźnie niedopasowany uniform recepcjonisty. Podobnie jak tanie reprodukcje na ścianach. Zgrzebna wykładzina na podłogach. Kiepskiej jakości klamki w drzwiach. Ludzie, których zadowalało wyposażenie tak marnej jakości, prawdopodobnie nie chcieli płacić kar za fałszywe alarmy. Istniało zbyt duże ryzyko, że jakiś pijany gość skręci nie w tym miejscu, co trzeba, i zderzy się z drzwiami wyjścia ewakuacyjnego. Albo palacz będzie chciał wymknąć się na papierosa. Albo ktoś będzie próbował ukradkiem wydostać się z budynku. Na przykład Reacher i Hannah.

Nacisnął dźwignię na drzwiach, a te posłusznie się uchyliły. Nie rozbłysły żadne światła. Nie ryknęły syreny.

• • •

Jeżeli nie chcesz, żeby coś w przyszłości odbiło ci się czkawką, lepiej zrób to sam.

Taka zasada przyświecała Curtisowi Riverdale'owi przez całe życie zawodowe. Oznaczała, że częściej musiał zakasywać rękawy, ale było warto. Wysilek zawsze mu się opłacał. Dawniej. Ale tego popołudnia po raz pierwszy w życiu naczelnik więzienia nie był pewien, czy to wystarczy.

Jak zwykle osobiście zajmował się przygotowaniem do piątkowej uroczystości. Zadbał o ustawienie krzeseł na zewnątrz. O tymczasowe ogrodzenia. O podium dla kamer telewizyjnych. O poczęstunek dla dziennikarzy. O scenę, po której miał dumnie paradować Bruno Hix. O namiot, który dla bezpieczeństwa miał

zasłonić wejście do więzienia. O strażników z groźnymi minami na wieżach. I o demonstrantów. Przede wszystkim o nich starał się nie zapominać.

Riverdale zabezpieczył się na wszystkich frontach. Osobiście dwa razy skontrolował każdy szczegół. Ale coś go jeszcze martwiło. Właśnie dostał wiadomość od dobrego kumpla, Roda Moseleya, komendanta policji. Reacherowi udało się dotrzeć do miasta. Ten człowiek był wielką niewiadomą. Czynnikiem, nad którym Riverdale nie miał żadnej kontroli. A brak kontroli był piętą achillesową dla człowieka, którego cały świat podlegał przepisom, procedurom i harmonogramom. Innymi nieodłącznymi elementami tego świata były ogrodzenia, bloki więzienne i stalowe kraty.

Palce naczelnika nieświadomie powędrowały na pierś. Przesunęły się po obrysie przedmiotu ukrytego pod podkoszulkiem. To był klucz. Zawieszony na szyi. Łańcuszek był na tyle delikatny, że nie rzucał się w oczy, ale zrobiono go ze stali o dużej wytrzymałości na rozciąganie. Nie był ozdobny. Trudno by było zaklasyfikować go jako biżuterię. Podobnie jak klucz. Służący do otwierania kłódki. Najmocniejszej na świecie, najbezpieczniejszej i najodporniejszej na czynniki atmosferyczne.

Riverdale wciąż miał nadzieję, że uroczystość zakończy się szczęśliwie. Że przyniesie firmie jeszcze większy prestiż. W przyszłości jeszcze lepsze interesy. A jemu jeszcze tego samego dnia następne widzenie specjalne z piękną żoną nowego więźnia. Gdyby jednak stało się inaczej, jeśli wszystko poszłoby nie tak, był na to gotowy. Wtedy zamierzał się rozplątać. Żeby nikt go nigdy nie odnalazł. A Hix, Brockman i cała reszta, która szydziła z jego ostrożności? Jeśli o niego chodziło, mogłoby ich wszystkich pochłonąć piekło.

34

Jed Starmer nie bardzo wiedział, czego szuka. Domyślał się, że jest na wsi, więc w pobliżu powinna być jakaś farma. Ze stodołą. Albo stajnią. Albo szopą. Wszystko jedno, w środku mogły być konie. Albo krowy. Albo worki z obrzydliwą paszą dla zwierząt. Albo dziwne maszyny z kolcami. Najważniejsze, żeby były tam ściany. I dach. I drzwi, które można zamknąć. Żeby mógł się w środku poczuć bezpiecznie. I odzyskać siły.

Każdy kolejny krok był trudniejszy od poprzedniego. Drzewa rosły w nierównych odstępach, ale w zwartych kępach, więc Jed musiał lawirować między nimi. Zarośla były gęste i splątane. Cały czas się potykał, zahaczając o nie stopami, raz omal się nie przewrócił. Ziemia była wilgotna. Bił od niej ciężki stęchły zapach. Nie podobał mu się. Kojarzył się z brudem. Ze zgnilizną. Jed wyobrażał sobie, jak pada na ziemię, a ona otacza jego ciało ze wszystkich stron, pochłania i zatrzymuje na wieczność, by powoli się w niej rozkładał. Kiedy próbował przyspieszyć kroku, spod butwiejącego liścia wybiegł jakiś owad. Miał długachne nogi, szczypcę i paskudne czułki. Jed pomyślał, że chyba boi się zwierząt nie tej wielkości, co powinien. Nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Brzmiący jak pomruk. Zmusił się, by iść dalej. Dotarł za daleko, by dać się pożreć jakiemuś dziwnemu stworzeniu w okropnym cuchnącym lesie.

Przecisnął się między dwoma drzewami i wyszedł na gruntową drogę. Była na tyle szeroka, że mógł się na niej zmieścić samochód i rzeczywiście na ziemi było widać ślady opon. Szerokie i głębokie. Wyraźnie pozostawione przez jakiś ciężki

pojazd. Jed przystanął, żeby się zorientować w terenie. Wydawało mu się, że odkąd zostawił rower, szedł na ukos od drogi, a leśna droga odchodziła od niej pod kątem prostym. Mógł więc skręcić w lewo i trafić mniej więcej tam, skąd wyruszył, czyli do znanego, ale odsłoniętego miejsca. Mógł też skręcić w prawo. W głąb lasu. Gdzie byłby ukryty. Ale gdzie groziłyby mu inne niebezpieczeństwa.

Pomyślał, że gruntowa droga musi prowadzić do jakiegoś konkretnego miejsca. Przecież po to są drogi. Ludzie nie wycinają ich w lasach niepotrzebnie. Pojazdy nie poruszają się nimi bez celu. A na końcu tej drogi mogły się znajdować budynki. Jakieś schronienie. Miejsce na pewno lepsze od tego, w którym był. I lepsze od pobocza głównej drogi.

Skręcił w prawo.

Wydawało mu się, że pokonał z piętnaście kilometrów, chociaż wiedział, że pewnie nie więcej niż kilkaset metrów. Nie widział śladu budynków. Niczego stworzonego ludzką ręką. Nawet domku na drzewie. Ale przynajmniej drogą łatwiej było maszerować. Trzymał się lewej strony i liczył kroki. Próbował wpaść w stały rytm. W pewnym momencie coś usłyszał. Inny odgłos niż wcześniej. To nie było zwierzę. Odetchnął z ulgą. Myślał, że to wiatr zaszumiał wśród liści, lecz po chwili porzucił tę teorię. Powietrze było zbyt nieruchome. Uświadomił sobie, że to woda. Spojrzał przed siebie i zobaczył, że droga kończy się na brzegu stawu. Całkiem dużego. Właściwie małego jeziora. Pewnie zasilał je niewidoczny strumień, w ostatnim akcie niezależności, przed pochłonięciem go przez rozszalałą kipieli Missisipi.

Jed całą siłą woli powstrzymał się, by nie rzucić się na ziemię. Droga służyła zapewne amatorom jakiejś cholernej rekreacji. Pływakom czy kajakarzom. Albo wędkarzom. Za tą myślą pojawiła się następna. Zastanawiał się, czy udałoby mu się złapać coś do zjedzenia. Bez przerwy boleśnie ścisnęło go w brzuchu. Ucieszyłby się z najmniejszej płotki. Porzucił jednak ten pomysł. Nie miał wędki ani żyłki, ani haczyka, ani innego sprzętu, którego ludzie używają do łapania ryb. Może przynajmniej mógłby się napić. Pod warunkiem że woda nie była słona. Nic w niej nie gniło. I nie zawierała czegoś, czym mógłby się zatruć. Widział programy

telewizyjne o surwiwalowcach, którzy dostawali obrzydliwych chorób od picia skażonej wody. Bał się spróbować. Ale chciało mu się pić. Nie przypuszczał, że można aż tak pragnąć płynów. Zrobił krok w stronę brzegu. Uznał, że nie zaszkodzi przyjrzeć się bliżej. Zrobił jeszcze jeden krok i między liśćmi dojrzał coś nienaturalnego. Sztucznego. Jakieś dwie krawędzie przecinające się pod kątem prostym.

To był róg metalowej skrzynki o wymiarach metr na metr na dwa. Pomalowanej na ciemnooliwkowy kolor, który kojarzył się Jedowi z wojskiem. Na boku widniał biały napis OCHOTNICZA STRAŻ POŻARNA HRABSTWA WINSON. A poniżej, mniejszymi literami, ostrzeżenie: TYLKO DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH. Pokrywą zabezpieczały jedynie skobel i wrzeciędz. Kłódki nie było. Otworzył zamknięcie i uniosł pokrywą. Odchyłała się do końca, więc nie musiał jej przytrzymywać. Wewnątrz po lewej zobaczył jakąś maszynę wmontowaną w odrapaną czerwoną obudowę w kształcie rury. Była wyposażona w uchwyt, jaki widział w kosiarkach do trawy, prawdopodobnie do uruchamiania urządzenia. Obok tkwił zwinięty długi elastyczny wąż o średnicy około ośmiu centymetrów, z zamocowanym na końcu koszem z siatki i styropianowym pływakiem. Poza tym wewnątrz stały dwa kanistry benzyny. Dwa plastikowe pojemniki pełne różowego płynu, z nalepkami, na których umieszczono tabele z informacją, jaką ilość należy dodać do zbiorników wody, by uzyskać pianę gaśniczą. Znalazł pudełko baterii do latarek, ale latarek nie było. I dwie zgrzewki wody. Trzydzieści sześć butelek w każdej.

Jed nie był osobą upoważnioną. Nie był też złodziejem. Ale chciało mu się pić. Był bliski poważnego odwodnienia. Które mogło mieć groźne skutki. A zadaniem straży pożarnej jest przecież ratowanie ludzi. Niesienie pomocy w razie niebezpieczeństwa. Złapał najbliższą butelkę wody w zgrzewce. Szarpał i wykręcał, dopóki nie wyjął jej z folii. Przechylił butelkę i wlał sobie do gardła jej zawartość jednym nieprzerwanym strumieniem. Wziął drugą. Tę wypił trochę wolniej, ale też do końca. Wrzucił puste butelki do rogu metalowej skrzyni. Wyjął z niej pudełko baterii. Pojemniki ze środkiem pianotwórczym. Kanistry z benzyną.

I wąż. Próbował wyjąć maszynę, ale okazała się za ciężka, więc zostawił ją wewnątrz i wlaź do środka. Pociągnął pokrywę, podkładając pod jej dłuższą krawędź dwie puste plastikowe butelki. Dzięki temu miał dostęp do świeżego powietrza, ale gdyby pojawiły się jakieś zwierzęta, mógł szybko wyjąć butelki i zamknąć skrzynię.

Jeśli pojawiliby się strażacy i zobaczyli swoje zapasy rozrzucone na brzegu, musiałyby się dłużej tłumaczyć. Uznał, że w razie potrzeby znajdzie na to jakiś sposób. Dotarł za daleko, żeby zadrećcać się jałowym gdybaniem.

• • •

Tymczasem w St. Louis Lev Emerson i Graeber znowu mieli się zamienić miejscami.

Od zameldowania w hotelu ich drugiego wyboru upłynęło prawie sześć godzin. Połowa czasu, jaki przeznaczycyli na odpoczynek. Pierwszą zmianę Emerson spędził w pokoju, gdzie w ubraniu leżał na łóżku przy szczelnie zasłoniętych oknach. Potem zajął miejsce z tyłu furgonetki. Nadal stała na drugim końcu parkingu.

Emerson wolał ją niż pokój. Ale nie ze względu na wygodę czy wyposażenie. Na pewno nie. W furgonetce nie było toalety. Nie było telewizora. Ani ekspresu do kawy. W części ładunkowej z tyłu nie było klimatyzacji. Tylko trzy poduszki na podłodze. Z pierwszej kanapy, którą kupili razem Emerson i jego żona. Dostarczono ją miesiąc po ich ślubie. Ocalił poduszki, gdy ponad dwadzieścia lat temu odnawiali dom. Pasowały do wnętrza furgonetki, jakby do niej zostały zrobione, tyle że sfatygowane skórzane obicia były przetarte prawie na wylot. Warstwa wypełnienia stawała się coraz cieńsza. Gdy Emerson zbyt gwałtownie zmieniał pozycję ciała, czuł twardość metalowej podłogi. Ale furgonetka była swojska. Lubił zapach chemikaliów. Zarys narzędzi widocznych w świetle wpadającym przez lustrzaną szybę w tylnych drzwiach. Spokój, który dawała mu ta przestrzeń. Pozwalała zapanować nad myślami.

W pokoju hotelowym dręczyły go wspomnienia o Kyle'u. Słyszał głos syna. Widział jego twarz. Jako dorosłego. I jako dziecka. Odtwarzał w pamięci fragmenty jego urodzin. Wspólnych wyjazdów. Przypadkowych strzępów codzienności, które wtedy nie wydawały się znaczące, ale dziś okazywały się najcenniejsze na świecie. W furgonetce Emerson umiał skupić się na pracy. Na swoim rzemiośle. Pamiętał wszystko, od pierwszego zlecenia, czyli spalenia fabryki wanien w Gary w Indianie, po scenę w magazynie tego dnia.

Otarł czoło i wysłał wiadomość do Graebera. Poinformował go, że może zostać w pokoju. Wolał spędzić następną zmianę w samochodzie. Gdzie wyobrażał sobie los dostawcy, którego mieli spotkać w Vicksburgu. Następne ogniwo łańcucha, który ostatecznie miał doprowadzić do ludzi odpowiedzialnych za śmierć Kyle'a. Nie wiedział, ile będzie w nim ogniów. Ile trudu będzie kosztowało rozwiązanie wszystkich języków po kolei. Za to wiedział jedno. Bez względu na to, jak długo miałyby to trwać, nie zrezygnuje. Dopóki nie zemści się za syna.

• • •

Problem polegał nie tyle na tym, że pierwotni właściciele Riverside Lodge zbudowali hotel w niewłaściwym miejscu. Chodziło o to, że zbudowali go w niewłaściwym czasie. Zaczęli kłaść fundamenty, gdy gospodarkę Winson napędzało nie tylko więzienie. Kiedy ludzie wciąż przyjeżdżali tu dla piękna przyrody, a nie tylko po to, by spędzić kilka minut na rozmowie z krewnym czy przyjacielem przez przegrodę z perforowanego pleksiglasu. Dlatego hotel usytuowano nad brzegiem Missisipi. Z okien rozciągały się rozległe widoki na północ i południe. Na zachodzie było widać Luizjanę, tak daleko za rzeką, że wyglądała jak inny kraj. Pierwsi inwestorzy wychodzili z założenia, że nigdy nie wyschnie strumień klientów, którzy przepływali tuż obok lokalnymi drogami. Potem pojawiła się autostrada międzystanowa i wyprowadziła cały ruch daleko na wschód.

Riverside Lodge składał się z trzech oddzielnych części. Głównej, znajdującej się pośrodku, piętrowej, gdzie mieściły się recepcja, bar, restauracja, sale bankietowe i zaplecze administracyjne. Dołączono do niej dwa boczne skrzydła z pokojami dla gości. Ceglany budynek miał płaskie dachy. I trzy kolory. Ciemny pas wokół podstawy budowli. Jasnożółty na większości ścian. I regularne pionowe białe pasy. Architekci upierali się przy nich. Nawiązywały do kolumn na frontonach wszystkich najwspanialszych budynków w regionie. Innym istotnym elementem był portyk osłaniający główne wejście. Zaprojektowano go tak, by chronił gości przed słońcem lub deszczem, gdy wysiadali z samochodów, ale nie wydawał się już gościnny. Ani bezpieczny. W obecnym stanie sprawiał raczej wrażenie, że każdemu, kto odważyłby się pod nim schronić, grozi uraz. Spowodowany spadającym kawałkiem muru. Albo zawaleniem całej konstrukcji.

Hannah zatrzymała samochód na środku hotelowego parkingu i otarła brodę serwetką. Jadła hamburgera w drodze z Winson Garden. Liczyła, że zdąży go napocząć, zanim zupełnie wystygnie, ale nadzieje okazały się płonne. Burger zastygł w nieapetyczną gumiąstą bryłę. To jednak nie powstrzymało jej przed dokończeniem posiłku. A Reachera przed zmęczeniem obu cheeseburgerów.

– Kiedy rezerwowałam pokoje, na stronie internetowej hotel wyglądał inaczej – zauważyła Hannah. – Za dużo sobie pozwalają w reklamach. Chcesz, żebym znalazła nam coś innego?

– Nie – odparł Reacher. – Jest w sam raz.

Rozejrzała się po parkingu. W pobliżu wejścia do hotelu stały blisko siebie trzy wozy. Zwyczajne krajowe sedany. W neutralnych kolorach. Prawdopodobnie z wypożyczalni. Oraz wiekowy volkswagen mikrobus, z boku po prawej, w pobliżu metalowego niebieskiego kontenera, podobnego do tego, który widzieli na terenie robót drogowych. Nie było wiadomo, czy busik jest jeszcze w stanie jeździć.

– Chyba nie ma wielu gości – powiedziała Hannah.

– To dobrze.

– Na pewno? Zwykle to nie jest dobry znak.

– Dzisiaj nie jest zwykły dzień.

– Chyba nie. – Hannah zdjęła stopę z hamulca, zatoczyła koło i zaparkowała pick-upa w luce po drugiej stronie kontenera. – Nie nabierzemy nikogo, kto nas szuka, ale nie ma sensu rozgłaszać, gdzie jesteśmy, prawda? – Odpięła pas, wyciągnęła dłoń do klamki i nagle znieruchomiła. – Ale czegoś nie rozumiem. Ten gliniarz, który nas zatrzymał, nie był z nami szczery, prawda? Spodziewał się, że ty będziesz siedział za kierownicą. I będziesz jechał sam. To było jasne. Zdziwił się na mój widok. Jąkał się, potem zaczął oglądać moje prawo jazdy, a ciebie nawet nie spytał o nazwisko. Nie uwierzę, że wydział komunikacji uaktualnił już dane Sama. Nie ma takiej możliwości. A jeżeli gliniarz jest skorumpowany, to dlaczego nas nie zastrzelił? Albo przynajmniej nie aresztował?

– Słyszałaś kiedyś powiedzenie „ryba psuje się od głowy”?

– Nie. Nie znoszę ryb. Co mają wspólnego z glinami?

– Moim zdaniem więzienie i policja na pewno bardzo często się kontaktują. Są ćwiczenia na wypadek ucieczki. Przyłapuje się odwiedzających na przemyśle. Krewni więźniów rozrabiają w mieście. Minerva ma mnóstwo okazji, żeby dorwać kogoś w swoje łapska. Logicznie byłoby wziąć na cel kogoś wysoko postawionego. Kto ma władzę. Wpływy. Szeregowi gliniarze dostali tylko zalecenie, żeby mieć oczy otwarte. Mają szukać mnie. Samochodu. I meldować o wszystkim, co zobaczą.

– Myślisz, że ten gliniarz zameldował, że widział, jak wchodzimy do Winson Garden?

– Na to liczę.

35

Nad recepcją w Riverside Lodge wznosił się wysoki sklepiony sufit, z namalowanym na nim błękitnym niebem, po którym płyną zwiewne chmurki. Z najwyższej położonego punktu kopuły zwisał żyrandol. Dokładnie nad środkiem mozaiki z białych i czarnych płytek, przedzielonych złotymi elementami, przedstawiającej różę wiatrów. Lśniaca mahoniowa lada niemal świeciła po kilkudziesięciu latach polerowania przez pokojówki i wycierania przez gości, którzy meldowali się i wymeldowywali. Reacher wiedział, że hotel na pewno jest wyposażony w komputery, skoro Hannah dokonywała rezerwacji przez internet, nigdzie jednak żadnego nie dostrzegł. Była tylko gruba księga meldunkowa oprawiona w zieloną skórę. Staroświecki telefon z bakelitu z kablem w plecionej brązowej izolacji. I mosiężny dzwonek do wzywania obsługi, gdy akurat nie czekała za ladą.

Reacher uderzył palcem w przycisk dzwonka i po chwili z zaplecza nadbiegł recepcjonista. Wyglądał na mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Miał nieco przydługie jasne włosy, ale schludnie i starannie zaczesane do tyłu. Nosił szary garnitur. Kanty spodni były ostre jak brzytwa. Koszula wyprasowana, węzeł krawata nienaganny.

- Czym mogę państwu służyć? – spytał.
- Chcę dwa pokoje – odparł Reacher.
- Mają państwo rezerwację?
- Nie. Zdecydowaliśmy się nagle.

– Zjrę, co możemy zrobić. – Recepcjonista otworzył księgę i z kieszeni marynarki wyjął wieczne pióro. – Ile nocy?

– Na początek jedna. Jeżeli zajdzie potrzeba, weźmiemy więcej.

– Nie ma sprawy. Nasza standardowa cena to osiemdziesiąt pięć dolarów za pokój na jedną noc.

– Proszę zaokrąglić do stu gotówką za pokoje z dala od innych gości.

Młody człowiek spojrział w lewo, potem w prawo.

– W tym momencie mamy tylko troje gości. Zajmują pokoje na początku południowego skrzydła. Może dwa pokoje na jego końcu? Nie będą państwo nawet wiedzieli, że jest tu ktoś jeszcze.

– A skrzydło północne? Jest puste?

– Tak, ale nie polecam. Nie skończyły się jeszcze zaplanowane prace remontowe.

– To nie ma dla mnie znaczenia.

– Szczerze mówiąc, remont jeszcze się nie zaczął. Pokoje nie są w najlepszym stanie.

– Zaległy się tam insekty? Jest zagrożenie dla zdrowia?

– Nie. Pokoje są w pełni użytkowe. Po prostu troszkę zaniedbane.

– To samo można by powiedzieć o mnie. – Reacher zerknął na tabliczkę na ścianie wskazującą gościom drogę do dwóch skrzydeł. Wynikało z niej, że pokoje od numeru 101 do 124 znajdują się w północnej części. – Proszę mi dać sto dwanaście. Dla mojej przyjaciółki sto czternaście. Przypuszczam, że sąsiadują ze sobą?

Recepcjonista skinął głową.

– Zgadza się. Będą państwo uprzejmi podać mi nazwiska?

– Ambrose Burnside. Nat Kimball.

Młody człowiek zdjął skuwkę z pióra, ale Reacher nachylił się nad ladą i zamknął mu księgę przed nosem.

– Sto dziesięć dolarów za noc – powiedział. – Dopłata dla pana za to, że oszczędzi pan sobie fatygi i niczego tu nie zapisze.

– Przepraszam, ale nie mogę tego zrobić – odparł recepcjonista.

– Nie ma takiego wyrażenia „nie mogę”. Wybór jest prosty. Bierze pan pięćdziesiąt dolarów za to, że nie zrobi pan zupełnie nic. A jeżeli nie... lepiej niech pan nie pyta, co by się wtedy stało. Naprawdę. Niech pan będzie rozsądny. I weźmie kasę.

Facet przez chwilę stał bez ruchu. Potem zakręcił pióro.

– Sto dziesięć za każdą noc, jeżeli zostaną państwo dłużej. Za pokój. Gotówką. Płatne tylko u mnie. Nie dowie się o tym żaden z moich współpracowników.

Reacher odliczył dwieście dwadzieścia dolarów i położył banknoty na ladzie. Recepcjonista zgarnął je i wsunął do tylnej kieszeni. Następnie wyjął z szuflady dwa białe plastikowe prostokąty.

– Po jednym kluczu do pokoju?

Reacher pokręcił głową.

– Po dwa.

Młody człowiek wzruszył ramionami i wyjął dwa następne. Wcisnął parę guzików w niewielkim urządzeniu, ustawionym w prawie niewidocznym miejscu na dolnej półce, i wprowadził do czytnika wszystkie karty po kolei. Potem wsunął je do dwóch kartonowych etui i podał Reacherowi.

– Śniadanie od szóstej do ósmej. Miłego pobytu.

• • •

Reacher ruszył przodem korytarzem w północnym skrzydle. Hannah szła za nim, ciągnąc walizkę. Numery parzyste były po lewej stronie. Nieparzyste po prawej. W połowie drogi minęli pokój 112 i zatrzymali się przed drzwiami z numerem 114. Reacher podał Hannah jedno etui. Drugie otworzył i wyjął

obydwie karty. Włożył je do jednej tylnej kieszeni, a etui schował w drugiej, gdzie wciąż miał kartę do pokoju w Winson Garden.

Hannah otworzyła swoje drzwi i powiedziała:

– Zadzwoń do Danny’ego Peela. Dowiem się, czy może się z nami spotkać rano, zanim pójdzie do pracy.

– Dobry pomysł – przyznał Reacher. – Hannah... mam do ciebie prośbę. Nie rozpakowuj się jeszcze.

– Dlaczego? Zaczął ci jednak przeszkadzać zapuszczony wystrój pokoju?

– Zaraz wracam. Potem ci wyjaśnię.

• • •

Wrócił do recepcji, trącił dzwonek i czekał na elegancika. Potem położył na blacie jeden z elektronicznych kluczy.

– Ta karta nie działa – poinformował recepcjonistę. – Może ją pan przeprogramować?

– Trzymał ją pan blisko telefonu komórkowego? Albo kart kredytowych?

– Nie.

– Hm... A druga karta?

– Działa bez problemu. Wszedłem do swojego pokoju. Zostawiłem tam kartę i wyszedłem porozmawiać z przyjaciółką. Pomyślałem, że otworzę sobie drugą kartą, ale nic z tego.

– Dziwne. – Recepcjonista wziął od niego kartę. – Nie ma sprawy. Zaraz to załatwię.

– Jeden dwa jeden – przypomniał mu Reacher.

Facet wstukał odpowiednie klawisze w urządzeniu kodującym, wsunął kartę do otworu, a potem oddał ją Reacherowi. Ten schował ją w kieszeni.

– Zaraz – zreflektował się recepcjonista. – Przecież pan ma sto dwanaście. Pamiętam, bo pana przyjaciółka wzięła pokój obok. Sto czternaście.

Reacher kiwnął głową.

– Zgadza się. Jeden jeden dwa.

– Powiedział pan „jeden dwa jeden”.

– Nie myślę się w numerach. Dobrze wiem, co powiedziałem.

– Wszystko jedno, co pan powiedział, ja w każdym razie zaprogramowałem sto dwadzieścia jeden. Pewnie to ja się pomyliłem. Proszę mi jeszcze raz dać kartę. Poprawię to.

Reacher wzruszył ramionami, wyjął drugą kartę i podał ją recepcjoniście. Ten znowu uruchomił urządzenie i oddał mu na nowo zakodowaną kartę.

– Bardzo przepraszam. Zrobiłem głupstwo.

– Nie ma sprawy – odparł Reacher. – Te same cyfry. Łatwo je pomylić. Niech pan o tym zapomni.

• • •

Był już piątek, wskazówki budzika powoli zbliżały się do wpół do drugiej w nocy. Bruno Hix leżał w łóżku. Od wielu godzin. Ale nie zasnął nawet na moment. Wpatrywał się w sufit, myśląc o nieznanym, który wtargnął do jego miasta. Najpierw myślał o planowanej operacji, która miała na celu rozwiązanie kwestii intruza. I jego towarzyszek. Harold i reszta mieli ich załatwić w pokojach hotelowych. Ale to się miało stać o pierwszej w nocy. Minęło pół godziny. To powinna być prosta akcja. Powinien dostać już jakąś wiadomość. Potwierdzenie, że problem został wyeliminowany. Chyba że...

Zadzwonił telefon. Hix porwał go ze stolika nocnego. Na ekranie zobaczył numer Brockmana. Wcisnął przycisk odbierania.

– Powiedz mi, że ich dopadli.

– Jest jeszcze lepiej – odezwał się Brockman. – Musieli się przestraszyć, gdy gliniarz ich zatrzymał. Ulotnili się.

– Jak to „ulotnili”?!

– Nie ma ich w pokojach w Winson Garden. Łóżka są nietknięte. Na parkingu nie ma ich pick-upa. Musieli się jakoś wymknąć.

– Na pewno zatrzymali się gdzie indziej.

– Nie w Winson. Mieli opłaconą rezerwację na Hannah Hampton, ale nie pojawili się w hotelu. Dzwoniliśmy po wszystkich kwaterach w mieście i nie ma ich w żadnym pensjonacie. Sprawdziliśmy po nazwiskach i rysopisach. Nigdzie ich nie ma. To koniec. Nie musimy się już nimi przejmować.

• • •

Hix rzucił telefon na poduszkę i zamknął oczy. Po raz pierwszy tej nocy swobodnie odetchnął. Czuł, jak zwalnia mu tętno. Zapadał w sen. Nagle usiadł na łóżku. Znowu kompletnie rozbudzony. Chwycił telefon i wcisnął przycisk, by zadzwonić do Brockmana.

– Riverside Lodge – powiedział. – Tam, gdzie Reacher i ta kobieta zrobili rezerwację, ale się nie pojawili. Pytałeś o gości, którzy przyjechali bez rezerwacji? Może ktoś płacił gotówką?

– Nie – odparł Brockman. – Po co? Przecież wiemy, że... O cholera.

– Wreszcie dotarło. Genialna zmyłka. Prawie genialna, bo mają do czynienia ze mną, nie z tobą. Dowiedz się, kto wczoraj wieczorem dyżurował w recepcji. Pewnie wziął w łapę. Albo mu zagrozili. Albo jedno i drugie. Jedź do niego albo do niej. Rozwiąż mu język. I jeżeli Reacher jest w Lodge, wyślij tam Harolda i chłopaków. Natychmiast. To się ma jak najszybciej skończyć.

– Już się robi. Jeżeli się nad tym zastanowić, to dobra wiadomość. Skoro Reacher jest w Riverside Lodge po tych wszystkich numerach, które wykręcił, to

sukinsyn pewnie myśli, że jest bezpieczny. Harold będzie miał o wiele łatwiejsze zadanie.

• • •

Gdy LED-owy wyświetlacz na desce rozdzielczej furgonetki pokazał pierwszą trzydzieści, Lev Emerson siedział za kierownicą na parkingu hotelowym w St. Louis i czekał. W przestrzeni ładunkowej za jego plecami trzy stare poduszki z kanapy tkwiły przypięte w przeznaczonych na to miejscach. Nie było ryzyka, że w czasie jazdy będą się przemieszczać w środku, przewracać pojemniki z chemikaliami czy uszkadzać sprzęt. Dwie minuty później drzwi po stronie pasażera otworzył Graeber. Wiedział, że szef mimo braku snu będzie chciał prowadzić, więc postarał się skombinować wielki kubek bardzo mocnej kawy. Kofeina i rozmowa. Powinno wystarczyć, by bezpiecznie dotarli aż do Vicksburga w stanie Missisipi. Na to liczył.

• • •

Godzinę później, o wpół do trzeciej w nocy, do budynku Riverside Lodge tuż za Winson wkroczyło głównym wejściem sześciu mężczyzn. Pierwszym był recepcjonista, który wieczorem obsługiwał Reachera. Szedł bosy. Miał na sobie piżamę w niebiesko-białe prążki, a jego blond włosy sterczały we wszystkie strony. Za nim kroczyli dwaj ludzie Minervy, których wcześniej wysłano do Kolorado. Dalej dwaj, którzy obserwowali dworzec Greyhounda w Jackson. Pochód zamykał facet, który wyglądał na dwa razy szerszego w barach od pozostałych. Miał sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Ważył dobre sto czterdzieści kilogramów. Jego klatka piersiowa i bicepsy były tak potężne, że nie mógł opuścić prosto rąk po bokach. Nie miał szyi. Czaszka była ogolona na zero. Spod stromizny czoła spoglądały małe złośliwe oczka. Na prawym przedramieniu nosił tatuaż

z przebitym strzałą sercem, w którym kiedyś był napis Harold & Molly 4ever. Po laserowym usuwaniu za okazijną cenę zostało coś w rodzaju larol olly leve w jabłku.

Olbrzym precyzyjnie się na czoło grupy i pchnął chłopaka w piżamie w stronę mahoniowej lady. Recepcjonista wbiegł za nią i z szuflady wyjął kartę elektroniczną. Wcisnął parę klawiszy w urządzeniu do kodowania, wsunął ją do czytnika, a potem podał Haroldowi. Ręka mu drżała.

– Jeden jeden dwa – powiedział. Olbrzym wyrwał mu kartę z dłoni, a chłopak zakodował drugą. – Jeden jeden cztery.

Tę Harold też zabrał i przez chwilę przyglądał się obu. A potem rąbnął chłopaka pięścią w twarz.

Jego ciało runęło na podłogę i jechało po niej, dopóki nie zatrzymało się z głową wciśniętą w ścianę z boku. Harold i pozostających czterech nawet na niego nie spojrzeli. Natychmiast ruszyli przez pusty hol w kierunku północnego korytarza. Jeden poszedł dalej do drzwi z numerem 114. Do pokoju Hannah. Pozostali ustawili się za Haroldem przed pokojem Reachera. Numer 112.

Olbrzym uniósł trzy palce.

Potem dwa.

I jeden.

• • •

O wpół do trzeciej w nocy Jed Starmer był pogrążony w głębokim śnie. Leżał skulony w schowku na sprzęt Ochotniczej Straży Pożarnej Hrabstwa Winson nad brzegiem stawu w lesie. Świeże powietrze zrobiło swoje. I wysiłek fizyczny. I stres. Chłopiec spał jak kamień.

Nie miał pojęcia, że pół godziny wcześniej w pobliżu przechodził ryś. A jeszcze wcześniej węszył tu baribal. Niedźwiedzia czarnego zainteresował zwinięty wąż gaśniczy. Kanistry z benzyną. Pojemniki ze środkiem pianotwórczym. Ale przede

wszystkim zaintrygował go zapach wydobywający się przez szparę w skrzyni. Mógł bez trudu podnieść pokrywę. Potrafiłby otworzyć skrzynię nawet wtedy, gdyby była zamknięta na skobel. Znajdował się już kilka centymetrów od niej. Był głodny. I zaciekawiony. Nagle zmienił się kierunek wiatru i baribal zawrócił. Skierował się z powrotem w stronę leśnej drogi, gdzie poprzedniego wieczoru parkowało paru nastolatków. Pili tam piwo. Jedli hamburgery. Wrzucali opakowania w zarośla. I zupełnie nieświadomie uratowali Jeda przed tym, co przejmowało go największym strachem w życiu.

36

Harold przyłożył kartę do czytnika na drzwiach pokoju 112. Mechanizm zamka cicho szcęknął i światelko z czerwonego zmieniło się na zielone. Olbrzym nacisnął klamkę, pchnął drzwi i wpadł do pokoju, jakby w korytarzu szalał pożar. Trzej pozostali ruszyli za nim. Czwarty otworzył drzwi do pokoju 114. Wolniej operował kartą i klamką. Mniej gwałtownie. I ostrożniej wkroczył do środka.

Pokój numer 112 miał typowy hotelowy układ. Zaraz za wejściem po lewej stała otwarta prosta szafa z drążkiem na wieszaki i półką na górze. Naprzeciwko niej znajdowała się łazienka. Dalej część sypialna z łóżkiem i fotelem po prawej. Na jednym i drugim piętrzyły się poduszki. Nad wezglowiem wisiał obraz przedstawiający statek rzeczny. Okno na wprost przysłaniały jaskrawe zasłony. Biurko po lewej pełniło też funkcję toaletki. Wisiało nad nim lustro. Wykładzina na podłodze była przetarta w miejscach, gdzie przechodzono najczęściej.

Harold wtoczył się do pokoju i przystanął przy łóżku. Było puste. Stuknął w ramię faceta stojącego za nim i pokazał na podłogę. Ten pochylił się i uniósł brzeg narzuty. Zajrzał pod spód, po czym wyprostował się i pokręcił głową. Harold wskazał na łazienkę. Mężczyzna stojący najbliżej zacisnął w pięść prawą rękę, a lewą lekko popchnął drzwi. Sięgnął do środka. Włączył światło. Zrobił pół kroku. Potem drugie pół. Wreszcie wszedł do środka i zajrzał za zasłonę wiszącą przed wanną.

Wrócił i zameldował:

– Pusto. Gość zniknął. Może w ogóle go tu nie było.

• • •

Pokój numer 114 był lustrzanym odbiciem 112. Stały w nim równie tandetne meble. Wykładzina była równie wytarta. Różnił się tylko zapachem. Zamiast stęchlizny było tu czuć świeże, choć nieco wilgotne powietrze. Zasłony były rozsunięte, a okno otwarte. Człowiek z Minervy – jeden z dwóch z dworca Greyhonda – od razu zwrócił na to uwagę. Zatrzymał się w drzwiach. Myślał o wpełzających do środka karaluchach. I zastanawiał się, czy to oznacza, że kobieta uciekła. Albo czy to pułapka. Albo czy kobieta po prostu ma obsesję na punkcie świeżego powietrza. Miał kiedyś dziewczynę, która przysięgała, że nie potrafi zasnąć przy zamkniętych oknach.

Ruszył dalej. Podkradł się naprzód. Doszedł do drzwi łazienki. W środku czekał Reacher. Stał w drzwiach i pięścią zadał facetowi cios w bok głowy. Ten zatoczył się na drugą stronę korytarzyka. Zderzył się z przeciwległą ścianą, a jego czaszka zrobiła wgłębienie w tynku. Wymachując rękami, strącił z drążka wieszaki, tak że z grzechotem wylądowały na podłodze.

Ludzie w stodwunastce usłyszeli hałas. Odwrócili się jak jeden mąż i utkwili wzrok w ścianie łączącej pokoje.

– To Reacher – powiedział Harold. – Jest obok. Z wdową. Brać go!

Wszyscy wyskoczyli na korytarz. Podbiegli do pokoju 114. I stanęli jak wryci. Drzwi były zamknięte, a oni nie mieli klucza.

Reacher wyszedł przez okno. Zeskoczył na pas trawy na skraju parkingu.

Drugi z ludzi Minervy, którzy byli na dworcu Greyhonda, załomotał do drzwi. Nikt nie zareagował.

Reacher podbiegł do okna pokoju numer 112. Nie było zatrzaśnięte. Zadbał o to wcześniej.

Harold odepchnął na bok trzech towarzyszy i rąbnął otwartą dłonią w drzwi pokoju 114. Drewno nad klamką lekko się ugięło, ale zamek nie puścił.

Tymczasem Reacher otworzył okno, podciągnął się i wdrapał do środka.

Harold odsunął się. Uniósł prawą nogę i uderzył podszewką w drzwi po stronie klamki. Ościeżnica pękła. Drzwi otworzyły się z impetem. Odbiły się od nóg nieprzytomnego mężczyzny i wskoczyły z powrotem w strzaskaną futrynę.

Reacher przeszedł przez pokój. Odrobinę uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz.

Harold zaatakował drzwi pokoju 114 ramieniem i odepchnął nogi nieprzytomnego towarzysza na tyle, by wcisnąć się przez szparę do środka.

– Mnie szukacie? – spytał Reacher, wychodząc na korytarz.

Mężczyzna stojący najbliżej odwrócił się do niego. To był ten, który prowadził bmw w Kolorado. Reacher na niego ruszył. Uderzył go nasadą dłoni w podbródek. Głowa faceta odskoczyła do tyłu, stopy oderwały się od podłogi i bezwładnie runęły na wznak jak zwinięty w rulon dywan. Mężczyzna za nim musiał odsunąć się na bok i przyłgnąć do ściany, żeby ciężar kolegi nie zwałił go z nóg. To był ten, który zabił Angelę St. Vrain. Reacher wykonał skręt tułowia i wpakował mu lewą pięść w splot słoneczny. Facet zgiął się wpół. Pochylił się nisko i jego tułów na moment przybrał poziomą pozycję. Reacher zdzielił go prawą pięścią w tył głowy jak pałką. Pod facetem ugięły się kolana i padł na leżącego kumpla, uderzając czołem w ścianę. Razem tworzyli kształt litery X. Trzeci, widząc, co się dzieje, rzucił się do ucieczki. Pędził korytarzem w kierunku wyjścia ewakuacyjnego na drugim końcu. Reacher przesadził splątane ciała i zaczął go gnić. Ale tamten był lżejszy. Szybszy. I zdesperowany. Reacher nic nie mógł zrobić. W tym wyścigu nie miał szans na wygraną.

• • •

Otworzyły się drzwi po prawej stronie korytarza. Przedostatnie. Z pokoju numer 121 wyszła Hannah. Odwróciła się w stronę uciekającego faceta. Stała w stabilnej pozycji, na rozstawionych stopach. W wyciągniętych przed sobą rękach trzymała pewnie sig sauera.

– Stój – rzuciła. Ton jej głosu świadczył, że nie żartuje.

Facet zwolnił kroku, uniósł ręce i w końcu stanął. Po czym nagle rzucił się na pistolet. Hannah odsunęła broń na bok, z dala od zasięgu jego rąk, i kopnęła mężczyznę w krocze. Mocno. Zgiął się wpół. Krztusił się w odruchu wymiotnym. Krzyk uwiązał mu w gardle. Wymierzyła mu cios kolanem w twarz. Upadł do tyłu. Szamotał się na podłodze, ale poruszał się jeszcze tylko przez ułamek sekundy, bo Reacher dopadł go i kopnął w głowę.

Hannah przełożyła pistolet do prawej dłoni, kucnęła i zbadła facetowi puls na szyi. Z głębi korytarza dobiegł dźwięk. To był Harold. Udało mu się jeszcze raz otworzyć siłą drzwi pokoju numer 114 i wyszedł na korytarz. Wydawało się, że jego szeroka sylwetka wypełnia całą przestrzeń między ścianami. Hannah wyprostowała się i stanęła obok Reachera. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Ciszę przerwał Harold.

– Rzuć broń, dziewczynko. Pogadajmy.

Uniosła pistolet i znowu chwyciła go oburącz.

– Nie rzucę – powiedziała. – I nie pogadamy.

Zrobił długi krok.

– Stój – rozkazała mu.

Twarc Harolda wykrzywił złośliwy, okrutny uśmiech. Zrobił następny krok.

– Nie żartuję – ostrzegła Hannah. – Stój.

Jeszcze jeden krok.

Nabrała powietrza do płuc, wycelowała prosto w środek jego korpusu i nacisnęła spust. Huk mógł rozerwać uszy. Łuska uderzyła w ścianę i wylądowała na wykładzinie obok stopy Reachera. Harold zatoczył się do tyłu. Padł. I znieruchomiał.

• • •

Hannah zbliżyła się do Harolda i już się schylała, by sprawdzić oznaki życia, lecz Reacher złapał ją za rękę i odciągnął do tyłu.

– Puść. – Usiłowała mu się wyrwać. – Przecież muszę wiedzieć, czy...

Harold usiadł. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości. Miał rozdartą koszulę. Przez dziurę w tkaninie błysnął metal. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Włókna napięły się jak siatka w bramce, w której zatrzymuje się mocno uderzona piłka. Powierzchnia się odkształciła. Pocisk rozpląszczył się na placek. Ale struktura kamizelki spełniła swoje zadanie. Pocisk nie przeszedł.

Na sytuacje tego rodzaju Reacher miał swoją zasadę. Gdy nieprzyjaciel leży, nie ma prawa się podnieść. Należy go natychmiast dobić. Bez litości. Bez wahania. Ale przeszkodziła mu interwencja Hannah. Kosztowała go cenną sekundę. Tyle wystarczyło Haroldowi, żeby dźwignąć się na nogi.

Stał na szeroko rozstawionych stopach. Kostki palców niemal muskały boki korytarza. Ręce i nogi miał równie długie jak Reacher. Może nawet dłuższe. I to był problem. Reacher tracił jeden ze swoich tradycyjnych atutów. Zazwyczaj podczas walki mógł wyrządzić poważną krzywdę i czuć się bezpiecznie. Nie było jednak sposobu, by zadać cios Haroldowi, nie narażając się na błyskawiczną odpowiedź. Albo poważne cięgi. Nie był zachwycony tą perspektywą. Wiedział, że ograniczy jego skuteczność. Zmniejszy szanse triumfu.

Harold stanął naprzeciw niego i przyjął postawę jak oldskulowy zabijaka. Wydawało się, że czyta Reacherowi w myślach. Na jego twarzy rozlał się złośliwy uśmiech. Pięści przypominały trzony dwuręcznych młotów. Wagą górował nad Reacherem. Dobrze wiedział, że gra będzie skończoną, jeśli choćby jeden cios dosięgnie celu.

Reacher też o tym wiedział. Ale wiedział też, że czasem skuteczniejsza od młota okazuje się szpila.

– Ostrożnie – powiedział. – Uważaj z tymi małpimi ramionami.

Jego przeciwnik przymrużył oczy.

– Jeżeli zrobisz sobie krzywdę, nie przyjmą cię do żadnego szpitala. Odeślą do weterynarza. A potem zamkną w zoo. Albo w cyrku.

Harold ruszył do ataku. Wymierzył potężny prawy sierpowy. Płynnym ruchem. Wyćwiczonym. Reacher nie miał wątpliwości, że gdyby pięść Harolda trafiła go w czaszkę, uderzenie okazałoby się druzgoczące w skutkach. Ale na ten cios był przygotowany. Odchylił się do tyłu, wyginając się w pasie. Na tyle daleko, że pięść przeciwnika świsnęła mu przed nosem. Nie zatrzymała się. I trafiła w ścianę. Roztrzaskała powierzchnię i wbiła się w siatkę z drewnianych listewek, na której trzymał się tynk. Harold wrzasnął i wykręcił rękę, ale nie wyswobodził dłoni. Tkwiła w miejscu jak ryba nadziana na haczyk z zadziorem.

Reacher przyskoczył do niego i sam zadał cios. Piekielnie mocny. Brutalny. Głowa Harolda, trafiona prosto w ucho, odbiła w bok. Kogoś innego takie uderzenie pozbawiłoby przytomności. Na długo. Być może na zawsze. Ale on tylko potrząsnął głową. Wypluł trochę krwi. I wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Reacher wybrał nowy cel. Z boku przygniół mu stopą kolano. A potem nasadą dłoni uderzył w jego uwięzioną rękę tuż nad łokciem. Staw wygiął się w niewłaściwą stronę. Chrupnęła kość. Napięły się ścięgna. Trzasnęły więzadła. Harold ryknął z bólu. I ze złości. Wolną ręką chwycił unieruchomione ramię, przekręcił i z całej siły pociągnął. Drewniane listewki puściły. Ich ostre końce rozdarły mu skórę na nadgarstku i obu stronach dłoni. Wiotkie i bezwładne ramię młóciło powietrze. I tryskały z niego strugi krwi. Paznokcie drasnęły Reachera w policzek. Jeden go skaleczył.

Harold zrobił krok naprzód, ale zatrzymał się i zawył z bólu. Kolano też miał uszkodzone. Nie mogło unieść jego ciężaru. Prawa ręka zwisała jak martwa. Sięgnął więc lewą i wyciągnął z za pasa pistolet.

Zaczął go unosić.

Reacher już nacierał. Ale ograniczała go przestrzeń. Miał niewielkie pole manewru. Uznał, że ma tylko jedną szansę. Potrzebował rozpędu. I skupienia. Pochylił się i z impetem zderzył się z przeciwnikiem. Prawym barkiem wbił się

dokładnie w to samo miejsce, w które trafił pocisk Hannah. Wiedział, że żebra Harolda są tam stłuczone. Miał nadzieję, że może nawet złamane.

Olbrzym runął na wznak. Wypuścił pistolet. Zawył. Wierzgał nogami. Wymachiwał rękami. Reacher szukał tej części przeciwnika, którą mógł uderzyć pięścią. Albo kopnąć. Albo nadepnąć. Harold wciąż wił się i miotał. Nie zamierzał wystawiać się na cios. Nagle poderwał tułów i usiadł, jak gdyby robił brzuszki na siłowni. Wychylił się jeszcze bardziej i sprawną ręką założył hak na udach Reachera. Przesunął ją niżej na kolana. Po czym odchylił się gwałtownie, ciągnąc je za sobą.

Nogi Reachera zgięły się jak scyzoryk. Wiedział, że nie może nic zrobić, by uniknąć upadku. Dlatego nie opierał się sile grawitacji. Nie próbował z nią walczyć. Wycelował tylko tak, by wylądować kolanami dokładnie pośrodku klatki piersiowej przeciwnika.

Którego żebra być może zostały uszkodzone przez pocisk. Być może osłabione zderzeniem z barkiem Reachera. A może po prostu miał początki osteoporozy. Bez względu na powód ciężar Reachera złamał mu mostek. Zmiażdżył płuca. I serce. Oraz mnóstwo innych narządów. Ciałem wstrząsnął ostatni spazmatyczny dreszcz. Głowa opadła mu na bok. I Harold znieruchomiał.

• • •

Bruno Hix wciąż nie spał. Zrobił wszystko, co mógł, by zasnąć. Napił się ziołowej herbaty. Whisky. Próbował medytować. Nic nie działało. Czuł, jak wzbiera w nim złość. Do jego przemówienia zostało jeszcze parę godzin. Nie chciał mieć podkrążonych oczu z niewyspania. Nie chciał się pomylić w tekście z powodu braku koncentracji ze zmęczenia.

Wpatrywał się w sufit i wyobrażał sobie, że jest na plaży na tropikalnej wyspie. Czytał gdzieś o technikach relaksacyjnych i właśnie ta powinna mu pomóc. Odrobinę ją ulepszył. Wyobraził sobie, jakiego drinka ma w ręce. Może piña

coladę. Albo daiquiri. Właśnie zastanawiał się jakiego, gdy nagle spokój zburzył mu dźwięk telefonu. Dostał wiadomość. Od Brockmana.

„Przyjaciele” zlokalizowani. H i s-ka na miejscu. To tylko kwestia czasu...

Nareszcie. Wszystko jednak będzie dobrze. Harold zajmie się Reacherem. Przecież w końcu szczęście musi się odwrócić od tego włóczęgi. I nawet jeśli nie tym razem, jeżeli Haroldowi się nie uda, to nie będzie miało znaczenia. Już nie, skoro został nawiązany kontakt. Mogli skorzystać z zabezpieczenia. Hix przygotował je osobiście, więc nie musiał się martwić. Był pewien, że w razie potrzeby na pewno podziała.

• • •

Hix był pewien, że zabezpieczenie go nie zawiedzie. Notatka była całkowicie wiarygodna. Poświęcił jej wiele uwagi. Nie martwił się, czy Reacher w nią uwierzy. Ale żeby mógł w nią uwierzyć, musiał ją przeczytać. A żeby ją przeczytać, musiał ją znaleźć. Jeżeli pokonał Harolda. Brockman dawał mu do zrozumienia, że Harold z powodu jakiegoś idiotycznego poczucia dumy może nie zechcieć zabrać jej ze sobą. Hix w wyobraźni widział kopertę porzuconą w domu Harolda. Zostawioną w samochodzie. Wyrzuconą do śmieci. Po chwili wziął się w garść. Z powrotem wtłoczył sobie do głowy widoki uroczej plaży. Nie trzeba kusić losu. Plan był zgrabny. Wyrafinowany. Nie było na świecie takiej siły, która pozwoliłaby go storpedować jakiemuś rozkapryszonemu mięśniakowi.

Reacher niepokoił się wystrzałem. Ktoś na pewno słyszał huk. Recepcjonista na nocnym dyżurze. Albo pozostali goście w skrzydle południowym. Ktoś z nich z pewnością zadzwoni pod 911. Może nawet wszyscy. Albo już to zrobili. Reacher wiedział, że tak czy inaczej, niebawem pojawi się policja. I nie chciał, by go tu zastała. Potajemna akcja nie wyszła. A teraz ten, kto pociągał za sznurki, dowie się o strzelaninie i trupie. Będzie miał świetny pretekst, by wysłać następną grupę zbirów, którzy bez zbędnych pytań otworzą do nich ogień.

Winson to nie Nowy Jork ani Chicago. Nawet nie Jackson. Reacher wątpił, by gliniarze patrolowali miasto dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeżeli ktoś dyżurował na posterunku, to o tej porze prawdopodobnie nie wystawiał stamtąd nosa. W najlepszym razie to będzie jeden człowiek. Z niższego szczebla w hierarchii. Sam z kubkiem za długo parzonej kawy i pudełkiem czerstwych pączków. Ktoś, kto będzie musiał wezwać wsparcie i czekać na drugiego funkcjonariusza, żeby pojechać na miejsce. W najgorszym razie służbę będzie miała para starych wyjadaczy. Zaufanych ludzi. Gotowych w każdej chwili ruszyć do akcji. Gotowych spełnić każde polecenie szefa.

Reacher zawsze przygotowywał się na najgorsze. Do miasta nie było daleko. O tej porze nie było żadnego ruchu. Gliniarze byli stąd. Znali drogi jak własną kieszeń, więc mogli przyjechać szybko. Oceniał, że on i Hannah mają pięć minut na opuszczenie hotelu.

• • •

Hannah klęczała przy głowie Harolda. Gdy Reacher zlął z jego cielska, przyłożyła mu dłoń do szyi. Nie wyczuła pulsu. Stwierdziła jednak, że nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nie mogła wstać. Aż do tego tygodnia nigdy nie widziała zwłok człowieka. Teraz przyszło jej zobaczyć z bliska dwa trupy. A za śmierć tego olbrzyma czuła się częściowo odpowiedzialna. Ze zmiażdżonej klatki piersiowej sączyła się krew i płynęła strużką w kierunku jej kolan. Wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana.

Reacher pomógł jej się podnieść i zaprowadził ją do pokoju numer 121. Poprosił, żeby szybko zebrała swoje rzeczy. Kiedy się pakowała, wyszedł na korytarz. Wziął z łóżka poszewkę na poduszkę i napełnił ją zawartością kieszeni ludzi Minervy. Wrzucił tam pistolety. Telefony. Portfele. Klucze.

Przeszli korytarzem do recepcji. Zostało im sześć minut. Mnóstwo czasu. Nagle Reacher zauważył białe stopy. Ktoś leżał na podłodze za ladą. Skręcił tam, by to sprawdzić. To był chłopak, który dawał im klucze do pokoi. W piżamie. Żył, ale był nieprzytomny.

Reacher wrócił do Hannah i razem wyszli na parking. Na południe od portyku wciąż stał szereg wozów z wypożyczalni. Mikrobus Volkswagena został przestawiony bliżej północnej strony. Dwa pojazdy, których wcześniej nie było, parkowały obok mikrobusu. Dodge neon i dostawczy dodge ram. Pierwszy samochód nie miał łatwego życia. To się od razu rzucało w oczy. Miał wgniecenia z przodu, błoto w nadkolach, pęknięcie biegnące przez całą szerokość przedniej szyby i kilka głębokich rys w przednim błotniku. Granatowa furgonetka była w nienagannym stanie. Nie miała żadnego logo ani kolorów firmowych, ale wyglądała na pojazd służbowy, którym jakieś przedsiębiorstwo przewozi towar.

Zostało im pięć minut na opuszczenie hotelu.

Reacher wskazał na pojazdy.

– Widzisz, jak są ustawione? Jeden facet przyjechał tu furgonetką. Reszta pojechała po recepcjonistę do domu. Obudziła go. I kazała mu przyjechać tu volkswagenem, bo w swoim wozie nie mieli miejsca. To może się nam przydać... Zaczekaj chwilę.

Wrócił do środka i podszedł do lady recepcyjnej. Obszukał piżamę chłopaka i znalazł kluczyk na breloku z króliczą łapką. Wyłowił z poszewki jeden z portfeli. Wyjął z niego całą gotówkę i wsunął chłopakowi do kieszeni. Potem wyrwał kartkę z księgi meldunkowej, wziął z półki długopis i napisał:

Zwrócę samochód. Nie zgłaszaj kradzieży. Obiecuję więcej \$. Ambrose Burnside.

Zostały trzy minuty.

Reacher wybiegł na zewnątrz i rzucił Hannah kluczyk.

– Policja będzie szukać pick-upa Sama – wyjaśnił. – Zobacz, czy da się uruchomić volkswagena. Lepiej będzie pojechać nim. – Podbiegł do tyłu dodge'a rama. Drzwi były otwarte. Ściany i podłoga części ładunkowej zostały wyłożone sklejką, by chronić lakier. Po prawej stronie stało dwoje noszy na kółkach, jedno na drugich. Były złożone i zabezpieczone elastycznymi taśmami. Obok leżał czarny worek na śmieci. Reacher zajrzał do środka: było w nim pełno uniformów medycznych. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby mu się przydać, więc przeszedł na przód auta. Otworzył schowek po stronie pasażera. Wewnątrz tkwiły dwa dokumenty. Ubezpieczenie i dowód rejestracyjny. Reacher sprawdził je. Liczył, że znajdzie nazwę firmy. Nowy punkt zaczepienia w zawilóściach przekrętów finansowych, o których Angela St. Vrain mówiła Samowi Rothowi. Ale Reacher miał pecha. Z papierów wynikało, że pojazd należy do firmy Usługi Penitencjarne Minerva z siedzibą w stanie Delaware. Obchodzenie podatków, pomyślał natychmiast, ale nie widział tu związku z zabójstwami.

Mieli już tylko dwie minuty.

Usłyszał, jak silnik volkswagena kaszlnął i ożył. Omiótł wzrokiem resztę kabiny furgonetki. Czysto i pusto. Kiedy się cofnął, by zatrzaskać drzwi, dostrzegł

coś białego wystającego spod fotela pasażera. Róg koperty. Pewnie podczas jazdy zsunęła się z deski rozdzielczej i wylądowała tutaj. Reacher wydobył ją spod siedzenia. Szara, formatu A4. Cienka, jakby tkwiła tam tylko jedna kartka. Zaadresowana do Danny'ego Peela. To samo nazwisko widział na kopercie w torebce Angeli St. Vrain. I ten sam adres. Ale charakter pisma był inny. Reacher nie miał wątpliwości.

• • •

Bruno Hix był już największym z żyjących gospodarzy talk-show, ale gigantyczne widowisko, które miało pójść na żywo, z pewnością umocniłoby jego status telewizyjnej legendy wszech czasów. Nigdy dotąd w jednym show nie przeprowadzono rozmów z tyloma gwiazdami. Miało to być najdroższe osiem godzin czasu antenowego w historii. Program transmitowano z pokładu jego jachtu, z serca Morza Śródziemnego. Publiczność była już na miejscu. Składała się z tysiąca osób zebranych na mniej luksusowych statkach zacumowanych ze wszystkich czterech stron. Hix miał w dłoni drinka. Kamery pracowały. Ale goście się nie pojawili. A on zorientował się, że jest nagi. Wypadały mu włosy. Skóra...

Zadzwonił telefon. Hix raptownie otworzył oczy. Był spocony. Odrzucił kołdrę i przez chwilę leżał, starając się zapanować nad oddechem. Wreszcie odebrał. Znowu dzwonił Brockman.

– Mów.

W słuchawce przez moment panowała cisza.

– Znowu się wymknął – powiedział wreszcie Brockman.

– Kto? Reacher?

– Tak.

– A ta kobieta?

– Też.

– Harold nawalił?

– Harold nie żyje. Reacher dosłownie go rozgniół.

– Harold... Znowu na drugim miejscu. Chyba powinniśmy mu to wyryć na nagrobku. Co z pozostałymi chłopakami?

– Ranni, ale żyją.

– Dokąd uciekł Reacher?

– Nie wiedzą. Szukają go ludzie Moseleya.

– Okej. Informuj mnie na bieżąco.

– Bruno? Tak się zastawiałem. Nad jutrem. Przykro mi to mówić. Wiesz, że jestem przeciwko wprowadzaniu jakichkolwiek zmian, od samego początku. Ale może inni mieli rację. Skoro Reacher jest na wolności, może przeprowadzenie uroczystości nie jest najrozsądniejszym rozwiązaniem. Może czas przejść do planu B.

– Nie mamy żadnego planu B. Nigdy go nie potrzebowaliśmy.

– Może czas o nim pomyśleć. Z powodu nakazu sądowego nie możemy niczego odkładać, ale uroczystość nie jest taka ważna. Najważniejsze, żebyśmy go terminowo zwolnili. Można wydać oświadczenie. Że za bardzo ucierpiał psychicznie i trudno byłoby mu znieść rolę bohatera mediów.

– Jasne, że zwolnienie to priorytetowa kwestia. Ale nie przesadzajmy z ostrożnością. Uroczystość jest bardzo ważna. Takiej dobrej prasy nie da się kupić za żadne pieniądze. No i zapominasz o naszym zabezpieczeniu. Rozwiąże nam problem Reachera. O dziesiątej rano będzie już wiele kilometrów stąd. A nawet jeżeli wróci, to za późno, żeby cokolwiek zrobić.

– To zadziała?

Hix wziął z szafki nocnej drugi telefon komórkowy. Tani i prosty. Sprawdził naładowanie baterii. Sprawdził, czy jest zasięg.

– Oczywiście. Niedługo dostaniemy potwierdzenie. O dziewiątej. Najpóźniej o dziewiątej piętnaście.

• • •

Volkswagen zwracał mniej uwagi niż pick-up Rotha, ale w takiej małej miejscowości i tak na pewno rzucał się w oczy. Ludzie mogli wiedzieć, że to własność chłopaka z hotelu. Policja prawdopodobnie też. Reacher był pewien, że mnóstwo razy go zatrzymywała. Mikrobus tak cuchnął trawką, że był jeżdżącym domniemaniem popełnienia przestępstwa. Poza tym jego sprawność stanowiła niewiadomą. Reacher nie chciał, by gliniarzy wyręczyła jakaś felerna część albo nieusunięta usterka, przez które auto rozkraczyłoby się na skraju drogi. Dlatego postanowili przeczekać resztę nocy w ukryciu. Ruszyli w stronę miejsca niedaleko podnóża wzniesienia za miastem. Przypominał sobie drogę odchodzącą w głąb gęstego zagajnika. Domyślał się, że to pas przeciwpożarowy albo przecinka do transportu maszyn leśnych. Tak czy inaczej, droga mogła im dać schronienie do rana.

Hannah oderwała dłoń od kierownicy i po raz trzeci od wyjazdu z hotelu wzięła kopertę z deski rozdzielczej.

– Jak myślisz, skąd wzięli list adresowany do Danny’ego? Może zabrał go do pracy i chciał się nim zająć, ale gdzieś mu spadł? Ktoś go znalazł i zamierzał odnieść mu do domu?

– Zapytamy go rano – odparł Reacher. – O której mamy się z nim spotkać?

– Nie jesteśmy umówieni. Nie mogłam się dodzwonić. To ranny ptaszek, więc spróbuję z samego rana. A jeżeli nie odbierze, zawsze będziemy mogli pojechać do niego i zrobić mu niespodziankę.

• • •

Volkswagen był wyposażony w łóżko, kuchnię, stół i kanapę. Reacher doceniał pomysłowość tego projektu. I zagospodarowanie przestrzeni. Wykorzystano każdy jej najmniejszy skrawek. Nie można jednak było ukryć faktu, że jest jej naprawdę niewiele. Reacher doszedł do wniosku, że lepiej będzie zostawić ją do dyspozycji Hannah, a sam zabrał się do przetrząsania szafek, dopóki

nie znalazł kupki starych koców. Wziął jeden. Rozłożył na ziemi. I położył się pod gwiazdami.

Kiedy zasypiał, w głowie dźwięczały mu tylko dwa słowa. „Brockman”. I „lockdown”. Nazwisko Brockman słyszał więcej niż raz. To był człowiek z Minervy, który nasłał zbójów. Reacher chciał go znaleźć. Wyważyć drzwi jego domu w środku nocy. Zobaczyć, czy mu się to spodoba. I przekonać się, co wie o sprawie, na którą natknęła się Angela St. Vrain.

Problem w tym, że Brockman mógł nic nie wiedzieć. A gdyby ludzi Minervy ktoś zaatakował w ich domach, mogłaby wybuchnąć panika. U ludzi kierujących więzieniami standardową reakcją na panikę jest lockdown. Mają to w DNA. Dlatego Reacher musiał się wykazać cierpliwością. Mieli do sprawdzenia dwa tropy. Danny’ego Peela i uroczystość zwolnienia więźnia. Trzeba poczekać i zobaczyć, czy dokądś ich zaprowadzą. Jeżeli nie, zajmie się Brockmanem. I każdym, kto był w to zamieszany. Dopóki nie uzyska satysfakcjonujących odpowiedzi.

38

Hannah obudziła Reachera minutę przed wpół do ósmej rano. Potrząsnęła jego ramieniem i powiedziała:

– Danny ciągle nie odbiera telefonu. Martwię się. Chyba powinniśmy do niego jechać, natychmiast.

• • •

Trasa do domu Danny’ego była już ustawiona w jej telefonie. Elektroniczny głos polecił im wrócić na główną drogę, a potem skrócić w prawo, czyli w kierunku Winson. Hannah potrzebowała paru minut, by zawrócić na wąskiej leśnej drodze. Obracanie kierownicą wymagało sporej siły. Sprzęgło chodziło ciężko. Szarpała tam i z powrotem mikrobusem, który podskakiwał na nierównym podłożu, dopóki nie ustawiła go przodem do kierunku jazdy. Trochę rozpędziła samochód. Dotarła do wylotu leśnej drogi. I o mały włos nie potrąciła pieszego. Chłopaka. Wyglądał na mniej więcej piętnaście lat. Pchał w górę wzniesienia dość wypasiony rower. Bardzo wolno. Wyglądało to na pojedynek. Jakby rower próbował go ściągnąć w dół. Reacher pomyślał, że postawiłby raczej na rower.

Chłopak przystanął. Zaskoczył go widok wiekowego mikrobusu, który nagle wyłonił się zza drzew. Przez chwilę zaglądał do środka przez przednią szybę. Potem padł na plecy, a rower wylądował na nim.

• • •

Hannah wyskoczyła z samochodu i podbiegła do dzieciaka.

– Boże drogi, przepraszam. Nic ci się nie stało?

Chłopak nie odpowiedział.

Zdjęła z niego rower.

– Coś cię boli? Uderzyłeś się w głowę?

– Nic mi nie jest. – Chłopak obrócił się na brzuch, stanął na czworakach, po czym dźwignął się na nogi i chwycił kierownicę roweru. – Niech pani odda. Muszę jechać.

– Dokąd? Skąd taki pośpiech? Masz jakąś wodę? Rodzice wiedzą, że tu jesteś?

– Muszę się dostać do Winson. Nie mogę się spóźnić.

– Usiądź na chwilę. Odpocznij. Przynajmniej złap oddech.

– Nie mam czasu.

– W tym stanie nie możesz iść, a co dopiero jechać. – Hannah wyrwała mu z rąk kierownicę. – Jedziemy kawałek w tę samą stronę. Chodź. Z tyłu jest specjalny bagażnik. Zapakuj tam rower. Podrzucimy cię.

• • •

Volkswagen z warkotem wspinał się na wzniesienie. Z tyłu w metalowym uchwycie klekotał rower. Chłopak, sztywny i spięty, siedział na kanapie w głębi kabiny.

Hannah poprawiła lusterko wsteczne, żeby go widzieć bez odwracania głowy.

– Jak się nazywasz?

– Jed – odparł dzieciak. – Jed Starmer.

– Powiedz mi, Jed, dlaczego to takie ważne, żebyś rano dostał się do Winson?

– Coś się tam wydarzy. Nie mogę się spóźnić. Za daleko dojechałem, żeby mnie tam nie było.

– Co się wydarzy? Gdzie?

– Ktoś wyjdzie na wolność z więzienia. – Jed nabrał tchu. – Mój tato.

– Czytałem o tym – odezwał się Reacher. – Anton Begovic?

Jed skinął głową.

– Nie ożenił się z moją mamą. Dlatego mamy inne nazwiska.

– Wie, że masz przyjechać?

– Nawet nie wie, że istnieję.

• • •

Kiedy mikrobus wdrapał się na szczyt wzniesienia, telefon Hannah zapowiedział, że za osiemset metrów mają skręcić w lewo.

– Skąd przyjechałeś? – zapytał Reacher.

– Z Los Angeles.

– Całą drogę na rowerze?

– Jechałem autobusem. Greyhoundem. Na rower przesiadłem się dopiero w Jackson.

– Przywiozłeś rower ze sobą?

– Tak jakby sobie pożyczyłem.

Hannah westchnęła. Reacher się nie odezwał.

– Nie ukradłem go – powiedział Jed. – Nie rozumie pani. Wszystko sobie zaplanowałem. Miałem spać w hotelu, potem wziąć taksówkę, ale ukradli mi wszystkie rzeczy, ukradli mi pieniądze i dwaj okropni goście próbowali mnie porwać, ale wtedy pojawili się jacyś policjanci i...

– W porządku – przerwał mu Reacher. – Nikt cię o nic nie oskarża.

– Ale to ważne. Nie jestem złodziejem. Koleś na tym rowerze zachował się jak dupek. Wjechał we mnie, popchnął mnie i krzyczał. A potem go zostawił. Na chodniku. Do niczego go nie przypiął. Nie miałem innego wyjścia. Oddam go, jak będę mógł. Przysięgam.

– Wygląda na to, że miałeś ciężkie przejścia – stwierdziła Hannah. – Wszystko straciłeś?

– Właściwie tak. Została mi tylko szczoteczka do zębów. Miałem ją w kieszeni.

– A twoja mama? Nie mogłaby ci pomóc? Chciałbyś, żeby do niej zadzwoniła?

– Nie może pani. Mama... rak trzustki. Szybko poszło....

– Przykro mi.

– Co zamierzasz zrobić, kiedy przyjedziesz do więzienia? – spytał Reacher.

Jed wzruszył ramionami.

– Chyba spotkać się z tatą.

– Jak? Zaplanowali jakąś gigantyczną imprezę. Będzie prasa. Telewizja. Wszystko, co można sobie wyobrazić. Nie dasz rady podejść i powiedzieć mu: „Cześć, jestem twoim synem”.

Chłopiec znowu wzruszył ramionami.

– Dojechałem aż tutaj. Coś wymyślę.

• • •

Gdy zbliżali się do skrzyżowania, telefon nalegał, żeby skręcili. Droga do Winson prowadziła dalej prosto, więc Hannah zatrzymała volkswagena na poboczu.

– Stąd masz już płasko – powiedziała. – Powinieneś dać sobie radę na rowerze. Pomogę ci go zdjąć z bagażnika.

Jed otworzył drzwi.

– Sam go zdejmę. Dzięki za podwózkę.

– Zaczekaj chwileczkę – powstrzymała go Hannah. – Musimy porozmawiać, naprawdę króciutko.

– O czym?

– Jeżeli dobrze zrozumiałam, masz się pierwszy raz zobaczyć z tatą. To ważna rzecz. Dla was obu. Trzeba to przeprowadzić dobrze, bo to spotkanie będzie miało wpływ na resztę waszego życia.

Jed nie odpowiedział.

– Spotkałeś już kiedyś człowieka, który siedział w więzieniu? – zapytała.

– Nie.

– A ja spotkałam. Wiele razy. Pracuję w organizacji, która pomaga ludziom wychodzącym na wolność. Najbliższe miesiące będą dla twojego taty bardzo trudne. Nawet jeżeli nie znosił więzienia, nawet jeżeli nie zasłużył, żeby tam trafić, będzie przyzwyczajony do życia za kratami. Świat za murami jest zupełnie inny. Poczuje się tak, jakby wrzucono go do obcego kraju, w którym nie zna języka ani zwyczajów. Będzie zniechęcony. Prerażony. Przytłoczony zmianami. Nie będzie umiał sobie poradzić z tyloma niespodziankami. Może zareagować... w sposób, którego potem będzie żałować.

– Co pani chce powiedzieć? Że nie powinienem spotykać się z moim tatą? Bo...

– Ależ nie. Spotkanie z tobą będzie na pewno najlepszym zdarzeniem w jego życiu. Ale gdy oprócz wszystkich zmian, które go czekają, dowie się jeszcze, że ma dziecko, to może być dla niego ogromny ładunek wrażeń. Do nowego życia trzeba przejść ostrożnie. Powoli. Dzisiaj... kiedy zostanie zwolniony... to może nie jest najlepszy moment.

– Ale on nawet nie wie, że się urodziłem. Nie wie, że powinien mnie szukać. Jeżeli dzisiaj się nie zobaczymy, znowu zniknie. I nigdy go nie znajdę.

– To nie tak. – Hannah poszperała w torebce, wyjęła wizytówkę i podała Jedowi. – Posłuchaj, co ci proponuję. Idź na tę uroczystość przed więzieniem.

Zobacz, jak twój tato wychodzi na wolność. To wielka rzecz. Dla ciebie najwyraźniej też ważna, skoro przyjechałeś z tak daleka. Twój przyjazd będzie miał dla niego ogromne znaczenie. Ale daj mu dzień czy dwa. A potem skontaktuj się ze mną. Zadzwoń, gdy będziesz gotowy. Wiem, jak działa ten system. Pomogę ci znaleźć tatę.

– A co mam robić przez dzień czy dwa? W Winson? Nie mam pieniędzy. Nie mam co jeść. Ani gdzie spać.

Reacher wysupłał z poszewki portfel i wyjął z niego gotówkę. Było w nim dwieście czterdzieści dolarów. Podał pieniądze chłopcu.

– Hannah ma rację. Powinieneś jej posłuchać. Jesteś teraz na rozdrożu życia. Ważne, żebyś dobrze wybrał drogę.

• • •

Jed z wysiłkiem zdjął rower z bagażnika z tyłu mikrobusu, po czym wsiadł na niego i popedałował prosto do Winson. Hannah wcisnęła sprzęgło, ale zaraz je zwolniła, nie dotykając dźwigni zmiany biegów.

– Źle się stało – powiedziała. – Martwię się o tego dzieciaka.

– Masz rację – zgodził się Reacher. – Kiepsko sobie radzi z rowerem. Trzeba było kazać mu iść pieszo.

– Nie mówię o bezpieczeństwie na drodze. Mam na myśli całą tę historię ze zwolnieniem Begovica. Minerva zapewni mu pomoc. To wielka akcja PR-owa, więc Hix dopilnuje, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Nie będzie chciał przeczytać w gazecie, że Begovic odebrał sobie życie albo popełnił jakieś przestępstwo i znowu trafił do pudła. Ale ten dzieciak? Który musi sam o siebie zadbać? Jeżeli to prawda, że jego matka nie żyje, to chłopak nikogo nie ma. Znam to. Wiem, jak to się rozegra. Biedny dzieciak sam skazuje się na przegraną.

• • •

Telefon podpowiadał im, żeby „wrócili na trasę”, więc Hannah skręciła w lewo. Następnie skierował ich na południe, żeby okrążyli miasto. Po obu stronach drogi rosły drzewa. Wysokie i stare, ale przez mniej więcej kilometr nie pojawiały się żadne budynki. W końcu dotarli do ogromnego domu. Lśniącego bielą. Miał ganek wsparty na czterech kolumnach i wystający pośrodku balkon. Inne balkony biegły przez całą szerokość budynku, na dwóch piętrach po każdej stronie. Dom był wielkości hotelu i otaczał go mur z ozdobną żelazną bramą. Pośrodku podjazdu była owalna wysepka porośnięta krzewami, kwiatami i trawą, spomiędzy których wznosiła się fontanna. Między nią a schodami prowadzącymi do drzwi wejściowych stał zaparkowany samochód. Bmw sedan. Duży i czarny. Reacher rozpoznał ten wóz. Poprzedniego dnia widział go na łukowym parkingu przed więzieniem.

Jechali jeszcze ponad kilometr, po czym skręcili na zachód. Drzewa się przerzedziły i po obu stronach drogi zaczęły się pojawiać zabudowania. Domy stały coraz gęściej, były coraz większe i coraz mniej różniły się od siebie, aż wreszcie telefon poinformował ich, że miejsce docelowe znajduje się trzydzieści metrów dalej po lewej. Oznaczało to, że dom Danny’ego stoi na ostatniej działce przed skrzyżowaniem z węższą drogą odchodzącą na południe. Był jednak pewien problem. Działka była pusta.

Kiedy Hannah zatrzymała się przy drodze, zobaczyli, że działka nie jest zupełnie pusta. W rogu w głębi był garaż, od którego prowadził podjazd do bocznej drogi. Na cienkim metalowym słupku zamontowano skrzynkę na listy. Dawniej musiała być czerwona, ale z biegiem lat farba wypłowiwała, przybierając różowawą barwę piór flaminga. Na głównej części działki jeszcze niedawno musiał stać jakiś budynek. Teraz była pełna popiołu. Czarnego, szarego, nieregularnego, w niektórych miejscach usypanego w kopce, w innych zapadłego, otaczającego wypalone szczątki ceglanego kominka, mniej więcej pośrodku.

Reacher wysiadł z volkswagena. Poczł zapach dymu. Hannah stanęła obok niego na chodniku. Szybko mrugała i miała rozchylone usta, ale nic nie mówiła. Reacher uznał, że niewiele jest do powiedzenia. Chwilę później podszedł do nich mężczyzna z domu obok. Sześćdziesiąt kilka lat, wysoki i szczupły, o siwych włosach, w koszuli w kratę i dżinsach, które wyglądały, jakby lada chwila miały się z niego zsunąć.

– Dzień dobry – powiedział. – Państwo pierwszy raz w naszej okolicy?

– Co tu się stało? – spytał Reacher.

– Był pożar.

Reacherowi zabrzmiało w głowie echo głosu matki: „Na głupie pytanie zawsze usłyszysz głupią odpowiedź”.

– Naprawdę? Kiedy?

– W zeszłą sobotę. Z samego rana.

– Jak wybuchł?

– Właściciel domu palił papierosa. Tak słyzałem. Obudził się, zapalił, a potem z powrotem zasnął.

– Czy ten właściciel nazywał się Danny Peel?

Mężczyzna skinął głową.

– Gdzie teraz jest? – pytał dalej Reacher.

– Skremowaliśmy go w środę. Biorąc pod uwagę, jak skończył, trochę to absurdalne, ale takie było jego życzenie. Tłumów nie było. Pojawiłem się tylko ja i parę osób od niego z pracy.

– Z więzienia?

Facet znowu kiwnął głową.

– Czy ludzie, z którymi pracował, często odwiedzali go w domu?

– Jedna kobieta. Nie wiem, jak się nazywa.

– Ktoś jeszcze?

– To był spokojny człowiek. Mało udzielał się towarzysko. W każdym razie nie w domu.

– Czy w sobotę ktoś u niego był? Przed pożarem?

– Wątpię. Mówiłem już, że było bardzo wcześnie. Zresztą gdyby ktoś spędził u niego noc, znaleźliby więcej ciał, prawda?

– Zauważył pan kogoś w okolicy? Kogoś, kto zwykle się tu nie pokazuje? Albo jakieś zagadkowe pojazdy?

– Nie.

– Zwrócił pan uwagę, czy tamtego dnia rano któreś okno było otwarte?

– Nie. Wyszedłem wyjąć pocztę ze skrzynki. Potem usłyszałem syreny. Nic nie widziałem. Ale po co te wszystkie pytania? Nie jest pan gliną. Jest pan z firmy ubezpieczeniowej?

– Ja? Nie. To tylko zwykła ciekawość.

39

Hannah bez słowa przeszła na drugą stronę ulicy. Wsiadła do volkswagena, oparła łokcie o kierownicę i ukryła twarz w dłoniach. Reacher postanowił się rozejrzeć. Nie spodziewał się cennych znalezisk. Pożar nie pozostawił zbyt wielu śladów, ale trudno się pozbyć dawnych przyzwyczajień. Był ciekawy. I na jakiś czas wolał zostawić Hannah samą.

Dom od ulicy oddzielał trawnik, ale został zdeptany butami strażaków, a spływająca woda, którą gaszono ogień, wyłobila w ziemi nierówne kanały. Nie pojawili się bardzo szybko, pomyślał Reacher. Z budynku zostało bardzo niewiele. Jakby ktoś bardzo starannie ocenił sytuację. Za późno, by uratować dom Danny'ego Peela. Ale można było jeszcze powstrzymać pożar przed strawieniem sąsiednich zabudowań. Reacher ostrożnie przeszedł przez wyboisty teren do miejsca, w którym kiedyś stała zewnętrzna ściana domu. Zastanawiał się, gdzie były drzwi. Kuchnia. Sypialnia. Mógł uwierzyć, że właśnie tam zaczął się pożar. I w to, że może jakąś rolę odegrał w tym zapalony papieros. Ale nie w to, że to był wypadek. Miał za duże doświadczenie, żeby łyknąć taką bajeczkę.

Zajrzał do skrzynki na listy. Były tam cztery koperty. Same reklamy. Prawdopodobnie dostarczone jeszcze przed pożarem. Następnie podszedł do garażu. Miał dwie podnoszone bramy wychodzące na boczną ulicę oraz wejście – zwrócone w kierunku domu, kiedy dom jeszcze był. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Nie wyglądały na zbyt mocne, więc przyłożył do nich ramię i popchnął. Język zamka odłupał mały pasek z futryny i drzwi bez trudu się otworzyły. Reacher

wszedł do środka. Obydwa miejsca garażowe były zajęte. Przez dwa chevrolety. Bliżej Reachera stał sedan, który miał mniej niż pięć lat. Niewielki, biały, praktyczny. Drugim samochodem była długa, zielona corvette stingray, prawdopodobnie z lat sześćdziesiątych. Dla samochodziarza musiała to być fantastyczna zabawka. Pod ścianą w głębi garażu stał drewniany stół warsztatowy zajmujący całą szerokość budynku. Nad nim umieszczono tablicę z wieszakami na narzędzia. Po lewej wisiały te do prac domowych: dłuta, pobijaki i piły. Z prawej – do naprawy samochodów, na przykład klucze płaskie i nastawne, młotki. Na haku wisiały też dziennik i długopis na łańcuszku, jaki dawniej można było zobaczyć w bankach. Reacher zajrzał do notatnika. Starannie sporządzone niebieskim tuszem wpisy sięgały pięciu lat wstecz i szczegółowo wyliczały wszystkie usterki, jakie Danny zlikwidował w stingrayu. Naprawił hamulce. Usunął rdzę z ramy pomocniczej. Rozprawił się z wyciekami wody. Z problemami z instalacją elektryczną. Przeprowadził mnóstwo większych i mniejszych napraw i wszystkie precyzyjnie odnotował. Był skrupulatnym człowiekiem. Co do tego nie było wątpliwości.

• • •

Reacher wrócił do volkswagena. Hannah uniosła głowę i spojrzała na niego. Miała zaczerwienione oczy.

– Co teraz? – zapytała.

Wziął kopertę, którą znalazł w furgonetce pod hotelem Riverside Lodge, i podał jej.

– Otworzymy to. Może rzuci trochę światła na to, co spotkało Danny’ego. I Sama. I Angelę. Wątpię, żeby przypadkowo znalazło się u ludzi Minervy.

Hannah przez chwilę milczała.

– Okej. Ale ty to zrób. Ja nie potrafię.

Reacher rozerwał kopertę. Wewnątrz była wiadomość napisana równym, czytelnym pismem na kartce z firmowym nagłówkiem. Papier pochodził z biura rachunkowego Moon, Douglas i Flynn w Hattiesburgu w stanie Missisipi. List był krótki.

Danny,

mam to, o co prosiłeś. Na razie widziałeś tylko wierzchołek góry lodowej. Mogę ci dać tyle, że zatonie cały statek. Spotkajmy się w ten piątek o 11.30, kawiarnia Coal Creek, stolik w rogu, centrum Hattiesburga.

Alan

PS Proszę, zadzwoń i potwierdź, że przyjedziesz. Muszę załatwić parę rzeczy. Nie dzwoń do biura, daj mi znać na komórkę. Numer 399-307-1968.

Reacher podał kartkę Hannah. Przeczytała wiadomość i rzuciła na deskę rozdzielczą.

– Nie rozumiem – przyznała. – Chodzi o to samo, z czym Angela zwróciła się do Sama? O ten problem rachunkowy? Nie widzę związku. Ale byłoby dziwne, gdyby to były dwie różne sprawy, które dzieją się równocześnie.

– Chodzi o to samo – stwierdził Reacher. – Pamiętasz informacje, które znalazłem w torebce Angeli? O zwolnieniu Begovica? Były w kopercie adresowanej do Danny’ego.

– Jak się u niej znalazła?

– Zamierzałem zapytać o to Danny’ego.

– Czyli Danny korespondował z jakimś źródłem przecieku o przekrętach. Pewnie wciągnął w to Angelę. Dlatego zginęła. Pośrednio doprowadził też do śmierci Sama. Rany boskie. Biedny Danny. Pewnie był załamany.

– To nie była wina Danny’ego. Najwidoczniej odkrył jakieś przestępstwo. Ale sam żadnego nie popełnił.

– Ktoś popełnił. Ktoś z Minervy. Ci sami ludzie, którzy nasłali na nas tych zbirów. Musimy ich załatwić. Zdobyć niepodważalny dowód. Wszystko jedno, co to jest. Mam tylko nadzieję, że znajdziemy tego Alana.

Hannah wzięła telefon. Zaczęła stukać w ekran i przesuwać po nim palcami. Parę minut później pokazała go Reacherowi.

– Okej. Firma jest prawdziwa. Istnieje. Adres, strona internetowa, konto w social mediach, logo... wszystko się zgadza. Jest lista wspólników. Jeden ma na imię Alan. Alan McInnes. Posłuchaj tego. Jako jednego ze swoich najważniejszych klientów wymieniają Minervę. Co o tym sądzisz?

– Zadzwoń pod numer z listu – odparł Reacher.

Wprowadziła cyfry i wcisnęła ZADZWONŃ, a potem włączyła głośnik. Po trzech dzwonekach rozległ się męski głos:

– McInnes. Kto mówi?

– Danny Peel – powiedział Reacher. – Dostałem wiadomość od ciebie. Do zobaczenia w Coal Creek o jedenastej trzydzieści.

– Zaraz... Nie jestem pewien, czy to bezpieczne.

– Wolisz wybrać inne miejsce? Podaj mi nazwę.

– Nie mam na myśli miejsca, ale ciebie. Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jesteś Dannym?

– A skąd znałbym ten numer?

– Nie wiem... Okej. Jak masz na drugie imię?

Reacher spojrzał na Hannah. Pokręciła głową.

– Nie mam drugiego imienia – odpowiedział.

– Gdzie mieszkałeś, zanim przeprowadziłeś się do Winson?

– W Gerrardsville w stanie Kolorado.

– Nazwisko twojego ostatniego szefa, zanim zacząłeś pracę w Minervie?

– Sam Roth.

– W porządku. – Na moment zapadła cisza. – Spotkam się z tobą. Ale przyjdź sam. I nie spóźnij się.

• • •

Bruno Hix zakończył połączenie. Siedział w piżamie w kuchni. W dni zwolnień nie chciał przychodzić do więzienia za wcześnie. Zawsze w ostatniej chwili wychodziła na jaw jakaś logistyczna fuszerka, a on nie mógł ryzykować, że coś popsuje mu nastrój przed wygłoszeniem przemówienia. Wypił łyk kawy, wziął telefon – ten, z którego zwykle korzystał – i zadzwonił do Brockmana.

– Żaden plan B nie będzie potrzebny – poinformował go. – To już potwierdzone. W czasie uroczystości Reacher będzie bardzo daleko.

– Fantastyczna wiadomość – ucieszył się Brockman. – Ale, Bruno... jesteś pewien?

– Na sto procent. Dowiedziałem się z pierwszej ręki.

• • •

Hannah próbowała zawrócić na ulicy, ale układ kierowniczy starego volkswagena stawiał taki opór i reagował tak powoli, że wpakowała się na chodnik po drugiej stronie i o mały włos nie skasowała skrzynki na listy Danny'ego Peela. Cofnęła o dwa metry, z całej siły pociągnęła kierownicę, wyjechała na ulicę i rozpędziła busik, twardo wykorzystując jego żółwie przyspieszenie.

Reacher spojrzał w tył na skrzynkę.

– Stań – nakazał jej.

Wrzuciła luz i zatrzymała się na ulicy. Reacher wysiadł, wrócił do skrzynki i otworzył ją. W środku wciąż tkwił plik druków reklamowych. Cztery koperty luzem. W skrzynce leżała też gumka recepturka, jaką listonosze spinają korespondencję przeznaczoną pod jeden adres. Ktoś ją zdjął i rozdzielił przesyłki.

Reacher przeciął błotnistą działkę, kierując się w stronę garażu. Otworzył drzwi, wszedł i wziął rejestr napraw stingraya. Przeglądał go, dopóki nie znalazł kilku znaków, o które mu chodziło. Dwóch wielkich liter. I reszty małych. Potem wrócił do volkswagena, wsiadł i oznajmił:

– Nie jedziemy do Hattiesburga.

40

Choć kawa była mocna, nie pozwoliła Emersonowi wytrwać za kierownicą do granicy stanu. Nie miał wyboru i musiał pozwolić Graeberowi poprowadzić. Liczył, że zdrzemnie się ze dwie godziny, by złapać drugi oddech, ale obudził się pięć godzin później. Furgonetka stała zaparkowana przed kanciastym ceglanym budynkiem siedem kilometrów na północ od Vicksburga w stanie Missisipi. Ostatnim w szeregu trzech budynków na wybetonowanym placu, niedaleko rzeki. Otaczały je drzewa i ogrodzenie z zardzewiałej drucianej siatki. Na teren osiedla prowadziła jedna brama, która nie została zamknięta na klucz. Budynki miały po dwa wejścia. Po lewej wjazd dla samochodów, na tyle wysoki i szeroki, by pomieścić mały wóz dostawczy. Po prawej drzwi dla personelu. Na piętrze każdego budynku ciemniały cztery kwadratowe okna pod sypiącymi się betonowymi nadprożami.

Graeber zaczekał, aż Emerson oprzytomnieje.

– Dzień dobry, szefie.

Emerson odburknął coś i zajrzał do kubka, by sprawdzić, czy nie została tam resztką kawy.

– Dwa pozostałe budynki są puste – poinformował go Graeber. – Ten nie wygląda lepiej, ale ma nowe zamki. Solidne. Widać, że jest zamieszkanym.

– Facet się pokazał?

– Jeszcze nie.

Emerson spojrział na zegarek. Wpół do dziewiątej. Znowu coś burknął, tym razem odrobinę głośniej.

• • •

Dwadzieścia minut później przed bramą pojawił się samochód. Olbrzymi cadillac coupe z lat siedemdziesiątych. Bordowy. Jego lakier lśnił. Wóz wyglądał na bardzo zadbany. Wsiadł z niego mężczyzna. Mógł być w tym samym wieku co samochód. Miał niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, okrągłą twarz, ciemne kędzierzawe włosy i masywną sylwetkę. Nosił brązową skórzaną kurtkę i dżinsy. Pchnął bramę, by ją otworzyć. Wjechał. Zamknął bramę. Skierował się w stronę ostatniego budynku w szeregu i zaparkował obok furgonetki Emersona.

Emerson kierował się zasadą, że jeśli coś nie jest zepsute, nie ma potrzeby tego naprawiać. Zaczekał, aż Graeber wyskoczy z wozu z podkładką w ręce, podejdzie do kierowcy cadillaca i powie, że potrzebuje wyceny, by wyekspediować specjalną przesyłkę. Potem wysunął się z wozu od strony pasażera, okrążył tył furgonetki i przycisnął szmatkę nasączoną chloroformem do ust i nosa nieznajomego. Nie trzymał jej tak długo jak w St. Louis poprzedniego dnia. Nie musieli transportować faceta zbyt daleko. Chcieli tylko, żeby się nie stawiał, gdy będą przygotowywać sprzęt. A ponieważ nikt nie patrzył, co robią, nie bawili się w subtelności. Pozwolili, żeby runął na ziemię, gdy środek zaczął działać, a potem powlekli go w stronę budynku.

Graeber wyjął mu z kieszeni klucze i znalazł ten, którym otwierał się wjazd dla samochodów. W garażu stały dwie furgonetki. Czarne. Jedna, kilkuletnia, miała parę wgnieceń i zarysowań, jak to bywa z samochodami dostawczymi. Druga wyglądała na niemal nieużywaną. Pierwsza była pusta. Druga miała na dachu klimatyzator, a cała przestrzeń ładunkowa została z obu stron wyposażona w wysuwane półki.

Na końcu garażu urządzono warsztat. Pod ścianą były trzy gigantyczne skrzynki z narzędziami na kółkach. Na posadzce ciemniały plamy oleju. Do belki u sufitu zamocowano podnośnik do silników, z którego zwisały łańcuchy. Kółka zębate przekładni wyglądały na zatarte i zardzewiałe, jakby od wielu lat nie były w użytku.

Graeber wycofał obydwa wozy na dziedziniec, a potem obserwował kierowcę cadillaca, gdy czekali, aż odzyska przytomność. Emerson przeszukał biuro, które odgrodzono ścianą od reszty parteru. Znalazł typowe sprzęty i akcesoria. Kalendarz na ścianie. Na biurku komputer. W szufladach papiery i przybory biurowe. Nic jednak nie zdradzało charakteru tajnej strony biznesu tego człowieka. Jedynym ciekawym szczegółem był ekspres do kawy na kapsułki, stojący na niskiej szafce na dokumenty. Emerson zaparzył sobie kubek, a potem drugi dla Graebera.

• • •

Kiedy kierowca cadillaca się ocknął, był nagi. Stał na palcach w kałuży zastygłego oleju. Ręce miał nad głową, przywiązane opaskami zaciskowymi do łańcuchów podnośnika. Przed sobą ujrzał beczkę, której nigdy wcześniej nie widział, ale stała za daleko, by mógł ją kopnąć. Leżała na niej chochla. Taka, jakich używa się w restauracjach. Przez chwilę milczał. I nie ruszał się. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie. Nagle ustąpiło miejsca wściekłości. Wrzasnął. Szarpnął łańcuchami. Wymachiwał rękami na boki. Wierzgał nogami we wszystkie strony. Osiągnął tylko tyle, że skaleczył się w nadgarstki i zdarł sobie skórę ze śródstopia.

Emerson usłyszał hałasy i wyszedł z biura. Zaczekał, aż facet się uspokoi, po czym powiedział:

- Chyba już sam się tego domyśliłeś, ale nie chcemy od ciebie żadnego towaru. Tamten szeroko otworzył oczy.
- No to czego chcecie?

– Informacji o dostarczonym przez ciebie towarze. – Emerson włączył ekran telefonu, który zabrał facetowi w St. Louis, i wyświetlił zdjęcie Carpentera. Pokazał je. – W szczególności chodzi nam o towar dostarczony temu człowiekowi.

– Co chcecie wiedzieć? Odebrałem pojemnik. Zwykle był tylko jeden. I odstawiałem go w pewne miejsce w New Jersey.

– Skąd odbierałeś pojemniki?

– Różnie. W jednym z pięciu miejsc. Dzień wcześniej dostawałem informację, gdzie będzie dostawa. Wszystkie miejsca są nie dalej niż godzina drogi stąd.

– Wiedziałeś, co jest w pojemnikach?

– Nie.

– Nie kłam.

– Nie wiedziałem. Nie pytałem. Nie mówili mi. Ale nie jestem głupi. Raczej się domyślałem.

– To dobrze. A teraz Carpenter... Gdzie go mogę znaleźć?

– Nie wiem.

Emerson otworzył beczkę, napełnił chochlę jej zawartością i rozlał na podłozę jakieś pół metra od mężczyzny.

Ten odruchowo cofnął stopy.

– Co to jest?

– Coś, co pomoże ci się skupić. – Emerson wyjął pudełko zapalek, potarł jedną i podpalił kremową kałużę. – Nazywają to też napalmem.

Nabrał drugą chochlę i podszedł do faceta. Ten zaczął podskakiwać na palcach jednej stopy. Uniósł drugą nogę, jakby czekał na okazję, by wymierzyć kopniaka. Emerson machnął chochlą i żel wylądował na udach i kroczu uwięzionego mężczyzny.

Facet wrzasnął.

– O co chodzi? – spytał Emerson. – Przecież jeszcze nie podpaliłem. Powiedz mi, jak znajdę Carpentera.

– Nie znajdziesz. Nikt nie może go znaleźć. Jakiś miesiąc temu zniknął. Sam próbowałem się z nim skontaktować, ale nie mogłem. Przepadł. Odpłynął. Nie ma go.

– Miałeś kontakt z kimś innym od nich?

– Tylko z nim. Chodziło o bezpieczeństwo.

– Szkoda. To znaczy, że jesteś mi niepotrzebny. Jesteś tylko denerwującym śmieciem. A wszyscy wiemy, jaki jest najbardziej przyjazny dla środowiska sposób pozbywania się śmieci. – Emerson wyjął drugą zapalną.

– Zaraz! Posłuchaj. Trzy, może cztery tygodnie temu na horyzoncie pojawił się nowy człowiek. Kontaktował się tylko zdalnie i mówił, że reprezentuje nowego dostawcę. Myślę, że to ten sam.

– Dlaczego tak uważasz?

– Gość wiedział, jakiego potrzebuję uwiarygodnienia. I dostałem je bardzo szybko. To był ten sam produkt. Te same pojemniki. To samo miejsce dostawy. Na razie dwukrotnie odbierałem towar. W tych samych miejscach co wcześniej. Jest zaplanowana trzecia dostawa z odbiorem w innym miejscu, z którego tamci też korzystali. Jak myślisz... zbieg okoliczności?

– Teraz cię oświeciło? Wcześniej niczego nie podejrzewałeś?

– Co mnie to obchodziło? Uznałem, że pewnie mają swoje powody, żeby zmienić nazwę. Tożsamość. Może ktoś im się wpychał w rynek. Może mieli problemy z jakością. Musieli zacząć od nowa. Dopóki były regularne zlecenia, dobre pieniądze i żadnych federalnych na karku, byłem zadowolony.

– A ta planowana trzecia dostawa. Na kiedy jest wyznaczony odbiór?

– Na dzisiaj.

– Godzina? Miejsce?

– O trzynastej. Stara papiernia piętnaście kilometrów na południowy wschód od Winson, takiego niedużego miasteczka.

– Kiedy przyjeżdżasz, musisz przestrzegać jakichś procedur?

– Podjeżdżam i czekam. Potem pojawia się druga furgonetka. Ich ludzie otwierają moje drzwi, ładują pojemnik i zaraz się rozjeżdżamy. Dwie minuty, nawet nie muszę wysiadać z wozu.

– Jeździsz tym nowszym?

Facet skinął głową.

– Plany na dzisiaj się zmieniły – oznajmił Emerson. – Pojedziemy zamiast ciebie.

– Okej. Spoko. Co mam zrobić? Przyczaić się na jakiś czas? Wyjechać z miasta na parę miesięcy? Nie ma sprawy. I mogę zapomnieć wasze twarze. Gdyby ktoś pytał, w ogóle was tu nie było. Nigdy się nie spotkaliśmy.

Emerson podszedł do skrzyń z narzędziami i grzebał w nich, dopóki nie znalazł wanienki z rantem wysokości około dziesięciu centymetrów. Naczynia, do którego mechanicy wlewają zużyty olej z silnika.

– Musisz wiedzieć coś jeszcze – powiedział. – Jedna z dostaw, którą wiozłeś dla Carpentera, była przeznaczona dla mojego syna.

– I co, chłopak dostał, czego chciał? To chyba dobrze, nie? Trzeba jakoś zaspokajać popyt. Ale jeżeli chodzi o cenę, to pretensje nie do mnie. Może zrobimy tak: oddam swoją dolę. Jemu. Tobie. Komu zechcesz.

Emerson zanurzył wanienkę w beczce i wyciągnął pełną.

– Uważasz, że to była wysoka cena? – spytał.

– Nie znam ceny. Tylko głośno myślę.

– Powiem ci, jaką cenę zapłacił mój syn. – Emerson rzucił się naprzód i wylał żel z wanienki na podłogę wokół stóp mężczyzny. – Zapłacił życiem.

– Nie. Proszę. Przestań. Twój syn umarł? To okropne. Przykro mi. Ale to nie moja wina.

– Wydaje mi się, że twoja. – Emerson zapalił następną zapalniczkę. – I wydaje mi się, że będzie sprawiedliwie, jeżeli zapłacisz taką samą cenę.

• • •

Hannah trzymała stopę na pedale hamulca, silnik pracował na jałowym biegu.

– Dlaczego to ma być podstęp? Przecież to prawdziwa firma. List jest autentyczny. Jeżeli się nie pojawisz, gość, który go wysłał, może się spłoszyć. I tak już wydawał się zdenerwowany. To może być jedyna okazja, żeby go spotkać. Dowiedzieć się, co odkrył Danny. I wpaść na trop zabójcy Sama.

– Masz jeszcze w telefonie dane tej firmy?

Skinęła głową.

– Zadzwoń do centrali – powiedział Reacher. – I zapytaj o Alana McInnesa.

Wzruszyła ramionami, ale spełniła jego prośbę.

– Przykro mi – powiedziała telefonistka. – Pana McInnesa nie ma obecnie w biurze. Przełączyć panią na jego pocztę głosową? Ale powinnam uprzedzić, że pan McInnes jest w tym tygodniu w Australii na konferencji i być może upłynie trochę czasu, zanim odpowie.

Hannah przerwała połączenie.

– Skąd wiedziałeś?

• • •

Jed Starmer chciał przechować rower w bezpiecznym miejscu do czasu, gdy będzie mógł go zwrócić kurierowi, więc postawił go za niskim kamiennym murkiem przy szosie, sto metrów przed więzieniem, a resztę drogi pokonał pieszo.

Nigdy wcześniej nie widział budynku tego rodzaju. Nie podobał mu się. Ani trochę. Metalowe ogrodzenie ze zwojami drutu kolczastego budziło w nim lęk. Wyobraził sobie, że jest tam uwięziony. Wyobraził sobie, że strażnicy strzelają do niego z wież. Kamery obracają się tam i z powrotem na masztach, na wypadek gdyby próbował uciec. Reflektory oświetlają go, na wypadek gdyby próbował się schować. Wzdrygnął się, choć w porannym słońcu było już ciepło.

Lawirując między rzędami składanych krzeseł, podszedł do tymczasowego ogrodzenia. Zrobiono je na kozłach ustawionych półkolem na skraju drogi, która

odchodziła łukiem od frontu więzienia. Wybrał miejsce na wprost małej sceny zainstalowanej na zewnątrz. Przypuszczał, że tam odbędzie się to, co najważniejsze. Znajdowała się z boku budynku, w którym chyba było główne wejście do więzienia. Nie miał co do tego pewności, bo otoczono je czymś w rodzaju namiotu. Po drugiej stronie sceny stał samochód. Bmw. Czarne i bardzo błyszczące. Jedyne pojazdy, jakie tu zauważył. Stał zwrócony w stronę platformy, gdzie były dwie kamery. Większa na statywie i mała, postawiona bezpośrednio na deskach platformy. Jedyne osoby, które widział przed więzieniem, nosiły szare mundury z żółtymi wykończeniami i czapki z daszkiem, jak pracownicy prywatnej policji, których Jed widział kiedyś w centrum handlowym.

Był zmęczony i mąciło mu się w głowie. Myślał o tacie. W więzieniu. Tkwił tam wiele lat, chociaż nie zrobił nic złego. I rozpaczliwie pragnął wyjść. Jed nie wyobrażał sobie, jakie to może być straszne uczucie. Jak to może załamać człowieka. Przyszło mu do głowy, że może ta kobieta w starym volkswagenie miała rację. Może popełnił błąd, pojawiając się tutaj.

• • •

– W garażu znalazłem notatnik, w którym Danny zapisywał informacje o naprawach samochodu – wyjaśnił Reacher. – Charakter pisma był ten sam co na kopercie, którą widziałem w torebce Angeli.

– Czyli Danny wysłał ten list do samego siebie? – zdziwiła się Hannah.

Reacher skinął głową.

– Po co?

– Żeby go zabezpieczyć. Odkrył coś, o czym nie powinien wiedzieć. Zdał sobie sprawę z zagrożenia. Może zgłosił się na policję i wyczuł to samo co ty wczoraj. Tak czy inaczej, doszedł do wniosku, że gdy list trafi na pocztę, nikt go nie znajdzie. I nie zabierze. Założył się, że to było stałe rozwiązanie, że je powtarzał. Za każdym razem, gdy przesyłka przychodziła, pewnie od razu wysyłał ją znowu.

– I któregoś dnia dał ją Angeli? Dlaczego zmienił metodę?

– Nie dał jej. Znalazła ją.

– Gdzie?

– W jego skrzynce na listy. W sobotę rano. Dowiedziała się o pożarze, on nie odbierał telefonu, więc przyjechała zobaczyć, czy coś się stało. Właśnie zajrzałem do skrzynki. Jest parę reklamówek luzem, a obok gumka. Wszystko przyszło spięte razem. Ktoś rozdzielił korespondencję. I coś zabrał. Myślałem, że to ktoś z Minervy wziął list, który właśnie otworzyliśmy. Myliłem się. To była Angela.

– Po co miałyby zaglądać do skrzynki na listy Danny’ego?

– Z tego samego powodu, dla którego ty zajrzałaś do skrzynki Sama. Przyjaciel zmarł. Sprawdzała, czy są jakieś ważne sprawy, którymi trzeba się zająć. Rozpoznała jego charakter pisma. Domyśliła się, że chodzi o coś śliskiego. Może wcześniej wspominał jej, że coś znalazł. Może sama skojarzyła. Tego się już nie dowiemy.

Hannah nie odzywała się przez chwilę.

– Czas by się zgadzał – przyznała w końcu. – Dostała kopertę w sobotę rano. Wysłała mail do Sama w sobotę po południu. W niedzielę wyjechała z Winson, bo wcześniej musiała znaleźć kogoś do opieki nad dzieckiem. Wyruszyła w drogę może późnym popołudniem. A że jechała sama i nie miał kto jej zmienić za kierownicą, potrzebowała dodatkowego noclegu. Czyli dotarłaby do Gerrardsville we wtorek rano.

Reacher pokiwał głową.

– Zgadza się.

– Ktoś z Minervy wiedział, że zanim zdobyli kopertę, którą miała Angela, zdążyłeś do niej zajrzeć. Próbowali ci przeszkodzić w przyjeździe. Bez skutku. Więc użyli innej koperty adresowanej do Danny’ego, żeby cię skłonić do wyjazdu. Pewnie wyszli z założenia, że skoro zajrzałeś do jednej, to zajrzysz do drugiej.

– Prawie im się udało.

– Dotąd wszystko gra. Ale tu czegoś nie rozumiem. W pierwszej kopercie były informacje o udanej apelacji Begovica. Ta sprawa wygląda czysto. Ale Angela mówiła Samowi, że to, co ją niepokoi, ma coś wspólnego z księgowością. Jaki związek ma księgowość z Begovicem?

– Nie wiem. Na razie.

– Może powinniśmy to ustalić, zamiast iść na uroczystość.

– Ja idę na uroczystość. Ty nie musisz.

– Czego się tam dowiemy? Poza tym to może być niebezpieczne. Ludzie z Minervy na pewno nas rozpoznają.

– Wtedy rzeczywiście będzie niebezpiecznie. Dla nich.

– Słuchaj, a może obejrzymy to przez internet? Minerva ma swój kanał na YouTube. Nie trzeba oglądać tego na własne oczy.

– Trzeba.

– Co?

– Komuś bardzo zależało, żeby mi to uniemożliwić.

41

Przed więzieniem Reacher naliczył trzydzieści dziewięć osób, prócz siebie i Hannah.

Wiedział, dlaczego jest tam jedenaście z nich. Jed Starmer przyjechał zobaczyć, jak zwalniają jego tatę. Sześciu ochroniarzy i dwaj operatorzy kamer dostawali za to pieniądze. Bruno Hix, który przedstawił się jako założyciel i dyrektor generalny Minervy, lubił słuchać własnego głosu. A Damon Brockman, który też twierdził, że jest założycielem, stał z zadowoloną miną na scenie. Co do motywacji pozostałych dwudziestu ośmiu osób Reacher nie miał pewności. Nie rozumiał, jaki rodzaj kija czy marchewki mógł być wart marnowania czasu na coś takiego.

Sytuacja ożywiła się po jakichś dziesięciu minutach. Hix głądził o procentach, cytował filozofów, machał rękami jak pracownik domu aukcyjnego, a chwilę potem sztywniał, jakby ktoś wsadził mu kij w tyłek. Nagle urwał w środku wyliczania danych statystycznych. Za plecami tłumu pojawił się stary pick-up. Na platformie rozklekotanego wozu siedziało sześć osób. Kierowca zatrąbił i stojący najbliżej widzowie zeszli mu z drogi. Przez chwilę wydawało się, że wóz staranuje barierę. Reacher przysunął się do Jeda Starmera, na wypadek gdyby doszło do jakiejś awantury. Wtedy pick-up się zatrzymał. Sześciu ludzi zeskoczyło na ziemię. Zdjęli z platformy transparenty z hasłami o sprawiedliwości i zyskach. Jeden pokazał karykaturę przedstawiającą wagę Temidy z plikami dolarów na szalkach. Drugi uniósł do ust megafon. Zaczął wykrzykiwać żądania zamknięcia więzienia. Widzom się to nie spodobało. Zapanowała atmosfera wrogości. Rozległy się

gwizdy. Demonstrantów popychano i potracano. Ochroniarze podbiegli do ogrodzenia z wyciągniętymi pałkami.

Hix zeskoczył ze sceny z mikrofonem w dłoni i zamaszystym krokiem podszedł do ogrodzenia.

– Przestańcie – nakazał. – Dajcie ludziom mówić.

Facet z megafonem wziął mikrofon. Przez chwilę milczał, po czym zaczął mamrotać litanie skarg i oskarżeń.

Hix kiwał głową, zaprezentował galerię zatroskanych min, a potem odebrał mikrofon i dźwięk natychmiast stał się głośniejszy i wyraźniejszy.

– Moi młodzi przyjaciele – powiedział – cieszę się, że tu dzisiaj jesteście. Cieszę się... – Napotkał spojrzenie Reachera i nagle głos uwiązł mu w gardle. Przez chwilę jąkał się i bąkał, po czym odwrócił wzrok. – Cieszę się, że zależy wam na sprawiedliwości i humanitaryzmie. Gdybyście przyszli pod inny zakład korporacji penitencjarnej, istniałoby duże prawdopodobieństwo, że mielibyście rację. Ale tutaj jesteście w błędzie i cieszę się, że mogę wam to powiedzieć. Minerva dba o zdrowie osób przebywających w naszych murach. Minerva dba o bezpieczeństwo. O edukację. O odkrywanie potencjału. Dbamy także... – odwrócił się i z powrotem wbiegł na scenę – o naprawianie krzywd, gdziekolwiek je zobaczymy. Ale nie chcę, żebyście wierzyli mi na słowo. Panie i panowie, przedstawiam wam Antona Begovica.

Uniosła się poła namiotu zasłaniająca wejście do więzienia i wyszedł z za niej mężczyzna. W ciemnym garniturze, pod krawatem, ze świeżo ostrzyżonymi włosami. Przez chwilę stał, mrużąc oczy w blasku słońca. Wtedy Brockman, który dotąd nie zrobił jeszcze zupełnie nic, zeskoczył, ujął go pod ramię i pomógł mu wspiąć się na scenę.

Begovic wziął mikrofon i zrobił krok naprzód.

– Dziękuję wszystkim za to, że tu jesteście. Dziękuję panu, panie Hix. Dziękuję panu, panie Brockman. A przede wszystkim dziękuję korporacji Minerva i wszystkim, którzy do niej należą. Gdy inni chcieli mnie zamknąć, oni walczyli,

żeby mnie uwolnić. Jestem naprawdę wdzięczny i przysięgam, biorąc was wszystkich na świadków, że najlepiej, jak potrafię, wykorzystam każdą oddaną mi sekundę wolności.

Pomachał do widzów, a Hix i Brockman sprowadzili go z drugiej strony sceny, gdzie stało czarne bmw.

Jed dał nura i usiłował przejść pod barierą.

Reacher chwycił go, pociągnął do tyłu i zacisnął ramię na jego piersi.

Chłopiec wił się i szamotał.

– Puść! Muszę się dostać do taty. Nie macie racji. Wcale nie jest załamany.

– Nie mogę cię puścić, Jed – powiedział Reacher. – Bo ten człowiek nie jest twoim tatą.

• • •

Lev Emerson stał w wejściu do warsztatu kawałek na północ od Vicksburga i patrzył na roztańczone i strzelające płomienie. Przyglądał się, jak ciało skręca się i dygocze. Jak pali się jaśniej i szybciej, a potem spokojniej i łagodniej, aż wreszcie ką, gdzie z sufitu zwisały łańcuchy, znowu stał się ciemny, nieruchomy i zwykły. Emerson przeszedł przez dziedziniec do Graebera, który spakował już beczkę i czekał na niego, sprawdzając na aplikacjach z mapami, gdzie jest opuszczona papiernia niedaleko miasteczka Winson.

Ruszyli konwojem: pierwszy Graeber w lśniącej czarnej furgonetce, której spodziewano się w papierni, a Emerson za nim swoim brudnobiałym niezawodnym wozem. Skręcili na wschód, krótko po tym na południe i jadąc w tym kierunku, dotarli do peryferii Jackson. Wtedy Graeber zjechał na stację benzynową. Gdy zatankowali do pełna, Graeber wskazał na restaurację przy parkingu. Nic specjalnego, po prostu długi i niski ceglany budynek z płaskim dachem i neonem obiecującym smaczne jedzenie.

– Co pan o tym myśli? – spytał. – Ma pan ochotę coś przegryźć? Napić się kawy? Mamy mnóstwo czasu.

Emerson przyjrzał się lokalowi. Przed oknami było kilkanaście wolnych miejsc parkingowych. Bez problemu mogli mieć na oku białego vana.

– Czemu nie? – odparł. – Pewnie.

• • •

W środku restauracja wyglądała tak samo prosto i praktycznie jak na zewnątrz. Dziesięć czteroosobowych stolików ustawionych w rzędach po pięć. Zwyczajne meble. Podłoga z szarego linoleum, tu i ówdzie zadrapana. Na ladzie stały dwa ekspresy do kawy. Na ścianie wisiał zegar. Oprawiona w ramki mapa stanu. I telewizor. Duży. To był jedyny w miarę nowy element wnętrza. Był nastawiony na lokalny kanał informacyjny. Dźwięk był wyłączony, ale podsumowanie wiadomości przesuwano się na pasku u dołu ekranu.

Emerson siedział z twarzą zwróconą w stronę okna. Zerkał na menu, zastanawiając się, co zjeść, gdy nagle Graeber złapał go za przedramię.

– Niech pan patrzy – powiedział. – W telewizji.

Na ekranie widać było scenę przed więzieniem w Winson, na której stał mężczyzna prosto od fryzjera, w garniturze, i mówił do mikrofonu. Napis na pasku brzmiał: Oczyszczony z zarzutów Anton Begovic zwolniony z więzienia po apelacji wniesionej dzięki korporacji Minerva. Dyrektor generalny Minervy Bruno Hix powiedział...

– Begovic? – Emerson wyjął telefon, który odebrali łącznikowi w St. Louis, i otworzył zdjęcie Carpentera.

– Albo Carpenter – rzucił Graeber. – To ten sam człowiek. Nie ma wątpliwości.

Kamera śledziła mężczyznę w garniturze, gdy dwaj inni odprowadzali go do czekającego bmw. Samochód ruszył, ale powoli ze względu na tłum ludzi.

– Popatrz na tablicę rejestracyjną – powiedział Emerson. – MC jeden. Skontaktuj się z Fassbenderem. Jest nam coś winien. Powiedz mu, żeby ustalił właściciela tego wozu. Na wczoraj.

• • •

„Problem rachunkowy”, powiedziała Samowi Angela. Reacher spodziewał się czegoś skomplikowanego. Zagadki, której rozwikłanie będzie wymagało kwalifikacji i wykształcenia. Okazało się jednak, że chodzi o najprostszą sprzeczność w księdze. W każdej rubryce było za dużo o jeden. O jednego więźnia. Jedno śniadanie. Jeden lunch. Jedną kolację...

• • •

Jed wskoczył na tylne siedzenie volkswagena.

– Skąd może pan być taki pewien, że to nie mój tato? Przecież nigdy go pan nie spotkał.

– Widziałem jego zdjęcie z dnia, w którym go aresztowali.

– Ludzie się zmieniają – zauważyła Hannah. Wzdrygnęła się nienaturalnie. – Gdybyś zobaczył moje zdjęcie sprzed szesnastu lat...

– Prawdziwemu Antonowi Begovicowi brakowało kawałka ucha – wyjaśnił Reacher. – Uszy nie odrastają. Dlatego zdjęcie w kopercie w torebce Angeli miało decydujące znaczenie. Bez niego nie wiedzielibyśmy, że zwalniamy nie tego człowieka.

Hannah dodała gazu.

– W takim razie kogo zwolnili?

– Kogoś, kto potrzebował nowej tożsamości. Dowiemy się, jeżeli uda się nam dogonić Hixa.

– A jeżeli Hix nie pojedzie do domu?

– Myślę, że pojedzie. Nie spodziewał się, że będziemy na uroczystości, więc nie przypuszczał, że będzie musiał uciekać. Albo się zaszyje, albo wpadnie zabrać coś na drogę.

– Może się mylisz?

– Zadzwoń do detektywa Harewooda. Niech sprowadzi FBI.

– Przestańcie rozmawiać o tym Hixie – odezwał się Jed. – On mnie w ogóle nie obchodzi. Obchodzi mnie tylko mój tato.

– Musimy znaleźć Hixa, żeby się dowiedzieć, co się stało z twoim tatą.

– Co się stało? Nic się nie stało. Siedzi w więzieniu. Ciągle zamknięty.

Reacher nie odpowiedział. Hannah też nie.

– Gdzie indziej mógł się podziać? – spytał Jed. – Wyszedł nie ten. Tato na pewno ciągle jest w środku.

– Wyszedł nie ten – powtórzył Reacher. – Tylko tyle na pewno wiemy.

– Ten człowiek wziął sobie imię i nazwisko mojego taty. – Jed się rozplakał. – Nie może być dwóch ludzi, którzy się tak samo nazywają. Mój tato nie żyje. Prawda? Tego nie chcecie mi powiedzieć. Nie żyje, a ja nawet nie zdążyłem go poznać.

• • •

Hannah wolno minęła wielki biały dom. Bmw stało dokładnie w tym samym miejscu co rano.

– Dzięki Bogu jest. – Zatrzymała się na porośniętym trawą skraju drogi. – Ale co teraz zrobimy? Nie możesz zadzwonić domofonem i poprosić Hixa, żeby cię wpuścił. Bramy pewnie są za mocne, żeby je staranować. I pewnie mają czujniki, które włączają alarm, kiedy ktoś próbuje się po nich wspiąć. U góry murów jest warstwa tłuczonego szkła. Założę się, że na ziemi po drugiej stronie też są czujniki.

– Cofnij pod mur. – Reacher wyjął z poszewki broń. Piaskowego sig sauera P320, którego skonfiskował zbirom na parkingu dla ciężarówek przy drodze I-20. – Jed, zajrzyj do dolnej szuflady. Potrzebuję pięciu koców. I poduszki z kanapy.

• • •

Reacher związał rogi dwóch koców, tak żeby uzyskać maksymalną długość po ich przekątnej. Zrolował je, by zrobić prowizoryczny sznur, zwinął go i zawiesił sobie na szyi. Następnie w ten sam sposób związał ze sobą trzy pozostałe koce. Jeden koniec przymocował do tylnego zderzaka volkswagena i wspiął się na dach samochodu. Hannah podała mu poduszkę z kanapy. Położył ją na tłuczonym szkłe przytwierdzonym do szczytu muru. Przełożył koc przez poduszkę i powoli opuścił, uważając, by nie dotknął ziemi po drugiej stronie. Stał na murze na wąskim pasku cegieł, na którym nie było szklanych odłamków. Sprawdził, czy związane koce wiszą na tyle nisko, by mógł ich dosięgnąć, gdyby musiał wspiąć się z powrotem. Potem się rozejrzył. U podnóża muru biegł gładki trawnik szerokości około metra. Tam najprawdopodobniej ukryto czujniki. Za trawą wzdłuż całej posesji ciągnął się pięciometrowy pas drzew. Reacher wziął na cel lukę między dwoma cieńszymi pniami. Skoczył, rzucając się naprzód, przeturlał się przy lądowaniu i natychmiast zerwał się z ziemi. Przykucnął, nasłuchując. Nie odezwał się żaden alarm. Żaden dzwonek. Żaden pies.

Wyprostował się i przeszedł na drugą stronę linii drzew, do miejsca, z którego mógł po przekątnej zbliżyć się do rogu domu. Dzięki temu nie był widoczny z żadnego okna. Podczołgał się do granicy, za którą nie miał już żadnej osłony. Leżał zupełnie bez ruchu przez pięć minut i obserwował.

Zza niego, trochę z lewej, dobiegł jakiś odgłos. Trzask gałązki. Reacher pospiesznie się wycofał, a potem wstał i pobiegł w kierunku źródła dźwięku. Okrążył drzewo. I ujrzał mężczyznę, który siedział pod pnem, przyciskając kolana do piersi. Uniósł wzrok na Reachera i szepnął:

– Proszę, nie rób mi nic złego. Nie rób mi nic złego. Nie rób mi nic złego.

– Nic złego ci nie zrobię – odpowiedział półgłosem Reacher. – Kim jesteś?

Mężczyzna odrobinę się wyprostował, a gdy Reacher zobaczył go lepiej, przyszło mu na myśl, że wygląda jak młody Che Guevara.

– Jestem Maurice – przedstawił się. – A ty?

– Reacher. Co tu robisz?

– Wolałbym nie mówić.

– Pracujesz dla Hixa? Czy kogoś innego z Minervy?

– W życiu!

– Chcesz zadzwonić na policję czy zrobić coś głupiego?

– Policja to ostatni ludzie, do których bym dzwonił. No i czy mógłbym zrobić coś głupszego, niż utknąć na tym cholernym podwórku?

– Okej. Miło było cię poznać. – Reacher odwrócił się i znowu ruszył w stronę domu.

– Zaraz. Hix jest u siebie. Jego prawa ręka też. I jeszcze jeden gość.

Reacher nie zatrzymywał się i nie zwracał na niego uwagi.

Maurice potruchtał za nim.

– Zaczekaj. Proszę. Muszę cię o coś spytać. Pracujesz nad artykułem czy reportażem? Bo jeżeli tak...

– Jesteś dziennikarzem? – spytał Reacher.

Maurice skinął głową.

– Ja nie. Nie zamierzam ci kraść tematu. Zostań tu. Schowaj się. Bądź cicho. Nie zwracaj na siebie uwagi. Tu chodzi o czyjeś życie.

– Czyjeś? Wielu ludzi.

– Co masz na myśli?

– Jesteś tu z powodu narkotyków, prawda? Dlatego chcesz dorwać Hixa. Co się stało? Straciłeś członka rodziny? Przyjaciela? W więzieniu Minervy?

Reacher chwycił go za rękę i odciągnął w głąb drzew.

– Mów, co wiesz. Wszystko. Natychmiast. W największym skrócie.

– Dobra, posłuchaj. Minerva jest jak ośmiornica, rozumiesz? Zła ośmiornica. Pozornie postępuje i oświecona. Ale tak naprawdę jej macki sięgają wszędzie. Selekcjonują więźniów. Kaza im pracować. To różne zajęcia. Między innymi udoskonalanie dragów. Robią to w pustych oddziałach izolacyjnych. Zaopatrują osadzonych. Właśnie dlatego mają taki wysoki wskaźnik umieralności. Wypierają się tego, ale to prawda. I rozwijają działalność. Weszli już na inne rynki.

Ma sens, pomyślał Reacher. Wszystkie więzienia mają kłopoty z narkotykami. Może Minerva zobaczyła w tym swoją szansę. To może być świetny biznes. A ludzie zaangażowani w tę branżę od czasu do czasu potrzebują nowej tożsamości.

– Gdzie na to dowód? – spytał.

– Wskaźnik umieralności. Udokumentowałem to. Nic więcej nie mam. Na razie.

– Idę złożyć wizytę Hixowi. Być może poruszymy ten temat. Jeżeli dowiem się czegoś konkretnego, wszystko ci przekażę.

42

Reacher wysunął się z osłony drzew i zbliżył do rogu domu od południowego wschodu. Wspiął się na balustradę werandy i oplótł lewym ramieniem kolumnę podpierającą balkon. Prawą ręką zsunął z szyi zwinięty sznur ze związanych dwóch koców. Przytrzymał jeden koniec, a resztę rozkołysał szerokim łukiem. Raz. Drugi. Przy trzecim rozmachu wyrzucił go w kierunku domu i gwałtownie pociągnął, prostując, jak pogromca lwów uzbrojony w za duży bat. Koniec owinął się wokół kolumny i opadł z drugiej strony. Reacher chwycił go lewą ręką. Zacisnął dłonie na dwóch pasmach skreconych koców. Przystawił stopy do kolumny. Przesunął w górę lewą dłoń i podciągnął się, równocześnie prawą nogą robiąc pionowo krok. Przesunął prawą dłoń i postawił wyżej lewą stopę. Wspinał się w ten sposób, dopóki nie dosięgnął górnej balustrady, a wtedy podciągnął się i przeskoczył ją.

Stanął na balkonie ciągnącym się wzdłuż bocznej ściany domu. Przez chwilę nasłuchiwał. Znikąd nie dochodził żaden dźwięk.

Na balkon wychodziło czworo przeszklonych drzwi. Może z sypialni. Wszystkie były zamknięte i przesłonięte od wewnątrz białymi zasłonami. Żeby bronić prywatności. Albo pokoi przed upałem.

Reacher przeszedł na tyły domu. Deski balkonu były solidne. Stąpał po nich bezszelestnie. Spojrzał w dół na kwadrat o boku około piętnastu metrów, który wycięto między drzewami i obsiano trawą. Wszystko wskazywało na to, że Hix przygotowywał przyjęcie. Z lewej strony stał bar z szeregiem srebrnych kubeków na lód, na stolikach leżały tace z plastikowymi kubkami, a obok umieszczono dwa

gigantyczne kosze na śmieci w kształcie greckich waz. Pośrodku trawnika kawałek ziemi przykryto deskami, tworząc prowizoryczny parkiet do tańca. Po prawej zainstalowano scenę z perkusją, mikrofonami na statywach i rampą z reflektorami obejmującą jej całą szerokość.

Szedł dalej, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Otwieranego pionowo okna z mleczną szybą. Łazienki. Wyjął kartę do bankomatu i wsunął w ościeże między górnym a dolnym skrzydłem. Przeciągał nią z boku na bok, dopóki nie odblokował zatrzasku. Wtedy odrobinę uniósł dolną część i przez szparę zajrzał do środka. Zobaczył wannę. Umywalkę. Sedes. Ale żadnego człowieka. Otworzył okno do końca i wsunął się do środka. Podszedł do drzwi i uchylił je. Nikogo nie zobaczył, więc wyszedł na korytarz na piętrze. Miał kształt litery U, której otwartą część zasłaniała ozdobna balustrada, tak że wyglądało to jak coś w rodzaju wewnętrznego balkonu. W dole był hol. Schody znajdowały się na przeciwległym końcu balustrady. Z parteru dobiegło echo głosów. Trzech mężczyzn. Brzmiały znajomo. I słychać w nich było złość.

• • •

Reacher ostrożnie schodził po schodach. Trzymał się jednej strony, gdzie, jak przypuszczał, stopnie będą najmniej skrzypieć. Dotarł do holu i zbliżył się do pierwszych drzwi po prawej. To zza nich dochodziły krzyki trzech mężczyzn. Reacher rozpoznał głosy – słyszał je na uroczystości przed więzieniem.

– To twoja wina – mówił Brockman. – Gdybyś nie stracił zimnej krwi i nie schował się jak wystraszony dzieciak...

– Robisz z igły widły. – To był głos faceta, który wyłonił się z namiotu, udając Begovica. – Wystraszyłem się, to fakt. Nie jestem idiotą. Ale ciągle pracowałem. Kontakty zostały odnowione. Dzisiaj po południu wznowimy dostawy. Z dwoma naszymi klientami ustaliłem lepsze stawki. Nie możemy narzekać na brak popytu. Mamy niewyczerpane źródło zaopatrzenia. Pytanie tylko, ile chcemy zarobić.

- Ale widział cię Reacher.
- I co z tego?
- Widział też zdjęcie. Wie, że nie jesteś Begovicem.
- Nie zostało zniszczone?
- Zostało.
- Wymieniono odciski palców w systemie?
- Wymieniono.

– DNA Begovica nie ma w żadnych bazach danych. Czyli nie da się udowodnić, że nim nie jestem. Powinniście od razu ze mną porozmawiać. Powiedziałbym wam. Nie ma żadnego zagrożenia. Zwłaszcza że prawdziwy Begovic za godzinę zostanie zapakowany. A jutro będzie już w kawałkach. Ani Reacher, ani nikt inny nie może tego zatrzymać.

• • •

Reacher otworzył drzwi i wszedł. Znalazł się w kuchni. Niedawno odnowionej. Wszystkie powierzchnie były z marmuru, jasnego drewna i stali nierdzewnej. Trzej mężczyźni siedzieli na wysokich stołkach przy barku śniadaniowym. Wszyscy obrócili się w jego stronę.

Brockman wstał.

– Reacher? Co ty tu robisz, do cholery?

Reacher dwoma długimi krokami pokonał dzielącą ich odległość i trzasnął go pięścią w twarz. Brockman uderzył plecami o blat i zsunął się na podłogę między kumpli.

– Ty – powiedział Reacher, odwróciwszy się do tego, który podawał się za Begovica. – Prawdziwe nazwisko.

Facet zszedł ze stołka.

– Odwal się.

– No, nie. Pewnie w szkole miałeś ciężkie życie. – Reacher wymierzył mu cios w brzuch, a gdy mężczyzna zgiął się wóół, wbił mu łokieć w tył głowy. Pod „Begovicem” ugięły się nogi i runął twarzą na podłogę.

Reacher skierował wzrok na Hixa.

Dyrektor generalny Minervy został na stołku. W dłoni miał telefon.

– Nie patrz na mnie, nic ci nie powiem – uprzedził.

Trzy razy stuknął palcem w ekran. Reacher odebrał mu telefon i zobaczył trzy cyfry – 911 – ale połączenie nie zostało nawiązane. Upuścił aparat i rozgniół go obcasem. Potem wszedł za barek śniadaniowy. Otwierał po kolei szuflady, dopóki nie znalazł przyborów kuchennych. Wyjął nóż z ostrzem, które miało tylko osiem centymetrów, ale to wystarczyło. Nóż był przeznaczony do czynności wymagających precyzji. Obierania. Siekania. Krojenia w kostkę. Pokazał go Hixowi.

– Dzisiaj rano patrzyłem na ciebie na scenie. Wygłaszanie przemówienia wyraźnie sprawiało ci przyjemność. Jakbyś uwielbiał to zainteresowanie. Kamery. Powiedz mi, czy kamery dalej będą cię kochać, jeżeli odetnę ci nos i każę ci go zjeść?

• • •

Reacher spędził w wielkim białym domu niecałe dziesięć minut. Kiedy wyszedł, miał przy sobie smycz z więziennym identyfikatorem i kluczyk do samochodu. Podeszedł do bmw Hixa i otworzył drzwi od strony kierowcy. Nachylił się do środka i wcisnął przycisk w suficie przy lusterku wstecznym. Zaczęła się otwierać brama na końcu podjazdu. Zawołał Maurice’a i kazał mu wyjść z kryjówki między drzewami. Potem poszedł na koniec podjazdu i zawołał Hannah. Poleciał jej zabrać z muru poduszkę oraz koc przywiązany do zderzaka i podjechać volkswagenem przed front domu.

Hannah zaparkowała u stóp schodów prowadzących do drzwi wejściowych. Jed zdążył się przesiąść na miejsce dla pasażera. Zdenerwowany Maurice stał przy tylnych drzwiach volkswagena.

– Posłuchajcie, jak wygląda sytuacja – odezwał się Reacher. – Jed, twój ojciec żyje. Postaram się, żeby tak zostało, ale nie chcę cię okłamywać. Zostało mu niewiele czasu i ma poważne kłopoty. Dlatego niczego nie obiecuję. Ty, Hannah, musisz zabrać Jeda do Riverside Lodge. Weź pokój. Przedstaw się jako J.P. Slough. Zapłać gotówką. Zadzwoń do detektywa Harewooda. Koniecznie musi włączyć do tego federalnych. Powiedz mu, żeby zaczęli tu, od domu. Jeżeli za dwie godziny nie będzie mnie jeszcze w hotelu, wyjedź z miasta. I nie wracaj. Maurice, częściowo miałeś rację. Coś zabija więźniów Minervy. Może tych, którzy nie siedzą, też. Ale to nie narkotyki.

• • •

Reacher wziął poszewkę i wrócił do bmw. Zanim się zorientował, które przyciski i dźwignie służą do ustawienia fotela, żeby mógł się zmieścić za kierownicą, Hannah zajęła miejsce pasażera.

– Znowu próbujesz się mnie pozbyć – powiedziała. – To paskudny zwyczaj.

– Nie pozbywam się ciebie – odparł Reacher. – Po prostu tym razem nie możesz ze mną jechać. To jednoosobowe zadanie. Poza tym wolę, żebyś miała na oku Jeda. Jeżeli wszystko się posypie i jego ojciec nie przeżyje, chłopak będzie potrzebował pomocy.

– Jego ojciec naprawdę jeszcze żyje?

– Tak przypuszczam.

– Gdzie jest?

– W więzieniu.

– Kim jest oszust, który go udaje?

– Występuje pod nazwiskiem Carpenter. Niekoniecznie prawdziwym. Jest pośrednikiem między Minervą a klientami, których firma zaopatruje. Dziesięć lat temu w Paragwaju sypanął kogoś. Spodziewał się, że facet zginie w pudle, ale przeżył. Wrócił do Stanów i chce wyrównać rachunki. Minerva nie mogła się odciąć od Carpentera, bo potrzebuje jego kontaktów. Więc szukał nowej tożsamości. Do zamiany wykorzystali nakaz zwolnienia Begovica. Carpenter bał się, więc do dzisiejszej uroczystości krył się w więzieniu. Danny Peel zauważył, że nie zgadzają się liczby. Zaczął węszyć. I zorientował się, o co chodzi. Powiedział Angeli, a ona powiedziała Samowi. Resztę znasz.

– Gdzie są teraz ci ludzie z Minervy? Hix, Brockman... i ten Carpenter?

– W domu. W kuchni.

– Nie możemy ich tak zostawić, ktoś powinien ich pilnować.

– Nigdzie się nie wybierają.

– O własnych siłach pewnie nie. Ale co będzie, jeżeli ich ludzie zaczną ich szukać?

– Właśnie dlatego Harewood musi sprowadzić FBI.

– A jeżeli ktoś ich uratuje, zanim federalni się tu zjawią?

– Musimy się liczyć z takim ryzykiem. Nie mogę zostać, żeby ich pilnować. Muszę iść po Begovica.

– Ja ich przypilnuję. Nie chcę uciekać i kryć się w hotelu, a im zostawiać otwarte drzwi. Oni zabili Sama. Nigdzie się stąd nie ruszę, dopóki nie zostaną aresztowani. To moja decyzja. Moje ryzyko. Mam sig sauera. Nie boję się go użyć. Zresztą sam wczoraj widziałeś.

Reacher się nie odezwał.

– A ten chłopak, który się tu czai? – spytała. – To jakiś rewolucjonista? Czy po prostu nie umie się gustownie ubierać?

– Ma na imię Maurice. Jest dziennikarzem. Wydaje się niegroźny.

– W takim razie może się zaopiekować Jedem.

– Chyba tak.

– Jed miał rację. Chcą zabić jego ojca. I nie wyobrażam sobie, jak możesz ich powstrzymać.

– Mam pomysł.

– On siedzi w celi. Nie uda ci się go wyciągnąć. Przecież wiesz. Sam analizował próby ucieczki podejmowane przez więźniów. To wymaga długich miesięcy planowania. Obserwacji. Trzeba ustalić, do których obowiązków strażnicy nie za bardzo się przykładają. Który sprzęt nawala. Gdzie są ustępki w budynku. Kto z personelu olewa sobie pracę, bo się rozwodzi albo pije, albo bierze narkotyki, albo uprawia hazard, albo ma długi. No i potrzebne jest szczęście. Ale nawet wtedy dziewięćdziesiąt dziewięć procent ucieczek się nie udaje.

– Mam trochę większe szanse.

– Naprawdę? Dlaczego tak sądzisz?

– Harold nie miał na palcu obrączki. I widziałem cztery równe trójkąty trawy.

• • •

Reacher zaparkował bmw na podjeździe przed małym i zaniedbanym domem Harolda. To był parterowy budynek, z którego płatami schodziła farba; miał oblepione brudem okna, mikroskopijny ganek i ogródek zarośnięty chwastami. Reacher zaczął od skrzynki na listy. Pękała w szwach. Ale nie zwracał większej uwagi na przesyłki, które tam były. Wziął tylko gumkę recepturkę z pierwszego z brzegu pliku korespondencji i podszedł do tylnego wejścia. Nie było trudno wybrać klucz z kolekcji w poszewce. To ten najbardziej zadrapany. Reacher otworzył drzwi, szybko przeszedł kuchnię, skręcił na korytarz i po chwili znalazł sypialnię Harolda. Zajrzał do szafy. Był w niej tylko jeden garnitur. Czarny. Na wieszaku obok wisiała elegancka biała koszula. W szufladzie tkwił zrolowany krawat. Też czarny. Pogrzebowy strój, pomyślał Reacher. Ale to mu nie przeszkadzało. Do jego celów nadawał się świetnie. Przebrał się w rzeczy Harolda, swoje ubranie wrzucił do poszewki i wyszedł do garażu.

Teoretycznie były w nim trzy miejsca na pojazdy, ale dwa były zajęte przez sprzęt do podnoszenia ciężarów. Na ścianie wisiały zdjęcia Harolda w dziwnych strojach z lycry, siłującego się z przeróżnymi ciężkimi przedmiotami. Z traktorami. Oponami. Zwierzętami hodowlanymi. Z kręgiem sera. Reacherowi cisnęły się na usta różne pytania. Trzecie miejsce w garażu było puste. Na podłodze były plamy oleju. Resztki rozlanego lakieru. Zaschnięty osad po wyciekach innych płynów. Ale nie zauważył żadnego dziennika. Nie było skrupulatnego rejestru. Prawdopodobnie nigdy nie prowadzono tu żadnych poważniejszych napraw. Reacher podszedł do małego stolika z narzędziami. Wziął nóż. Śrubokręt. Młotek. I rolkę taśmy izolacyjnej.

Po powrocie do samochodu wyjął resztę gotówki ze wszystkich portfeli, które miał w poszewce. Zwinął banknoty w rolkę, spiął gumką recepturką i włożył do kieszeni. Wyrzucił z poszewki wszystko prócz narzędzi i sig sauera. Na szyi zawiesił smycz z identyfikatorem. I pojechał do więzienia.

• • •

Skromny tłum widzów już się rozszedł. Zniknęli też ochroniarze i operatorzy kamer. Przed więzieniem zostali tylko ludzie z zewnętrznych firm, którzy krążyli po placu, przenosząc krzesła albo składając zdemontowane elementy ogrodzenia. Wejście wciąż zasłaniał namiot, choć nie był już tak sztywny jak wcześniej. Zapadł mu się dach, a ściany łopotały na wietrze. Usunięto powierzchnię sceny i złożono na platformie pick-upa stojącego obok odsłoniętego szkieletu. Reacher zaparkował obok tego wozu. Wsiadł z bmw i przechadzał się, spoglądając z miną szefa na pracujących zleceniobiorców. Ludzie odwracali wzrok i udawali, że go nie widzą.

Kiedy dotarł do wejścia, nachylił się, jak gdyby coś kontrolował, i delikatnie położył rolkę banknotów przy ogrodzeniu. Potem ruszył z powrotem w stronę bmw. Gdy był blisko samochodu, odwrócił się do trójki stojących najbliżej ludzi.

– Hej! – zawołał. – Wy trzej! Przestańcie się objajać. Złóżcie ten namiot. Niedługo przyjadą ludzie na widzenia. Jak mają się dostać do środka?

Burknęli coś pod nosem i poczłapali zrobić to, co im kazano. Reacher wyjął z samochodu poszewkę i zaniósł do pick-upa stojącego przy rozbieranej scenie. Otworzył drzwi i położył ją na fotelu pasażera. Potem cofnął się i obserwował ludzi z obsługi. Czekał. Po paru minutach jeden z nich zauważył zwitek pieniędzy. Podszedł bliżej. Nachylił się, by go podnieść. Ale chciwość i zaskoczenie zagłuszyły pamięć. Podszedł za blisko ogrodzenia i czujniki pod ziemią to wykryły. Natychmiast wysłały sygnał do komputerów w centrum bezpieczeństwa. Rozległ się ryk syreny. Błysnęły czerwone światła. Wszystkie reflektory w kompleksie więziennym zapaliły się równocześnie. I wszystkie kamery w pobliżu obróciły się tak, by jak najlepiej pokazać operatorom przyczynę alarmu.

• • •

Reacher wskoczył za kierownicę pick-upa, uruchomił silnik i cofnął wóz pod ogrodzenie u stóp najbliższej wieży strażniczej. Złapał poszewkę. Zacisnął ją w zębach. Wspiął się na dach samochodu. Wyciągnął się jak struna i złapał się barierek wieńczącej murek na wieży. Odepchnął się nogami i podciągnął się na rękach. Dał nura za barierkę głową naprzód. I nie został przywitany przez nikogo. Na wieży nie było strażnika. A w zasięgu wzroku nikogo w mundurze i z bronią.

Wyjrzał zza murku na drugą stronę ogrodzenia. Poniżej, kawałek od wieży, ujrzał trawiasty trójkąt. Trawa wyglądała na tak samo soczystą i bujną jak z zewnątrz. Patrząc z wysoka, zauważył, że cegły okalające trawę są pomalowane na czerwono. Znak ostrzegawczy, by trzymać się z daleka. Ze względu na przeznaczenie trójkąta. To była tarcza, do której strażnicy oddawali strzały ostrzegawcze. Ziemia była tam miękka. Dobrze pochłaniała energię pocisków. Nie stwarzała niebezpieczeństwa rykoszetu. Ostatnio doszło do co najmniej jednego buntu. Wspominała o nim Hannah. Ale na wypielegnowanej trawie trudno było

dojrzeć zniszczenia spowodowane przez pociski. Stąd wniosek, że z wież strażniczych już nie korzystano i odgrywały tylko rolę dekoracji, gdy Hix inscenizował szopkę dla mediów. Ciężką pracę w świecie inwigilacji wykonywała dziś elektronika. Kamery i czujniki. Reacher uśmiechnął się. Właśnie tak mówili kiedyś w wojsku: czasem nic nie może zastąpić systemu obserwacyjnego Oko Ludzkie Typ 1.

43

Z wież strażniczych już w zasadzie nie korzystano, ale wciąż były połączone z siecią osłoniętych metalową siatką łączników, które przecinały cały kompleks więzienny. Reacher zszedł po drabinie i skierował się w stronę budynku, w którym znajdowało się centrum bezpieczeństwa. Wiedział, gdzie to jest, bo kazał Hixowi naszkicować plan.

Po drodze przeszedł przez pięć drzwi. Były zabezpieczone. Karta Hixa otworzyła wszystkie. Za ostatnimi znajdowało się samo centrum. Za tą granicą nie było już drzwi z dostępem administracyjnym, ale tylko operacyjnym. To oznaczało, że można je otworzyć tylko zdalnie. To właśnie był jedyny powód wizyty Reachera.

Kiedy wszedł do centrum bezpieczeństwa, dyżurowały tu dwie osoby. Mężczyźni. Obaj pod sześćdziesiątkę. Obaj z odpowiednio dużym doświadczeniem, by w chwilach stresu podejmować rozsądne decyzje. Taka była teoria. Opracowana bardziej na prawdopodobieństwie prób ucieczki i buntów niż na zagrożeniu wtargnięcia jednego człowieka. Nawet gdyby to był człowiek, który może dokonać tylu szkód co średnich rozmiarów bunt. Tak czy owak, teoria okazała się słuszna. Reacher podał mężczyznom instrukcje. Wypełnili je co do joty. Nie wzbraniali się, nawet gdy zamknął ich w schowku i złamał klucz w zamku.

Spojrzał na wyświetlacz na panelu kontroli dostępu. Pokazywał podstawowe informacje, ale łatwo było je zrozumieć. Symbole oznaczające drzwi między centrum bezpieczeństwa a oddziałem izolacyjnym S1 były zielone. Wszystkie

pozostałe oznaczono na czerwono. Właśnie to Reacher chciał zobaczyć, więc wyjął z poszewki młotek i roztrzaskał przełączniki. Potem rozbił wszystkie monitory. Na pewno nie mógł unieruchomić wszystkich kamer po drodze. Kosztowałoby to sporo trudu. I czasu. Nie było jednak sensu zostawiać możliwości ich użycia następnej zmianie.

Przed celą Begovica miał do pokonania jeszcze pięćdziesiąt drzwi. Dwoje pierwszych znajdowało się w częściach osłoniętego siatką łącznika. Idąc nim, Reacher był zupełnie odkryty. Znalazł się w samym środku wrogiego terytorium. Nieprzyjaciel miał nad nim ogromną przewagę liczebną. Miażdżącą przewagę ogniową. Gdyby któreś drzwi się nie otworzyły, Reacher miałby poważny problem. Albo jeśli uruchomiłby się jakiś system antyinfiltacyjny, o którym nie wiedział, i uwięził go. Albo awaryjny panel sterowania. Albo rozpoczęłyby się automatyczny reset. Wiedział, że jest mnóstwo powodów, dla których może stąd nie wyjść żywy.

Powoli zbliżył się do pierwszych drzwi. Spokojnie. Wyciągnął dłoń. Pchnął. Otworzyły się. Tak samo drugie. Trzecie prowadziły z łącznika do zadaszzonego korytarza. To była mniejsza przestrzeń. Całkowicie zamknięta. Gdyby tutaj drzwi się zablokowały, poczułby się jak szczur w rynnie. Trzecie też się otworzyły. Podobnie jak czwarte, które prowadziły bezpośrednio do oddziału izolacyjnego. Reacher znalazł się w środku krzyża, na parterze. Powyżej znajdowały się trzy pomieszczenia tworzące centrum kierowania oddziału. W każdej ścianie były drzwi do jednego z więziennych skrzydeł. On musiał wejść do zachodniego. Ustalił, że to piąte drzwi. Pchnął je. Ustąpiły.

Przystanął i przyjrzał się po kolei drzwiom każdej celi. Było ich szesnaścioro. Piętnaścioro było na stałe otwartych, ponieważ skrzydło zostało oficjalnie wyłączone z użytku. Korzystano z niego wyłącznie do potajemnych projektów. Hix przysięgał, że jedyną osobą zamkniętą w jednej z tych cel jest Begovic. Gdyby jednak ukrył tu paru potulnych psychopatów, prawdopodobnie uznałby, że może sobie pozwolić na tak niewinne kłamstwo.

Reacher nasłuchiwał. Wyłowił odgłos ruchu. To były dwie osoby. W pierwszej celi po prawej, W1. Hix nazwał to strefą przygotowania do transportu. Drzwi do

celi były uchylone. Reacher otworzył je na całą szerokość. Wewnątrz stał stół operacyjny. Metalowy wózek z zestawem narzędzi chirurgicznych. Szafka pełna medykamentów. Dwa stojaki na kroplówki. Kardiomonitor. Metalowa skrzynia wielkości człowieka, z podłączonym dwunastowoltowym akumulatorem podobnym do samochodowego, zasilającym system sterujący wewnętrzną temperaturą, jak w futurystycznej podróżnej trumnie. Defibrylator na ścianie. I dwaj mężczyźni w chirurgicznych uniformach.

Jeden chwycił z wózka skalpel i rzucił się na Reachera. Frontalnie. Mierząc w brzuch. Ale bez ikry. Bez zajadłości. Nie miał praktyki w walce na noże. Nie było wątpliwości. Reacher odtrącił jego rękę na bok i kontynuował obrót, by wziąć rozmach, po czym wymierzył mu cios tuż pod uchem. Siła uderzenia wrzuciła mężczyznę w wąską lukę między stołem operacyjnym a ścianą.

Reacher odwrócił się do jego towarzysza. Ten stał z podniesionymi rękami.

– Nie rób mi nic złego – wykrztusił. – Nie będziesz miał ze mną kłopotów. Zrobię wszystko, co zechcesz.

– Szykujecie się do „przygotowania” Begovica?

– Chyba tak. Nie podają nam nazwisk.

– Zamierzacie go poszatковать?

– Boże, nie. To robi nabywca. Wysyłamy ciała w całości.

– Kim jest nabywca?

– Nie wiem.

Reacher zrobił krok naprzód.

– Przysięgam – dodał szybko mężczyzna. – Nie dopuszczają nas do takich informacji. Ale krąży plotka. Ten idzie do naszego najważniejszego klienta. Działają na jakimś statku. Niedaleko wybrzeża Jersey. Na wodach międzynarodowych. Tam nie obowiązują żadne przepisy.

– Czyli potną go ludzie na tym statku. I co potem? Przechowają części jego ciała, dopóki nie będą potrzebne?

– Ostatecznie tak. Nie umrze, dopóki będą pobierać mniej istotne organy. Rogówkę. Jedną nerkę. Skórę. Jakąś kość. Duże stawy. I krew. Krew sama się uzupełnia, więc opłaca się jak najdłużej utrzymywać go przy życiu.

– Ile to w sumie jest warte?

– Wykorzystują wszystko. Może jakieś osiemset tysięcy dolarów.

– Wysyłacie tam ludzi. Wywozicie ich stąd jeszcze żywych.

– To moja praca. Robię, co mi każą.

Reacher poczuł wzbierającą w gardle żółć, więc zbliżył się do mężczyzny, rąbnął go bykiem w twarz i wycofał się na korytarz.

• • •

Cele W2, W4 i W6 były puste. W3 też. W W5 zauważył ślady świadczące o tym, że niedawno była zajęta. Było w niej pojedyncze łóżko przykryte jasnoniebieską kołdrą, a na szafce pod przeciwległą ścianą stał telewizor. W powietrzu wyczuwało się zapach pizzy i chińszczyzny. Tu ukrywał się Carpenter, zanim na uroczystości zwolnienia zajął miejsce Begovica. W7 była pusta. A Begovic siedział w celi W8. Leżał na łóżku zupełnie bez ruchu, gdy Reacher otworzył drzwi. Przez chwilę myślał, że nie żyje. Że cała ta akcja jest pułapką. Wtedy Begovic mrugnął.

– Anton? – odezwał się Reacher przyciszonym głosem. – Nazywam się Reacher. Przyszedłem ci pomóc. Wyciągnąć cię stąd. Musimy szybko wyjść. Możesz wstać?

Begovic ani drgnął. I nie odpowiedział.

Żyje, pomyślał Reacher. Jest po prostu w stanie katatonii. To zresztą całkiem zrozumiałe. Od lat był bezpodstawnie więziony. Obiecano mu wolność. A potem zapakowano go z powrotem do separatki. Reacher trochę mu współczuł. Ale czuł też, jak upływają cenne sekundy.

– Begovic! – powiedział. – Powstań. Na wprost patrz. Naprzód marsz.

Mężczyzna podniósł się i podszedł do drzwi. Reacher rozejrzał się po celi w poszukiwaniu rzeczy mających wartość sentymentalną, ale nie dostrzegł niczego takiego, więc poprowadził Begovica na korytarz. Potem w stronę drzwi w środku oddziału. Gdy byli w połowie drogi, zgasły światła. Na sześć długich sekund korytarz pogrążył się w zupełnej ciemności. Reacher usłyszał dwa metaliczne trzaski. Jeden z tyłu. Drugi przed sobą. Oddech Begovica stał się głośniejszy. Szybszy. Płytszy. Potem rozległo się donośne łup i światło wróciło, ale o połowę słabsze.

– Co się stało? – Głos Begovica był cichy i delikatny.

– Siadło zasilanie – wyjaśnił Reacher. – Włączyły się awaryjne generatory.

– Okej. – Begovic ruszył dalej.

Wcale nie okej, pomyślał Reacher. Wprost przeciwnie. Ale nie odezwał się, dopóki nie doszedł do drzwi. Nie było sensu bić na alarm, jeżeli się mylił. Okazało się, że nie. Stało się to, czego się bał.

Drzwi były już zamknięte.

Emerson i Graeber bez większych trudności znaleźli poszukiwaną starą papiernię pod Winson. Graeber prowadził czarną furgonetkę, której spodziewano się na umówionym miejscu spotkania. Emerson jechał białą. Kiedy zobaczyli dawną fabrykę, podjechali pięćset metrów dalej, a potem zjechali na bok, żeby zastanowić się nad następnym posunięciem.

Przyjechali sporo przed czasem. Miejsce było ustronne. Układ budynków wydawał się nieskomplikowany. Jedynym problemem, na jaki obaj zwrócili uwagę, mógł być dostęp do środka. Widzieli w życiu o wiele lepiej zabezpieczone obiekty, ale byli przyzwyczajeni do pracy w opuszczonych budynkach. Tu będą mieli do czynienia z co najmniej jedną osobą. Może będzie ich więcej. I musieli zabrać ze sobą do środka sprzęt i materiały. Przede wszystkim beczkę. A to oznaczało konieczność otwarcia bramy. I należało to zrobić cicho.

W najlepszym z możliwych scenariuszy człowiek, którego chcieli zaskoczyć, był już w środku. W takim wypadku wystarczyłoby zaczekać, aż chloroform zacznie działać, a potem mogli hałasować z bramą, ile dusza zapragnie. Gdyby chcieli, mogliby ją nawet wysadzić w powietrze.

Poświęcili jeszcze dwie minuty na analizowanie innych możliwości, po czym ułożyli plan. Prosty, czyli z rodzaju takich, jakie Emerson lubił najbardziej. Postanowili zostawić samochody tam, gdzie się zatrzymali. Wziąć z białego lekką składaną drabinę, kawał brezentu i sznur. Przeleźć przez mur. Zrobić rekonesans we wszystkich budynkach papierni. Wziąć chloroform. I liczyć na łut szczęścia.

• • •

– Co się stało? – powtórzył Begovic.

Reacher wiedział, ale nie miał ochoty wdawać się w szczegóły. Pamiętał, jak wiele lat temu słyszał o tym wszystkim od pasjonującego się techniką kaprała w Leavenworth, kiedy pojechał tam w związku z transportem więźnia. Żołnierz tłumaczył mu, że drzwi w więzieniu nie są z natury otwarte i nie zamyka się ich w razie potrzeby. Jest odwrotnie. Ich naturalnym stanem jest zamknięcie i w razie potrzeby można je otworzyć. Działają dzięki rywalizacji dwóch magnesów. Jeden jest trwały. Drugi to elektromagnes. Trwały jest zamontowany w ścianie. W naturalny sposób przyciąga stalową sztabę, która przez izolowaną prowadnicę w drzwiach wsuwa się do gniazda we framudze i zamyka je. Elektromagnes aktywuje się, gdy przepływa przez niego prąd, a ponieważ jego siła jest większa niż trwałego magnesu, odciąga stalową sztabę w przeciwnym kierunku i wysuwa ją z gniazda, odblokowując zamek.

Taki system ma dwie zalety. Łatwo jest zamykać i otwierać drzwi zdalnie. To tylko kwestia włączenia lub wyłączenia napięcia w obwodzie elektromagnesu. Jeżeli z jakiegoś powodu zasilanie zostanie wyłączone, choćby na chwilę, system zabezpiecza się, automatycznie zamykając drzwi.

Ktoś się zorientował, że Reacher otworzył wszystkie drzwi na swojej trasie. Nie można ich było zamknąć zwykłymi przełącznikami, ponieważ zniszczył je młotkiem. Dlatego odłączono zasilanie. Zamki w drzwiach celowo nie zostały podłączone do obwodów awaryjnych. Prostota tego rozwiązania nie mogła nie budzić podziwu Reachera. Ale musiał też przyznać, że ma ogromne kłopoty. Został uwięziony w miejscu, które eksperci zaprojektowali właśnie po to, by nie można się było z niego wydostać. Jediną szansę ucieczki miałyby tylko wtedy, gdyby włączył napięcie w elektromagnesie w drzwiach. Tu, gdzie się teraz znalazł, było to wykluczone.

Chyba że...

Projektujący więzienie eksperci nie brali pod uwagę możliwości, że jedna z cel zostanie wyposażona w sprzęt medyczny. Reacher przejrzał w pamięci instrumentarium, które widział w W1. Doszedł do wniosku, że jeżeli jego znajomość fizyki ze szkoły średniej wytrzymała próbę czasu, to mają szansę. Obrócił Begovica i kazał mu iść za sobą.

Zdjął rolkę papieru toaletowego z dziwnego zestawu ze stali nierdzewnej, składającego się z niezniszczalnej toalety, umywalki i lustra w kącie celi. Podał ją Begovicowi i powiedział:

– Zdejmij z tego papier. Chodzi mi tylko o kartonową tuleję ze środka. Okej?

– Jasne – odparł Begovic. Wziął rolkę, włożył do niej palec wskazujący i zaczął odwijać papier.

– Zaczekaj chwilę, zaraz wracam. – Reacher pobiegł do celi W3, wyjął z poszewki młotek, wyciągnął się w górę i pazurem trzonka wyrwał z sufitu metalowy przewód instalacji oświetleniowej. Potem urwał kabel i powtórzył to samo w celach W5 i W7. Gdy wrócił do W1, Begovic miał już w dłoni odsłoniętą tekturową rolkę. Reacher wziął z poszewki nóż i naciął izolację na końcu pierwszego odcinka zdobytego przewodu. Złapał plastik kciukiem i palcem wskazującym, a miedziany drut palcami drugiej dłoni. Pociągnął w przeciwnych kierunkach i błyszcząca miedź wyłoniła się z izolacji jak wąż zrzucający skórę. Powtórzył to z następnymi kawałkami przewodu i po chwili miał trzy metrowe odcinki. Połączył je w jeden długi drut, skręcając końcówki w zębach.

– Dobra. Trzymaj tę rolkę – polecił. – Tylko mocno. Żeby się nie obracała.

Zaczął okręcać kartonową tuleję miedzianym drutem, nawijał go w górę i w dół, tam i z powrotem, aż powstała gruba, ciasna cewka, z wystającymi wąsami z obu stron, długości piętnastu centymetrów. Zdjął ze ściany defibrylator. Każdy koniec miedzianego drutu przymocował za pomocą taśmy izolacyjnej do jednej z elektrod. Wyszedł na korytarz i zbliżył się do drzwi. Wcisnął na defibrylatorze przycisk z napisem ŁADOWANIE i czekał, aż zgaśnie czerwona lampka i zapali się zielona. Ustawił pokrętko na maksymalny ładunek. Chwycił izolowane uchwyty

elektrod. Przyłożył cewkę do framugi drzwi po przeciwnej stronie od zawiasów, mniej więcej w połowie wysokości.

Odwrócił się do Begovica.

– Dobra, gdy będziesz gotowy, naciśnij guzik wyładowania.

– Gotowy – rzucił Begovic. Wyciągnął kościsty palec i wdusił czerwony krążek.

Błysnęło, jakby niebo rozdarła błyskawica. Zabuczało jak przy przeciążeniu skrzynki z bezpiecznikami. Zapachniało palonym kartonem i przypieczoną farbą. A cewka głucho zadudniła o podłogę, gdy stopiły się miedziane wąsy.

– Okej – powiedział Reacher. – Miejmy nadzieję, że właśnie usmażyliśmy sobie magnes. – Poszedł do W1 i po chwili wrócił z dwunastowoltowym akumulatorem odłączonym od mobilnej trumny. – Sprawdzimy tylko w jeden sposób. – Po ścianie biegł metalowy przewód odchodzący od futryny drzwi po stronie z zawiasami. Reacher wyrwał go pazurem młotka. Wyciągnął około metra kabla, podłożył ostrze noża i przeciął. Zdjął izolację. Rozdzielił dwie żyłki na taką odległość, by końce przewodu dosięgły biegunów akumulatora. Dotknął dodatniego. Potem ujemnego. I nasłuchiwał. Zdawało mu się, że słyszy, jak stalowa sztaba, posłuszna sile elektromagnetycznej, powoli sunie przewodnicą wewnątrz drzwi. Wysuwa się z gniazda w ościeżnicy. Trzymał przewody przy biegunach przez dwadzieścia sekund. Trzydzieści. Potem puścił je i wstał.

Chwycił poszewkę i odwrócił się do Begovica.

– Już. Udało się. Albo nie.

Udało się. Reacher pchnął drzwi. Odskokczyły. I nagle stanął twarzą w twarz z trzema mężczyznami. Dwoma strażnikami uzbrojonymi w karabinki AR-15. I cywilem o ziemistej twarzy, ubranym w garnitur.

45

Reacher chwycił kolbę broni stojącego bliżej strażnika i skierował lufę w sufit. Drugiego poczęstował kopniakiem w jaja, po czym znów zajął się tym, który stał bliżej: zaatakował go bykiem w twarz. A jego kolegę kopnął w głowę, zanim ten zdążył się odczołgać.

Begovic podbiegł do drzwi prowadzących na zewnętrzny korytarz. Były zamknięte.

Mężczyzna w garniturze ani drgnął.

– Pewnie jesteś Reacher – powiedział. – Co za wejście!

Reacher wziął karabinki i zarzucił sobie na ramię.

– A ty?

– Nazywa się Riverdale – przedstawił go Begovic. – Naczelnik. Kompletny dupek.

– Riverdale? – powtórzył Reacher. – W porządku. Czas odkupić winy. Trzeba otworzyć te drzwi.

Naczelnik przez chwilę milczał.

– Nie ma sprawy – rzucił wreszcie. – Mogę to zrobić. Ale najpierw ty musisz zrobić dla mnie jedną rzecz.

Reacher nie odezwał się.

Riverdale pokazał na Begovica.

– Zabij go. Odstrzel mu łeb. Wtedy będziesz mógł stąd wyjść.

Reacher pokręcił głową.

– Rozumiem, dlaczego nie chcesz, żeby wyszedł na wolność. Ale mnie to nie pasuje.

– To przykład sprzeczności dobra ogółu z dobrem mniejszości – powiedział Riverdale. – Jeżeli go zastrzelisz, będzie tylko jeden trup. Jeżeli nie zastrzelisz, nie pozwolę ci go stąd zabrać. Tego możesz być pewien. Drzwi pozostaną zamknięte, dopóki nie zjawi się więcej moich ludzi.

– Masz jeszcze ludzi?

– Wielu. Zabiją was obu. Zanim się wykrwawisz, prawdopodobnie uda ci się zabić mnie. Czyli mamy trzy trupy. Trzy to gorzej niż jeden. Trzy razy gorzej. Podstawy etyki. Dlatego proszę cię, żebyś postąpił moralnie. Rany, to chyba logiczne nawet dla Begovica.

– Pieprzyć logikę – prychnął Begovic.

– Logiczne czy nie, mnie to nie pasuje – oświadczył Reacher.

– No dobrze, co powiesz na atrakcyjniejszą propozycję? Zabijesz go. Obaj przeżyjemy. Dam ci milion dolarów w gotówce. Podobno jesteś splukany. Będziesz mógł żyć jak książkę.

– Mam wszystko, czego mi potrzeba. Wszystko, czego chcę. Czyli lepiej mi niż jakimkolwiek księciu. A więc nie, nie ma mowy.

– Rozejrzyj się, Reacher. Popatrz na te mury. Naprawdę chcesz tu umierać? Dzisiaj?

– Każdy kiedyś musi umrzeć. I gdzieś.

– Ale tu? Teraz?

– Nie przypuszczam, żeby to się stało. Chyba że trafi w nas jakiś zabłąkany meteoryt.

– Nie? Co w takim razie proponujesz?

– Otworzysz drzwi. I popatrzysz, jak wychodzimy.

– Mówmy serio.

– Otworzysz drzwi. Strzelisz sobie w łeb. Nie zobaczysz, jak wychodzimy.

Riverdale milczał przez moment, po czym spytał:

– Jesteś żonaty, Reacher?

– Nie.

– A byłeś kiedyś żonaty?

– Nie.

– Masz dziewczynę? Swoją drugą połówkę?

– Nie.

– Okej. Skoro jesteś bezdomnym biedakiem, to przypuszczam, że rzadko masz okazję na jakiś numerek. Mam pomysł. To może przechylić szalę na moją stronę. – Riverdale wyjął telefon i wcisnął przycisk szybkiego wybierania numeru. Kiedy ktoś odebrał, poinformował: – Reacher zneutralizowany. Muszę wrócić do siebie. Włączcie z powrotem zasilanie i otwórzcie drzwi między S jeden a moim gabinetem.

• • •

Przez dwadzieścia sekund nic się nie działo. Potem ze wszystkich stron pomieszczenia równocześnie dobiegł szcęk zamków i lampy zaświeciły mocniej.

Riverdale ruszył w kierunku drzwi wyjściowych.

– Chodźcie ze mną – rzucił przez ramię.

Reacher i Begovic poszli osłoniętym korytarzem. Pułapką na szczury, jak Reacher nazywał go już w myślach. Spodziewał się, że lada chwila przez drzwi za nimi wpadnie tłum strażników. Albo że zgodnie z jakimś umówionym sygnałem Riverdale padnie na podłogę, a z przodu posypie się na nich grad pocisków. Pokonali połowę odległości. Trzy czwarte. Na końcu korytarza skręcili w lewo i po chwili dotarli do sąsiedniego budynku. Riverdale poprowadził ich w górę po betonowych schodach.

– To oryginalny blok administracyjny – poinformował ich. – Cała reszta przeniosła się do nowego luksusowego budynku Hixa. Ale nie ja.

Gdy znaleźli się na górze, weszli do obskurnego korytarza. Wyczuwało się w nim zapach gotowanej kapusty i zapchanej kanalizacji. Po jednej stronie były okna wychodzące na dwa spacerniaki. Po drugiej sześćcioro biurowych drzwi. Na końcu korytarza do ściany zamocowano stalową sztabę. Reacher domyślał się, że służy do przykuwania ludzi, chociaż wybrano dla niej niezbyt sensowne miejsce.

Naczelnik poprowadził ich do ostatniego pokoju w korytarzu. Podłoga była z gołego betonu. Na suficie zamontowano świetlówki w drucianych osłonach. Na ścianach wisiały oprawione zdjęcia motocykli. W głębi pomieszczenia stała kanapa pokryta miodowym welurem. A pośrodku metalowe biurko. Riverdale podszedł do niego i kluczem otworzył górną szufladę. Wyjął z niej tablet, uaktywnił go odciskiem kciuka, otworzył katalog ze zdjęciami i podał Reacherowi.

– Popatrz – powiedział.

Reacher przerzucił fotografie. Na wszystkich były kobiety. Najmłodsza nie miała jeszcze dwudziestu lat. Najstarsza była już dobrze po sześćdziesiątce. Wszystkie były nagie. I wszystkie zdjęcia zrobiono właśnie w tym pokoju.

– Nie spiesz się – poradził Riverdale. – Wybierz taką, która ci się najbardziej podoba. Każda może tu być w ciągu godziny. Będziesz z nią mógł zrobić, co zechcesz. I tak długo, jak zechcesz.

– A co ty będziesz z tego miał? – zapytał Reacher.

– Dostanę Begovica.

– A potem?

– Będziesz mógł stąd wyjść. Wolny jak ptak.

– Jak?

– Chyba tak samo, jak wszedłem. Wszystko jedno, co to był za sposób.

– Przecież wiesz, jak wszedłem. Domyśliłeś się tego po drzwiach, które sobie otworzyłem. Masz mnie za idiotę? Nie zamierzam wracać tą samą drogą.

– W porządku. Jeżeli zagwarantuję ci bezpieczne wyjście, dogadamy się?

– Jakie bezpieczne wyjście?

Riverdale poluzował krawat, odpiął górny guzik i wydobył spod koszuli klucz na łańcuszku.

– Otwiera się nim bramę. Prywatną. Nie wie o niej nikt oprócz mnie.

– Gdzie?

– W ścianie na końcu magazynu. Wychodzi się za ogrodzeniem. Prosto na ścieżkę na brzegu rzeki. I schodzisz nią do jednej ze starych jaskiń. Używano ich od czasów, gdy ta ziemia należała do Francuzów. Korzystali z nich piraci. Przemycnicy. Szmuglerzy alkoholu. A teraz ja. Mam tam zapasy. Jedzenie. Łódkę. Ponton.

– Bzdura.

– Mówię prawdę. Byłem przy budowie tego więzienia. Wprowadziłem parę własnych ulepszeń. Miałem przeczucie, że kiedyś nadejdzie taki dzień. Gdy ktoś będzie musiał szybko stąd uciekać. Myślałem, że to będę ja, ale proszę.

Reacher skinął głową.

– Jeszcze jedno pytanie, zanim podamy sobie ręce. O której mają zabrać stąd Begovica?

– Czemu pytasz?

– Czuję głód wiedzy.

Naczelnik wzruszył ramionami.

– Mniej więcej za dwadzieścia pięć minut.

• • •

Reacher wyciągnął do niego prawą rękę. Riverdale podszedł bliżej, żeby ją uścisnąć. Wtedy Reacher lewą ręką wbił mu tablet w gardło. Krtań Riverdale'a się zapadła. Upadł do tyłu i wylądował na kanapie. Nie mógł oddychać, nie mógł krzyknąć. Wczepił palce w szyję. Z oczu płynęły mu łzy. Reacher rzucił tablet na betonową posadzkę i rozdeptał na kawałeczki. Podszedł do biurka i pogrzebał

w otwartej szufladzie. Wyjął trzydziestocentymetrową linijkę. Wrócił do Riverdale'a, złapał go za ramiona i obrócił na brzuch. Przycisnął go kolanem do kanapy. Wsunął linijkę między jego kark a stalowy łańcuszek, na którym wisiał klucz. I zaczął ją obracać.

Łańcuszek wpił się w skórę Riverdale'a. Na kanapę popłynęła strużka krwi. Reacher jeszcze raz przekręcił linijkę. Łańcuszek wrzynał się głębiej. Krew lała się szybciej, niż materiał obicia mógł ją wchłonąć. Reacher znowu obrócił linijkę. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Łańcuszek rozerwał zmiażdżoną tchawicę. I na koniec przeciął tętnicę. Krew trysnęła na oparcie kanapy i na ścianę. Reacher przechylił o kilka stopni głowę naczelnika, przycisnął jego szyję do siedziska i trzymał tak, dopóki serce Riverdale'a nie miało już czego pompować.

Wstał i spojrzał na Begovica.

– Co? – spytał. – Ten facet wzbudził we mnie racjonalną niechęć. Dostał to, co mu się należało.

Begovic nie odpowiedział.

– Masz coś przeciwko temu, co się tu stało? – spytał Reacher.

– Nic się nie stało. – Twarz Begovica pozostała zupełnie obojętna. – Niczego nie widziałem.

Reacher skinął głową i skierował się do drzwi.

– Chodź. Pora iść.

Begovic nie ruszył się z miejsca.

– A klucz? Tajne wyjście?

– Nie skorzystamy – oświadczył Reacher.

– Dlaczego?

– Albo wyjście nie istnieje, albo to pułapka.

– Skąd wiesz?

– To uniwersalna zasada. Jeżeli coś jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe, to jest nieprawdziwe.

– Pewnie tak. – Begovic zrobił krok, ale się zatrzymał. – Szkoda, że nie rozumiałem tego szesnaście lat temu.

– A co się stało szesnaście lat temu?

– Aresztowali mnie. Pierwszy raz.

Reacher milczał.

– Poznałem dziewczynę – dodał Begovic. – Chciałem jej kupić pierścionek. Nie miałem za co. Więc ktoś pożyczył mi trochę pieniędzy. Więcej, niż potrzebowałem. Przyjaciel mojego zmarłego wujka.

– To były brudne pieniądze.

– Zgadza się. Ale to akurat nie był problem. Nie złapali mnie. A on zatrzymał sobie jeden banknot z moimi odciskami palców. Zagroził, że powie policji, że rozprawiam fałszywki, chyba że coś dla niego zrobię. To nie było trudne, więc pomyślałem sobie: czemu nie?

– Czego od ciebie chciał?

– Żebym chodził do pewnych miejsc. O pewnych porach. Gdzie widzieli mnie ludzie. To wszystko.

– Byłeś jeleniem na posyłki, a kiedy zaczęli mu deptać po piętach, wrobił cię.

– Zgadza się. Potem wpadłem w poważniejsze kłopoty. W większości z własnej winy. Ale zaczęło się od niego.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. To nie twoja wina. Powiedz mi lepiej, jak się stąd wydostaniemy, jeżeli nie możemy użyć tego klucza?

– Mam pewien pomysł. Ale najpierw musimy odwrócić ich uwagę.

• • •

Reacher łokciem stłukł kwadratową szybkę osłaniającą przycisk i go wcisnął. Rozjazgotała się syrena i zaczęła wyć. Rozbłysły czerwone światła. Reacher stanął

obok Begovica przy oknie i obaj patrzyli na spacerniaki. Z dwóch bloków, A i B, zaczęli wychodzić więźniowie. Najpierw powoli. Mieli niewyraźne miny. Niepewne. Potem potoki ludzi popłynęły szybciej. Gwałtowniej. Place się wypełniały. Więźniowie potracali się i przepychali. Na wieżach pojawili się strażnicy. Jeden oprócz karabinka miał megafon. Zaczął wykrzykiwać polecenia. Jego stłumiony głos brzmiał niewyraźnie. Więźniowie nie zwracali uwagi na to, co mówił.

Reacher spojrzał na Begovica.

– Dlaczego nikt nie wychodzi z bloku C?

Begovic wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Blok jest zajęty?

– Chyba tak. Był, zanim zamknęli mnie w izolatce. Widziałem chłopaków stamtąd w kantynie. Wątpię, żeby od tego czasu zamknęli blok. Po co? Co by z nimi zrobili?

Reacher pomyślał o tym, co usłyszał od Maurice'a przed domem Hixa. O narkotykach. I teorii dziennikarza, że Minerva je produkuje. A potem zaopatruje w nie więźniów. Reacher odrzucił tę możliwość, kiedy dowiedział się o handlu organami. Teraz zmienił zdanie. Może to nie była sytuacja albo-albo. Może Minerva była tak chciwa, że chętnie korzystała z obu źródeł dochodu.

– Pamiętasz coś szczególnego o ludziach z bloku C? – spytał.

– Chyba tak. Zachowywali się trochę jak elita. Najczęściej siadali razem. Nie rozmawiali z innymi więźniami. Wydawało się, że żyją w większej przyjaźni ze strażnikami.

• • •

Reacher pierwszy zszedł po betonowych schodach, a potem pokonał kilka korytarzy i łączników. To była metoda prób i błędów. Trzy razy stawali przed

drzwiami, które nie chciały się otworzyć. Alarm pożarowy spowodował poszerzenie ogólnodostępnej strefy między oddziałami więziennymi a spacerniakami, ale to nie dotyczyło granic terenu chronionego. Tu nie można było niczego przewidzieć. Reacher i Begovic musieli lawirować, czasem zawracać, gdy natknęli się na blokadę, czasem okrążyć przeszkody. Reacher spodziewał się, że w każdych drzwiach może się zderzyć ze strażnikiem. Wpaść na któregoś za załomem korytarza. Ale pod tym względem sztuczka się udała. Uwaga wszystkich była skierowana na spacerniaki. Reacher nie musiał się też przejmować kamerami. Na pewno nie było czasu, by naprawić monitory. Tak więc po pięciu długich minutach i pokonaniu trasy, którą mogłaby lecieć tylko pijana i obłąkana wrona, dotarli do wejścia do bloku C.

Drzwi do centralnej części były otwarte i zablokowane pustakiem. Reacher wszedł pierwszy. Układ bloku był taki sam jak w oddziale izolacyjnym. Kwadratowa część centralna ze skrzydłami odchodzącymi prostopadle od każdej ściany. Drzwi do wszystkich też były otwarte. Dobiegał zza nich gwar głosów i krzątania, jakby znaleźli się przed biurem typu open space albo warsztatem. W powietrzu wyczuwało się ciężki zapach rozpuszczalników i lekki swąd dymu.

Reacher zaczął od zachodniego skrzydła. Wyglądało jak połączenie akademika z pracownią malarską. Sześć łóżek rozstawiono w równej odległości od siebie, a między nimi wciśnięto mnóstwo sztalug z płótnami. Jeszcze więcej obrazów wisiało na ścianach. Metalowe regały ugięły się pod ciężarem puszek i słoików z farbami i rozcieńczalnikami oraz pudełek pędzli. Na suficie zainstalowano dodatkowe oświetlenie z niebieskawymi żarówkami, więc wydawało się, że wewnątrz jest zalane dziennym światłem, choć nie było tu ani jednego okna. W pomieszczeniu znajdowało się sześciu ludzi. Na więziennych uniformach nosili wypłowiałe i zaplamione fartuchy. Wszyscy byli zajęci. Jeden pracował nad kopią Moneta. Dwóch nad van Goghami. Inny nad Mondrianem. Jeszcze inny nad Picassem. Jeden pokrywał nierównymi plamami farby długie prostokątne płótno rozciągnięte na podłodze. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na Reachera i Begovica.

Północne skrzydło było królestwem czterech mężczyzn, którzy ślęczeli nad dokumentami. Dwaj pracowali przy komputerach. Dwaj pisali coś piórami. Reacher zajrzał przez ramię jednemu ze skupionych nad papierami. Leżały przed nim dwie kartki. Tego samego rozmiaru. Na jednej widniał zapisany odręcznie tekst. To był czyjś testament. Drobiazgowo wyliczał nazwiska osób, które miały otrzymać mnóstwo gotówki, biżuterii i samochodów oraz kolekcję zabytkowych strzelb. Druga kartka była zapisana w połowie. Charakter pisma wyglądał identycznie. Dokument wymieniał te same składniki majątku. Te same ilości. Te same wartości. Ale nazwiska spadkobierców były inne. W drugim testamencie całą pulę miała zgarnąć kobieta, której w ogóle nie wymieniano w pierwszym.

– Umiałbyś napisać list czyimś charakterem pisma? – spytał Reacher.

– Jasne – odparł facet z piórem w dłoni. – Czyim?

– A gdyby to miał być list pożegnalny samobójcy?

– Pewnie. Te są najłatwiejsze. Nie ma fachowej terminologii. Nie za długie.

W każdym razie najczęściej.

We wschodnim skrzydle rządzili rzeźbiarze i jubilerzy. Trzech ludzi ociosywało bloki marmuru. Jeden miał ręce po łokcie w glinie. Drugi spawał ze sobą gigantyczne belki. Trzeci drążył pień drzewa. Pięciu innych topiło żółty i biały metal w obitych tyglach i dodawało kamienie w przeróżnych kolorach, by powstały pierścionki, bransolety i wisiorki. Na ścianie wisiały plakaty ukazujące powiększone wersje charakterystycznych wyrobów Tiffany’ego, Cartiera i Bulgarięgo. Zdaniem Reachera niektóre z błyskotek na stołach trudno było odróżnić od oryginałów.

Południowe skrzydło zajmowało sześciu ludzi przy komputerach; siedzieli na wytartych krzesłach biurowych, wpatrzeni w ekrany monitorów ustawionych na sfatygowanych, rozchwianych biurkach, i tłukli w bezprzewodowe klawiatury. Połowa z nich zastygła w zupełnym bezruchu, wyglądali jak roboty, a oznaki życia zdradzały tylko ich palce i oczy. Trzej pozostali niemal tańczyli na krzesłach, jak pianiści albo muzycy rockowi z lat siedemdziesiątych.

Reacher stuknął w ramię jednego z tych ożywionych.

– Miałbyś problem z włamaniem się na czyjeś konto mailowe? – spytał go.

Mężczyzna przestał się wiercić.

– Jasne, problem jak cholera. Gdybym nie robił tego pięćdziesiąt razy dziennie.

– Mógłbyś odczytać cudze wiadomości?

– Odczytać. Zmienić. Skasować. Skopiować. Czego tylko sobie zażyczysz.

46

Zegar w głowie podpowiadał mu, że pora wychodzić. Reacher chwycił Begovica i wyprowadził z bloku C. Nadal był przekonany, że natkną się na jakiegoś strażnika. Albo oddział strażników pilnie wezwanych, by opanować zamieszanie wywołane alarmem pożarowym. Ale niepokoje dalej mu sprzyjały. Niezauważeni przez nikogo dotarli z powrotem do oddziału S1.

Dwaj strażnicy ubezpieczający interwencję Riverdale'a wciąż leżeli na podłodze. Nadal nieprzytomni. Reacher zaciągnął ich przez drzwi, które wcześniej odblokował, i wrzucił do celi, gdzie przygotowywano więźniów do transportu. Obu strażników profilaktycznie poczęstował kopniakiem w głowę, by mieć gwarancję, że w najbliższym czasie nie pojawią się nieproszeni na scenie. To samo zrobił z dwoma medykami, którzy nadal tam byli. Wyjął magazynek i rzucił jeden z karabinków na stół operacyjny. Sprawdził beżowego sig sauera. Potem wyszedł na centralny korytarz oddziału.

Zdjął z ramienia drugi karabinek.

– Załóż ręce z tyłu, jakbyś był związany – nakazał Begovicowi. – Patrz w podłogę. Rób wszystko, co powiem.

Chwilę później otworzyły się drzwi południowego skrzydła oddziału. Weszli przez nie dwaj ludzie z solidnymi noszami na kółkach. Jeden pchał. Drugi ciągnął. Ten, który szedł pierwszy, zapytał:

– Co tu jest grane? Dlaczego...

Urwał. Patrzył na Reachera. Nie mógł zrozumieć, co tu robi człowiek, którego nie poznaje. I który najwyraźniej kontrolował sytuację. Tego nie było w programie. Zerknął na Begovica. Nie rozumiał, dlaczego więzień stoi na własnych nogach. Dlaczego nadal jest przytomny. Dlaczego nie został zapakowany do skrzyni i nie czeka na transport. Mózg faceta przez sekundę mocno się gimnastykował. Usiłował połączyć w całość wszystkie kawałki. Szybko jednak porzucił to układanie puzzli. Obrazek nie miał tu żadnego znaczenia. Bo bez względu na to, co przedstawiał, coś się w nim nie zgadzało. To było oczywiste. Dlatego puścił nosze i jego dłoń błyskawicznie powędrowała do kieszeni.

Reacher nie wiedział, czy mężczyzna sięga po broń, czy po telefon. Wolał się nie przekonywać. Zrobił krok naprzód, odwracając równocześnie karabinek. Płaską stroną kolby trzasnął go w grzbiet nosa. Facet padł na nosze, po czym zsunął się po ich boku. Z hukiem wylądował na podłodze i zastygł nieruchomo na brzuchu, z twarzą w kałuży krwi, która stopniowo rozlewała się wokół jego głowy.

– Nie ruszaj się. – Reacher odwrócił z powrotem broń i wycelował ją w człowieka, który pchał nosze. – Możesz nam pokazać drogę do wyjścia. Albo zaprowadzę cię na spaceriak. Jest tam setka facetów, którzy bardzo miło cię powitają. Możesz być pewien. Masz pięć sekund na decyzję.

• • •

Zwyciężył instynkt samozachowawczy. Reacher i Begovic ruszyli za mężczyznę przez południowe skrzydło. Drzwi wszystkich cel były otwarte. Nie dobiegały z nich żadne dźwięki. Było słychać tylko skrzypienie trzech par butów na betonowej posadzce. Drzwi znajdowały się na drugim końcu. Stalowe. Pomalowane na szaro. Wyglądały na nowe. Błyszcząły. Ten, który szedł przodem, przyłożył kartę identyfikacyjną do białego plastikowego kwadratu osadzonego we framudze. Zamek szczęknął i mężczyzna otworzył drzwi. Prowadziły do krytego łącznika. Węższego niż ten, którym Reacher szedł wcześniej. Na podłodze nie było

namalowanych pasów. Zamiast przezroczystej siatki osłaniały go płyty litej blachy falistej. Powietrze było gorące i stęchłe. Szli prosto, a po jakichś trzydziestu metrach skręcili ostrym łukiem w lewo. Szli prosto jeszcze czterdzieści metrów. Na końcu były następne szare stalowe drzwi, prowadzące do czegoś w rodzaju dużej szopy. Z obu stron stały regały sięgające od podłogi do sufitu. Pełne środków czystości i sprzętu do sprzątania, zapasów więziennych uniformów i puszek z suszonym jedzeniem. Pośrodku stała furgonetka. Granatowa i lśniąca, jak ta, którą Reacher widział przed Riverside Lodge. Kierowca wjechał tu tyłem. Przed wozem, pośrodku ściany naprzeciwko, była rolowana brama garażowa. W pobliżu nikt się nie kręcił. Reacher zajrzał do furgonetki przez okno po stronie kierowcy – w stacyjce tkwiły kluczyki.

– Jak otworzyć bramę? – spytał.

– Do osłony przeciwsłonecznej jest przypięty pilot – poinformował go strażnik.

– Wystarczy wcisnąć przycisk i brama się podniesie. Potem jest brama w wewnętrznym ogrodzeniu. Otworzy się. Jak pod nią podjedziesz, ta tutaj zamyka się sama. Wtedy trzy razy błysnieją światłami i gość w budce cię wypuści.

– Trzeba błysnąć światłami? Naprawdę?

– Taki jest sygnał.

Reacher zauważył, że facet unika jego wzroku. Otworzył tylne drzwi furgonetki.

– Wsiadaj – rozkazał. – Pojedziesz z Begovicem. Kiedy się stąd wydostaniemy, wysiądę i cię wypuszczę. Ale najpierw zapukam w przegrodę. Jeżeli otworzą się drzwi, a Begovic nie usłyszy wcześniej pukania, przestrzeli ci jedno kolano.

Facet pokręcił głową i cofnął się o krok.

– Chwila. Nie błyskasz światłami. Nie robisz nic. Po prostu podjedź przed zewnętrzną bramę. Strażnik w budce ma rozkaz przepuszczać ten wóz w każdą stronę o każdej porze, bez sprawdzania, bez rejestrowania wjazdu i wyjazdu, bez przeszukania. Nie martw się. Nie będziesz za długo siedział w pułapce.

W pułapce. Reacherowi nie podobało się to wyrażenie. Zwłaszcza gdy dotyczyło jego.

• • •

Reacher nie zmusił jednak strażnika, by wsiadł do furgonetki. Bo za mało znał Begovica. Nie mógł przewidzieć, jak się zachowa w stresującej sytuacji. Gdyby stracił głowę albo wykazywał oznaki paniki, istniałoby za duże ryzyko, że strażnik spróbuje wyrwać mu broń. Mógłby narobić hałasu. Zaalarmować wartownika w budce. Co prawdopodobnie skończyłoby się tym, że Begovica trafiłaby przypadkowa kula. Albo wystrzelona umyślnie. Reacher wybrał więc inną metodę. Znokautował strażnika, wcisnął go na dolną półkę regału pod boczną ścianą i zamaskował stertą zapakowanych pomarańczowych kombinezonów więziennych.

Silnik samochodu zaskoczył przy pierwszym obrocie kluczyka. Brama szopy uniosła się przy pierwszym naciśnięciu przycisku na pilocie. Gdy tylko furgonetka zbliżyła się do bramy w wewnętrznym ogrodzeniu, ta się rozsunęła. Sekundę po ich przejeździe zamknęła się. Potem nie działo się już nic więcej. Zewnętrzna brama tkwiła w miejscu. Zupełnie nieruchoma. Jak martwa. Jakby ją zaspawano. Albo jak jeden z wielu trwałych elementów ogrodzenia. Ogrodzenia pod napięciem. Rozciągało się w lewo. W prawo. A teraz na dobrą sprawę także przed nimi. Mieli zagrodzoną drogę do przodu. Do tyłu też. Nie było dokąd uciec, nawet gdyby porzucili samochód.

Zewnętrzna brama ani drgnęła.

Reacher spojrział na budkę. Nie widział jej wnętrza. Miała lustrzane szyby. Może zresztą nikogo tam nie było. Może według procedury obowiązującej podczas alarmu pożarowego strażnik musiał pomagać w ewakuacji po drugiej stronie więzienia. A może wciąż był na posterunku i czekał na jakiś sygnał. Znak, o którym Reacher nie wiedział. Na coś, co powinien zrobić, żeby wartownik nie wszczął alarmu. Posiłki nadejdą z tyłu, pomyślał Reacher. Przez magazyn.

Uzbrojone po zęby. Zerknął w lusterko wsteczne. Podnoszona brama garażowa nadal była zamknięta. Na razie.

Zewnętrzna brama ani drgnęła.

Trzymał stopę na hamulcu. Wahał się, czy nie przełożyć jej na pedał gazu. Nie było sensu taranować bramy. Na pewno wytrzymałaby taką próbę. Była za mocna. Zaprojektowano ją tak, by zatrzymywała znacznie cięższe pojazdy. Rozpędzone. A nie ruszające z miejsca. Reacher nie miał co do tego wątpliwości. Sądził jednak, że mógłby ją trochę wgnieść. Uderzyć zderzakiem w siatkę albo ramę. Potem otworzyłby tylne drzwi wozu. W części ładunkowej były zamontowane półki. Widział je, kiedy lokował tam Begovica. Mógłby parę wyrwać i połączyć nimi furgonetkę z wewnętrznym ogrodzeniem. Może doprowadziłby do zwarcia. I wyłączył zasilanie na tak długo, by przejść na drugą stronę. Jeżeli znajdzie coś, czym mógłby przykryć drut kolczasty.

Zewnętrzna brama ani drgnęła.

Spojrzał na podłogę. Leżały tam dywaniki. Pod obydwoma siedzeniami. Zrobione z gumy. Solidne. By chroniły podłogę samochodu przed butami mokrymi od deszczów w stanie Missisipi. Na tyle grube, że uchroniłyby człowieka przed posiekaniem na plasterki... może. Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Reacher zaczął unosić stopę. Ale znieruchomiał. I znowu wcisnął hamulec.

Zewnętrzna brama drgnęła. Zadygotała. A potem chybotliwie odsunęła się na bok.

• • •

Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości od więzienia, Begovic przesiadł się z części ładunkowej na fotel pasażera, ale przez resztę drogi do domu Bruno Hixa nie odezwał się ani słowem. Siedział wciśnięty w fotel zupełnie nieruchomo, jeśli nie liczyć oczu, które bez przerwy biegały tam i z powrotem. Reacher też nic nie mówił. Nie chciał zbyt wcześnie mu zdradzać, że w tym domu czeka na niego

dzieciak. Wolał nie dawać mu okazji do dłuższych rozmyślań na ten temat. Żeby nie zdążył się wystraszyć. Jednocześnie Reacher czułby się nieswojo, rozmawiając o głupstwach i trzymając w zanadrzu tak ważną informację. Im dalej jechał, tym mniej był przekonany o słuszności swojej decyzji. Ale nagle bardzo się ucieszył, że nie wspomniał o dziecku Begovica.

Przed domem Hixa stały zaparkowane dwie furgonetki. Biała z tablicami z Illinois. Z wyglądu kilkuletnia. Nosiła liczne ślady trudów życia i stała zaparkowana przy drodze. Druga była czarna. Z numerami Missisipi. Wyglądała na nowiutką. Błyszcziała. Byłaby w idealnym stanie, gdyby nie to, że miała zniszczone błotniki, przód i maskę. Ktoś staranował tym samochodem bramę Hixa. Wjechał w nią z impetem. I otworzył na niecałe półtora metra.

Reacher zatrzymał się przy białej furgonetce. Polecił Begovicowi nie ruszać się z wozu, nawet gdyby usłyszał hałasy dobiegające z domu. Wysiadł. Miał w dłoni beżowego sig sauera. Sprawdził kabiny i część ładunkową obu pojazdów. Nie było tam nikogo. Potem prześliznął się przez dziurę w bramie, minął stojącego na podjeździe volkswagena i wszedł po schodach.

• • •

Drzwi wejściowe były otwarte. Reacher zajrzał do korytarza. Nikogo nie zobaczył. Nic nie usłyszał. Ukradkiem wśliznął się do środka. Ruszył w lewo, w stronę kuchni. Tam, gdzie zostawił obezwładnionych i związanych Hixa, Brockmana i Carpentera.

Pomieszczenie było puste.

Ludzie Minery nie bardzo go obchodzili. Martwił się jednak o Hannah i Jeda. Brał pod uwagę dwie możliwości. Ci, którzy przyjechali dwoma furgonetkami, mieli trzeci pojazd, którym uprowadzili z domu wszystkich. Albo wszyscy, włącznie z nieprzyjaciółmi, nadal byli w domu czy na terenie posesji.

Sklaniał się ku drugiej ewentualności. W pierwszej w grę musiałby wchodzić bardzo duży pojazd, który pomieściłby co najmniej osiem osób. Nie byłoby sensu zostawiać tu białej furgonetki. Wyglądała na praktyczny wóz, a tył był załadowany specjalistycznymi narzędziami i sprzętem.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł jakiś odgłos. Skrzypnięcie. Ciche. I pojedyncze. Ale Reacher na pewno coś usłyszał. Podkradł się pod drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał. Cisza. Ujął klamkę. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi. I odskoczył, żeby nie zderzyć się z człowiekiem, który runął na podłogę u jego stóp.

To był Maurice. Dziennikarz.

– Co ty tu robisz, do cholery? – zdziwił się Reacher.

– Chowam się – wyjaśnił chłopak. – Czekam na ciebie. Dlaczego to tak długo trwało?

– Gdzie reszta? Hannah? Dzieciak?

– Chyba za domem.

– Chyba?

– Chyba wszyscy tam są.

– Wszyscy?

– Hannah. Chłopak. Hix i Brockman. Carpenter. I ci dwaj nowi.

– Z Minervy?

– Nie. Nie przyjechali nikogo ratować. Zdecydowanie. Chyba szukali Carpentera. Jakby coś do niego mieli.

– Dlaczego zostawili ciebie?

– Nie wiedzieli, że tu jestem. Byłem w pralni. Wszedłem tam, bo myślałem, że to spiżarnia. Umierałem z głodu.

– Nie przeszukali domu?

– Schowałem się. Jestem w tym dobry. Mam praktykę.

– No więc widziałeś, co się stało? Czy tylko słyszałeś?

– Trochę widziałem. Nie zaczęli od przeszukania domu. Wpadli z nienacką. Hannah złapała za broń. Ale oni byli szybsi.

– Są uzbrojeni?

– Jeden z nich, młodszy, ma pistolet. Starszy ma jakąś buteleczkę i szmatkę. Kopniakiem odsunął pistolet Hannah na bok, a potem przycisnął jej tę szmatkę do twarzy. Upadła. Jed próbował się na niego rzucić. Ale odbił się od niego i gość złapał go, przyłożył mu do twarzy szmatkę, po czym chłopak też padł jak długi. Wtedy zaczęli przeszukiwać dom. A ja już tylko słyszałem, co się dzieje.

– Czego chcieli od Carpentera?

– Jeden z nich, chyba ten starszy, bo mówił tonem szefa, zaczął go wypytywać. To było trochę dziwne. Powiedział, że Carpenter sprzedał jakąś wątrobę, która okazała się niedobra i przez to umarł jego syn. Chciał wiedzieć, skąd pochodziła. I czy Hix i Brockman byli w to zamieszani.

– Co na to Carpenter?

– Nic. Nie chciał nic mówić. Ten starszy powiedział, że to nie jest żaden problem. Że ma coś, co rozwiąże mu język. Potem chyba użył tego, co miał na szmatce, żeby pozbawić ich przytomności. Słyszałem łomot, a później sporo ślizgania i szurania. I tak pięć razy. Chyba wywlekli wszystkich za dom.

– Dlaczego za dom?

– Bo nie słyszałem żadnych odgłosów samochodów i nie było ich przed domem. Patrzyłem. Szczerze mówiąc, zamierzałem stąd zwać. Ale przypomniałem sobie, że masz wrócić. Pomyślałem, że zostanę, żeby cię ostrzec.

– I dobrze zrobiłeś. – Reacher skierował się do drzwi.

– Jednej rzeczy nie rozumiem. – Maurice nie ruszał się z miejsca. – Ci ludzie chcieli się zemścić za to, że ich syn zatrzał się, jedząc wątrobę. Co ma z tym wspólnego Minerva? Przecież w więzieniach nie trzymają zwierząt. Firma nie jest właścicielem żadnych farm. Skąd biorą wątroby?

– Dzieciak tego faceta nie zatrzał się śmiertelnie jedzeniem. – Reacher chwycił klamkę. – A wątroba nie pochodziła od zwierzęcia. W każdym razie nie od

czworonożnego.

• • •

Reacher przeszedł przez hol, wbiegł po schodach na górę i wszedł do środkowego pokoju z tyłu domu. To była sypialnia. Z błyszczącą drewnianą podłogą. I eleganckimi jasnymi meblami. Było tu troje drzwi balkonowych szczelnie zakrytych białymi zasłonami. Reacher podszedł do środkowych i ostrożnie wyjrzał zza brzegu zasłony. Zobaczył obsiany trawą wielki kwadrat, który widział, gdy zakradł się do tego domu. Różnica polegała na tym, że teraz byli tam ludzie. Hix, Brockman i Carpenter. Nadzy. Wisieli przywiązani za nadgarstki do rampy oświetleniowej na scenie. Nie ruszali się. Hannah i Jed leżeli na trawie z prawej strony sceny. Twarzą do ziemi. Ubrani. Też się nie ruszali. Byli jeszcze dwaj mężczyźni, których Reacher wcześniej nie widział. Nabierali chochlą jakąś gęstą substancję z dużej beczki i wlewali ją do kubeków na lód, które wzięli z baru.

Zbiegł z powrotem po schodach, wyszedł od frontu i okrążył dom. Wszedł na werandę. Dwaj nieznajomi postawili trzeci kubek na skraju sceny. Stali po obu stronach beczki. Gdy usłyszeli kroki, odwrócili się. Wyjęli broń. I wycelowali w Reachera.

– Rzuć broń – nakazał ten starszy. – I połącz się twarzą do ziemi.

Wiatr wiał prosto w kierunku Reachera. Od strony dwóch nieznajomych. I ich beczki.

– Nic z tego – odparł Reacher. – Nic do was nie mam. Przyszedłem tu po kobietę i chłopaka. Pójdą ze mną. A ci zawieszani idioci? Zróbcie z nimi, co chcecie.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Kobieta i chłopak nigdzie nie idą. Widzieli nas.

Reacher wyczuł jakiś słaby zapach. Jakby znajomy.

– Najwyżej zdążyliście im mignąć przed oczami. Z ich strony nic wam nie grozi.

– Nieważne. Mogą zeznać, że tu byliśmy. Ty zresztą też.

Przede wszystkim benzyna, pomyślał Reacher. I benzen. I coś jeszcze. Po chwili zorientował się, co to jest. Poznał połączenie składników. Przyjrzał się beczce. Była prawie pusta. Prawie.

– To nie mój problem – rzucił. – Zabieram moich przyjaciół i wychodzę.

– Nie masz prawa decydować, co będzie.

– Mam pełne prawo – sprostował Reacher. I strzelił. Do beczki. Pocisk przeszył plastik i resztką napalmu natychmiast się zapaliła. Boki pojemnika się odkształciły. Fala uderzeniowa zwała z nóg obu nieznanym. Jęzor pomarańczowego płomienia liznął młodszego. Facet wrzasnął, zwinął się z bólu, oddał jeden strzał na oślep, a potem wypuścił z dłoni pistolet.

Reacher zeskoczył z werandy, podszedł bliżej i strzelił mu w głowę. Starszy leżał na wznak. Nie ruszał się. Udało mu się uciec przed ogniem. Ale na koscie miał czerwoną plamę. Nisko na brzuchu, po lewej stronie. Była mokra. I szybko się powiększała. Przeszyła go kula wystrzelona przez kolegę.

Obrócił się na brzuch i dźwignął siłą woli, by stanąć na czworakach. Próbował czołgać się w stronę sceny. Reacher zastąpił mu drogę.

– Odsuń się. – Głos mężczyzny brzmiał jak coś pośredniego między skrzekiem a szeptem.

Reacher nawet się nie poruszył.

Tamten ruchem głowy wskazał Carpentera.

– On... musi zacząć mówić.

– Wykrwawisz się na śmierć – powiedział Reacher.

– Zabił mojego syna. Ma dostawcę. Chcę znać nazwisko.

– Twój syn miał przeszczep?

Mężczyzna skinął głową, a potem osunął się na bok.

– Miał wątrobę w strzępach. Przechodził terapię za terapią. Bez skutków. Zwykli lekarze nie mogli mu pomóc. No więc znalazłem klinikę. Na statku. Wszczepili mu nową wątrobę. Ale marną. Kyle umarł.

– To tamci dwaj, których zawiesiłeś obok Carpentera – poinformował go Reacher. – To są jego dostawcy. Prowadzą więzienie. Wyszukują więźniów, których nikt nie będzie żałował, i sprzedają ich na organy.

Mężczyzna uniósł głowę.

– Mówisz prawdę?

Reacher pokiwał głową.

– W takim razie pomóż mi – poprosił tamten. – Zastrzel ich.

– Nie.

– Dlaczego? Przecież zastrzeliłeś Graebera. Mojego przyjaciela.

– Jego? Zajął się ogniem. To dla jego dobra. Postaram się, żeby zamknęli to więzienie. Na stałe. Ale nikogo nie zabiję z zimną krwią.

– Proszę. Dla mojego syna. Nazywał się Kyle Emerson. Miał dwadzieścia dwa lata.

– Nie.

Mężczyzna znowu podniósł się na czworaki i z trudem podpełzł jeszcze o metr.

Reacher ze sterty ubrań obok sceny wziął koszulę i wyciągnął w jego stronę.

– Jeżeli dalej będziesz się czołgać, wykrwawisz się. Przestań, przyciśnij to do rany, zadzwoń pod dziewięćset jedenaście, a może będziesz miał szansę przeżyć.

Tamten nie posłuchał go. Dobrnął do przodu sceny. Wyciągnął się w górę. Jedną ręką próbował po omacku chwycić się czegoś na drewnianej powierzchni. Drugą zacisnął na brzegu kubelka na lód. Starał się podciągnąć, ale tylko zrzucił ze sceny kubelek pełny kremowego żelu, tak że oblał nim sobie przód koszuli. Żel spłynął na spodnie i zmieszał się z krwią, którą nasiąkła tkanina. Mężczyzna upadł na wznak. Obrócił się. Udało mu się klęknąć. Wyprostował tułów. Z kieszeni wyciągnął pudełko zapalek i odwrócił głowę, by spojrzeć na Reachera.

– Nawet się cieszę, że nie zastrzeliłeś tych bydlaków. – Wyjął zapalną. – Teraz dostaną to, na co zasłużyli.

Potarł zapalną. Na czubku rozbłysł płomień. Przez moment patrzył w niego jak zahipnotyzowany. Potem kolana odmówiły mu posłuszeństwa i znowu runął na plecy. Upuścił zapalną. Wylądowała na jego brzuchu. Wciąż się paliła.

Reacher odskoczył do tyłu. To był odruch. Instynktowna reakcja na ogień, wdrukowana głęboko w jego mózg. Nie sposób jej powstrzymać. Na twarzy i rękach poczuł uderzenie gorąca. Usłyszał chrupnięcie. Zdawało mu się, że słyszy śmiech tego człowieka. Że widzi, jak się uśmiecha. Potem uniósł się i strzelił mu między oczy.

Ciało znieruchomiało. Płomienie tańczyły dalej.

• • •

Reacher usłyszał kroki dwóch osób. Bardzo ostrożne. I zbliżające się z różnych stron. Pierwszy na werandzie pojawił się Maurice. Po nim Begovic. Maurice stanął jak wryty. Begovic zeskoczył i ruszył w stronę sceny i swoich dręczycieli. Nagle zmienił kurs. Podszedł do leżącego Jeda, przystanął i spojrzał na chłopaka.

– Oni nie żyją? – spytał cicho Maurice.

– Ci dwaj nie żyją – odparł Reacher, wskazując na spalone ciała. – Reszta jest odurzona. Nic im nie będzie.

– Powinniśmy odciąć tych facetów z Minervy?

Reacher pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Gdzieś czai się ktoś jeszcze. Może więcej niż jedna osoba. Zostawmy ich na przynętę.

Reacher wyniósł Hannah przez szparę w bramie i położył z tyłu furgonetki, którą przyjechał z więzienia. Begovic ruszył za nim i położył obok niej Jeda. Pochód zamykał Maurice. Nie chciał zostawać sam w ogrodzie z trupami.

Zamknawszy drzwi furgonetki, Reacher odwrócił się do Begovica.

– Umiesz prowadzić?

– Chyba tak. Kiedyś umiałem. Ale to było szesnaście lat temu.

– Zasady się nie zmieniły. – Reacher podał mu kluczyki. – Odjedź jakiś kilometr. Potem stań przy drodze i zostań, dopóki do ciebie nie dołączę.

• • •

Reacher zaczekał, aż granatowa furgonetka ruszy, a potem poprosił Maurice'a o telefon. Wbił dziewięćset jedenaście. Dyspozytor zgłosił się po dwóch dzwonekach.

– Jest potrzebna policja – poinformował go Reacher. – I ksiądz, jeżeli da się to zrobić. Ktoś miał wypadek w ogrodzie przy własnym domu. Nazywa się Bruno Hix. Gada jak najęty o tym, że wplątał się w coś złego. Mówi, że chce się wypowiadać.

– Może pan podać adres miejsca, w którym doszło do wypadku? – poprosił dyspozytor.

Reacher odczytał dane z tabliczki na murze obok bramy.

– Pana nazwisko?

– Chivington, John Chivington.

– Dobrze. Jeżeli chodzi o księdza, nie mogę pomóc. Ale wyślę policję. I ratowników medycznych. Proszę zostać na miejscu. Wkrótce przyjedzie pomoc.

Reacher przerwał połączenie i oddał telefon Maurice'owi.

– Co teraz? – zapytał dziennikarz. – Mam zostać? Iść?

– To zależy od ciebie. Interesuje cię tylko Minerva? Czy masz czas, żeby zdemaskować skorumpowanych gliniarzy?

• • •

Siedem minut później nadjechał jeden wóz policyjny. Dodge charger. Nowiutki. Nieoznakowany. Na desce rozdzielczej błyskał kogut, samochód pędził dość szybko. Zatrzymał się obok czarnej furgonetki, której przód tkwił wbity w bramę Hixa. Otworzyły się drzwi, z dodge'a wyskoczył funkcjonariusz. Tuż przed sześćdziesiątką. W nienagannie wyprasowanym mundurze, który trochę opinał się na brzuchu. Wyciągnął broń i szybkim krokiem ruszył w kierunku domu.

Okrzyknął budynek i wszedł na werandę z tyłu. Obrzucił krótkim spojrzeniem spalone zwłoki dwóch osób. Ciało Emersona ciągle się tliło. Policjant zeskoczył, pobiegł przez trawę i wdrapał się na scenę. Hix właśnie odzyskiwał przytomność. Gliniarz uderzył go w twarz. Potem jeszcze raz, i jeszcze. Poczęstował go serią mocnych policzków.

– Bruno, co się stało, do cholery? – zapytał. – Kto dzwonił po policję?

Dyrektor generalny Minervy nie odpowiedział. Nie mógł.

– Kim są ci nieboszczycy? Dlaczego tu wisisz, kto to zrobił? I gdzie twoje ubranie?

Hix zdołał mrugnąć.

– Jest tu ktoś jeszcze? Ktoś żywy?

Wydał pomruk.

– Bruno, co im powiedziałaś? – Gliniarz zniżył głos.

Hix próbował wzruszyć ramionami. Nie udało mu się.

– Skup się. No już. Zbierz myśli. To ważne. Co oni wiedzą?

Pokręcił głową.

– W ogóle coś wiedzą?

– Wiedzą wszystko – odpowiedział Hix ochryłym, cichym głosem.

Gliniarz się cofnął. Westchnął.

– Dzięki za szczerść, przyjacielu. Nieźle się nam układało. Przykro mi, że to nie może trwać dłużej. Ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. – Schował pistolet do kabury. Wyjął z kieszeni parę lateksowych rękawiczek. Włożył je. Pochylił się i uniósł mankiet spodni. Odpiął pasek kabury na kostce. Wysunął mały srebrny rewolwer, po czym wyprostował się i przyłożył lufę do skroni Hixa. – Postaram się, żebyś długo nie cierpiał.

– Stać. – Reacher podniósł się i wyszedł zza baru. W dłoni miał sig sauera. Wycelowanego w środek klatki piersiowej policjanta.

Gliniarz podniósł ręce i się cofnął.

– Zrzuć broń ze sceny.

Policjant spełnił polecenie.

– Teraz drugą.

Rzucił służbowy pistolet.

Z drugiej strony baru wyłonił się Maurice. W wyciągniętej ręce trzymał telefon. Ostrożnie podszedł na tyle blisko, żeby odczytać nazwisko funkcjonariusza na plakietce na piersi.

– Gratuluję, komendancie Moseley. Co za występ! Gdy będzie pan siedział w pudle, a ja będę już miał Pulitzera, wrzucę ten filmik do internetu. Mistrzowski pokaz, jak się pograć. Tylko chyba będę musiał wypikselować niektóre fragmenty pana Hixa. Nie chcę robić z tego skeczu.

• • •

Elegancko ubrany chłopak z hotelu Riverside Lodge tak się cieszył z odzyskania kluczyków do volkswagena, że oświadczył Reacherowi, że może dostać tyle pokoi w północnym skrzydle, ile sobie zażyczy, na tak długo, na ile zechce. Reacher odparł, że weźmie cztery na jedną noc. I że tym razem chce tylko jeden klucz do swojego pokoju.

Maurice został u Hixa, żeby zaczekać na FBI, a potem zamierzał jechać do Waszyngtonu. Hannah i Begovic zostali w hotelu. Reacher zabrał Jeda do miasta pick-upem Sama Rotha. Zatrzymali się w dwóch miejscach. Najpierw przy drogerii, do której wszedł sam. Potem w barze z hamburgerami na starej stacji benzynowej. Jed zamówił podwójnego burgera bez dodatków warzywnych, tak jak Reacher, i skończył go jeść, zanim wrócili na parking przy hotelu.

• • •

Następnego dnia rano Reacher wziął Jeda na jeszcze jedną przejażdżkę. Zabrali z kryjówki rower i przywieźli go do Riverside Lodge. Kiedy wrócili, na parkingu czekał kurier z Jackson. Jed wysiadł z samochodu. Kurier zdjął rower z platformy pick-upa i przeprowadził drobiazgową inspekcję.

– Dramat – oświadczył. – Zdrapałeś lakier. Zniszczyłeś siodełko. Zdeformowałeś widelce. Zwichrowałeś obręcz kół. To już grat. Na szmelc. Ty gnojku.

– Staralem się dbać o niego jak najlepiej – bronił się Jed. – Przepraszam za uszkodzenia.

– I co mi z twoich przeprosin? – Kurier pchnął go w klatkę piersiową. – Ty nędzna gni...

Z pick-upa wysiadł Reacher.

Kurier złapał kierownicę i czmychnął z rowerem do kombi zaparkowanego przy portyku.

– Dobra, kolego, to tylko małe nieporozumienie. Dzięki, że go zwróciłeś. Chyba będę już leciał. – Włożył rower do bagażnika i pospiesznie wskoczył za kierownicę. Uruchomił silnik, z piskiem opon wycofał, po czym wrzucił bieg i popędził w kierunku wyjazdu z parkingu.

• • •

Reacher i Jed stali, dopóki kombi nie zniknęło im z oczu. Wtedy Reacher wręczył chłopakowi małą papierową torebkę z drogerii. Jed otworzył ją. I wyjął składaną szczoteczkę do zębów.

– To na następny raz, kiedy będziesz jechał Greyhoundem – wyjaśnił Reacher. – Lepiej mieści się w kieszeni niż zwykła.

– Dziękuję.

– Powodzenia z tatą. Mam nadzieję, że wszystko się wam ułoży.

– Jedziemy do Kolorado. Hannah powiedziała, że możemy na razie zamieszkać w domu Sama, dopóki tato nie znajdzie pracy.

– Dom Sama jest ładny. Na pewno będziecie zadowoleni.

– Ty też jedziesz do Gerrardsville?

– Ja? Nie.

– Dlaczego? Przecież mówiłeś, że tam jest ładnie.

– Bo jest ładnie. Ale już tam byłem. Teraz pora zobaczyć jakieś nowe miejsce.